

Kathy Reichs

Śmiertelne decyzje

(Deadly Décisions)

Przełożył Marcin Roszkowski

*Z miłością poświęcam tę książkę
Carolinie Beach Bunch*

Postaci i zdarzenia opisane w tej książce są fikcyjne
i zrodziły się w wyobraźni autorki.
Akcja rozgrywa się głównie w Montrealu w Kanadzie
oraz w Północnej Karolinie w Stanach Zjednoczonych.
Od czasu do czasu pojawiają się różne miejsca
oraz instytucje, które istnieją w rzeczywistości,
ale wszystkie osoby i wydarzenia są fikcyjne.

Podziękowanie

Podczas pisania „Śmiertelnych decyzji” pomagało mi wielu ludzi. Szczególną cierpliwością wykazali się moi koledzy po fachu. Serdeczne podziękowania należą się sierżantowi Guy Ouelette’owi z Wydziału Przestępczości Zorganizowanej *Sûreté du Québec* oraz kapitanowi Stevenowi Chabotowi, sierżantowi Yvesowi Trudelowi, kapralowi Jacquesowi Morinowi i konstablowi Jeanowi Ratté z *Opération Carcajou* w Montrealu.

Pracownicy *Communauté Urbaine de Montréal Police*, detektyw porucznik Jean-Francois Martin z *Division des Crimes Majeurs*, detektyw sierżant Johanne Bérubé z *Division Agressions Sexuelles* oraz komendant André Bouchard z *Moralité, Alcool et Stupéfiant, Centre Opérationnel Sud* okazali niezwykłą cierpliwość, odpowiadając na moje pytania i wyjaśniając zasady działania jednostek policyjnych. Specjalne podziękowania należą się detektywowi sierżantowi Stephenowi Rudmanowi z *Superviseur, Analyse et Liaison, Centre Opérationnel Sud*, który rozwiązał wiele z moich wątpliwości, dostarczył odpowiednich map i oprowadził po więzieniu.

Specjalne wyrazy wdzięczności należą się moim kolegom z *Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale*. Na pierwszym miejscu chcę wyrazić wdzięczność doktorowi Claude’owi Pothelowi za jego uwagi dotyczące patologii oraz François Julienowi, *Section de Biologie* za zademonstrowanie mi wzorów, wedle których rozchlapuje się krew. Pat Laturnus, analityk z tej dziedziny, pracujący dla Akademii Policyjnej w Ottawie niezmiernie wspomógł mnie swoim doświadczeniem oraz użyczył zdjęć obrazujących interesujące mnie aspekty.

Jeśli chodzi o moich pomocników z Północnej Karoliny, to chciałabym podziękować kapitanowi Terry’emu Sultowi z Charlotte-Mecklenburg Police Department Intelligence Unit, Rogerowi Thompsonowi, szefowi z Charlotte-Mecklenburg Police Department Crime Laboratory, starszemu analitykowi Pam Stephenson z Intelligence and Technical Services, North Carolina State Bureau of Investigation, Gretchen C.F. Shappert z United States Attorney General’s Office i doktorowi Normanowi J. Kramerowi z Mecklenburg Medical Group.

Nie tylko wyżej wymienieni poświęcili swój czas na potrzeby tej książki. Szczególną pomoc okazali mi: doktor G. Clark Davenport z Geophysicist with NecroSearch International, doktor Wayne Lord z National Center for Analysis of Violent Crime, Akademia FBI w Quantico, w stanie Wirginia oraz Victor Svoboda, dyrektor Communication for Montreal Neurological Institute i Montreal Neurological Hospital. Jeśli chodzi o motory Harley-Davidson, moim guru stał się doktor David Taub.

Ogromny dług wdzięczności zaciągnęłam u Yvesa St. Marie, dyrektora *Laboratoire de Sciences Judiciaires et Médecine Légale*, doktora André Lauzona, *Laboratoire Médecine Légale* oraz doktora Jamesa Woodwarda, kanclerza University of North Carolina w Charlotte, którzy nigdy nie przestali mnie wspierać.

Specjalne podziękowania należą się oczywiście Paulowi Reichsowi za komentarze do rękopisu.

Jak zwykle, chciałabym wyrazić wdzięczność wobec moich nadzwyczajnych edytorów: Susanne Kirk z Scribner i Lynne Drew z Random House oraz nieocenionej agentki Jennifer Rudolph Walsh.

Choć w trakcie pracy zasięgałam rad wybitnych ekspertów, to „Śmiertelne decyzje” mogą zawierać pewne błędy. W każdym przypadku ich sprawczynią jestem ja.

Rozdział 1

Nazywała się Emily Anne. Miała dziewięć lat, kręcone czarne włosy, długie rzęsy i ciemną karnację skóry, uszy przebite i ozdobione dwoma niewielki – i złotymi kolczykami. W jej czole ziały dwie dziury po kulach, kalibru 9 mm z półautomatycznego pistoletu Cobra.

To była sobota. Przyszłam do pracy na wyraźną prośbę mojego szefa Pierre'a LaManche'a. Od czterech godzin starałam się przebadać tkankę w stanie daleko posuniętego rozkładu, kiedy drzwi dużej sali autopsyjnej otworzyły się i wparował przez nie detektyw sierżant Luc Claudel.

Claudel i ja współpracowaliśmy już wcześniej i choć nauczył się tolerować moją osobę, a czasem zdawało mi się, że mnie ceniał, to jego zachowanie nie odzwierciedlało tego faktu w najmniejszym stopniu.

– Gdzie jest LaManche? – spytał bez ogródek.

Spojrzał na stół operacyjny, za którym stałam i szybko odwrócił wzrok.

Nie odpowiedziałam. Kiedy Claudel miał napad złego humoru, najlepiej było go ignorować.

– Czy doktor LaManche już przyjechał? – spytał ponownie, uporczywie odwracając wzrok od moich ubrudzonych rękawic.

– Jest sobota, *monsieur* Claudel – odparłam. – Doktor La...

W tym momencie drzwi uchyliły się ponownie i zajrzał przez nie Michel Charbonneau. Gdzieś z korytarza dobiegł mnie syk otwieranych automatycznie drzwi.

– *Le cadavre est arrivé** [Le cadavre est arrivé (fr.) – Zwłoki przyjechały (przyp. red.)] – Charbonneau rzucił do Claudela.

Jakie zwłoki? Co dwóch detektywów z Wydziału Zabójstw robiło w laboratorium w sobotnie popołudnie?

Charbonneau przywitał się ze mną po angielsku. Był zwalistym mężczyzną o fryzurze przypominającej przestraszonego jeża.

– Dzień dobry, pani doktor.

– Co się dzieje? – spytałam, zdejmując rękawiczki i opuszczając maskę.

Odpowiedział mi Claudel. Jego spojrzenie było ponure, oczy przybrały barwę stali, a twarz wyrażała napięcie.

– LaManche niedługo przyjedzie i wszystko wyjaśni.

Na czole detektywa perliły się kropelki potu, a usta tworzyły cienką, prawie niewidoczną linię. Claudel nienawidził kostnicy i unikał brania udziału w autopsjach, jak tylko mógł. Bez słowa otworzył drzwi i wyszedł, potracając partnera barkiem. Charbonneau obserwował go przez chwilę, a potem odwrócił się ku mnie:

– Proszę się nie obrażać, to dla niego trudna sprawa. Sam ma dzieci.

– Dzieci? – Poczulałam, jak moje serce zamienia się w kawałek lodu.

– Tak. Dzisiaj rano Bezbożnicy znowu uderzyli. Słyszała pani o Richardzie Marcocie? –

Nazwisko było mi dziwnie znajome. – Czasem mówiło się o nim jako o *Araignée*. Pająku.

Spojrzał na mnie i dodał:

– Ważny gość. Prawdziwy mąż stanu w środowisku motocyklowych gangsterów. Pająk był kimś ważnym pośród Żmij, ale dzisiejszy dzień nie należał do jego najbardziej udanych. Wstał sobie rano i poszedł na ósmą na siłownię, ale po drodze dopadli go Bezbożnicy i podziurawili jak sito. Chyba próbował się jeszcze ratować, bo wjechał motorem w krzaki.

Charbonneau przeczesał włosy palcami i z zakłopotaniem chrząknął. Czekałam.

– W całym zamieszaniu zastrzelili też dziecko.

– Dobry Boże! – Nieświadomie zacisnęłam dłonie na gumowych rękawiczkach.

– Mała dziewczynka. Zabrano ją do Montreal Children's Hospital, ale nie przeżyła. Przywiozą ją zaraz. Sam Marcotte zmarł w chwili przybycia karetki. Czeka na swoją kolejkę.

– LaManche wie o wszystkim i ma przyjechać, tak?

Charbonneau pokiwał twierdząco głową.

Pięciu patologów laboratorium pełni rotacyjnie dyżury. Są na wezwanie telefoniczne, ale rzadko kiedy zdarza się, aby byli potrzebni. Gdy zachodzi jednak potrzeba przeprowadzenia autopsji po godzinach pracy biura lub oględzin miejsca zbrodni, wzywa się ich. Dzisiaj była kolej LaManche'a.

Dziecko. Znajome uczucie strachu zmroziło mnie do szpiku kości. Chciałam uciec gdzieś daleko.

Spojrzałam na zegarek, była dwunasta czterdzieści. Zdjęłam fartuch i zwinęłam go w kłębek razem z maską i rękawiczkami, a potem cisnęłam do kontenera na odpady biologiczne. Umyłam dokładnie ręce i wjechałam windą na dwunaste piętro budynku.

Nie wiem, jak długo siedziałam w swoim gabinecie, spoglądając na Rzekę Świętego Wawrzyńca, pomimo głodu nie zwracając uwagi na karton z jogurtem stojący na biurku. W pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę trzask drzwi LaManche'a, a potem syk tych szklanych, które dzieliły nasze skrzydło na części.

Jako antropolog sądowy wyrobiłam w sobie pewną odporność na obrazy gwałtownej śmierci. Podczas autopsji wymaga się ode mnie, abym z resztek ludzkiego ciała odczytała jak najwięcej informacji o ofierze i okolicznościach jej śmierci. Widziałam już zwłoki, które były spalone, poćwiartowane lub w daleko posuniętym stopniu rozkładu. Moim miejscem pracy jest kostnica i sala autopsyjna, wiem, jak śmierdzą zwłoki i jak zachowują się, kiedy zostaną nacięte skalpelem. Przyzwyczyłam się do widoku pokrwawionego ubrania schnącego na wieszakach i wycia piły Strykera* [piła Strykera – chirurgiczna piła oscylacyjna używana przez patologów do otwierania czaszki (przyp. red.)], której używa się do cięcia kości, podobnie jak do widoku organów wewnętrznych pływających spokojnie w ponumerowanych słojach.

Pomimo to widok martwego dziecka zawsze poruszał we mnie jakąś strunę. Pobite, przejechane, zmaltretowane przez religijnych fanatyków czy zgwałcone przez pedofila. Widok zbrukanej młodości nigdy nie przestał robić na mnie wstrząsającego wrażenia.

Nie tak dawno zajmowałam się sprawą dwóch noworodków, bliźniaków, którzy zostali zabici, a ich ciała rozczłonkowane. Było to jedno z najtrudniejszych dochodzeń w moim życiu i nie chciałam, aby tamte doświadczenia powróciły do mnie wraz z widokiem martwej

dziewczynki.

Paradoksalnie, tamta sprawa napawała mnie dumą. Kiedy religijny fanatyk, który zabił te dzieci, został zamknięty i pozbawiony możliwości dokonywania dalszych morderstw, poczułam, że wypełniłam swoje zadanie.

Zerwałam wieczko i zabrałam się do jedzenia jogurtu.

Przed oczyma miałam obraz tamtej pary noworodków. Pamiętałam dokładnie, co poczułam tego dnia, gdy zobaczyłam je w kostnicy. Przeżyłam szok, kiedy na ich widok wspomniałam moją własną córkę.

Dobry Boże, za co? Ci mężczyźni, którzy leżeli na dole, byli ofiarami wojny gangów motocyklowych.

Tylko nie popadaj w depresję, Brennan, upomniałam się w duchu. Złość się albo przybierz maskę chłodnego profesjonalisty. Spróbuj użyć swojego rozumu i wiedzy, żeby przygwoździć drani.

– Jasne – powiedziałam głośno sama do siebie.

Skończyłam jogurt, wypiliśmy soczek i ruszyłam na dół.

Charbonneau siedział w poczekalni jednej z sal autopsyjnych, leniwie przeglądając kartki notatnika. Jego masywna sylwetka wypełniała cały fotel i rzucała cień na krzesło stojące po przeciwnej stronie stołu. Claudela nigdzie nie było widać.

– Jak się nazywała? – spytałam.

– Emily Anne Toussaint. Szła na zajęcia z rytmiki.

– Gdzie?

– Ulica Verdun – Charbonneau skinął głową na drzwi prowadzące do przyległej sali operacyjnej. – LaManche właśnie zaczął oględziny zwłok.

Przeszłam obok niego i wślizgnęłam się przez drzwi.

Fotograf wykonywał właśnie zdjęcia ciała, a patolog robił notatki, dodatkowo dokumentując je polaroidowymi ujęciami.

W milczeniu obserwowałam, jak LaManche ostrożnie manipuluje aparatem, trzymając go za boki i obniżając lub podnosząc obiektyw w stosunku do zwłok. W miarę jak soczewki ogniskowały się ponad ranami, na czole dziewczynki pojawiła się i nabrała wyrazistości niewielka plamka. Kiedy jej granice stały się ostre, LaManche nacisnął wyzwalacz. Po chwili ze szczeliny pod obiektywem polaroidu wysunął się biały kwadrat, a patolog oderwał go i dołączył do rozrastającej się kolekcji na biurku w kącie.

Ciało Emily Anne nosiło ślady intensywnej terapii, która miała ocalić jej życie. Głowa była częściowo zabandażowana, ale wyraźnie widziałam rurkę, która wystawała spod skóry. Zadaniem urządzenia było monitorowanie ciśnienia międzyczaszkowego. Druga rurka, która biegła wzdłuż jej gardła, po czym znikwała w tchawicy i przełyku dziewczynki, miała zapewnić dostęp tlenu do płuc i zapobiec cofaniu się zawartości żołądka. W arterii podobojczykowej, pachwinach i tętnicy pozostawały wbite igły kroplówek, a na drobnej piersi nadal były przyklepione białe elektrody ekg.

Gwałtowność, z jaką usiłowano ocalić jej życie, była równa tej, z jaką je odebrano. Przymknęłam oczy i poczułam, jak pod powiekami zbierają się gorące łzy.

Zmusiłam się, aby spojrzeć na drobne ciało. Emily Anne nie miała na sobie nic oprócz plastikowej bransoletki z imieniem, nazwiskiem i danymi medycznymi. Obok niej spoczywała zielona nocna koszulka szpitalna, zawiniątko z ubraniem, różowy plecak i para czerwonych tenisówek.

Zimne światło jarzeniówek. Lśniąca stal chirurgiczna i połyskliwe kafelki. Sterylne i lodowate instrumenty medyczne. Mała, drobna dziewczynka nie pasowała do tego miejsca.

Kiedy w końcu podniosłam wzrok, napotkałam smutne spojrzenie LaManche'a. Choć żadne z nas nie odezwało się ani słowem, to wiedziałam, jakim torem biegły jego myśli, pobudzone widokiem kruchego ciała na stole operacyjnym. Kolejne dziecko. Kolejna autopsja, na dodatek w tym samym pomieszczeniu co poprzednie.

Zdusiłam w sobie żal i smutek, a potem opisałam przebieg autopsji zwłok dwóch motocyklistów polegającej na skompletowaniu ciał ludzi, którzy pozwolili, aby zabiła ich własna głupota, i spytałam, kiedy uzyskam dostęp do informacji zebranych przed ich śmiercią. LaManche wyjaśnił, że wniosek został złożony niedawno i akta otrzymamy dopiero w poniedziałek.

Podziękowałam i wróciłam do swoich niewesołych zajęć. Kiedy tak próbowałam oddzielić jedne tkanki od drugich, wspominałam wczorajszą rozmowę z LaManche'em i żałowałam, że nie jestem w dalszym ciągu w lasach Wirginii. Czy to możliwe, że zadzwonił dopiero wczoraj? Zdawało mi się, że upłynęły całe wieki. Mała Emily Anne jeszcze wtedy żyła.

Tyle rzeczy może ulec zmianie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Rozdział 2

Dzień wcześniej byłam w akademii FBI w Quantico, prowadząc warsztaty z wydobywania zwłok. Mój zespół techników wykopywał właśnie ciało z ziemi i dokumentował jego ułożenie, kiedy zauważyłam agenta specjalnego, który szedł przez las w naszym kierunku. Jak się okazało, miał dla mnie wiadomość. Doktor LaManche z Montrealu zadzwonił i chciał pilnie ze mną porozmawiać. Czując narastający niepokój, pozostawiłam studentów i ruszyłam śladem agenta przez las.

Kierowaliśmy się w stronę utwardzonej drogi, a moje myśli błądziły wokół przyczyny, która mogła skłonić LaManche'a do odrywania mnie od prowadzenia zajęć.

Moje doradztwo dla *Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale** [Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale (fr.) – Laboratorium Kryminalistyczne i Medycyny Sądowej (przyp. red.)] zaczęło się od wymiany naukowej na początku lat dziewięćdziesiątych. W jej ramach zostałam wysłana z McGill, mojego rodzimego uniwersytetu w Charlotte w Karolinie Północnej, do Kanady. Pierre LaManche rzecz jasna wiedział, że posiadam certyfikat American Board of Forensic Anthropology* [American Board of Forensic Anthropology (ang.) – Amerykańska Rada Medycyny Sądowej (przyp. red.)], dlatego skontaktował się ze mną w nadziei, że będę w stanie wspomóc jego zespół.

Prowincja Quebec charakteryzuje się między innymi tym, że posiada scentralizowane biuro koronera wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt laboratoryjny, jednak pośród jego kadry brakowało antropologa sądowego z odpowiednim doświadczeniem i, co najważniejsze, uprawnieniami. W tamtych czasach, podobnie zresztą jak i dziś, pracowałam jako konsultant Office of Chief Medical Examiner* [Office of Chief Medical Examiner (ang.) – Biuro Głównego Lekarza Sądowego (przyp. red.)] dla stanu Karolina Północna, a LaManche wpadł na pomysł, że podobne usługi mogłabym świadczyć dla jego LSJML. Skoro ministerstwo sfinansowało wyposażenie laboratorium, a ja miałam odpowiednie kwalifikacje, złożyłam podanie i zapisałam się na kurs francuskiego. Tym sposobem od dziesięciu lat dokonuję analizy wszystkich rozkawałkowanych, rozczłonkowanych, spalonych, zmumifikowanych i rozłożonych zwłok, na jakie trafi policja prowincji Quebec. Kiedy zwykła autopsja nie może dać odpowiedzi na pytania o okoliczności i przyczynę zgonu, zwracają się do innej pomocy.

Niemniej, przez te wszystkie lata Pierre LaManche rzadko dzwonił do mnie, zaznaczając, że sprawa jest bardzo pilna. Ilekroć tak robił, okazywało się, że czekały na mnie złe wiadomości.

Po dziesięciu minutach szybkiego marszu dotarliśmy do półciężarówki zaparkowanej na poboczu zwirowej drogi. Przeczesałam włosy, sprawdzając, czy nie pozostały w nich jakieś listki czy gałązki.

Czysto.

Poprawiłam czapkę i zaczęłam przetrząsać plecak w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Kiedy go w końcu odnalazłam, na ekranie jaśniały trzy ikony połączeń nieodebranych. Numery mówiły mi, że za każdym razem dzwoniło z biura.

Spróbowałam oddzwonić, ale połączenie zostało zerwane z powodu słabego sygnału. Właśnie dlatego zostawiłam komórkę w samochodzie. Chociaż w ciągu ostatnich dwóch lat moja znajomość francuskiego wzniosła się na wyżyny, to nadal miałam kłopoty z wyłowieniem sensu wiadomości spomiędzy trzasków, szumu tła, odgłosu zanikającego sygnału i ogólnego hałasu po tamtej stronie. Jeśli chciałam się dowiedzieć, czemu LaManche dzwonił, musiałam wrócić do akademii.

Zdjęłam szybko połowy kombinezon, pod którym nosiłam normalne ubranie, wrzuciłam go do pudła z tyłu samochodu i zarzuciwszy plecak na ramie ruszyłam w dół zbocza.

Wysoko ponad moją głowę jastrząb z krzykiem okrążał jakiś cel, niebo było czyste i błękitne, gdzieś tam tylko dało się zauważyć kłębiaste obłoki. Zwykle zajęcia z wydobywania zwłok prowadzone są w maju, jednak w tym roku postanowiliśmy przesunąć je na kwiecień, licząc, że wiosenne deszcze i niższe temperatury wprowadzą dodatkowe nieprzewidziane czynniki do prac. Prosisz – masz. Słupek rtęci nie przekraczał dwudziestu jeden stopni Celsjusza.

Kiedy tak szłam, zaczęły do mnie docierać dźwięki otoczenia: chrzęst żwiru pod moimi butami, śpiew ptaków, hałas śmigłowca lecącego na niskim pułapie, odgłos wystrzałów z broni krótkiej. FBI dzieli poligon Quantico z innymi agencjami federalnymi, a także korpusem marines, dlatego rzadko kiedy panuje tutaj cisza i spokój.

Żwirowa dróżka połączyła się w końcu z asfaltową Hogan's Alley, opodal niewielkiego miasteczka wybudowanego na potrzeby ćwiczeń FBI, DEA* [DEA – Drug Enforcement Administration (Agencja do Walki z Przestępczością Narkotykową), agencja Departamentu Sprawiedliwości USA zajmująca się zwalczaniem przemytu, produkcji i handlu narkotykami oraz środkami psychotropowymi (przyp. red.)], ATF* [ATF – Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives (Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych), agencja Departamentu Sprawiedliwości USA zwalczająca nielegalną produkcję broni palnej i materiałów wybuchowych oraz kontrolująca nielegalny handel alkoholem i produktami tytoniowymi (przyp. red.)] i innych organizacji rządowych. Obeszłam domy po lewej, aby nie przeszkadzać w ćwiczeniach w odbijaniu zakładników i skręciłam w prawo ku najbliższej grupie szarych betonowych budynków, z których dachów sterczały anteny łączności satelitarnej. Na koniec przecięłam parking i znalazłam się na terenie Forensic Science Research and Training Center* [Forensic Science Research and Training Center (ang.) – Federal Bureau of Investigation Academy Forensic Science Research and Training Center – Akademia Kryminalistycznych Badań i Centrum Szkoleniowe, część FBJ, zajmuje się szkoleniem agentów, dodatkowo przeprowadza analizy kryminalistyczne (przyp. red.)]. Nacisnęłam przycisk dzwonka przy bramie.

Boczne drzwiczki uchyliły się i wyrzwał przez nie młody, jednak całkiem łysy człowiek. Sprawiał wrażenie, jakby tę fryzurę nosił od dość dawna.

– Wcześniej skończyliście zajęcia? – spytał.

– Nie. Muszę zadzwonić do biura.

– Proszę spróbować ode mnie.

– Dziękuję, Craig. To zajmie tylko minutkę. – *Mam nadzieję*, dodałam w myślach.

– Nie ma sprawy. I tak sprawdzam teraz sprzęt, więc może pani rozmawiać, ile pani chce.

Akademii często porównuje się do labiryntu dla szczurów, a to za sprawą ogromnej

liczby przejść i korytarzy łączących różne budynki. Jednak niższe piętra są niczym w porównaniu z wyższymi kondygnacjami.

Craig i ja zaczęliśmy kluczyć pomiędzy różnymi skrzynkami i pakunkami, stosami pudeł i starych monitorów, metalowymi szafkami i paletami. Pokonawszy w ten sposób dwa korytarze, dotarliśmy do niewielkiego gabinetu, który ledwie mieścił biurko, krzesło, półkę i podobną do sejfu szafkę. Zdawać się mogło, że dla człowieka brakuje już tutaj miejsca. Craig Beacham pracował dla National Center for Analysis of Violent Crime* [National Center for Analysis of Violent Crime (ang.) – Narodowe Centrum Analizy Przestępstw z Użyciem Przemocy (przyp. red.)], NCAVC, jednej z najważniejszych komórek FBI, zwanej Critical Incident Response Group* [Critical Incident Response Group (ang.) – Grupa Reagowania w Sytuacjach Kryzysowych (przyp. red.)], czyli w skrócie CIRG. Przez pewien czas jednostka była nazywana Children Abduction and Serial Killer Unit* [Children Abduction and Serial Killer Unit (ang.) – Wydział ds. Urowadzeń Dzieci i Seryjnych Zabójców (przyp. red.)], CASKU, ale ostatnio przywrócono pierwotną nazwę. Jednym z podstawowych zadań NCAVC jest prowadzenie corocznych szkoleń dla techników ekip dochodzeniowych, ERT* [ERT (Evidence Recovery Technicians) (ang.) – ekipa techników dochodzeniowych, zajmuje się pozyskiwaniem i zabezpieczaniem dowodów rzeczowych na miejscu przestępstwa (przyp. red.)].

Kiedy pracuje się z FBI, człowiek musi pokochać skrótowce albo zginie.

Craig zebrał teczki, które zaścielały blat biurka, i wcisnął je do szafki, – Będzie pani miała trochę miejsca na robienie notatek. Chce pani, abym zamknął drzwi?

– Nie, nie trzeba. Dziękuję.

Mój gospodarz pokiwał głową i wyszedł. Po chwili znikł w korytarzu.

Zaczerpnęłam głęboko tchu, przestawiłam się na francuski i wykręciłam numer.

– *Bonjour, Temperance* – usłyszałam w słuchawce głos LaManche’a. Tylko on i ksiądz, który mnie ochrzcił, zwracali się do mnie pełnym imieniem. Reszta świata wołała nazywać mnie Tempe. – *Comment ça va?** [Comment ca va? (fr.) – Co słyhać? (przyp. red.)]

Odparłam, że fenomenalnie.

– Bardzo dziękuję, że oddzwoniłaś. Mamy tutaj paskudną sprawę i obawiam się, że bez twojej pomocy się nie obejdziemy.

– *Oui?* – „Paskudną”? LaManche nie należał do ludzi, którzy szastają słowami na prawo i lewo.

– *Les motards** [*les motards* (fr.) – motocykliści (przyp. red.)].

Motocykliści. Od ponad dziesięciu lat dwa rywalizujące ze sobą gangi motocyklowe walczyły o kontrolę nad rynkiem narkotykowym Quebecu. Do tej pory pracowałam nad kilkoma przypadkami powiązanych z ich wojną. Za każdym razem ciała były podziurawione jak sito, a niekiedy także spalone.

– *Out?*

– Nie mam zbyt wielu informacji. Policja zdołała się dowiedzieć, że zeszłej nocy trzech Bezbożników podjechało pod klub kontrolowany przez Żmije, wioząc silny ładunek wybuchowy domowej roboty. Mieli pecha, zostali dostrzeżeni przez czujki i strażnik strzelił do pakunku. Doszło do ogromnej eksplozji. – LaManche zamilkł na chwilę. – Kierowca leży

w szpitalu, ale jest w stanie krytycznym. Co do pozostałych dwóch... w zasadzie nie znaleźliśmy fragmentu ciała większego od pięści.

Cholera!

– Temperance, próbowałem porozmawiać z konstabłem Martinem Quickwaterem. Wiem, że jest w Quantico, ale ma naradę roboczą i nie mogę się z nim skontaktować.

– Quickwater?*[Quickwater (ang.) – Bystra Woda (przyp. tłum.)] – To nie było nazwisko typowe dla Quebecu.

– Tak. To Indianin z plemienia Cree* [Cree (ang.) – Kri, jedno z najliczniejszych plemion indiańskich w Kanadzie (ok. 50 tys.), w Quebecu korzystają z autonomii regionalnej (przyp. red.)], jak mi się wydaje.

– Pracuje w *Carcajou*?

*Operation Carcajou** [Operation Carcajou (fr.) – Operacja Rosomak, właśc. L'escouade Carcajou (fr.), Wolverine squad (ang.), specjalna jednostka utworzona z policjantów Royal Canadian Mounted Police, Surete du Quebec, police de la Communaute Urbaine de Montreal i in., powstała w 1995 r. w celu zapanowania nad gangami motocyklowymi, impulsem do powołania jednostki była śmierć 12-letniego chłopca w zamachu bombowym, który był epizodem w wojnie między Rock Maszyną a Aniołami Piekieł (przyp. red.)] to specjalny zespół międzyresortowy powołany do prowadzenia śledztwa dotyczącego kryminalnej działalności gangów motocyklowych na terenie prowincji.

– *Oui*.

– Co chciałbyś, abym zrobiła?

– Proszę, przekaż konstablowi Quickwaterowi to, co ci przed chwilą powiedziałem i poproś, aby jak najszybciej się ze mną skontaktował. Szczerze mówiąc, chciałbym, abyś jak najszybciej wróciła do Montrealu, jeśli to możliwe. Możemy mieć spore problemy z identyfikacją zwłok.

– Odnaleziono choćby fragmenty odcisków palców albo zęby?

– Nie i raczej się na to nie zanosz.

– DNA?

– Z tym również mogą być problemy. Szczerze mówiąc, sytuacja znacznie się skomplikowała i wolałbym nie rozmawiać o niej przez telefon. Czy twój wcześniejszy powrót wchodzi w grę?

Zwykle kończyłam zajęcia na UNC-Charlotte i zaczynałam warsztaty dla FBI. Musiałam jeszcze sprawdzić prace egzaminacyjne, potem zamierzałam spędzić trochę czasu z przyjaciółmi w D.C.* [D.C. (ang.) – District of Columbia – Dystrykt Kolumbii – okręg stołeczny w USA (przyp. red.)] i wrócić do Montrealu latem.

– Tak, spróbuję wrócić jutro.

– *Merci*.

LaManche zawsze wyrażał się dokładnie i precyzyjnie, ale dziś w jego niskim basowym głosie słychać było głęboki smutek lub zmartwienie.

– To naprawdę nie wygląda dobrze, Temperance. Bezbożnicy bez wątpienia odpowiedzą kontratakami, wtedy Żmije spróbują się zemścić i poleje się krew. – Zaczerpnął głęboko powietrza i westchnął ciężko. – Obawiam się, że może dojść do wojny na pełną skalę i

wkrótce ucierpią niewinni.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, zadzwoniłam do biura US Airways i zarezerwowałam bilety na poranny lot do Montrealu. Właśnie odkładałam słuchawkę, kiedy w drzwiach stanął Craig Beacham. Spytałam go o Quickwatera.

– Konstabl?

– Tak, konstabl RCMP. Royal Canadian Mounted Police* [Royal Canadian Mounted Police (ang.) – Królewska Kanadyjska Policja Konna (przyp. red.)]. Albo GRC, jeśli wolisz francuską wersję. *Gendarmerie royale du Canada*.

– Aha. Hmm.

Craig podszedł do telefonu i wystukał jakiś numer. Zapytał rozmówcę po drugiej stronie linii o plany konstabla, po czym zapisał coś na kartce papieru i odłożył słuchawkę.

– Omawiają jedną z głównych spraw w sali konferencyjnej na parterze. – Podał mi kartkę z numerem sali i dodał: – Wejdź do środka i niczym się nie przejmuj. Pewnie około trzeciej zrobią sobie przerwę i będziesz mogła z nim porozmawiać.

Podziękowałam Craigowi, a potem ruszyłam na poszukiwania sali. Znalazłam ją w końcu i przystanąłam pod drzwiami, zza których dobiegały stłumione głosy.

Spojrzałam na zegarek, była czternasta dwadzieścia. Przekręciłam gałkę i wśliznęłam się do środka.

W pomieszczeniu panowała ciemność rozpraszana tylko przez strumień światła z projektora. Dookoła ustawionego w centrum stołu siedziało około dwunastu osób. Choć większość ludzi spoglądała z ciekawością na ekran, to kilka par oczu odwróciło się w moją stronę. Po cichutku zajęłam miejsce pod ścianą.

Przez kolejne pół godziny oglądałam zdjęcia ponurych wizji LaManche'a, które przyjęły realną formę. Wysadzone w powietrze domki, krew na resztkach ścian, części ciał porozrzucane w nieładzie. Zakrwawiony korpus jakiejś kobiety, której głowa została rozerwana przez wystrzał z obrzyna. Osmalona rama sportowego samochodu, przez którego tylną szybę sterczała ludzka ręka.

Po prawej od projektora siedział mężczyzna komentujący wydarzenia z wojen gangów motocyklowych z Chicago. Jego głos był dziwnie znajomy, ale nie mogłam dostrzec twarzy.

Kolejne ofiary egzekucji. Wybuchy. Rany od noży. W świetle rzutnika zaczęłam oglądać postacie przy stole. Tylko jedna nic miała krótko obciętych włosów.

Wreszcie pokaz slajdów się zakończył i rzutnik zaświecił jasną bielą. Buczał i szumił przy tym, a w promieniu światła widać było tylko wirujący kurz. Krzesła zaskrzypiały, kiedy siedzący na nich ludzie zaczęli się przeciągać i obracać ku stołowi.

Referent wstał ze swojego fotela i wrócił za katedrę. W świetle lampek rozpoznałam agenta specjalnego Franka Tulio, uczestnika jednego z dawniejszych kursów ekshumacji zwłok. On także mnie zauważył i z szerokim uśmiechem na twarzy, powiedział:

– Tempe, jak się masz?

Frank zawsze był perfekcjonistą, który ściśle trzymał się zasad. Poczynając od fryzury, postawy, a kończąc na lśniących czystością włoskich butach, był wzorem agenta rządowego. Nawet podczas zajęć w terenie ubierał się nienagannie.

– Nie mogę narzekać. Nadal pracujesz w biurze w Chicago?

– W zeszłym roku zostałem przeniesiony tutaj, do Quantico. Jestem przydzielony do CIRG.

Teraz, kiedy spojrzenia wszystkich obecnych na sali skoncentrowały się na mnie, zdałam sobie sprawę, że moje ubranie i fryzura nie wyglądają zbyt schludnie. Frank, najwyraźniej niezrażony tym faktem, zwrócił się do swoich słuchaczy:

– Czy któryś z panów zna naszego gościa?

W miarę jak zaczął nas sobie przedstawiać, kolejne twarze uśmiechały się do mnie. Niektórych ze zgromadzonych znałam, innych nie. Część z nich o mnie słyszała, inni dopiero dowiadywali się o moim istnieniu. Padły nawet jakieś żarty na temat mojego udziału w pewnych sprawach.

Dwoje ze słuchaczy nie było związanych z akademią. Właścicielką bujnej czupryny okazała się Kate Brophy, kierowniczka Intelligence Unit of North Carolina State Bureau of Investigation* [Intelligence Unit of North Carolina State Bureau of Investigation (ang.) – Jednostka Wywiadowcza Biura Śledczego Stanu Północna Karolina (przyp. red.)], którą za eksperta od gangów motocyklowych uważano od tak dawnych czasów, że nikt nie był w stanie sobie przypomnieć innego stanu rzeczy. Spotkałyśmy się na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Banici i Anioły Piekiel toczyli wojnę o obydwie Karoliny. Identyfikowałam wtedy dwie ofiary.

Po przeciwnej stronie siedziała młoda kobieta, która pisała na czymś, co wyglądało jak stenotyp. Obok niej siedział Martin Quickwater, przed którym spoczywał otwarty laptop. Policjant miał szeroką twarz, wydatne kości policzkowe i zakrzywione na końcach brwi. Jego skóra była koloru wypalanej cegły.

– Jestem pewien, że wy dwoje, cudzoziemcy, znacie się – powiedział Frank.

– Wręcz przeciwnie – odparłam. – Niemniej, dlatego pozwoliłam sobie przeszkodzić. Muszę porozmawiać z konstabłem.

Zostałam zaszczycona pięciosekundowym spojrzeniem Quickwatera. Potem znowu popatrzył na ekran monitora.

– W samą porę. Chyba zrobimy sobie przerwę – powiedział Frank, spoglądając na zegarek i podchodząc do projektora. Wyłączył go z głośnym trzaskiem. – Czas na kawę. Spotkamy się ponownie o wpół do czwartej.

Kiedy agenci opuszczali salę, jeden z nich podszedł do mnie i spojrzał przez palce, jakby przymierzał się do zrobienia zdjęcia. Znaliśmy się od dziesięciu lat i wiedziałam, na co się zanoszą.

– Świetna fryzura, Brennan. Masz układ z gościem od strzyżenia trawników? Fryzura i żywopłoty w pakiecie, co?

– Niektórzy z nas tutaj naprawdę pracują, agencje Stoneham.

Podszedł do mnie, śmiejąc się głośno. Przywitaliśmy się i opuścił salę.

Kiedy zostaliśmy sam na sam z Quickwaterem, uśmiechnęłam się i zaczęłam dokładnie wyjaśniać, kim jestem.

– Znam panią – przerwał mi po angielsku, mówiąc z delikatnym akcentem.

Jego bezpośredniość mnie zaskoczyła. Chciałam mu odpowiedzieć równie bezczelnie

tekstem, ale ugryzłam się w język. Być może ubłocona i spocona robię się nadto wojownicza.

Opowiedziałam, jak LaManche próbował się z nim skontaktować. Quickwater odpiął pager od paska i spojrzał na jego ekran. Był pusty. Agent kilkakrotnie postukał urządzeniem o wierzch dłoni, ale pozostało wyłączone. Z westchnięciem przypiął je z powrotem i mruknął tylko:

– Baterie...

Kiedy powtarzałam mu informacje od LaManche'a, słuchał mnie uważnie. Wbił we mnie spojrzenie oczu tak brązowych, że nie sposób było rozróżnić tęczówki od źrenicy. Kiedy skończyłam, pokiwał głową i wyszedł z sali.

Stałam przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się nad dziwnym zachowaniem tego mężczyzny. Coś potwornego, nie dość, że miałam na głowie dwóch motocyklistów, którzy wysadzili się w powietrze bombą domowej roboty, to jeszcze moim współpracownikiem był dziwak.

Zabrałam plecak i wróciłam do lasu.

Świetnie, panie Quickwater, powiedziałałam do siebie w duchu. Dawałam sobie już radę z większymi narwańcami.

Rozdział 3

Podróż do Montrealu była nudna i w zasadzie nic się nie działo, jeśli nie liczyć niezbyt eleganckiego zachowania Quickwatera. Lecieliśmy tym samym samolotem, ale nie zamienił ze mną ani słowa, ani nie przesiadł się na wolne miejsce w rzędzie obok. Skinęliśmy sobie tylko na lotnisku Washington –Reagan, a potem jeszcze raz, czekając na taksówkę na Montreal's Dorval. Jego chłód w sumie mi odpowiadał, choć nie wiedziałam, jak mam się zachowywać wobec tego faceta.

Taksówka podwiozła mnie pod moje mieszkanie w Centre-Ville. Walizki zostawiłam w przedpokoju, zjadłam zimne burrito z lodówki i zeszedłam do garażu. Moja stara mazda zapaliła po trzecim przekręceniu kluczyka w stacyjce.

Laboratorium kryminalistyki od lat mieściło się na piątym piętrze budynku *SQ. Sûreté du Québec*, czyli policja prowincji, zajmowała pozostałe piętra, jeśli nie liczyć więzienia na dwunastej oraz trzynastej kondygnacji. Kostnica i sale autopsyjne znajdowały się w piwnicach.

Ostatnio rząd Ouebecu przeznaczył miliony dolarów kanadyjskich na odnowienie budynku. Przeniesiono areszt i dzięki temu laboratoria zajmowały całe dwa piętra. Choć od remontu i przenosin minęło kilka miesięcy, w dalszym ciągu nie potrafiłam w to uwierzyć. Z okien mojego biura rozciągał się fantastyczny widok na Rzekę Świętego Wawrzyńca, jeszcze lepszy i bardziej majestatyczny niż z poprzedniego, a laboratoria zostały wyposażone w sprzęt światowej klasy.

Zazwyczaj o wpół do czwartej biuro zaczyna przycichać. Jedne po drugich drzwi do gabinetów zamykają się z trzaskiem, a armia odzianych w płaszcze urzędników, techników i pracowników umysłowych rusza do domu.

Weszłam do mojego gabinetu i powiesiłam płaszcz na drewnianym stojaku. Już od wejścia na blacie biurka zauważyłam trzy białe formularze. Wybrałam ten z podpisem LaManche'a.

*Demande d'Expertise en Anthropologie** [Demande d'Expertise en Anthropologie (fr.) – wniosek o przeprowadzenie ekspertyzy antropologicznej (przyp. red.)] jest zwykle moim pierwszym kontaktem z daną sprawą. Wypełnia je patolog prowadzący sprawę, dostarczając mi podstawowych, najważniejszych danych.

Najpierw spjrzałam na prawą kolumnę formularza. Numer laboratorium. Numer kostnicy. Numer ewidencyjny policji. System tyleż prosty, co efektywny i bezduszny. Ciało zostaje sklasyfikowane i wciągnięte w tryby maszyny sprawiedliwości.

Spjrzałam na lewą kolumnę, gdzie widniały nazwiska patologa, koronera, oficera dochodzeniowego. Gwałtowny zgon wiąże się zwykle ze złamaniem prawa, dlatego ci ludzie są częstokroć świadkami ostatnich wzmianek o człowieku, który opuścił ten świat. Choć sama jestem częścią tego systemu, nigdy nie byłam w stanie pogodzić się z jego bezdusnością. Choć pewna doza obojętności jest potrzebna, aby zachować zdrowe zmysły w potoku gwałtowności, z jaką codziennie się stykam, to zawsze uważałam, że zmarli zasługują na

trochę współczucia i osobistego podejścia.

Szybko przejrzałam dane, jakie zgromadzono we wstępnym raporcie. Jediną różnicą, jaką znalazłam, w porównaniu z tym, co powiedział mi przez telefon LaManche, było to, że znaleziono jak do tej pory dwieście piętnaście fragmentów ciał.

Szybko dokończyłam lekturę i zerknęłam na automatyczną sekretarkę. Zignorowałam migoczącą lampkę nieodsluchanych wiadomości i poszłam na spotkanie z szefem.

Pierre'a LaManche'a rzadko widuję ubranego w coś innego jak biały lub zielony fartuch laboratoryjny, który zakłada do ogłędzin zwłok. Nie jestem w stanie wyobrazić go sobie w kraciastym ubraniu albo przynajmniej roześmianego. Zawsze sprawia wrażenie ponurego, jest nienagannie uprzejmy, ale zachowuje dystans. Poza tym nie znam lepszego patologa sądowego.

Zobaczyłam go przez przeszklony otwór obok drzwi do jego biura. Siedział pochylony nad biurkiem zasłanym papierami, różnokolorowymi teczkami, atlasami, książkami i prasą fachową. Kiedy zapukałam, gestem pokazał mi, abym weszła.

Biuro, podobnie jak jego właściciel, pachnie zawsze tytoniem fajkowym. LaManche porusza się bezszelestnie i często właśnie ten zapach oznajmia, że wszedł do pomieszczenia.

– Temperance – powiedział, akcentując moje imię na ostatnią sylabę. – Dziękuję, że tak szybko wróciłaś. Siadaj, proszę.

LaManche posługiwał się perfekcyjną francuszczyzną, nie używał skrótów ani slangu.

Zajęliśmy miejsca wokół stolika opodal biurka. Przed nami na blacie leżało kilka brązowych kopert.

– Wiem, że jest za późno na rozpoczęcie dokładnej analizy, ale czy mogłabyś wykonać ją jutro?

Twarz LaManche'a kojarzyła mi się z oślim pyskiem: była podłużna i pobrużdżona, a kiedy unosił w zdziwieniu brwi, czoło marszczyło się, tworząc pofałdowaną płaszczyznę.

– Tak, oczywiście.

– Sugerowałbym, abys zaczęła od zdjęć rentgenowskich – powiedział, wskazując na koperty. Wziął z biurka jedną z nich – dołożył kasetę wideo i podał mi je, dodając: – Tutaj z kolei są fotografie z autopsji i miejsca zbrodni. Dwóch członków gangu motocyklowego wiozło bombę, przy pomocy której chcieli wysadzić klub Żmij. Eksplozja rozerwała ich na strzępy, które pokryły okoliczne drzewa, krzaki i ściany. Co najdziwniejsze, największy fragment znaleźliśmy na dachu budynku klubowego. Do identyfikacji zwłok musi nam posłużyć kawałek krtani z częściowo widocznym tatuażem.

– A co z kierowcą?

– Zmarł dziś rano w szpitalu.

– Strzelec?

– Został zatrzymany przez policję, ale raczej nie pomoże nam w śledztwie. Prędzej trafi za kratki, niż cokolwiek powie.

– Nie udzieli informacji o wrogim gangu?

– Jeżeli coś powie, to podpisze na siebie wyrok śmierci.

– Nadal nie odnaleziono żadnych odcisków palców ani zębów?

– Nie – LaManche ukrył na chwilę twarz w dłoniach, rozprostował ramiona i wygładził poły marynarki. – Obawiam się, że nie mamy co liczyć na taką pomoc.

– Nie możemy skorzystać z analizy DNA?

– Słyszałaś kiedykolwiek o Ronaldzie i Donaldzie Vaillancourtach?

Pokręciłam tylko przecząco głową.

– Bracia Vaillancourt, „Le Clic” i „Le Clac”, byli pełnoprawnymi członkami Bezbożników. Kilka lat temu jeden z nich był zamieszany w sprawę egzekucji Claude’a „Le Couteau” Dube. Nie pamiętam który.

– Policja uważa, że zabitymi są bracia Vaillancourt?

– Tak – odparł, a mnie uderzył dziwny smutek w jego oczach. – Byli bliźniakami. Podobni do siebie jak dwie krople wody.

Do siódmej zapoznałam się ze wszystkimi materiałami oprócz kasy wideo. Przy pomocy lupy obejrzałam zdjęcia, na których widniały fragmenty kości i tkanek miękkich o różnych kształtach i wielkości. Specjalnie narysowane strzałki wskazywały na żółte i czerwone kawałki leżące na trawie, zaplątane w gałęzie, przyklepione do betonowych ścian, smołowanego dachu i blachy falistej.

Doczesne szczątki braci Vaillancourt przybyły do kostnicy w czarnych workach, do których złożono ponumerowane torebki Ziploc* [torebki Ziploc – foliowe torebki z zamknięciem strunowym używane przez policję do zabezpieczania śladów (przyt. red.)]. Wewnątrz każdej z nich znajdowały się resztki ciała, piach, kawałki tkanin, a nawet metalu czy niezidentyfikowane śmieci. Zdjęcia z autopsji pokazywały najpierw zamknięte worki, a potem uwieczniały każdy etap procesu ich rozpakowywania i segregowania na blatach stołów.

Ostatnia fotografia pokazywała leżące w równym rzędzie kawałki mięsa, które wyglądały jak na ladzie u rzeźnika. Zauważyłam fragment czaszki, kości goleniowej, główkę kości udowej oraz fragment potylicy wraz z całym prawym uchem. Niektóre zbliżenia przedstawiały poszarpane krawędzie połamanych kości, inne włosy, kawałki tkaniny przyklepionej do ciała. Na dużym fragmencie skóry, o którym wspominał LaManche, widać było tatuaż. Przedstawiał trzy czaszki; oczodoły jednej zasłaniała koścista dłoń, u innej zatykała uszy, a u trzeciej zakrywała usta. Ironia bijąca z tego obrazka była wprost gigantyczna. Ten facet już faktycznie niczego nie zobaczy, nie usłyszy i nic nie powie.

Obejrzawszy fotografie i wydruki, doszłam do tego samego wniosku co LaManche. Na niektórych zdjęciach dostrzegałam kości, a radiogramy wykazywały, że w pewnych kawałkach ciała można było odnaleźć jeszcze dodatkowe fragmenty szkieletu. Dzięki nim będę w stanie określić anatomiczne pochodzenie tkanek. Najtrudniejsze zadanie to stwierdzenie, do którego z braci należy dany fragment ciała.

Identyfikowanie i rozdzielanie przemieszanych szczątków nigdy nie jest łatwą pracą, zwłaszcza jeśli są one spalone lub niekompletne. Jeżeli zmarli byli tej samej płci, rasy i w podobnym wieku, proces komplikuje się jeszcze bardziej. Spędziłam kiedyś kilka tygodni, próbując zidentyfikować zwłoki siedmiu prostytutek, których ciała odnaleziono w piwnicy domu ich mordercy. Wszystkie należały do rasy białej i były nastolatkami. Zwłoki udało się

posegregować tylko dzięki sekwencjonowaniu DNA.

W tym przypadku ta metoda nie mogła nam pomóc. Jeżeli ofiary były bliźniętami monozygotycznymi, oznaczało to, że wykształciły się z jednego jaja. Ich DNA jest identyczne.

LaManche się nie mylił. Wyglądało na to, że nie będziemy w stanie dokładnie ustalić, który fragment ciała należał do którego z braci.

Burczenie w brzuchu przekonało mnie, że dość już pracy. Zmęczona i zniechęcona, wstałam z fotela, zabrałam kurtkę i torebkę, a potem ruszyłam na poszukiwania jedzenia.

Kiedy wróciłam do domu, błyskająca lampka automatycznej sekretarki powiedziała mi, że ktoś dzwonił. Wyjęłam z lodówki puszkę dietetycznej coli i nacisnęłam klawisz.

Mój bratanek, Kit, wybierał się z ojcem z Teksasu do Vermontu. Postanowili powędkować i złapać na haczyk wszystko, co tylko pływa w jeziorach na wiosnę. Mój kot, Ptasiak, znacznie bardziej woli podróżować samochodem turystycznym niż lecieć samolotem w ciasnej klatce, dlatego też obiecali, że zabiorą go z Charlotte i przywiozą do Montrealu. Kit zadzwonił, aby powiedzieć, że odwiedzą mnie jutro.

Odciełam kawałek sushi i zjadłam z apetytem. Kiedy miałam sięgnąć po następny, usłyszałam dzwonek do drzwi. Zdziwiona i zaskoczona, spojrzałam na ekran kamery i zobaczyłam, że o ścianę korytarza opiera się Andrew Ryan. Ubrany był w sprane niebieskie dżinsy, buty sportowe i kamizelkę wojskową narzuconą na czarną podkoszulkę. Mierząc swoje metr osiemdziesiąt, z błękitnymi oczyma i regularnymi łagodnymi rysami twarzy, wyglądał jak połączenie Cala Ripkena i Indiany Jonesa* [Cal Ripken i Indiana Jones – Cal Ripken: Amerykanin, gwiazda bejsbolu, Indiana Jones: postać fikcyjna, bohater filmów Spielberga, grany przez Harrisona Forda (przyp. red.)].

Ja z kolei wyglądałam jak Phyllis Diller* [Phyllis Diller – właśc. Phyllis Ada Driver, amerykańska aktorka komediowa, ur. 1917 r., wystąpiła w kilkudziesięciu filmach, w Polsce raczej mało znana (przyp. red.)] bez makijażu.

Po prostu wspaniale pomyślałam.

Westchnęłam ciężko i podeszłam do drzwi, po czym je otworzyłam.

– Cześć, Ryan. Co u ciebie?

– Zobaczyłem, że świeci się światło w twoim mieszkaniu. Wpadłem spytać, czemu wcześniej wróciłaś – odparł, obrzucając mnie taksującym spojrzeniem. – Ciężki dzień w pracy?

– Można tak powiedzieć. Przez cały dzień babrałam się w kawałkach zwłok – odparłam, zaczesując włosy za uszy. – Chcesz wejść?

– Nie za bardzo mogę – odparł.

Zauważyłam, że ma przy sobie służbowy pager i broń. – Masz jakieś plany na jutrzejszy obiad?

– W zasadzie dalej będę segregowała zwłoki ofiar zamachu bombowego, więc mogę być nieco zakręcona.

– Powinnaś się wyrwać na obiad.

– Tak, wiem.

Położył dłoń na moim ramieniu i odgarnął niesforny kosmyk moich włosów.

– Jeśli nie masz ochoty na obiad, możemy po prostu się spotkać – powiedział ciepłym, niskim głosem.

– Hmm.

– Poszerzamy wspólne horyzonty?

Jeszcze raz musnęłam dłońmi moje włosy, a potem ustami ucho.

O Boże.

– Jasne, Ryan. Założę koronkową bieliznę.

– Zawsze cię do tego zachęcam.

Rzuciłam mu spojrzenie pod tytułem „No co ty?”

– Co powiesz na chińszczyznę?

– Bardzo chętnie – odparł, w dalszym ciągu bawiąc się moimi włosami. Potem pozwolił im opaść i nim się zorientowałam, objął mnie ramionami, przycisnął do siebie i pocałował. Jego wargi były ciepłe i miękkie, a pierś twarda jak skała. Próbowałam się odsunąć, ale zdałam sobie sprawę, że wcale tego nie chcę. Westchnęłam cicho i pozwoliłam się objąć. Całe zło, z jakim obcowałam dzisiejszego dnia, znikło. Zamachy bombowe i zamordowane dzieci na chwilę przestały się liczyć. W końcu musiałam jednak zaczerpnąć tchu.

– Na pewno nie wejdziesz na chwilę? – spytałam, czując, że nogi mi drżą, jakby były z galarety.

Ryan spojrział na zegarek i powiedział:

– Pół godziny nikogo nie zbawi.

W tym momencie zabrzączał pager. Ryan spojrział na wyświetlacz i rozpoznał numer.

– Cholera. Cholera.

Wsunął pager za pasek i powiedział:

– Przepraszam. Wiesz, że chciałbym zostać, ale...

– Idź – odparłam, kładąc dłonie na jego piersi i popychając go delikatnie. – Do zobaczenia jutro. Wpół do ósmej.

– Myśl o mnie – odparł, po czym odwrócił się i ruszył korytarzem.

Kiedy znikł, wróciłam do domu i skończyłam jeść sushi, jednak moje myśli krążyły wokół Andrew Ryana.

Ryan jest detektywem wydziału zabójstw SQ i zdarzało nam się pracować nad tymi samymi sprawami. Choć znamy się od lat, dopiero ostatnio zaczęliśmy spotykać się prywatnie. Z początku wmawiałam sobie, że chodzi o sprawę, którą badałam, dzięki czemu miałam wymówkę od zasady „żadnych romansów w biurze”. Ostatnio postanowiłam ją po prostu zignorować.

Niemniej takie zaangażowanie uczuciowe działa mi na nerwy. Po dwudziestu latach małżeństwa i kilku nieudanych randkach stałam się przesadnie ostrożna. Pomimo wszystko, postanowiłam dać szansę Ryanowi.

Mój Boże. Randka.

Muszę przyznać, że facet podobał mi się jak diabli. Zapewne wpadał w oko większości

kobiet, które spotykał na swojej drodze. Nietrudno było zauważyć, że się za nim oglądają.

Ja także. Nieraz się zastanawiałam nad jego fenomenem. Póki co, mieliśmy się spotkać i po raz pierwszy uwierzyłam, że coś może z tego być. Drżące kolana to potwierdzały.

Wspólny obiad to dobry start.

Kiedy uprzątałam ze stołu, zadzwonił telefon.

– *Mon Dieu*, wróciłaś – usłyszałam niski charakterystyczny głos, w którego angielszczyźnie pobrzmiwały silne akcenty francuskie.

– Cześć, Isabelle. Co u ciebie?

Isabelle Caille poznałam dwa lata temu i bardzo szybko się zaprzyjaźniłyśmy. Nasze pierwsze spotkanie przypadło na trudny okres w moim życiu. W trakcie jednego ponurego lata stałam się ofiarą psychopatycznego mordercy, który zabił moją najlepszą przyjaciółkę, a potem stanęłam twarzą w twarz z faktem, że moje małżeństwo legło w gruzach. Postanowiłam udzielić sobie dyspensy, zarezerwowałam pojedynczy pokój w Club Med. I pobiełam grać w tenisa.

Isabelle spotkałam w trakcie lotu do Nassau. Razem grałyśmy w debła, wygrałyśmy turniej i odkryłyśmy, że znalazłyśmy się w kurorcie z podobnych powodów. Ten wspólnie spędzony tydzień wiele nam dał. Od tamtej pory bardzo się zaprzyjaźniłyśmy.

– Myślałam, że nie wrócisz do początku przyszłego tygodnia. Miałam nagrać ci wiadomość, ale skoro już jesteś... Co powiesz na wspólny obiad jutro?

Opowiedziałam jej o Rynie.

– Uparty z niego chłopak, Tempe. Miałas już dosyć tego *chevalier* i parę razy dawałaś mu to do zrozumienia. Chyba ja powinnam dać mu do myślenia. Czemu wróciłaś tak wcześnie?

Opowiedziałam jej o bombie.

– *Ah, oui*. Czytałam w *La Presse*. Rzeczywiście tak okropna sprawa, jak ją opisywali?

– Tak. Ciała są w fatalnym stanie.

– *Les motards*. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wszyscy ci motocykliści zasługują na taki los. – Isabelle miała wyrobione zdanie na każdy temat i rzadko kiedy trzymała je dla siebie. – Policja powinna dać im się nawzajem pozabijać. Nie musiałybyś później identyfikować zwłok. Jeszcze te okropne tatuaże...

– Hmm.

– Wiesz, przynajmniej nie zabijają dzieci.

– No, racja – przytaknęłam.

Następnego ranka Emily Anne Toussaint została zastrzelona, kiedy szła na lekcję baletu.

Rozdział 4

Howard i Kit wpadli do mnie około siódmej, zostawili Ptaśka i ruszyli w swoją stronę. Kot całkowicie mnie zignorował i zajął się inspekcją domu, sprawdzając, czy pod jego nieobecność do środka nie zakradł się jakiś pies. Do laboratorium dotarłam na ósmą i wróciłam do oględzin zwłok.

Emily Anne została przywieziona około południa.

Do pracy potrzebuje sporo miejsca, dlatego zajęłam dużą salę operacyjną. Pojemniki z resztkami zwłok ułożyłam na blacie pośrodku pomieszczenia, a rekonstrukcję zaczęłam przeprowadzać na dwóch stołach obok. Jako, że była sobota, w zasadzie laboratorium należało w całości do mnie.

Odsłonięte fragmenty kostne zidentyfikowałam i posortowałam z łatwością. Potem prześwietliłam resztę materiału, usunęłam tkanki miękkie i zaczęłam szukać znaków szczególnych na odsłoniętych w ten sposób kościach. Jeżeli znajdowałam jakieś duplikaty, odkładałam je na dwa różne blaty. Dwie lewe części kości łonowej lub wyrostki sutkowe czy knykcie oznaczały, że fragmenty należą do dwóch osób.

Na jednej z kości udowych zdołałam zidentyfikować ślady będące pozostałością dziecięcych problemów ze zdrowiem. Ilekroć młody organizm popada w tarapaty, jego rozrost zostaje wstrzymany, a szkielet przestaje się rozwijać. Zwykle taki proces ma tło chorobowe lub bierze się z niedożywienia albo niewłaściwej diety. Kiedy kondycja się poprawia, organizm zaczyna nadrabiać straty, jednak na kościach pozostaje ślad.

Prześwietlenie promieniami rentgenowskimi wykazało ciemne linie przecinające kościec ramion i ud niczym drzazgi czerni. Biegły w poprzek kości i oznaczały miejsca, gdzie okresowo zatrzymał się rozrost. Tkanki wykazujące oznaki zatrzymania wzrostu położyłam na jednym stole, te bez jego śladów na drugim.

Jeden z zachowanych fragmentów ciała zawierał kilka kości dłoni. Kiedy wydobyłam je na wierzch, zauważyłam dwa fragmenty śródrezcza o nieregularnych naroślach. Po prześwietleniu okazało się, że były one skutkiem złamań i zrastania się kości.

Sortowanie tkanek miękkich to zupełnie inna para kaloszy. W ich przypadku musiałam badać zwartą materię. Znajdując cechy wspólne tej, którą zdjęłam z kości, posortowałam fragmenty ciał na dwa stoły lub pozostawiłam w pojemnikach. Sporą pomocą okazała się materia nieorganiczna, którą siła wybuchu i temperatura stopiły z ciałem. Odnalazłam ślady tkaniny w kratkę i materiału khaki podobnego do tego, z którego szyje się robocze spodnie, znalazłam też skórę i białą bawełnę. Eksperci od tkanin oraz identyfikacji włosów będą w stanie przeprowadzić pełną analizę i być może zdołają określić, które ubranie należało do którego z braci.

Zjadłam obiad, porozmawiałam z LaManche'em i wróciłam do pracy. Do wpół do szóstej rozdzieliłam dwie trzecie materiału. Pozostała część była nie do zidentyfikowania, skoro nie można było się oprzeć na badaniach DNA. Co mogłam uczynić, zrobiłam.

Pomimo to postawiłam przed sobą pewien cel.

Podczas rekonstruowania zwłok Vaillancourtów zdałam sobie sprawę, że z trudem przychodzi mi odczuwanie współczucia wobec braci. Prawda była taka, że sama myśl o nich drażniła mnie. Ta dwójka dała się zabić podczas nieudanego zamachu bombowego. W zasadzie dokonała się sprawiedliwość, a ja czułam się nieswojo, badając zwłoki niedoszłych morderców.

W przypadku Emily Anne sprawy miały się inaczej. Na stole autopsyjnym LaManche'a znalazła się tylko dlatego, że szła na lekcję tańca i miała nieszczęście być w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Śmierć dziecka była czymś znacznie bardziej poruszającym niż śmierć dwóch gangsterów.

Dla mnie Bezbożnicy mogli zabijać Żmije, a Renegaci polować na Bandidos. A nawet na Anioły Piekieł. Co innego, jeśli ich ofiarami padali niewinni ludzie. Poprzysięgam sobie, że dołożę wszelkich starań, wykorzystam całą wiedzę i, jeśli trzeba, spędzę w laboratorium długie noce, aby zebrać materiał dowodowy, który pozwoli zamknąć w więzieniu psychopatów odpowiedzialnych za morderstwo tej dziewczynki. Dzieci mają prawo chodzić po ulicach, nie obawiając się, że dosięgnie je przypadkowa kula.

Przeniosłam zidentyfikowane szczątki do pojemników, wstawiłam je do chłodziarki, opisałam i zamknęłam szczelnie, a potem przebrałam się w normalne ubranie i wyszłam. Skierowałam się do windy, szukając mojego szefa.

– Chciałabym zająć się tą sprawą – powiedziałam jak najbardziej spokojnym i stanowczym głosem. – Chcę przyskrzytnić tych drani, przez których zginęło dziecko.

LaManche patrzył na mnie przez dłuższą chwilę spojrzeniem starych, zmęczonych oczu. Rozmawialiśmy o sprawie Emily Anne Toussaint. A także o pewnym chłopcu.

Oliver Fontaine wybierał się na trening swojej drużyny hokejowej i przejechał zbyt blisko jeepa cherokee, kiedy jego kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchamiając tym samym detonator bomby. Ładunek eksplodował z taką siłą, że rozerwał samochód na kawałki. Wybuch i fragmenty metalu zabiły chłopca na miejscu. Stało się to w jego dwunaste urodziny.

W zasadzie o sprawie Olivera Fontaine nie pamiętałam, dopóki nie zobaczyłam ciała Emily Anne. Tamten zamach miał miejsce w grudniu 1995 roku na West Island i był częścią wojny pomiędzy Aniołami Piekieł a Rock Maszyną. Śmierć chłopca wstrząsnęła opinią publiczną i sprawiła, że władze powołały *Opération Carcajou*, specjalną międzyagencyjną jednostkę do zwalczania zorganizowanej przestępczości pośród motocyklistów.

– Temperance, nie mogę...

– Zrób wszystko, co trzeba. Będę nad tym pracowała w czasie wolnym, pomiędzy normalnymi sprawami przydziałowymi. Jeśli w *Carcajou* sprawy mają się tak, jak wszędzie indziej, to brakuje im ludzi. Mogę wpisywać dane albo przeszukiwać akta starych spraw. Mogę być oficerem łącznikowym pomiędzy agencjami, koordynować współpracę ze stanami albo...

– Temperance, uspokój się – powiedział, unosząc dłoń. – Nie mam władzy, aby przeforsować taką decyzję. Obiecuję, że porozmawiam z *monsieur* Patineau.

Stéphane Patineau był dyrektorem LSJML i do niego należały ostateczne decyzje we wszystkich sprawach dotyczących laboratoriów kryminalno-medycznych.

– Obiecuję, że nie dopuszczę, aby moja współpraca z *Carcajou* wpłynęła negatywnie na wyniki normalnej pracy.

– Jestem tego pewien, Temperance. Obiecuję, że porozmawiam z nim w poniedziałek, z samego rana. A teraz, wracaj do domu. *Bonne fin de semaine** [Bonne fin de semaine (fr.) – Miłego weekendu (przyp. red.)].

Ja także życzyłam mu spokojnego weekendu.

Zimy w Quebecu są drastycznie inne od tych, które poznałam w Piedmoncie w Karolinie. Tam wiosna objawia się niepostrzeżenie, aby wraz z przełomem marca i kwietnia zakwitnąć i obwieścić swoje nadejście ciepłym powietrzem.

Mieszkańcy Montrealu muszą czekać jeszcze dobre sześć tygodni, aby pogoda zezwoliła im na zasadzenie kwiatów w ogródkach czy wystawienie donic na okna. Nawet w kwietniu niebo jest szare, powietrze zimne, a chodniki i ulice pokryte licznymi plamami niestopniałego lodu i zaspami śniegu. Jednak kiedy nadchodzi wiosna, czyni to z rozmachem. Z dnia na dzień diametralnie zmienia się pogoda, a wraz z nią sposób zachowania ludzi.

Tego dnia za oknem było szaro i ciemno, a z nieba sączył się deszcz. Zapięłam kurtkę pod szyję i z pochyloną głową pobiegłam do samochodu. Wiadomości dotarły do mnie, kiedy wjeżdżałam do tunelu Ville-Marie. Informacją dnia było morderstwo małej Toussaint, która dzisiejszego popołudnia miała otrzymać nagrodę w szkole za najlepszy esej w konkursie dla podstawówek. Na ironię zakrawał fakt, że temat jej pracy brzmiał: „Pozwólmy dzieciom żyć”

Wyłączyłam radio.

Dla odprężenia pomyślałam o planach na weekend. Byłam zadowolona, że spędzę go z kimś bliskim i obiecałam sobie, że nie zamienimy ani słowa o pracy.

Dwadzieścia minut później dotarłam do domu. Kiedy otworzyłam drzwi, dobiegł mnie dźwięk telefonu. Spojrzałam na zegarek, była szósta pięćdziesiąt. Ryan miał przyjechać za czterdzieści minut, a ja chciałam wziąć jeszcze prysznic.

Weszłam do salonu i cisnęłam kurtkę na kanapę. Włączyła się automatyczna sekretarka i mój głos poprosił o pozostawienie wiadomości. Dokładnie w tej samej chwili do salonu wszedł Ptasiek i usłyszałam głos Isabelle.

– Tempe, jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę. *C'est important** [C'est important (fr.) – To ważne (przyp. red.)]. Proszę. – Cisza. – *Merde!*

Szczerze mówiąc, nie miałam ochoty z nią rozmawiać, ale coś w jej głosie sprawiło, że sięgnęłam po słuchawkę.

– Cześć Isa...

– Włącz telewizję. CBC.

– Wiem, chodzi o sprawę małej Toussaint. Byłam dziś w labo...

– Teraz!

Podniosłam pilota i włączyłam telewizor.

Potem zamarłam przerażona.

Rozdział 5

Detektyw porucznik Ryan był podejrzewany od kilku miesięcy. Został oskarżony o posiadanie dóbr pochodzących z kradzieży, paserstwo oraz posiadanie substancji nielegalnych. Dzisiejszego popołudnia Ryan spokojnie oddał się w ręce policjantów z CUM, kiedy ci aresztowali go przed jego domem w Old Port. Do czasu wyjaśnienia tej sprawy, detektyw Ryan został zawieszony w czynnościach służbowych, bez prawa do pobierania wynagrodzenia.

A teraz kolejne wiadomości. Rynki finansowe oczekują informacji o proponowanej fuzji...

– Tempe!

Głos Isabelle ściągnął mnie z powrotem na ziemię. Podniosłam słuchawkę do ucha.

– *C'est lui, n'est-ce pas? Andrew Ryan, Crimes contre la Personne, Sûreté du Québec?**

[*C'est lui, n'est-ce pas? Andrew Ryan, Crimes contre la Personne, Sûreté du Québec? (fr.)* – To on, prawda? Andrew Ryan, Wydział ds. Przestępstw przeciwko Osobom, policja Quebecu? (przyp. red.)]

– To musi być jakaś pomyłka.

Spojrzałam na automatyczną sekretarkę. Lampka się nie świeciła, co oznaczało, że Ryan nie zadzwonił.

– Muszę się przygotować. Niedługo przyjdzie.

– Tempe, on jest w więzieniu.

– Muszę lecieć. Zadzwoń jutro.

Rozłączyłam się i zadzwoniłam do niego do domu. Cisza. Zostawiłam na jego pagerze mój numer. Żadnej odpowiedzi. Spojrzałam na Ptaśka, ale nic nie powiedział.

O dziewiątej wiedziałam już, że Ryan nie przyjdzie. Siedem razy dzwoniłam do jego domu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Podobnie jak jego partner. Nikt nie chciał rozmawiać.

Aby oderwać się od ponurych rozważań, zajęłam się sprawdzaniem prac egzaminacyjnych, które przywiozłam ze sobą z UNC-Charlotte, ale nie potrafiłam się na nich skupić. Uporczywie wracałam do myślenia o Ryanie. Raz za razem okazywało się, że siedzę od piętnastu minut nad tą samą stroną pracy, nie wiedząc kompletnie, o czym pisze student. Ptasiek zwinął się w kłębek na moich kolanach, ale jego towarzystwo nie przynosiło mi ulgi.

Nie mogłam w to uwierzyć. To musiała być jakaś pomyłka. Nie zamierzałam poddać się temu szaleństwu.

O dziesiątej wzięłam gorącą kąpiel z bąbelkami, odgrzałam sobie mrożone spaghetti i przeniosłam się z nim do salonu. Wybrałam płytę kompaktową, która, miałam nadzieję, poprawi mi humor... Potem znowu spróbowałam poczytać. Ptasiek nadal dotrzymywał mi towarzystwa.

Niedobrze. Wpadłam w pętlę. Pat Conroy* [Pat Conroy – pisarz amerykański, publikuje powieści i wspomnienia, bohaterka słucha z płyty CD książki czytanej przez lektora (przyp. red.)] mógłby równie dobrze pisać w języku nahuatl* [nahuatl – główny język Azteków, obecnie posługuje się nim 1, 5 mln mieszkańców Meksyku (przyp. red.)].

Choć widziałam Ryana skutego kajdankami, otoczonego przez umundurowanych policjantów, jak schyla się i ostrożnie wsiada do samochodu, to nadal nie potrafiłam uwierzyć w to, co zobaczyłam.

Andrew Ryan miał być dealerem narkotykowym?

Jakim cudem? Jak mogłam się tak bardzo co do niego pomylić? Czy zajmował się rozprowadzaniem narkotyków cały czas, odkąd się poznaliśmy? Jaką jeszcze skrywał tajemnicę? A może to wszystko jedno tragiczne nieporozumienie?

Nie, to nie może być prawda.

Spaghetti stygło na talerzu. Zupełnie straciłam apetyt. Zmieniłam płytę w odtwarzaczu, ale Big Bad Voodoo Daddy* [Big Bad Voodoo Daddy – zespół z Południowej Karoliny, gra muzykę swingową (przyp. red.)] i Johnny Favourite* [Johnny Favourite – kanadyjski piosenkarz pop (przyp. red.)], którzy grali tak, że poderwaliby do tańca umarłaków, nie potrafili mnie rozweselić.

Za oknem jednostajnie padał deszcz, stukając o szyby. Wiosna, która zapewne już królowała w Karolinie, tutaj zdawała się być bardzo odległa.

Nabrałam na widelec porcję makaronu, ale jego zapach sprawił, że zrobiło mi się niedobrze.

Andrew Ryan był pospolitym przestępcą.

Emily Toussaint nie żyła.

Moja córka żeglowała gdzieś po Pacyfiku.

Kiedy mam kiepski humor, często dzwonię do Kąty, jednak ostatnio nie miałyśmy okazji rozmawiać. W tym semestrze miała zajęcia na pokładzie S/s „Explorer”, który badał wody oceanu i miał wrócić dopiero za pięć tygodni.

Nalałam sobie szklankę mleka i podeszłam do okna. W mojej głowie panował mętlik, a myśli krążyły jak szalone.

Spoglądając przez mokrą szybę, widziałam kołyszące się na wietrze krzewy i drzewa, sprawiające wrażenie, jakby znajdowały się za mgłą. Gdzieś w oddali migwały światła samochodów i latarni, a z za rogu można było dostrzec blask neonu. Ludzie śpieszyli, każdy gnany własnymi sprawami, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Dla nich to był kolejny deszczowy kwietniowy dzień.

Zaciągnęłam zasłony i położyłam się do łóżka, słusznie podejrzewając, że minie jeszcze sporo czasu, zanim moje życie wróci do normalności.

Kolejne dni upłynęły mi pod znakiem ciągłej pracy. Dokończyłam rozpakowywanie bagaży, posprzątałam mieszkanie, zrobiłam zakupy spożywcze. Cały czas unikałam wiadomości w telewizji, pobieżnie przeglądając jedynie gazety.

W *Gazette* znalazłam artykuł o śmierci Toussaint. Zatytułowany był: **DZIEWCZYNIKA ZABITA W STRZELANINIE**, a obok znajdowała się fotografia Emily, zrobiona na zakończenie czwartej klasy. Miała włosy zebrane w dwa kucyki różowymi gumkami. Jej uśmiech odsłaniał dziury po zębach mlecznych. Stałym nie dano wyrosnąć.

Zdjęcie jej matki było równie wzruszające. Fotograf uchwycił ją, szczupłą czarną kobietę, jak odchyła głowę do tyłu i płacze głośno, wykrzykując swój żal. Dłonie spłótła na piersi, a

przed upadkiem chroniła ją stojąca z tyłu masywna Murzynka. Zdjęcie emanowało rozpaczą.

Sam artykuł odsłaniał nieliczne szczegóły. Emily Anne miała dwie młodsze siostry: Cynthię Louise, lat sześć, oraz Hannah Rose, lat cztery. Ich matka pracowała w piekarni, a ojciec zginął kilka lat wcześniej w wypadku w fabryce. Rodzina pochodziła z Barbadosu i przybyła do Montrealu w poszukiwaniu lepszej przyszłości dla dziewczynek.

Msza pogrzebowa miała się odbyć we wtorek o ósmej rano w kościele katolickim pod wezwaniem Naszej Pani od Aniołów, a ciało zostanie złożone do grobu na cmentarzu Notre-Damedes-Neiges.

Artykułu o aresztowaniu Ryana nie przeczytałam. Chciałam wszystko usłyszeć od niego. Przez cały ranek wydzwaniałam, nagrywając się na jego automatyczną sekretarkę, ale nie oddzwonił. Jego partner, Jean Bertrand, także pozostawał nieuchwytny. Nie miałam pomysłu, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić. Żaden z oficerów CUM czy SQ nie będzie chciał ze mną rozmawiać, a Ryan nie poznał mnie z nikim ze swojej rodziny czy przyjaciół.

Wyskoczyłam na siłownię, a potem zrobiłam sobie na obiad pierś z kurczaka w sosie, marchewkę z grzybami i ryż. Mój koci przyjaciel wolał swoją rybę.

W poniedziałek wstałam wcześniej, pojechałam do laboratorium i od razu udałam się do LaManche'a. Zastałam go w sali konferencyjnej, gdzie rozmawiał z trzema detektywami. Powiedział mi, abym osobiście skontaktowała się z Patineau, kiedy tylko będę miała okazję.

Postanowiłam nie marnować czasu. Ruszyłam wzdłuż korytarza, gdzie mieściły się laboratoria antropologiczne, odontologiczne, histologiczne i patologii. Minęłam mieszczące się po lewej *Section des Documents** [Section des Documents (fr.) – Dział Dokumentów (przyp. red.)] i *Section d'Imagerie** [Section d'Imagerie (fr.) – Dział Zdjęć (przyp. red.)] po prawej. Przeszłam przez recepcję i skręciłam w lewo. W tym skrzydle budynku znajdowały się biura wydziału administracji LSJML. Na samym końcu długiego korytarza mieścił się gabinet dyrektora.

Stephane Patineau rozmawiał właśnie przez telefon. Skinął na mnie ręką i wskazał krzesło naprzeciwko biurka.

Kiedy skończył, odłożył słuchawkę i wyciągnął się wygodnie w fotelu. Zmierzył mnie spojrzeniem brązowych oczu skrytych pod wydatnymi i gęstymi brwiami. Kto jak kto, ale on nie musiał się martwić łysieniem.

– Doktor LaManche powiedział mi, że chciałaby pani włączyć się do śledztwa w sprawie śmierci Emily Toussaint.

– Wydawało mi się, że będę przydatna dla *Carcajou*. Pracowałam już przy kilku podobnych sprawach, a obecnie zajmuję się ciałami ofiar zamachu bombowego na klub Żmij. Mam doświadczenie, więc mogłabym...

Przerwał mi skinieniem ręki.

– Dyrektor *Opération Carcajou* prosił o wydelegowanie jednego z moich pracowników do pomocy w charakterze eksperta. Skoro dojdzie do wojny pomiędzy gangami, jestem pewien, że śledczy i pracownicy laboratoryjni będą mieli sporo roboty.

Nie zamierzałam czekać.

– Mogę się podjąć tego zadania.

– Jest wiosna. Kiedy zrobi się cieplej i opadnie rzeka, ludzie ruszą na kempingi. Będzie pani miała więcej pracy.

Miał rację. Pewną liczbę zwłok zawsze wydobywały na światło dzienne puszczające lody i topniejące śniegi.

– Mogę brać nadgodziny.

– Zamierzałem wyznaczyć Réala Marchanda, ale możemy współpracować z panią. To nie jest zajęcie na pełen etat. – Podał mi kartkę leżącą na biurku. – O trzeciej mamy dziś spotkanie. Poinformuję zespół, że dołączy pani do nas.

– Dziękuję. Nie pożałuje pan tej decyzji.

Wstał z fotela i odprowadził mnie do drzwi.

– Możemy potwierdzić identyfikację zwłok jako braci Vaillancourtów?

– Czekamy na dane medyczne. Być może otrzymamy je już wkrótce. Nawet dziś.

Pokazał mi dwa kciuki uniesione w górę.

– Dawaj, dawaj, Tempe.

Odwzajemniłam ten gest identycznym, a Patineau uśmiechnął się i wrócił do swojego biura.

Wychodząc, stwierdziłam, że nie tylko był doskonałym administratorem, ale i świetnym atletą. Takiej muskulatury mogli zazdrościć mu sportowcy.

Poniedziałki są zwykle bardzo pracowitymi dniami dla wszystkich koronerów, a ten nie był wyjątkiem. LaManche prowadził zebranie, opisując kolejne przypadki, a ja miałam wrażenie, że odprawa nigdy się nie skończy.

W szpitalu zmarło dziecko. Matka dziewczynki twierdziła, że potrząsnęła nią tylko, ale trzylatki nie umierają od potrząsania. Lekarz sugerował, że dziewczynka zmarła z powodu obrażeń odniesionych po uderzeniu jej głową o płaską powierzchnię.

Trzydziestodwuletni schizofrenik został znaleziony z rozprutym brzuchem. Jego wnętrzności zaścielały cały dywan w sypialni. Rodzina twierdziła, że sam zadał sobie ranę.

Opodal St-Hyacinthe zderzyły się dwie ciężarówki. Kierowcy spłonęli w autach.

Dwudziestosiedmioletniego rosyjskiego marynarza znaleziono martwego w kabinie. Śmierć została stwierdzona przez kapitana statku, a ciało przechowano w chłodni. Jako że zgon nastąpił na wodach Kanady, trzeba było przeprowadzić autopsję.

Kobieta lat czterdzieści cztery została pobita na śmierć. Jej mąż był poszukiwany.

Otrzymaliśmy dane medyczne Ronalda i Donalda Vaillancourtów oraz kopertę z fotografiami.

Oglądając je, zdaliśmy sobie sprawę, że przynajmniej jeden z braci leżał w naszej kostnicy. Na zdjęciu Ronald Vaillancourt stał rozebrany do pasa, dumnie preżąc mięśnie. Jego prawą pierś zdobił tatuaż z czaszkami.

LaManche przydzielił sprawy i oddał mi dokumenty Yaillancourtów.

Przed jedenastą wiedziałam już, który z braci miał połamane palce. Ronald „Le Clic” Vaillancourt złamał drugi i trzeci palec lewej ręki w trakcie knajpianej burdy w 1993 roku. Klisze rentgenowskie pokazywały obrażenia w tych samych miejscach, w których je zauważyłam, badając kości śródreżca. Na fotografii spostrzegłam także brak linii

zahamowania wzrostu kości ręki.

Dwa miesiące po bójce miał wypadek motocyklowy, w którym tym razem ucierpiały kończyny dolne i biodro. Obraz radiograficzny był podobny, nogi Ronalda były normalne. Oprócz tego znalazłam ślady po wyrzuceniu z pędzącego samochodu w 1995, po ranie od noża, którą odniósł w tym samym roku i pobiciu przez konkurencyjny gang w 1997. Stos fotografii z prześwietleń był gruby na pięć centymetrów.

Tym chorowitym musiał być zatem Donald „Le Clac” Vaillancourt, który w dzieciństwie był kilkakrotnie hospitalizowany. Cierpiał na przewlekłe nudności połączone z wymiotami, których przyczyny nigdy nie udało się zdiagnozować. Kiedy miał sześć lat, prawie umarł na szkarlatynę. W wieku dwunastu przeszedł zapalenie wyrostka robaczkowego.

Le Clac, podobnie jak brat, także zebrał swoją porcję cięgow. Jego *dossier* było równie grube, odzwierciedlając częste wizyty na urazówce. Miał uszkodzony nos i policzek, ranę od noża w klatce piersiowej i głowę rozbitą butelką.

Odłożyłam akta. Ironia losu wywołała mój uśmiech gwałtowne i niespokojne życie denatów umożliwi mi określenie, która część ciała należy do którego z nich. Ich przygody stanowiły dla mnie wskazówkę.

Uzbrojona w wiedzę o braciach, wróciłam do laboratorium i ponownie zaczęłam sortować części zwłok. Na pierwszy ogień poszedł fragment z tatuażem oraz te łączące się z nim, potem dłoń nosząca ślady złamania i kości bez linii zatrzymanego rozrostu. Te, na których je znalazłam, należały do Donalda.

Kiedy skończyłam, pokazałam Lisie, będącej pracownikiem technicznym, jak ma wykonać radiografię pozostałych fragmentów, aby na fotografiach znajdowały się w tej samej pozycji, co na starych zdjęciach. Dzięki temu będę w stanie porównać wewnętrzną strukturę oraz kształt.

Aparat rentgenowski pracuje w zasadzie non stop, dlatego nie zrobiliśmy sobie przerwy na lunch. Kiedy reszta personelu wróciła około wpół do drugiej, Lisa obiecała, że dokończy pracę, jak tylko będzie miała dostęp do maszyny. Ja pobiegłam na górę do mojego gabinetu, aby przebrać się i zdążyć na spotkanie.

Siedziba główna *Opération Carcajou* mieściła się w nowoczesnym trzypiętrowym budynku na brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca, dokładnie naprzeciwko Starego Montrealu. Oprócz niej były tam biura administracji portu i policji wodnej.

Zaparkowałam od strony rzeki. Po lewej widziałam most Jacquesa-Cartiera biegnący w kierunku Ile Notre-Dame, a po prawej mniejszy wiadukt Victorii. Woda niosła ze sobą ogromne płyty kry.

Spoglądając wzdłuż brzegu, zauważyłam Habitat ‘67* [Habitat ‘67 – ogromna, imponująca budowla, wyglądająca jakby była zlepiona z pudełek i przypominająca indiańskie puebla, zbudowana na Expo ‘67 jako część wystawy (przyp. red.)], geometryczne gmaszysko z mieszkaniami, zbudowane z myślą o wystawie światowej, a potem oddane w ręce prywatnych użytkowników. Na ten widok serce mi drgnęło, bowiem tam właśnie mieszkał Ryan.

Odegnawszy od siebie ponure myśli, zabrałam kurtkę i wysiadłam z samochodu. Choć przez chmury przebijały się promienie słońca, to w powietrzu nadal panował chłód.

Przenikliwy, porywisty wiatr targał moim ubraniem.

Do biura *Carcajou* na trzecim piętrze prowadziły szerokie schody. Za szklanymi drzwiami spoczywał wypchany rosomak, od którego oddział wziął swoją nazwę. Centralna sala zastawiona była biurkami i pełna pracujących przy nich ludzi. Każdą ścianę udekorowano oprawionymi w ramki fotografiami lub wycinkami prasowymi sławiącymi śledczych oraz ich pracę i sukcesy.

Niektórzy z pracowników podnieśli na mój widok głowy, większość mnie zignorowała. Nienagabywana przez nikogo podeszłam do głównej recepcji, gdzie siedziała kobieta w średnim wieku o zbyt mocno tlenionych włosach, mająca na policzku znamię wielkości chrabąszcza majowego. Poświęciła mi ledwie tyle uwagi, ile potrzebowała, aby mnie skierować do sali konferencyjnej.

Weszłam do środka i zobaczyłam z tuzin policjantów siedzących przy okrągłym stole oraz grupkę detektywów rozmawiających pod ścianą. Jacques Roy, dyrektor zespołu, wstał na mój widok. Był to niski i muskularny mężczyzna o plamistej cerze i siwiejących pośrodku włosach.

– Doktor Brennan – powiedział. – Ogromnie się cieszę, że zechciała pani dołączyć do naszego zespołu. Moi ludzie z pewnością docenią fachowość, doświadczenie i pomoc z pani strony. Proszę siadać – dodał, wskazując mi wolne krzesło.

Powiesiłam kurtkę na oparciu i usiadłam. Pozostali członkowie oddziału także z wolna zajmowali swoje miejsca, a Roy zaczął wyjaśniać cel, w jakim zostało zwołane to spotkanie. Kilku z obecnych było nowych w zespole, starsi stażem chcieli wymienić się informacjami. Roy miał opisać środowisko motocyklistów w Quebecu, a Quickwater ważniejsze dochodzenia przeciwko nim omawiane na spotkaniu w akademii FBI.

Poczułam się, jakby wehikuł czasu przeniósł mnie z powrotem do Quantico. Jedyne różnica była taka, że dyskusję prowadzono po francusku, a sceny zbrodni miały za tło znajome miejsca.

W ciągu następnych dwóch godzin zostałam wprowadzona w świat, który od podszewki zna niewiele osób. Otrzymana wiedza nappełniła mnie strachem.

Rozdział 6

Zacniemy od odrobiny historii.

Roy wykladał stojąc przodem do sali. Na blacie miał rozłożone notatki, ale w ogóle do nich nie zaglądał.

– Nielegalne kluby motocyklowe zaczęły powstawać na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych po zakończeniu drugiej wojny światowej. Niektórzy żołnierze po powrocie do domów nie potrafili przystosować się do ustalonych i sztywnych reguł pokojowego współżycia społecznego i zaczęli prowadzić tryb życia włóczęgów, przemierzając kraj na motocyklach Harley-Davidson. Zwykle ograniczali się do zaczepek i robienie bałaganu. Pierwsze grupy miały nazwy takie jak Piwni Wojownicy, Galopujące Gęsi, Grzesznicy Szatana czy Pijacy. Prawdę mówiąc, ich styl życia sprawiał, że nie byli mile widziani na niedzielnych obiadkach.

Wybuchł śmiech, padło kilka dowcipnych komentarzy.

– Grupą, która wywarła największy wpływ na to środowisko, była zbieranina społecznie nieprzystosowanych dziwaków, zwana Wkurzone Dranie z Bloomington.

Koniec końców, zmienili oni nazwę na Anioły Piekieł, przyjmując symbol czaszki w hełmie i miano od dywizjonu bombowców z czasów drugiej wojny światowej. Grupa założycielska rezydowała w San Bernardino w Kalifornii...

– Yahoo, Berdoo – rzucił ktoś z tyłu.

– Racja.

– Anioły Piekieł opanowały wkrótce Amerykę Północną, a w ślad za nimi zaczęły wyrastać inne grupy. Z czasem zyskały one zasięg ogólnokrajowy i międzynarodowy. Dzisiaj mamy do czynienia z tak zwaną Wielką Czwórką: Renegatami, Aniołami Piekieł, Bandidos i Poganami. Wszystkie grupy oprócz tej ostatniej mają swoje oddziały poza Stanami, ale żadne nie mogą poszczycić się takim wpływem, jak Anioły Piekieł.

Mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie podniósł rękę do góry na znak, że chce zadać pytanie. Miał sumiaste wąsy i łysiał, łudzaco przypominając Andy'ego Sipowicza z „Nowojorskich gliniarzy”^{*} [*Nowojorscy gliniarze – (NYPD Blue)*, amerykański serial kryminalny, wyświetlany także przez polską telewizję, Andy'ego Sipowicza grał Dennis Franz (przyp. red.)].

– O jak dużych grupach mówimy?

– Szacunki różnią się od siebie, w zależności od źródła, na jakim się opierają, ale ocenia się, że Anioły Piekieł mają tysiąc sześciuset członków w Europie, Australii i Nowej Zelandii. Większość rzecz jasna działa w Stanach i Kanadzie, ale obecnie istnieją sto trzydzieści trzy oddziały gangu. W 1998 roku Criminal Intelligence Service of Canada^{*} [Criminal Intelligence Service of Canada (ang.) – kanadyjski wywiad kryminalny (przyp. red.)] szacowała, że Bandidos liczą sobie sześciuset członków, zgrupowanych w sześćdziesięciu siedmiu oddziałach. Inne źródła przesuwają tę granicę do ośmiuset ludzi.

– *Sacrament!*

– Jakie są cechy charakterystyczne gangu motocyklowego? – Pytający wyglądał na jakieś

dziewiętnaście lat.

– Zasadniczo za taki uważa się organizację niezrzeszoną w American Motorcyclist Association* [American Motorcyclist Association (AMA) (ang.) – Amerykańskie Stowarzyszenie Motocyklistów (przyp. tłum.)] lub Canadian Motorcycle Association* [Canadian Motorcycle Association (CMA) (ang.) – Kanadyjskie Stowarzyszenie Motocyklowe (przyp. red.)] albo w którejś z organizacji stowarzyszonych należących do *Fédération Internationale de Motocyclisme** [Fédération Internationale de Motocyclisme (fr.) – Międzynarodowa Federacja Motocyklowa (przyp. tłum.)] z siedzibą główną w Szwajcarii. Wedle danych AMA, takie grupy to zaledwie jeden procent ogółu, jednak zła marka przylgnęła za ich sprawą do wszystkich motocyklistów. Swoją drogą, symbol jednego procenta jest jednym ze znaków rozpoznawczych tych bandziorów. Widziałem go w formie tatuażu u najgorszych drani w naszym rejonie.

– Taa – dodał policjant po mojej prawej. Miał długie włosy, związane w kucyk i srebrny kolczyk w brwi. – Niewielki trójkąt oznacza prawdziwego porządnego motocyklistę.

– Znaczy się offermę, tak? – Sipowicz. Jego francuski brzmiał dokładnie tak, jak można by się spodziewać go w serialu.

Kolejna salwa śmiechu.

– W tych materiałach znajdziecie informacje o strukturze gangów. Zapoznajcie się z nimi i omówimy je później. Dziś chciałbym porozmawiać o lokalnej scenie motocyklowej.

Włączył projektor, a na ekranie pojawiło się zdjęcie zaciśniętej pięści z wytatuowaną swastyką i czerwono-czarnymi literami F.T.W. na knykciach.

– Zasadniczo, filozofia gangów może być podsumowana jednym zdaniem.

– Pieprzyć świat!* [W oryginale: „Fuck the World”, stąd tatuaż z literami F.T.W. (przyp. tłum.)] – powiedzieli zgromadzeni jednym głosem.

– Dokładnie tak – przytaknął Roy. – Według motocyklistów, najważniejsze są barwy gangu i bracia. Im należy się całkowita lojalność. Do grupy mogą należeć jedynie biali.

Głośny trzask oznajmił, że projektor wciągnął następną kliszę. Na planszy zostało wyświetlone zdjęcie grupy szesnastu mężczyzn stojących w trzech nierównych rzędach. Wszyscy byli zarośnięci i nosili skórzane połatane i ozdobione ćwiekami kamizele. Ich tatuaże wprawiłyby w kompleksy maoryskich wojowników, podobnie jak groźne spojrzenia.

– Pod koniec lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, zarówno Renegaci, jak i Anioły Piekieł wdali się w kunszachty z gangami z Quebecu, nad którymi chcieli przejąć kontrolę. W 1977 grupa Popyes poprosiła o zezwolenie na włączenie się do Aniołów Piekieł i tym samym stała się pierwszym ich kanadyjskim oddziałem.

W tamtym czasie Popyes liczyli sobie od dwustu pięćdziesięciu do trzystu członków i byli drugą najliczniejszą grupą w Kanadzie. Jednak zaledwie jedna dziesiąta z nich zyskała uznanie Aniołów. Resztę wyrzucono. Patrzycie właśnie na takich pechowców, niesławny oddział północny. Pięciu z nich zginęło w końcu z rąk Aniołów i grupa się rozpadła.

– Czemu?

– Każdy z gangów ma swój kodeks postępowania, którego członkowie muszą bezwzględnie przestrzegać. Anioły Piekieł powstały w latach czterdziestych i od samego początku zakazywały używania heroiny i środków, które wstrzykuje się do organizmu. Ta

zasada zyskała na ważności w dzisiejszych czasach, kiedy ich działalność nabrała cech biznesu. Pamiętajcie, to nie są buntownicy z lat pięćdziesiątych ani narkotykowa subkultura epoki dzieci kwiatów. Dzisiejsi motocykliści to grupy zorganizowanej przestępczości. Co najważniejsze, to biznesmeni. Narkomani powodują tylko kłopoty i kosztują gang pieniądze, dlatego nie są tolerowani. – Roy wskazał na ekran. – Wracając do naszych kolegów, tutaj. W 1982 roku oddział montreali przeforsował zasadę, wedle której narkomani byli skazywani na śmierć lub wyrzucenie z grupy. Panowie z północy najwidoczniej nie potrafili oprzeć się czarowi koki i postanowili działać po swojemu. Najwidoczniej narkotyki wpłynęły na ich zdolność liczenia, bowiem nic zauważyli, iż są w zdecydowanej mniejszości.

Roy stuknął długopisem w zdjęcie, wskazując jedną po drugiej pięć sylwetek.

– W czerwcu 1985 roku, każdego z tych kolesi wyłowiono z rzeki. Ktoś zafundował im cementowe buciki.

Jedno z ciał, zawinięte w śpiwór, wypłynęło na powierzchnię, pozostałe odnaleźliśmy na dnie.

– Widać, że dokładnie załatwiają swoje porachunki – powiedział ten z kucykiem.

– Dokładnie i ostatecznie. Udało nam się ustalić, że tę piątkę zabito w klubie Aniołów Piekieł w Lennoxville. Wychodzi na to, że trafili nie na tę imprezę, co trzeba.

– Działanie wprost przeciwne do starego kodeksu porządnych motocyklistów – kucyk pokręcił głową.

– Czy to te wydarzenia spowodowały wojnę?

– Nie do końca. Rok po tym, jak Anioły Piekieł przejęły Popyes, Wybrańcy Szatana, grupa montreali motocyklistów, zostali wcieleni do Renegatów, tworząc ich pierwszy oddział w Quebecu. Od tamtej pory zabijają się nawzajem bez pamięci.

Roy wskazał na zdjęciu mężczyznę klęczącego w pierwszym rzędzie.

– Wojna wybuchła, kiedy Anioły zabiły tego Renegata. Starcia ciągną się od kilku lat.

– „Bóg wybacza, Renegaci nigdy”, takie jest ich motto – powiedział Sipowicz.

Ustawił przed sobą kartkę ze swoim nazwiskiem. Odręcznie napisał „Kuricek”. Ciekawe, ilu ludzi zwróciło się do niego per „Sipowicz”?

– Owszem. Renegaci, na swoje nieszczęście, ponieśli kilka dotkliwych porażek. Pięciu albo sześciu siedzi w więzieniach, a kilka lat temu spłonęła ich kwatera główna. W chwili obecnej Anioły Piekieł walczą z inną kanadyjską grupą, Rock Maszyną, oraz jej marionetkowymi sojusznikami.

– Fajni goście – powiedział Sipowicz/Kuricek.

– Rock Maszyna popadła w tarapaty – kontynuował Roy. – Jednak ostatnio, uśmiechnęło się do nich szczęście.

Wcisnął przycisk i wyświetlił się kolejny slajd. Mężczyzna w berecie po bratersku obejmował drugiego ubranego w skórzaną kurtkę. Na jego plecach widać było dużą naszywkę meksykańskiego bandyty z nożem w jednej ręce i pistoletem w drugiej, zbir wyglądał jak postać z kreskówki. Na żółtych półksiężycach umieszczonych pod i nad postacią znajdowały się podpisy oznajmiające, że właściciel wdzianka jest wiceprezesem klubu Bandidos.

– Rock Maszyna była na ostatnich nogach, ale wygląda na to, że doszło do jakichś

przetasowań. Ostatnio członkowie gangu widywani byli z naszywkami Bandidos, co może oznaczać potencjalną zmianę barw lub jakiś sojusz.

– Potencjalną? – spytałam.

– Członkowie Rock Maszyny mają wolną rękę, a Bandidos obserwują, czy warto wejść z nimi w sojusz, czy też pozostawić ich swemu losowi, – Korzyści dla tych pierwszych są jasne, ale co będą mieli z tego ci drudzy?

– Przez długi czas Bandidos zadowalali się lokalnym rozprowadzaniem amfetaminy, twardych narkotyków i czerpaniem zysków z prostytutki. Na poziomie krajowym byli bardzo luźną strukturą. Obecnie ich polityka się zmieniła i nowi przywódcy uznali, że należy zacieśnić kontrolę oraz rozszerzyć strefę wpływów. – Roy wskazał na mężczyznę w tle. – Przyjrzyjcie się jego kurtce. Kontury Quebecu zostały zastąpione przez obrys całej Kanady, co oznacza, że Bandidos chcą objąć kontrolą cały kraj. Być może im się uda, ale to nie będzie łatwe zadanie.

Kolejny slajd. Tym razem zobaczyliśmy formację motocyklistów jadących dwupasmówką.

– Zdjęcie zrobiono kilka tygodni temu w Albuquerque, stan Nowy Meksyk. Bandidos zdążyli na spotkanie zorganizowane przez grupę z Oklahomy. Kiedy policjanci zwinęli kilku z nich za utrudnianie ruchu, okazało się, że mamy także prezesa do spraw międzynarodowych. Nasi śledczy wykorzystali okazję i zamienili z nim kilka słów. Zaczęli pytać o nowych przyjaciół i powiedział nam, że Bandidos sprawdzają różne kluby na całym świecie, które chciałyby do nich dołączyć. Pary z gęby nie puścił, czy Rock Maszyna jest jednym z nich.

– Wygląda na to, że nic nie zostało postanowione. Prezes wrócił właśnie z Narodowej Konwencji Motocyklistów, gdzie Bandidos i Anioły Piekieł próbowały dojść do porozumienia w sprawie Rock Maszyny. Jak można się domyślać, Anioły nie są zachwycone planami Bandidos i zaoferowały, że rozwiążą oddział w Nowym Meksyku, jeśli Bandidos zrezygnują z rozmów co do Quebecu.

– Czyli Rock Maszyna naprawdę kręci się w pobliżu? – Kucyk.

– Tak. Obecność Bandidos może diametralnie zmienić sytuację w Kanadzie – odparł ponurym tonem Roy.

– Rock Maszyna to stosunkowo nowy gracz na scenie, *n'est-ce pas?** [n'estce pas? (fr.) – nieprawdaż? (przyp. tłum.)] – spytał młodzieniaszek.

– Gang powstał około 1977 roku – odparł Roy. – Klubem motocyklowym stał się dopiero dwadzieścia lat później. K.M. na kartce świątecznej nieźle nas zaskoczyło, zwłaszcza że nie przejmowali się zbytnio takimi konwenansami.

– Kartce świątecznej? – spytałam rozbawiona.

Byłam pewna, że stroi sobie żarty.

– Owszem – przytaknął Kuricek. – Dla tych drani tradycje są bardzo ważne. Ta sprawa wzbudziła spore poruszenie w sali odwiedzin w więzieniu. O niczym innym się nie gadało.

Śmiech.

– Kartki pozwalają utrzymywać kontakt z członkami odsiadującymi wyroki – wyjaśnił

Roy. – Problem w tym, że czytają je także rywale.

Kolejny slajd przedstawiał mapę Montrealu.

– Obecnie Rock Maszyna i Anioły Piekieł walczą ze sobą o kontrolę nad nielegalnym handlem narkotykami. Stawką jest zysk z całej prowincji i mówimy tutaj o niebagatelnych pieniądzach. Wedle prokuratora generalnego wartość rynku szacuje się na siedem do dziesięcin miliardów dolarów. Oczywiście takie zyski mogą osiągnąć tylko zorganizowane struktury. Quebec stanowi lwią część rynku. – Roy wskazał na dwa obszary miasta. – Tereny, o które walczą ze sobą gangi, to północna i wschodnia część Montrealu oraz Quebec City. Od 1994 roku mieliśmy setki podłożeń bomb i podpałów oraz sto czternaście morderstw.

– Czy te statystyki uwzględniają Marcotte’a, bliźniaków Yaillancourt i Emily Toussaint?
– zapytałam.

– Celna uwaga. Sto osiemnaście. Oprócz nich było sporo zaginięć i możemy się domyślać, że ci ludzie nie żyją.

– Ilu tych „wojowników” tkwi w okopach? – spytał Kuricek.

– Początkowo było to dwustu sześćdziesięciu Aniołów Piekieł i pięćdziesięciu ludzi z Rock Maszyny.

– Nikogo więcej? – Byłam zdziwiona, że tak nieliczna grupka ludzi potrafi rozpętać takie piekło.

– Nie zapominajmy o rezerwowych graczach – wyjaśnił Kuricek, odchylając się do tyłu i wzdychając ciężko.

– Obydwie strony konfliktu mają sprzymierzeńców, mniejsze kluby, które ich popierają. To właśnie ich członkowie odwalają całą brudną robotę – dodał Roy.

– Brudną robotę? – Dla mnie cała ta sprawa była paskudna.

– Rozprowadzanie i sprzedaż narkotyków, ściąganie haraczy, zakupy broni, materiałów wybuchowych, zastraszanie, morderstwa. Marionetki są zwykłymi zbirami, którzy zrobią wszystko, aby zabłysnąć przed szefami. Dlatego właśnie tak trudno ich przygwoździć. Ci coście są nieobliczalni, interesy załatwiają na odległość.

– Nawet, jak już któregoś zapuszczujesz, to jego pomagierzy zastraszają lub zabijają świadków – dodał Kuricek.

Przed oczyma stanęły mi zwłoki Vaillancourtów.

– Bezbożnicy są sprzymierzeńcami Rock Maszyny?

– *C’est ça.*

– A Żmije trzymają z Aniołami Piekieł?

– *C’est ça.*

– Kto jeszcze się liczy?

– Pomyślmy... Awanturnicy, Jokerzy, Rockersi, Złe Plemię, Jeźdźcy Śmierci...

Potok nazw przerwał Marti n Quickwater, który pojawił się w drzwiach. Ubrany był w ciemnogrnatową marynarkę i białą koszulę. Przypominał bardziej poborcę podatkowego niż policjanta. Skinął Roy na przywitanie i obrzucił zebranych spojrzeniem. Kiedy zobaczył mnie, zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

– *Ah, bon. Monsieur Quickwater* naświetli nam sprawę z punktu widzenia FBI.

Roy pomylił się. Quickwater przynosił złowrózne wieści o kolejnych trupach.

Rozdział 7

Świt następnego dnia witałam w klubie Żmij, w St-Basile-le-Grand. Był to pojedynczy budynek stojący pośrodku pustego terenu otoczonego siatką pod napięciem elektrycznym. Okolicę czujnie obserwowano przez kamery oraz dodatkowo oświetlono reflektorami.

Drogę wewnętrzną od autostrady odgradzała brama. Otwierała się za pomocą specjalnego mechanizmu i była monitorowana z wnętrza budynku. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, jej skrzydła były otwarte i przez domofon nikt nie kazał się nam przedstawić. Choć kamera automatycznie skierowała się na nas wiedziałam, że nikt nie obserwuje monitora. Na podjeździe stały nieoznakowane samochody policyjne oraz półciężarówki ekipy dochodzeniowej i biura koronera.

Quickwater wjechał na teren posesji i zaparkował na końcu rzędu pojazdów. Wyłączył silnik i rzucił mi szybkie spojrzenie, ale nie rzekł ani słowa. Odpowiedziałam pięknym za nadobne, a potem zabrałam plecak i wysiadłam.

Jeśli nie liczyć pustej przestrzeni wokół domu i podjazdu do autostrady, zewsząd otaczały nas lasy. Żwirowa dróżka, którą dojechaliśmy na miejsce, dzieliła ścianę drzew i okrążała budynek. Dookoła niego poustawiano wysokie na ponad metr betonowe stożki, które uniemożliwiały zaparkowanie samochodu bliżej niż pięć metrów od ściany. Ten widok przypomniiał mi zabezpieczenia w Irlandii Północnej, jakie wprowadzono na początku lat siedemdziesiątych. Podobnie jak mieszkańcy Belfastu, motocykliści z Quebecu poważnie brali pod uwagę możliwość zamachu bombowego. Na krawędzi asfaltu zaparkowano czarnego forda explorera.

Na horyzoncie malowały się barwy świtu: żółć i róż mieszały się z purpurą. Kiedy godzinę wcześniej Quickwater przyjechał do mnie do domu, niebo było jeszcze czarne, podobnie jak mój nastrój. Prawda była taka, że nie miałam ochoty tutaj przyjeżdżać, zadawać się z tym człowiekiem, a już najmniej uśmiechało mi się babranie się w ciałach zamordowanych motocyklistów.

Wieści, które przyniósł poprzedniego dnia Quickwater, wywarły na mnie kolosalne wrażenie. Słuchałam jego raportu i zdałam sobie sprawę, że moje zaangażowanie w *Opération Carcajou* będzie więcej niż marginalne. To, co miało być tylko przepustką do doprowadzenia morderców Emily Anne przed sąd, stało się priorytetem. Wspomnienie tej dziewięcioletki i żalu rodziny sprawiło, że wzięłam się w garść. Doskonale wiedziałam, po co tutaj jestem.

Motocyklista Żmij, który jednym strzałem posłał braci Vaillancourtów na tamten świat, postanowił zeznawać. W obliczu trzeciego wyroku i oskarżenia o zabójstwo pierwszego stopnia zgodził się wskazać miejsce, gdzie ukryto dwa ciała. W zamian za to jego czyn zakwalifikowano jako morderstwo drugiego stopnia. *Voilà*. O świcie weszliśmy na teren St-Basile.

Kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe, świt ustępował już miejsca porankowi. Choć nadal każdy oddech zamieniał się w parę, to wiedziałam, że dzień będzie słoneczny i ciepły.

Żwir chrząścił pod nogami, a kamyczki coraz wypryskały spod naszych butów i toczyły się po nierównym podłożu na pobocze. Ptaki ćwierkały niezadowolone, że jacyś intruzi wtargnęli na ich teren.

Chrzańcie się, pomyślałam, wstałam wcześniej od was.

Nie bądź dziecinna, Brennan, skarciłam się w duchu. Jesteś zła na Quickwatera, za to, jak się zachowuje. To dupek, olej go i rób swoje.

Nagle Quickwater się odezwał:

– Muszę znaleźć mojego nowego partnera. Został niedawno czasowo przesunięty do *Carcajou*.

Choć Quickwater nie podał żadnego nazwiska, od razu poczułam współczucie dla tego nieszczęśnika. Zacerpnęłam głębiej tchu, zarzuciłam plecak na ramię i ruszyłam w ślad za policjantem.

Rozglądając się dookoła, stwierdziłam, że Żmije nigdy nie wygrałyby konkursu na Ogrodnika Roku. Frontowa część ich posiadłości była ucieleśnieniem tego, z czym walczyli ekolodzy w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Pas ziemi okalający drogę prowadzącą do autostrady pokryty był zaschniętymi i zmarnowanymi roślinami wegetującymi na podmokłej czerwonej glebie. Na szczęście las otaczający budynek pozostał nietknięty, jakby w holdzie jego czworonożnym mieszkańcom.

Przeszliśmy przez pas asfaltu i znaleźliśmy się na podwórku. Jeden rzut oka wystarczył, aby powiedzieć, z jaką myślą je projektowano. Bez wątplenia inspiracją były amerykańskie więzienia. Budynek otoczony został ceglany murem, na szczycie którego znajdowały się kamery, reflektory i wykrywacze ruchu. Między ścianami wylano cement, w którym osadzono kosze do koszykówki, zasilane gazem grille oraz psie budy z łańcuchami. Oryginalne drzwi do ogrodu zostały zastąpione metalowymi wrotami, podobnie jak drzwi do garażu.

Podczas drogi Quickwater opowiedział mi historię tego domu. Wybudował go pewien nowojorczyk, który dorobił się fortuny, szmuglując piwo w czasach, kiedy obowiązywała ustawa Volsteada* [ustawa Volsteada – popularna nazwa ustawy National Prohibition Act uchwalonej przez Kongres USA w 1919, przygotowującej wprowadzenie do konstytucji 18. poprawki dotyczącej prohibicji. Prohibicja obowiązywała od 1920 do 1933 r. Kongresmenem, który przedstawił tę ustawę, był Andrew Volstead, stąd nazwa Volstead Act (przyp. red.)]. Żmije kupiły dom od jego spadkobierców, zainwestowały w remont czterysta tysięcy dolarów i na koniec wywiesiły swój szyld. Oprócz systemów wczesnego ostrzegania, chłopcy zamontowali kuloodporne szyby na parterze i metalowe wzmocnienia wszystkich drzwi.

Dzisiejszego dnia te zabezpieczenia na nic się nie zdały. Podobnie jak brama, drzwi do domu stały otworem. Quickwater wszedł przez nie pierwszy, a ja ruszyłam jego śladem.

Przepych, z jakim urządzono wnętrze, wprowadził mnie w osłupienie. Jeżeli ci goście potrzebowaliby pieniędzy na kaucję albo adwokata, wystarczy, że urządzą aukcję. Sama wartość elektroniki mogła wywoływać zdumienie.

Budynek składał się z kilku pięter połączonych ze sobą metalową klatką schodową, biegnącą przez jego środek. Przeszliśmy przez hol wyłożony czarnobiałą terakotą i

zaczęliśmy wspinać się po schodach. Kątem oka zauważyłam wejście do pokoju gier po lewej. Wewnątrz znajdowały się automaty, piłkarzyki i kontuar baru. Na górze jarzył się pomarańczowy neon węża z nagą czaszką o jadowych zębach i wybaluszonych ślepiach. Pod nim pobłyskiwały butelki różnych alkoholi, a jeszcze niżej szesnaście monochromatycznych monitorów przekazujących obraz z kamer strażniczych. W pokoju znajdował się telewizor i sprzęt audio, którego panel sterowania mógłby zawstydzić pracowników NASA. Policjant z wydziału St-Basile skinął nam na przywitanie.

Na drugim piętrze urządzono siłownię wyposażoną w doskonały sprzęt. Zauważyłam stojak na sztangi i ciężary oraz masę hantli ułożonych naprzeciwko ściany całkowicie wyłożonej lustrami. Najwidoczniej Żmije dbały o formę i wygląd.

Na trzecim piętrze znajdował się pokój wypoczynkowy. Jego wystrój kompletnie nie przywodził na myśl siedziby motocyklistów. Podłoga wyłożona była czerwonym miękkim dywanem. W pomieszczeniu dominowały ogromne miękkie kanapy, tu i ówdzie stały stoliki ze szkła i żeliwa, ozdobione wężowymi emblematami. Na parapetach umieszczono gady wykonane z drewna, porcelany, kamienia i metalu. Nawet na ogromnym telewizorze, największym, jaki w życiu widziałam, wił się jeden z węży.

Ściany udekorowano plakatami oraz powiększonymi fotografiami z klubowych zlotów i rajdów. Członkowie gangu mieli pochmurne miny i gęste wąsiska, siedzieli okrakiem na motocyklach i dźwżyli puszki lub butelki z piwem. Większość z nich wyglądała tak, jakby w ich rodzinnych stronach panował deficyt inteligencji.

Przeszliśmy przez pięć sypialni, wyłożoną czarnym marmurem łazienkę z jacuzzi i szklaną kabiną prysznicową wielkości kortu do squasha i trafiliśmy w końcu do kuchni. Na ścianie po prawej zauważyłam telefon, a po przeciwnej stronie zmywalną tablicę, na której napisano jakieś liczby, niemożliwe do odczytania słowa oraz nazwisko miejscowego prokuratora.

Po lewej dostrzegłam schody.

– Co tam jest? – spytałam Quickwatera. Nie raczył mi odpowiedzieć.

W kącie pomieszczenia stał drugi mundurowy z St-Basile. To on odpowiedział na moje pytanie:

– Kolejny pokój wypoczynkowy – odparł po angielsku. – Z wyjściem na dach i dziesięcioosobowym spa.

Przy drewnianym stoliku opodal wielkiego okna siedziało dwóch mężczyzn. Jeden był elegancko ubrany, drugi nieogolony. Spojrzałam na Quickwatera, a ten skinął słowa. Serce podeszło mi do gardła.

Luc Claudel był tym nieszczęśnikiem, który miał zostać jego nowym partnerem. Wspaniale. Będę pracować z Beavistem i Butt-Headem* [Beavis i Butt-Head – fikcyjne postaci z animowanego serialu telewizyjnego *Beavis and Butt-Head* kanału MTV. Tytułowymi bohaterami są dwaj nastolatki wyróżniający się sarkazmem, cynizmem i destrukcyjnym zachowaniem (przyp. red.)].

Claudel mówił, stukając znacząco palcem w dokument, który był zapewne nakazem przeszukania.

Jego rozmówca wyglądał na rozłuszczonego sposobem, w jaki rozpoczął się dla niego

ten dzień. Miał błyszczące czarne oczy, haczykowany wydatny nos i wąsy gęstsze niż sierść na karku psa. Bose stopy pocierał jedną o drugą i co chwila masował kolana.

Quickwater skinął na niego i powiedział:

– Ten neandertalczyk to Sylvian Bilodeau. Luc właśnie uświadamia go, że zamierzamy zryć ich ogródek.

Bilodeau rzucił nam groźne spojrzenie i przestał gmerać przy kolanach. W zamian za to zaczął zaciskać i otwierać pięści. Trójkolorowy wąż na jego ramieniu zdawał się poruszać w miarę jak mięśnie jego właściciela napinały się i rozluźniały. Podejrzywałam, że porównanie Quickwatera było niesprawiedliwe dla naszych paleolitycznych przodków.

Kilka zdań później Claudel zamilkł, a Bilodeau zerwał się na równe nogi. Choć miał nie więcej niż metr osiemdziesiąt, to wyglądał jak żywa reklamówka sterydów. Przez chwilę milczał, a potem wypalił:

– Nie pieprz mi tutaj, człowieku. Nie możecie sobie ot tak, kurwa, wleźć tutaj i zacząć rycie na ziemi. – Jego francuszczyzna miała tak silne wiejskie naleciałości, że niektórych słów po prostu nie rozumiałam z powodu akcentu. Niemniej pojęłam, o co mu chodzi.

Claudel wstał spokojnie ze swego miejsca i spojrzał mu w oczy.

– Wręcz przeciwnie. Na podstawie tych dokumentów możemy to zrobić. Jak już wcześniej mówiłem, możesz zrobić dwie rzeczy. Pokaż klasę i siedź grzecznie, w przeciwnym razie wyprowadzimy cię stąd w kajdankach i zapewnimy więzienny wikt na bezterminowy okres. Wybór należy do ciebie, Nochal Claudel wypowiedział jego przezwisko ze słyszalną drwiną. Miał podejście do szumowin.

– I co ja mam zrobić, do kurwy nędzy?

– Na przykład powiedz kumplom, aby nie wpadali dzisiaj do klubu, jeśli nie chcą wylądować za kratkami, poza tym możesz się objąć, jak chcesz. Kapral Berringer dotrzyma ci towarzystwa i będzie miał cię na oku.

– Ja tu prowadzę interesy. Musieliście, kurwa, pojawić się z rana?

Claudel poklepał go po ramieniu i powiedział:

– I o to chodzi, Nochal. Wyczucie czasu.

Motocyklista strącił jego dłoń i podszedł do okna, mrużąc:

– Pierdolony skurwysyn.

Claudel wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „a co ja mogę poradzić” i rzucił:

– Pewnie masz poważniejsze kłopoty na głowie niż my. Bracia nie będą szczęśliwi, że kimnąłeś się na warcie, co?

Bilodeau zaczął krążyć po pokoju jak zwierzę w klatce. Nagle zatrzymał się i huknął pięścią w kontuar.

– Kurwa! – Mięśnie na jego karku pulsowały, podobnie jak żyły na skroniach.

Potem odwrócił się i przebiegł wzrokiem po naszych twarzach, a na koniec wbił we mnie spojrzenie Charlesa Mansona* [Charles Manson – Charles Milles Manson, założyciel i przywódca sekty Rodzina (ang. The Family), inspirator masowego mordu dokonanego przez sektę w 1969 r. w willi Polańskich w Kalifornii, jedną z czterech ofiar była będąca w ósmym miesiącu ciąży aktorka Sharon Tate, żona Romana Polańskiego. Mansonowi pierwotnie skazanemu na karę śmierci zamieniono wyrok na dożywotnie więzienie

(przyp. red.)]. Wskazał na mnie paluchem i rzucił:

– Lepiej, żeby ten marny wypierdek zwiął na koniec świata – syknął z wściekłością. – Bo jest już chodzącym trupem!

Marny wypierdek siedział kilkaset metrów dalej na tylnym siedzeniu nieoznakowanego jeepa. Jednym z warunków współpracy było to, że miał zaprowadzić nas na miejsce, gdzie ukryto zwłoki. Uparł się jednak, że za żadne skarby nie wysiądzie z samochodu, dopóki nie oczyścimy i nie zabezpieczymy terenu. Miał być dowieziony na wskazane miejsce, w przeciwnym wypadku odwoła zeznania.

Wyszliśmy z budynku i skierowaliśmy się do jeepa. Usiadłam obok kierowcy, Claudel na tylnej kanapie, a Quickwater za kierownicą. Ruszyliśmy w stronę ekipy dochodzeniowej. Wewnątrz auta było tak gęsto od dymu papierosowego, że z trudnością mogłam zaczerpnąć tchu.

Naszym informatorem był mężczyzna w średnim wieku, o jasnozielonych oczach i długich rudych włosach związanych w kucyk z tyłu głowy. Błada cera, wylupiaсте jasne oczy i gładkie loki nadawały mu wygląd istoty, która wyewoluowała w jakimś podziemnym jeziorze. Do gangu Żmij przyjęli go zapewne ze względu na odpowiedni wygląd. Podobnie jak Bilodeau był niski, ale chyba nie lubił zbyt długo pozostawać w kwaterze i spędzać wolnego czasu na siłowni.

Pierwszy odezwał się Claudel.

– Lepiej, abyś miał pewne informacje, Rinaldi, albo rodzina może zbierać pieniądze na pogrzeb. Twoje notowania u kumpli chyba drastycznie spadły.

Rinaldi zaciągnął się dymem, a potem wydmuchnął go przez nos. Skrzydełka jego nosa zadrżały.

– Kto dowodzi? – Głos miał dziwnie niski i zniekształcony, jak w programach telewizyjnych, gdzie ukrywa się tożsamość rozmówcy.

– Doktor Brennan poprowadzi wykopki twojego skarbu, Żaba. A ty pomożesz jej, jak tylko będziesz w stanie, prawda?

– Pffff – syknął tylko przez zaciśnięte wargi.

– Będziesz wobec niej równie potulny jak sztywne trupy w prosektorium, prawda?

– Bierzmy się do roboty.

– Porównanie do kostnicy nie było przypadkowe, Żaba. Jeśli to podpucha, to skończysz w niej ze sztywniakami.

– Nie zalewam. Dwóch gości gryzie tam ziemię. Jedziemy na miejsce.

– Racja – przytaknął Claudel.

Rinaldi pstryknął kościstymi palcami, przez co kajdanki na jego nadgarstkach zagrzechotały.

– Objedźcie dom i wypatrujcie ścieżki po prawej.

– To mi się podoba, Żaba.

Żaba, kolejne udane przezwisko. Zwłaszcza kiedy usłyszało się głos motocyklisty.

Claudel wysiadł z samochodu i pokazał kciuk Quickwaterowi. Ten ruszył za nim w

kierunku samochodu dochodzeniówki. Kiedy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że Rinaldi wpatruje się we mnie, jakby chciał odczytać mój kod genetyczny. Kiedy nasze oczy się spotkały, nie odwrócił wzroku. Ja także.

– Masz jakiś problem, Rinaldi?

– Dziwna robota, jak na laskę.

– Jestem dziwna. Nasikałam kiedyś do basenu Sonny'ego Barger* [Sonny Barger – Ralph Hubert „Sonny” Barger, członek założyciel oddziału Aniołów Piekieł utworzonego w 1957 r. w Oakland, napisał kilka książek o Aniołach Piekieł (przyp. red.)]. – Nie wiedziałam nawet, czy dawny szef Aniołów Piekieł miał dom z basenem; inna rzecz, że prawdopodobnie Żaba i tak nie zrozumiałaby żartu.

Minęło kilka sekund. Żaba pokręcił głową, uśmiechając się do siebie i zgasił papierosa w popielniczce pomiędzy przednimi siedzeniami. Kiedy kajdanki się zsunęły, dostrzegłam na jego przedramieniu wytatuowane dwie błyskawice i słowa „Filthy Few”** [Filthy Few (ang.) – Kilku Odrażających, tatuaże lub naszywki z takim napisem nosi elita Aniołów Piekieł, prawo noszenia takiego napisu mają ci, którzy dla gangu popełnili morderstwo (przyp. red.)].

Claudiel i Quickwater wrócili. Ruszyliśmy dalej i kiedy wjechaliśmy w las, Rinaldi w milczeniu wyglądał przez okno, tocząc zapewne bój w duszy z własnymi demonami.

Droga była wąska, półciężarówka jadąca za nami ustawicznie buksowała w błocie. W pewnym momencie Quickwater i Claudiel musieli wysiąść i odsunąć zwalone drzewo. Kiedy się z nim biedzili, z dziupli wyskoczyła para wiewiórek i uciekła w las. Quickwater wrócił zziębnięty i spocony, do kolan umorusany błotem. Claudiel jakimś cudem nie ubrudził się w najmniejszym stopniu.

Byłam przekonana, że potrafił zachować godność nawet w samych slipkach, choć wątpiłam, aby kiedykolwiek paradował w nich, nawet po domu.

Poluzowawszy krawat o cały milimetr, podszedł do drzwi pasażera i zastukał w szybę od strony Rinaldiego. Żaba sięgał właśnie po kolejnego papierosa. Otworzyłam drzwi.

Claudiel zastukał jeszcze raz i motocyklista nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się i przez szczelinę buchnął kłęb dymu.

– Żaba, przyhamuj trochę, bo wszyscy wylądujemy pod respiratorami. Uruchom swoje komórki mózgowie. Rozpoznajesz okolicę?

– Są tutaj. Zamknij po prostu jadaczkę i daj mi chwilę pomyśleć.

Rinaldi wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Quickwater rzucił mi jedno ze swoich spojrzeń, ale zignorowałam je, sama obserwując teren.

Okolica musiała służyć za wysypisko śmieci. Pomiedzy drzewami dostrzegałam puste beczki, butelki po winie i puszki po piwie, zauważyłam stary materac oraz zardzewiałe sprężyny łóżkowe.

– Tracę cierpliwość, Żaba – warknął Claudiel. – Policzę do trzech, jak to robię z dziećmi. Zresztą jestem pewien, że tylko do tyłu potrafisz.

– Zamknij się, do kurwy nędzy.

– Nie przeciągaj struny – ostrzegł Claudiel.

– Nie byłem tutaj od lat. Człowieku, musimy znaleźć szopę. Jak tylko na nią trafimy, doprowadzę was na pieprzone miejsce.

Żaba zaczął szukać, jak pies próbujący różnych kierunków. Coraz bardziej tracił pewność siebie, a ja wraz z nim.

Brałam udział w wielu ekspedycjach z informatorami i spora część tych wyjazdów okazała się stratą czasu. Czasem kapusie po prostu kłamali, byleby wyjść na świeże powietrze, innym razem zwyczajnie zawodziła ich pamięć. LaManche i ja szukaliśmy kiedyś beczkowozu, który miał być miejscem ostatniego spoczynku pewnej ofiary. W trakcie dwóch wypraw nie znaleźliśmy żadnego śladu. Informator trafił z powrotem za kratki, ale podatnicy opłacili te wycieczki.

Koniec końców Rinaldi wrócił do jeepa.

– To musi być trochę dalej.

– Ile?

– Czy ja wyglądam na geografa? Będę wiedział, że jesteśmy na miejscu, jak trafimy na szopę. Od niej poprowadzę was bez pudła.

– Żaba, powtarzasz się – powiedział Claudel, spoglądając znacząco na zegarek.

– *Sacré bleu!* Gdybyś przestał mnie opieprzać i zajął się prowadzeniem samochodu, już dawno znaleźlibyśmy twoich sztywniaków!

– Obyś się nie mylił, bo w przeciwnym wypadku wpadniesz w największe gówno tysiąclecia.

Wrócili do samochodu i w żółtim tempie ruszyliśmy dalej. Ujechaliśmy dwadzieścia metrów, kiedy Rinaldi uniósł dłonie do góry i chwycił zagłówek mojego fotela. Wstał i pochylił się do przodu, z uwagą spoglądając przez przednią szybę.

– Zatrzymaj się.

Quickwater wcisnął hamulec.

– Tam. Jesteśmy na miejscu.

Rinaldi wskazał na niewielką drewnianą chałupkę bez dachu. Część ścian zapadła się pod własnym ciężarem, a resztki dachu walały się i gniły pośród listowia.

Wysiedliśmy z jeepa. Rinaldi uważnie rozejrzał się dookoła, a potem skierował się w las pod kątem czterdziestu stopni względem szopy.

Claudel i ja ruszyliśmy jego śladem, klucząc pomiędzy krzakami i odgarniając gałęzie, których trzymały się zgniłe zeszłoroczne liście. Słońce stało już wysoko ponad linią horyzontu i drzewa rzucały długie cienie na błotnistą ziemię.

Kiedy dogoniliśmy Rinaldiego, stał na skraju polany z rękoma opuszczonymi do dołu. Nie wyglądał na szczęśliwego – Kurwa, człowieku. To miejsce się zmieniło. Pamiętam, że chodziliśmy do lasu palić ognisko i się nawalić. Wtedy było mniej drzew.

– Nie dbam o to, co robiliście z kolesiami w lato, Żaba, Twój czas się kończy. Coś czuję, że powędrujesz za kratki na dwadzieścia pięć latek i któregoś dnia przeczytamy, że udławiłeś się sitkiem od pryszniczka albo znaleźli cię pod natryskiem z rurą w dupie.

Nie słyszałam jeszcze, aby Claudel wypowiadał się tak barwnie.

Rinaldi zacisnął szczęki, ale się nie odezwał. Choć poranek był chłodny, jego ubranie składało się z czarnej podkoszulki i džinsów. Ręce miał pokryte gęsią skórą.

Ruszył przed siebie i zatrzymał się dopiero na środku polany. Po prawej zbocze opadło w

dół, w kierunku niewielkiego strumienia. Rinaldi zszedł w stronę sosen o długich igłach i rozejrzał się dookoła, a potem ruszył w górę nurtu. Claudel, Quickwater i ja poszliśmy jego śladem. Przebywszy dwadzieścia metrów, Rinaldi zatrzymał się i pokazał skutymi rękoma na łachę ziemi. Oddzielała ona brzeg strumienia od stosu kamieni i była zasłana gałęziami, plastikowymi pojemnikami i puszkami, czyli pozostałościami po corocznych roztopach.

– Macie swoje pieprzone mogiły.

Spojrzałam na jego twarz. Cała niepewność znikła zastąpiona przez cwaniacki wyraz i pełne determinacji spojrzenie.

– Jeśli to wszystko, co nam oferujesz, Żaba, zamówię u grawera rurę z twoim nazwiskiem – powiedział Claudel.

– Nie leć ze mną w kulki, człowieku. Jeśli laska zna się na swojej robocie, znajdzie truposzy.

Rozglądając się po okolicy, czułam się tak, jakby na mojej piersi spoczywał ogromny ciężar i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej trudny do zniesienia. Ponad dziesięć lat rozmywania brzegów przez wylewającą rzeczkę. Nie będzie żadnych śladów: obniżenia terenu, aktywności owadów, odmiennej roślinności. Nie ma co liczyć na wskazówki stratygraficzne ani cokolwiek, co podpowie, gdzie znajduje się mogiła.

Claudel spojrzał na mnie wyczekująco. Ponad moją głowę zakrakała wrona, potem odpowiedziała jej kolejna.

– Jeśli są tutaj jakieś zwłoki, to je znajdę.

Krakanie brzmiało jak chichot.

Rozdział 8

Do południa oczyściliśmy teren, z roślinności i śmieci. Centrum obszaru stanowił kwadrat pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, który odpowiadał miejscu pochówku, jakie mniej więcej przypominał sobie Żaba, W między czasie okazało się, że nie widział zwłok osobiście, ale opierał się na informacjach od „wiarygodnego człowieka”. Motocykliści opowiadali sobie jak zaprosili gościa na ognisko, wyprowadzili w las i zabili strzałami w głowę. Coś potwornego.

Teren poszukiwań podzieliłam, na kwadraty; wyznaczając plastikowymi, pomarańczowymi kołkami odcinki o długości półtora metra. Ciało rzadko kiedy zakopuje się głębiej niż dwa metry pod ziemią, dlatego zażądałam udostępnienia radaru gruntowego o częstotliwości 500 MHz, który sprawdzał się w pracy w takich warunkach. W ciągu godziny dostarczono go na miejsce.

Do spółki z jego operatorem, wykopaliśmy otwór testowy, dzięki któremu zestroiiliśmy urządzenie, biorąc pod uwagę rodzaj i gęstość gleby oraz jej warstwy i kilka innych czynników. Następnie zasypaliśmy otwór, umieszczając w nim kawałek metalu i przeprowadziliśmy próbny odczyt.

Operator kończył właśnie dostrajać radar, kiedy Żaba wysiadł z samochodu i podszedł do nas. Za jego plecami, jak cień, szedł strażnik, którego obecność była jednym z warunków postawionych przez Rinaldiego. Żaba obawiał się snajperów.

– Co to, kurwa, jest? – spytał, pokazując na urządzenia, które wyglądały jak aparatura z „Powrotu do przyszłości”. Claudel dołączył do nas.

– Żaba, mógłbyś poszerzyć swoje słownictwo. Są takie kalendarze, gdzie codziennie prezentowane są nowe wyrazy.

– Spierdalaj.

W pewnym sensie lubię angielskie przekleństwa. Kojarzą mi się z domem.

Zerknęłam na motocyklistę, ciekawa, czy rzeczywiście interesuje się radarem, czy po prostu próbuje odegnać nudę. Tam, dokąd zmierzał, nie będzie mógł liczyć na poszerzenie horyzontów naukowych. GPR* [GPR – (ang.) Ground-penetrating radar (przyp. red.)].

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

– Georadar. – Na potwierdzenie moich słów wskazałam terminal podpięty do zapalarki samochodowej. – To jest mózg urządzenia, analizuje sygnały odbierane przez antenę i wyniki wyświetla na ekranie.

Tym razem skinęłam na podobne do sanek pudło, wyposażone w rączki do trzymania i połączone z komputerem za pomocą grubego pęku kabli.

– To jest antena.

– Wygląda jak kosiarka do trawy.

– Owszem. – Ciekawe, co Żaba wie o strzyżeniu trawników? – Kiedy operator ciągnie antenę po ziemi, ta wysyła i odbiera sygnały, a potem przesyła dane do terminala GPR. Komputer analizuje siłę i czas powrotu sygnałów. Dzięki temu wiemy, co jest pod ziemią.

Żaba słuchał z wyraźnym zainteresowaniem. Claudel udawał, że nic go nie obchodzi, ale

też był ciekaw.

– Jeżeli coś zakopano pod ziemią, sygnał zostanie zakłócony. Tym sposobem uzyskamy informacje o rozmiarach przedmiotu, jego ładunku elektrycznym i najbliższym otoczeniu. Głębokość, na jakiej został zakopany, jest określana za pomocą mierzenia czasu, który potrzebny jest sygnałowi na dotarcie i powrót.

– Czyli dzięki temu określicie, gdzie leżą sztywniaczy?

– Niekoniecznie zwłoki. Będziemy w stanie określić zakłócenia składu gleby, ich wielkość i położenie.

Żaba chyba się zgubił.

– Kiedy kopiesz dziurę, naruszasz strukturę gruntu. Ślady pozostają widoczne dla urządzenia po jej zasypaniu. Ziemia ma w takim miejscu inną gęstość, skład oraz właściwości elektryczne. Różnica jest widoczna, kiedy porówna się te dane z wynikami otoczenia.

Choć powiedziałam im prawdę, wątpiłam, aby poszukiwania były tak łatwe w praktyce. Dziesięć lat podtopień na pewno zatarało większość śladów.

– Jest jeszcze jedna rzecz. Cokolwiek znalazło się pod ziemią: zwłoki, kable, niewybuch, będzie źródłem zakłóceń sygnału. Nie ma sposobu, aby pomylić to z normalną glebą.

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. A co, jeśli ciało się rozłożyło?

Dobre pytanie, Żaba.

– Rozkład tkanek organicznych zmienia natężenie elektryczne gleby, podobnie jak jej skład chemiczny. Poza tym, wiązka jest tak silna, że jest w stanie wykryć kości i zwłoki w stadium zaawansowanego rozkładu.

Jest w stanie. Ale czy na pewno tak się stanie? Operator radaru pokazał mi, że jest gotów do pracy.

– Quickwater, chce pan pociągnąć pług? – krzyknęłam.

– Ja to zrobię – zaproponował Claudel.

– Dobra. Niech jeden z chłopaków z dochodzeniówki ci pomoże, kontrolując stan przewodów. Wasze zadanie jest proste: zaczniecie od miejsca tuż za obszarem badania. Kiedy miniecie punkt wysunięty najdalej na północ, naciśnij dwukrotnie przycisk na ręczce. Sygnał wyznaczy poprzeczną granicę. Potem będziesz tylko ciągnął antenę. Staraj się iść prosto, trochę wolniej od zwykłego tempa spacerowego. Za każdym razem, kiedy miniesz wschodnie lub zachodnie pacholki, naciśnij przycisk jeden raz. Kiedy dotrzesz do najdalszego krańca, naciśnij go dwa razy, oznaczając zakończenie badania. Potem będziesz musiał zaciągnąć urządzenie na początek i rozpocząć drugie badanie.

– Czemu nie możemy zacząć od końca?

– Ponieważ ślady z poprzedniego skanu nie będą wtedy kompatybilne. Najpierw trzydzieści przejść z północy na południe, potem ze wschodu na zachód.

Pokiwał głową.

– Będę obserwować monitor razem z operatorem, jeśli zauważymy jakieś zakłócenia, dam sygnał i twój partner oznaczy miejsce.

Godzinę później zakończyliśmy badania. Cała ekipa zebrała się opodal półcięzarówki,

jedząc kanapki i popijając je wodą mineralną. Wynikiem badań było dwadzieścia niebieskich palików, oznaczających miejsca zakłóceń.

Rezultaty przeszły moje oczekiwania. Odczyty z trzeciego i trzynastego badania północno-południowego pokrywały się z grubsza pod względem długości i głębokości. Moją uwagę przykuł dwunasty skan. Poprosiłam o wydruk i analizowałam go, jedząc kanapkę z kiełbasą i żółtym serem.

Spoglądałam na siatkę kartograficzną. Linie poziome oznaczały głębokość, a jej dokładne pomiary zawdzięczaliśmy skanowi testowemu. U góry kartki znajdowała się powierzchnia ziemi. Linie pionowe były przerywane i oznaczały każdy z sygnałów, jaki Claudel wysłał do komputera, mijając palik kontrolny.

Wzór przedstawiający grunt tuż pod powierzchnią był pofalowany, ale regularny. Obraz w pobliżu stanowiska 11 północ przybierał jednak formę dziwnych krzywizn, które przywodziły na myśl kształt dzwonu. Spoglądając na nie, miałam wrażenie, jakby jeden ukryto w drugim. Po chwili uznałam, że obraz przypomina mi ludzkie żebra. Źródło zakłóceń znajdowało się na głębokości prawie dwóch metrów, w miejscu przecięcia północno-południowej linii 11 i czwartej linii wschodnio-zachodniej.

Odłożyłam kartkę i zaczęłam oglądać wyniki badań, które przeprowadziliśmy w poprzek terenu. Porównując je ze sobą, byłam w stanie określić wielkość podejrzanego obszaru. Serce zabiło mi mocniej.

Anomalia miała około dwóch metrów długości i jeden szerokości. Przybliżone rozmiary grobu.

Co więcej, znajdowała się na głębokości, na której zwykle kopie się mogiły.

– Jakież wyniki? – Nie słyszałam, jak Claudel się do mnie zbliżył.

– Pracujemy nad nimi.

– Teraz też?

– Tak.

Dopiłam dietetyczną colę i wsiadłam do półciężarówki. Samochód ruszył w ślad za jeepem Quickwatera, który kierował się w miejsce przecięcia linii. Postanowiliśmy, że ekipa pod moim nadzorem zrobi wykop, podczas gdy Claudel ze swoim nowym partnerem sprawdzą pozostałe dwa miejsca, gdzie stwierdziliśmy zakłócenia. Po tym, jak nakreślę siatkę, mieli zdejmować warstwy ziemi w niewielkich porcjach, szukając śladów zwłok.

Uprzedziłam śledczych, na co mają zwracać uwagę, kładąc szczególny nacisk na zmiany zabarwienia gleby i jej faktury. Jeżeli tylko dostrzegą coś podejrzanego, mieli przerwać kopanie i mnie wezwać. Każdemu z nas towarzyszył personel SIJ, czyli *Section d'Identité Judiciaire** [Section d'Identite Judiciaire – Wydział Identyfikacji Sądowej, wydział policji zajmujący się rekonstrukcją zdarzeń (przyp. red.)], oraz fotografowie, którzy mieli sfotografować i sfilmować całą operację.

Claudel nadzorował pracę techników na przecięciu linii północ 13 i wschód 5, mniej więcej dziesięć metrów ode mnie. Raz za razem spoglądałam na niego, jak instruował swoich podwładnych albo pytał, co znaleźli w ziemi. Był bardzo zaangażowany.

Po trzydziestu minutach szpadel w jego wykopie natrafił na coś twardego. Nawet ja

dosłyszałam cichy stukot.

Do spółki z technikami odsłoniliśmy niewyraźny zarys. Przedmiot był porzewiały i ubłocony, ale jego kształt nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Fotograf wykonał kilka zdjęć.

– *Tabernac! C'est un Weber.* * [Tabernac! C'est un Weber (fr.) – Cholera! To Weber; Weber – marka grilla (przyp. red.).]

– *Monsieur Claudel*, planuje pan grilla? Niech pan przyniesie trochę mięsa, ustawimy krzeselka ogrodowe i zaprosimy dziewczyny!

– Jean-Guy, powiedz Lucowi, że jest znacznie prostszy sposób. Pewnie kupili go w Wal-Martcie. * [Wal-Mart – amerykańska ogromna sieć supermarketów, działa na całym świecie (przyp. red.)]

– Taa – mruknął Claudel. Na jego twarzy nie zagościł nawet cień uśmiechu. – Możemy zaraz potrzebować worka na trupy, bo padnę ze śmiechu. Kopcie dalej. Musimy się upewnić, że nie znajdziemy tam więcej niespodzianek.

Claudel zostawił kratkę od grilla swoim współpracownikom i podszedł do mojego wykopu. Kopałam w kierunku północnym, a inspektor i laborant na południe. Około drugiej po południu dół miał prawie metr głębokości, ale nie natrafiliśmy na nic, co miałyoby związek z pochówkiem.

Kiedy ogarnęło mnie zwątpienie, znalazłam but.

Leżał na boku, lekko skierowany ku górze. Niewielkim szpadlem oczyściłam obszar wokół niego, poszerzając wykop. Moi pomocnicy na chwilę zamarli bez ruchu, obserwując znalezisko, a potem zaczęli kopać ze zdwojoną energią. Claudel nie powiedział ani słowa.

W ciągu kilku minut znalazłam drugi but. Garść za garścią, odgarniałam ziemię, aż odsłoniłam je w całości. Skóra była odbarwiona, a oczka na sznurowadła zardzewiały, jednak same buty pozostały nietknięte.

Odkopawszy je w całości, zaznaczyłam miejsce i sposób ułożenia znaleziska, a fotograf uwiecznił je na zdjęciu. Wyjęłam obydwie buty z dołu i umieściłam je w plastikowych workach. Jasne było, że wewnątrz nie ma nawet fragmentu stopy.

Kiepski znak.

Niebo przybrało barwę intensywnego błękitu, a słońce świeciło mocno. Wiatr poruszał koronami drzew, a gałęzie szumiały i trzeszczały. Po prawej strumień szemrał cicho, a woda rozpryskiwała się z chłupotem na kamieniach.

Wysiłek sprawił, że po mojej szyi i czole zaczęły spływać krople potu. Zdjęłam bluzę i cisnęłam ją na stos igliwia, znajdujący się opodal mojego dołka. Serce waliło mi jak młotem i nie wiedziałam, czy to za sprawą zdenerwowania i stresu, czy ciepła nadchodzącej wiosny.

To, co najbardziej ekscytuje mnie podczas wykopalisk, to ciekawość, przewidywanie. Co leży w niższej warstwie ziemi? A jeśli niczego nie znajdziemy lub trafimy na coś, czego nie będziemy w stanie wydobyć albo uszkodzimy podczas wykopywania?

Raz za razem musiałam zwalczać myśl, aby chwycić za szpadel i zacząć kopać prosto w dół. Niestety, takie podejście do sprawy było całkowicie błędne. Choć zdejmowanie kolejnych warstw ziemi jest zajęciem żmudnym i pracochłonnym, to przy poszukiwaniu ludzkich szczątków taka technika jest najlepsza. W przypadku spraw związanych z

morderstwem, należy zebrać maksymalnie dużą ilość materiału dowodowego: kości, przedmiotów, próbek ziemi. Dlatego wbiłam szpadel, poruszyłam nim kilkakrotnie i pobrałam próbkę. Kątem oka zauważyłam, że Claudel i fotograf poszli w moje ślady i zdjęli kurtki.

Coś białego ukrytego pod ziemią zobaczyliśmy w tym samym momencie. Claudel już miał coś powiedzieć, kiedy mnie się wyrwało:

– Jesteśmy w domu...

Spojrzał na mnie, uniósł brwi i pokiwał głową.

– Wygląda jak wapno.

Warstwa drobin i lepkiego białawego szlamu odsłoniła pierwszą czaszkę. Leżała twarzą do góry, jakby zakopywany chciał po raz ostatni spojrzeć jeszcze na niebo. Fotograf krzyknął, że coś znaleźliśmy i pozostali członkowie ekipy pośpieszyli, aby zobaczyć, na co trafiliśmy.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy wykopaliśmy dwa szkielety. Leżały na boku, jeden w pozycji embrionalnej, drugi z ramionami i nogami odgiętymi do tyłu. Czaszki, kości nóg i miednice były pozbawione tkanki miękkiej i przybrały brązowawe zabarwienie okolicznej gleby.

Kości stóp zachowały się w odrobinę lepszym stanie, bowiem nadal były w skarpetkach. Podobnie rzecz się miała z torsami, ponieważ były okryte strzępami zgniłej odzieży. Materiał oplatał kości, tworząc parodię stracha na wróble. Dostrzegłam ślad zamków błyskawicznych i klamerek od pasa, które zapadły się w głąb rozłożonej jamy brzusznej.

O wpół do szóstej moja ekipa w całości odsłoniła szczątki. Oprócz butów znaleźliśmy zardzewiałe łuski i zęby. Wszystkie te przedmioty zostały zapakowane do woreczków. Fotografowie zrobili kolejne zdjęcia. Żaba przekonał strażnika i podeszli do nas.

– *Allô. Bonjour* – powiedział do trupów, uchylając niewidzialnego kapelusza. – Może powinienem gratulować udanych łowów, proszę pani? – Zignorowałam go. – Cholera jasna, czemu zostały tylko koszulki i skarpetki?

Nie byłam w nastroju do wykładów.

– Jasne... Kazali im zdjąć buty i iść boszo, żeby nie uciekli. Ale co się, kurwa, stało z gaciami?

– Z prochu w proch, pamiętasz?

– Z gówna w gówno, raczej, nie? – W jego głosie słyhać było ekscytację.

Jego prymitywne komentarze zaczynały działać mi na nerwy. Każda śmierć boli. Gdy ktoś odchodzi, zostają po nim jego bliscy, a ci cierpią. Ilekroć znajduję ciała, zawsze myślę o tych ludziach.

– Prawdę powiedziawszy, mylisz się. Naturalne materiały, takie jak bawełna, rozkładają się bardzo szybko, w przeciwieństwie do sztucznych. Twój kumple najwidoczniej nie lubili tych pierwszych.

– Pieprzyć to, i tak wyglądają paskudnie. Znaleźliście przy nich coś ciekawego? – Zajrzał do dołu, a jego oczy pobłyskiwały jak u szczura, który przysiadł na padlinie. – Wybrali się nie na tę imprezę co trzeba, nie?

Owszem, pomyślałam. Śmiercionośna decyzja.

Zacząłam powoli oczyszczać szpadel, wykorzystując okazję do uspokojenia nerwów. U

naszych stóp leżały dwa trupy, a ten śmieć tylko rechotał.

Odwrociłam się, żeby sprawdzić, czy fotograf uporał się ze swoją robotą i zobaczyłam, że idzie ku nam Quickwater.

Świetnie, zepsuj mi humor jeszcze bardziej, pomyślałam, mając skrytą nadzieję, że szuka kogoś innego.

Policjant podszedł do nas i obrzucił mnie swym zwykłym niechętnym spojrzeniem. Jego twarz pozostała nieodgadniona, jakby wykuto ją z marmuru. Pachniał sosnowym igliwem i potem. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że pracował całe popołudnie. Podczas gdy inni robili sobie przerwy, podglądając, jak idzie innym, Quickwater nie pozwalał sobie na taki luksus. Może robił to dlatego, że chciał trzymać mnie na dystans? Dla mnie bomba.

– Znaleźliśmy coś, co powinna pani zobaczyć.

W jego zachowaniu był taki spokój, który wprowadził mnie w zakłopotanie. Sądziłam, że wyjaśni coś, wprowadzi mnie w szczegóły, ale on odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem, całkowicie pewien, że pójdę za nim.

Arogancki dupek, pomyślałam.

Drzewa rzucały coraz dłuższe cienie, a temperatura spadała z każdą chwilą. Spojrzałam na zegarek, dochodziła szósta. Żołądek przypominał mi, że nie jadłam nic od przedpołudnia.

Oby to było coś ważnego, pomyślałam.

Ruszyłam w kierunku przecięcia linii północ 3 i wschód 9, gdzie zespół Quickwatera badał zakłócenia wykryte przez radar. Ku mojemu zdziwieniu wykopali dół obejmujący całą szerokość i długość wyznaczonego pola.

Przedmiot, który wzbudził ich zainteresowanie, leżał na głębokości metra. Pozostawili go w stanie nietkniętym, jak nakazałam. Reszta dołu miała głębokość dwóch metrów.

– To wszystko?

Quickwater skinął głową.

– Nic więcej?

Nie drgnęła mu nawet powieka.

Rozejrzałam się dookoła. Pod ekranem z siatką do przesiewania piachu zebrała się spora hałda ziemi. Miałam wrażenie, że dla pewności przesiali ją ze dwa albo trzy razy. Spojrzałam ponownie na piedestał, na którym spoczywało makabryczne znalezisko.

Bez sensu.

Rozdział 9

Zamknęłam na chwilę oczy. Gdzieś w oddali muczały krowy, życie toczyło się powoli, było spokojne i nie sprawiało dziwnych niespodzianek. Kiedy uniosłam powieki, kości nadal tam były. Wokoło zapadał zmierzch. Wraz z nadchodzącą ciemnością przestawałam dostrzegać szczegóły otoczenia, zupełnie jak na starym filmie. W takich warunkach nie można prowadzić poszukiwań, więc odpowiedzi musiały poczekać do jutra.

Nie mogłam pozwolić na ryzyko utraty, zatarcia albo zniszczenia materiału dowodowego. Ciała leżały tutaj od jakiegoś czasu, więc kilka godzin im nie zaszkodzi. Ich resztki zostaną zabrane, ale na bardziej szczegółowe badania miejsca zbrodni czas przyjdzie jutro. Policja zabezpieczy ślady i wrócimy do nich następnego dnia.

Quickwater w dalszym ciągu uważnie mnie obserwował.

– Muszę porozmawiać z pańskim partnerem – powiedziałam.

Quickwater pokazał mi, abym zaczekała. Wyciągnął telefon komórkowy, wybrał numer i podał mi go.

– Gdzie pan jest?

– Za topolą. Mam prosić o przepustki do toalety?

Głupie pytanie, Brennan, skarciłam się w duchu.

– Pański partner uznał, że dwa trupy to za mało, więc znalazł trzeciego.

– *Sacré bleu!*

– W zasadzie nie mamy do czynienia ze szkieletem, a jedynie z czaszką i długimi kośćmi.

– A gdzie jest reszta?

– To dobre pytanie, detektywie Claudel. Też się nad tym zastanawiam.

– Co chce pani zrobić?

– Wydobędziemy kości, a potem zamkniemy cały teren na noc. Policjanci z St-Basile powinni dać sobie z tym radę. Każemy obserwować groby i nikogo nie wpuszczać na teren, co nie powinno być trudne, ponieważ dom przypomina Los Alamos* [Los Alamos – Los Alamos National Laboratory, jedno z najważniejszych amerykańskich laboratoriów wojskowych, gdzie realizuje się program badawczy z zakresu broni nuklearnej, co wiąże się z bardzo wysokim poziomem zabezpieczeń laboratorium.].

– Jego właściciele nie będą szczęśliwi.

– Cóż, ja pewnie też. Miałam zupełnie inne plany na ten tydzień.

Wydobycie, zapakowanie w plastikowe worki i wysłanie szczątków do kostnicy zajęło nam niecałą godzinę. Grill oraz pozostałe dowody rzeczowe zostały przekazane do laboratorium kryminologicznego. Następnie nakryliśmy wszystkie doły folią i pozostawiliśmy pod opieką policjantów z St-Basile.

Jak można się było domyślić, w trakcie drogi powrotnej Quickwater nie powiedział ani słowa. Kiedy wróciłam do domu, zadzwoniłam do Ryana. Nie podniósł słuchawki.

– Czemu, Andy, czemu... – wyszeptalam, jakbym ludziła się, że mnie usłyszy. – Boże, nie

pozwól, aby to była prawda.

Plan na wieczór zakładał gorącą kąpiel, pizzę i sen. Wykonałam go w stu procentach.

O świcie znowu spotkaliśmy się w parku Żmij. Strumień nadal wesoło pluskał, ptaki wciąż ćwierkały, a ja obserwowałam parę wydobywającą się z moich ust. W otoczeniu zaszły dwie zmiany.

Claudiel został w mieście, poświęcając czas na inne sprawy niż poszukiwanie zwłok.

Przez noc do prasy wyciekła informacja o znalezionych ciałach i na miejscu przywitały nas wozy transmisyjne oraz horda dziennikarzy, którzy zasypali nas pytaniami po francusku i po angielsku. Całkowicie zignorowaliśmy tę lawinę, pokazaliśmy strażnikom identyfikatory i przemknęliśmy przez las mikrofonów oraz kamer, znikając za bramą.

Odsłoniłam każdy z grobów i wróciłam do pracy. Zaczęłam od miejsca, gdzie zakopano dwie ofiary. Kontynuowaliśmy wykopki aż do głębokości dwóch metrów, ale znaleźliśmy jedynie kilka kości ręki i kolejną parę butów.

Identycznie postąpiliśmy z grobem, który odkrył Quickwater, ale nie natrafiliśmy na żadne pozostałości. Ani śladu ubrań, ani biżuterii, nie mówiąc o plastikowych dowodach tożsamości czy kluczach. Nie trafiliśmy nawet na resztki tkanek miękkich czy włosów. Dalsze badania GPR nie wykazały żadnych śladów bądź zmian w glebie.

Jeszcze jedna rzecz mnie dziwiła. Podczas gdy podwójna mogiła była pełna śladów robactwa, to w tym grobie nie znalazłam nawet jednej larwy. Nie widziałam żadnej przyczyny, dla której mogłoby się tak stać, a jednak fakt pozostawał faktem.

Okolo piątej zasypaliśmy groby i załadowaliśmy ekwipunek na półciężarówkę. Byłam zmęczona, ubłocona i cuchnęłam odorem śmierci, jedyne, na co miałam ochotę, to wrócić do domu i spędzić godzinę w wannie pełnej ciepłej wody i mydlanych bąbelków.

Kiedy Quickwater wyjechał przez bramę, otoczyli nas dziennikarze. Kordon był tak szczelny, że nie mogliśmy się przezeń przebić i jeep w końcu stanął. Jakiś mężczyzna w średnim wieku o włosach zlepionych lakierem podszedł do okna po mojej stronie i zastukał w szybę. Kamerzysta za jego plecami skierował obiektyw prosto na mnie.

Nie byłam w nastroju do dyskusji, więc w krótkich słowach popartych jednoznacznymi gestami pokazałam im, aby nas przepuścili. Światło kamery zabłyśło, a dziennikarz zaczął zasypywać mnie lawiną pytań. Zasugerowałam mu w odpowiedzi, gdzie może sobie wsadzić kamerę i co z nią zrobić, cofnęłam się do wnętrza samochodu i podniosłam szybę. Quickwater dał krótki sygnał klaksonem i ruszył. Obejrząwszy się za siebie, dostrzegłam jeszcze kompletnie zaskoczonygo reportera, który stał z mikrofonem w dłoni, patrząc na nas ze zdziwieniem w oczach.

Opadłam na oparcie fotela i zamknęłam oczy. Wiedziałam, że Quickwater nie odezwie się ani słowem i taki stan rzeczy bardzo mi odpowiadał. W głowie miałam potworny mętlik, pytania burzyły się jak woda w potoku.

Kim była trzecia ofiara? Jak zmarła? Miałam nadzieję, że odpowiedź na to pytanie znajdę w laboratorium.

Kiedy nastąpił zgon? Jakim trafem części ciała znalazły się na terenie posiadłości Żmij? Na te pytania powinni odpowiedzieć motocykliści.

Najbardziej gnębiło mnie zagadkowe zniknięcie pozostałych części ciała trzeciej ofiary. Co się stało z resztą szkieletu? Kiedy pakowałam kości, uważnie je obejrzałam, poszukując śladów aktywności zwierząt. Niedźwiedzie, wilki, kojoty i inne drapieżniki chętnie pożywiają się ludzkimi zwłokami. Tak samo psy czy koty.

Niemniej, nie dostrzegłam żadnych śladów sugerujących, aby zwierzęta rozwłóczyły brakujące części ciała. Żadne chrząstki ani stawy nie zostały przegryzione, nie było śladów po zębach ani ran kłutych. Nie zauważyłam także śladów cięcia czy rozczłonkowania.

W takim razie, co się stało z brakującymi fragmentami ciała?

Środowy wieczór miał być podobny do wtorkowego. W menu miałam kąpiel, obiad z mikrofalówki, Pata Conroya i sen. Jeśli nie liczyć punktu pierwszego, wszystko poszło inaczej niż planowałam.

Wyszłam z łazienki i nałożyłam właśnie zieloną koszulę nocną, kiedy zadzwonił telefon. Ptasiek ruszył za mną do salonu.

– *Mon Dieu*, stajesz się bardziej znana ode mnie.

Zdecydowanie nie to chciałam usłyszeć. Po dwudziestu latach na deskach scen Quebecu i wielu rolach filmowych, Isabelle była powszechnie uwielbiana i gdziekolwiek się zjawiała, tam rozpoznawali ją wielbiciele.

– Pokazali mnie w wiadomościach o szóstej? – strzełam.

– Oscarowa rola, moja droga. Ta wściekłość i pasja bijąca z oczu...

– Było aż tak źle?

– Nie, masz niezłą fryzurę.

– Powiedzieli, że ja to ja?

– *Mais oui, Docteur Brennan** [Mais oui, Docteur Brennan (fr.) – Ależ oczywiście, doktor Brennan (przyp. red.)].

Cholera. Opadłam na kanapę, a Ptasiek zwinął się w kłębek, mając nadzieję, że będziemy długo rozmawiać.

– Puścili moją wypowiedź?

– A skądże znowu! Nieźle czytam z ust, dlatego zastanawiam się, gdzieś ty się nauczyła takich słów?

Jęknęłam, przypominając sobie, co powiedziałam reporterowi o wsadzeniu sobie mikrofonu z kamerą włącznie.

– Dzwonię w innej sprawie. W sobotę wydaję obiad dla kilkorga przyjaciół i chciałabym, abyś przyszła. Uważam, że przyda ci się sympatyczne towarzystwo, żeby odreagować tych motocyklistów i sprawę Ryana.

Sprawa Ryana.

– Isabelle, obawiam się, że nie jestem w najlepszej formie, żeby...

– Tempe, nie przyjmuję odpowiedzi odmownej. Masz się ładnie ubrać, wyperfumować i założyć perły. Dzięki nim będziesz wyglądać jeszcze lepiej niż zwykle.

– Isabelle, obiecaj mi, że nie bawisz się w swatkę.

W słuchawce zapadło milczenie.

– Tempe, przez tę pracę robisz się potwornie podejrzliwa. Jak już powiedziałam, to będzie spotkanie kilkorga przyjaciół. Poza tym, mam dla ciebie niespodziankę.

O, nie.

– Słucham?

– Jeśli ci powiem, to nie będzie niespodzianka.

– Mów.

– *Bon.* Jest ktoś, kto chciałby cię poznać i zaręczam, że będziesz nim zachwycona. W zasadzie już się znacie, choć nieformalnie. Temu człowiekowi nie chodzi o romantyczne głupoty. Zaufaj mi.

W ciągu ostatnich dwóch lat poznałam wielu przyjaciół Isabelle, w większości artystów. Niektórzy z nich byli potwornymi nudziarzami, inni fascynującymi osobowościami. Zaskakująco wysoki wśród nich był odsetek gejów. Jedno pozostawało faktem: była to oryginalna menażeria. Isabelle miała rację, jedna noc na luzie dobrze mi zrobi.

– No dobrze. Co mam przynieść?

– Nic. Zrób się na bóstwo i przyjdź.

Wytarłam i wysuszyłam włosy, a potem wstawiłam jedzenie do mikrofalówki. Właśnie ją programowałam, kiedy zabrzączał dzwonek u drzwi.

Ryan, pomyślałam, idąc do przedpokoju. Okazało się, że to wszystko jedna wielka pomyłka! A jeśli nie, to czy chcę go widzieć? Czy ja mam ochotę go wysłuchać, widzieć na oczy?

Tak. Jak cholera, tak!

Cały ten wewnętrzny monolog okazał się niepotrzebny. Na monitorze dostrzegłam Jeana Bertranda, partnera Ryana. Wpuściłam go do budynku i wróciłam do sypialni po skarpetki i szlafrok. Kiedy wszedł do mieszkania, zawahał się, jakby próbował opanować nerwy. Po chwili niezręcznie podał mi dłoń. Uścisnęłam ją i przekonałam się, że jest lodowata.

– Cześć, Tempe. Przepraszam, że tak bez zapowiedzi...

Pomyślałam, że sprawianie mi niespodzianek jest ostatnio w modzie.

Twarz Bertranda była ściągnięta i napięta, pod oczami malowały się cienie. Zwykle ubierał się nienagannie i elegancko, ale dzisiejszego wieczoru miał na sobie dzinsową kurtkę i sztruksy. Chciał coś powiedzieć, ale przerwałam mu w pół słowa, wskazując drogę do salonu. Usiadł na sofie, ja zwinęłam się w fotelu naprzeciwko.

Bertrand obserwował mnie przez chwilę, a ja nie potrafiłam stwierdzić, co się kryje za jego spojrzeniem. W kuchni ze spokojnym szumem kuchenka mikrofalowa rozmrażała i podgrzewała rybę z marchewką i ryżem.

To twoje przedstawienie, stwierdziłam w duchu i czekałam, aż mój gość przerwie milczenie.

W końcu powiedział:

– Chodzi mi o Ryana.

– Tak?

– Wiem, że do mnie telefonowałaś, ale nie byłam w stanie oddzwonić. Nie mogłem o tym rozmawiać.

– Czym właściwie jest „to”?

– Ryan wyszedł za kaucją, ale jest oskarżony o...

– Wiem, co mu zarzucają.

– Nie złość się na mnie. Kiedy rozpętała się ta afera, nie wiedziałem, po której jesteś stronie.

– Na litość boską, Bertrand! Jak mogłeś? Tyle lat się znamy!

– Cholera, Ryana znam znacznie dłużej – odparł szorstko. – Wychodzi jednak na to, że kiepsko odgaduję ludzkie charaktery.

– Żadne z nas nie może się pochwalić osiągnięciami w tej dziedzinie.

Byłam zła na siebie, że tak chłodno go traktuję, ale milczenie Bertranda zraniło mnie do żywego. Kiedy potrzebowałam jego pomocy, informacji, kilku słów, olał mnie jak pijaka na ulicy, który prosi o trochę drobnych.

– Posłuchaj, sam nie wiem, co mam powiedzieć. Sprawa jest cholernie skomplikowana, ale doszły mnie słuchy, że jak skończy się dochodzenie, to Ryan nie będzie mógł nawet zbierać papierków na ulicy.

– Jest aż tak źle? – spytałam zaciskając dłonie na krawędzi poduszki.

– Zebrali przeciwko niemu tyle materiału, że mogą go w każdej chwili aresztować.

– Co właściwie mają?

– Kiedy przeszukali jego mieszkanie, znaleźli tyle amfetaminy, że mógłby nakarmić nią głodujących w Trzecim Świecie, i kradzione parki warte dziesiątki tysięcy dolarów.

– Parki?

– Tak. Te kurtki Kanuka* [Kanuk – Kanadyjska firma szyjąca sportową odzież zimową, głównie kurtki (przyp. red.)], co wszyscy dosłownie szczają po nogach, żeby je mieć.

– Co jeszcze? – Palce zacisnęłam tak mocno, że poczułam ostre ukłucie bólu.

– Mają świadków, taśmy wideo, oznaczone rachunki i trop, który prowadzi wprost do najgorszego śmietnika, jaki można sobie wyobrazić. – Głos Bertranda drżał z emocji. Kiedy detektyw skończył mówić, zaczerpnął głęboko tchu. – Jest jeszcze kilka spraw, ale nie wolno mi o nich mówić. Tempe, proszę, zrozum mnie. Przepraszam, że zostawiłem cię na lodzie. Musiałem się sam przez to przegryźć i minęło sporo czasu. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że... – Przerwał w pół zdania, nie ufając swemu głosowi. – Cholera, wychodzi na to, że nie odciął się od przeszłości tak jak myśleliśmy.

Jeszcze na studiach Ryan zaczął pić i épać. Porzucił karierę naukową dla życia na krawędzi, ale kiedy jakiś wariat z nożem o mały włos nie wysłał go na tamten świat, zmienił stronę, został gliną i awansował nawet do stopnia detektywa porucznika. Znałam jego przeszłość, ale pomimo to...

– Zorientowałem się w końcu, że ktoś Ryana zakapował. Wszystko wskazywało na ciebie. Teraz to jednak nie gra roli. Drań jest winny i zasłużył sobie na to, co go czeka.

Zapadła cisza i żadne z nas nie zabierało głosu. Czulałam, że Bertrand mierzy mnie wzrokiem, ale nie odważyłam się spojrzeć mu w oczy. Mikrofalówka zapiszczała i wyłączyła się. Znowu zapadła cisza. W końcu spytałam:

– Sądzisz, że to naprawdę jego robota? – Czulałam rumieniec na policzkach, a w sercu

fizyczny ostry ból.

– Przez ostatnich kilka dni nie robiłem niczego poza szukaniem dowodów, poszlak, świadków, czegokolwiek, co udowodniłoby jego niewinność. Chciałem znaleźć choć jedną rzecz, która podważyłaby wiarygodność oskarżeń. – Pstryknął palcami, a ja spostrzegłam, że jego ręce po prostu się trzęsą. – Niczego nie znalazłem, Tempe. Ale to nie ma już znaczenia.

Potał twarz dłońmi, a ja odparłam:

– Wręcz przeciwnie. To jedyna rzecz, jaka ma znaczenie.

– Na początku pomyślałem: nie ma mowy, nie Andrew Ryan. Ale potem poznałem szczegóły sprawy. – Zamilkł, wziął głęboki oddech i dokończył: – Posłuchaj, Tempe... Przepraszam cię za ten cały bałagan, ale w obecnej chwili mam w głowie taki mętlik, że praktycznie nie wiem, jak się nazywam, ani gdzie jest góra, a gdzie dół.

Spojrzałam mu prosto w oczy i zobaczyłam w nich ogromny ból. Z jednej strony Bertrand starał się ze wszystkich sił, aby nie uwierzyć, że jego partner okazał się chciwym oszustem, a z drugiej nienawidził go za to.

Bertrand obiecał, że będzie mnie informował na bieżąco. Kiedy wyszedł, wywaliłam do kosza zimną już rybę i poszłam spać.

Rozdział 10

W czwartek założyłam ciemnoniebieski kostium i pojechałam do kościoła Naszej Pani od Aniołów. Poranek był przygnębiający, słońce tylko od czasu do czasu wyglądało zza gęstych chmur, które przesłaniały niebo.

Zaparkowałam samochód i przepchnęłam się przez tłum gapiów, dziennikarzy i policjantów. Nigdzie nie widziałam ani Claudela, ani Charbonneau, ani tym bardziej Quickwatera.

Zebrani na schodach kościoła żałobnicy w większości byli czarni. Biali, pozostający w mniejszości, przybywali parami lub grupkami. Każdej z nich towarzyszyło dziecko, zapewne kolega lub koleżanka Emily z klasy.

Nagły podmuch wiatru zerwał kapelusz z głowy kobiety stojącej obok wejścia. Jedną sękatą dłonią spróbowała go chwycić, a drugą doprowadzić spódnice do porządku.

Skoczyłam do przodu i chwyciłam kapelusz. Podniosłam go z ziemi i podałam kobiecie, Podziękowała z lekkim uśmiechem. Jej pomarszczona twarz przypominała mi lalki, które wykonywały damy ze Smoky Mountain* [Smoky Mountain – Park Narodowy Great Smoky Mountains położony na pograniczu stanów Karolina Północna i Tennessee jest jednym z największych chronionych obszarów na wschodnim wybrzeżu USA (przyp. red.)].

– Jest pani przyjaciółką Emily Anne? – spytała.

– Tak – odparłam, nie chcąc wchodzić w szczegóły.

– To moja wnusia.

– Bardzo mi przykro z powodu straty.

– Mam dwadzieścia jeden wnucząt, ale Emily Anne jest wyjątkowa. To dziecko umie wszystko. Pisze listy, tańczy w balecie, pływa i jeździ na łyżwach. Myślę, że nawet jest mądrzejsza od swej mamy.

– Była prawdziwym aniołkiem.

– Tak, dlatego Bóg ją do siebie zabrał.

Odprowadziłam spojrzeniem babcię Emily Anne. Niedawno ktoś wypowiedział do mnie podobne słowa. Poczułam żal w sercu, ale wzięłam się w garść, wiedząc, co za chwilę może nastąpić.

Wnętrze kościoła było chłodne i pachniało kadzidłem, woskiem ze świec oraz politurą do drewna. Ławki i ołtarz skąpane były w kolorowym świetle witraży, które nadało budynkowi łagodny wyraz.

Goście siedzieli z przodu, bliżej przejścia pomiędzy ławkami. Ja wybrałam ławkę z tyłu. Wślizgnęłam się na miejsce i usiadłam w ciszy, próbując skupić się na chwili obecnej. Pomimo to nerwowo zaciskałam i rozprostowywałam palce, czując, jak serce łomocze mi w piersi. Kiedy po raz kolejny rozejrzałam się dookoła, organista skończył grać jedno rekwiem i zaczął następne.

Przed ołtarzem stała niewielka biała trumna otoczona wieńcami kwiatów i świeczkami. Do jej uchwytych przywiązano baloniki, które unosiły się niemrawo w powietrzu. W

zestawieniu z żalobną atmosferą, wyglądały nie na miejscu, jakby przeniesiono je tutaj z innej, szczęśliwszej, rzeczywistości.

W pierwszej ławce zauważyłam dwie niewielkie dziecięce główki rozdzielone przez masywniejszą sylwetkę dorosłej kobiety, matki Emily Anne. Pani Toussaint siedziała pochylona do przodu, łkając i zasłaniając usta chusteczką. Jej ramiona drżały i w pewnym momencie któreś z dzieci położyło na jej dłoni swoją drobną rączkę, głaszcząc matkę uspokajająco.

Uśpiony żal, który zaczął budzić się pod wpływem tej sceny, dał o sobie znać z pełną siłą. We wspomnieniach powróciłam do parafii Świętego Barnaby, gdzie ojciec Morrison odprawiał mszę pogrzebową za duszę mojego brata.

Matka tak bardzo szlochała, że bałam się o nią. Poglaskałam ją wtedy, ale nie dostrzegła mojego gestu, tylko płakała i płakała, tuląc małą Harriet do piersi. Byłam bezsilna, mogłam jedynie obserwować, jak czepek siostry staje się coraz bardziej wilgotny od łez mamy.

Kiedyś podarowano mi kredki i poproszono, abym narysowała mój świat. Wybrałam tylko jeden kolor. Czarny.

Nie mogłam uratować Kevina. Białaczka spustoszyła jego ciało, a mnie odebrała ukochanego braciszka. Modliłam się jak tylko umiałam, aby Bóg go ocalił, ale nie ustrzegłam go przed śmiercią. Nie przywróciłam matce uśmiechu. Potem zaczęłam się zastanawiać, czy jestem aż takim złym człowiekiem, że moje modlitwy pozostały bez odpowiedzi?

Prawie czterdzieści lat później ból po stracie brata nadal we mnie drzemał. Widok, zapach i atmosfera, jakie towarzyszyły mszy pogrzebowej otworzyły na nowo stare rany.

Oderwałam spojrzenie od rodziny Toussaint i obrzuciłam nim zgromadzonych. Dostrzegłam Charbonneau, który przysiadł za konfesjonałem, ale poza nim nie zauważyłam nikogo znajomego.

W tym momencie wszedł ksiądz i przeżegnał się. Był młody, dobrze zbudowany i wyglądał na mocno zdenerwowanego. Bardziej kojarzył mi się z tenisistą przed piłką meczową niż z duchownym, który ma za chwilę pochować dziecko. Wstaliśmy z miejsc.

Rutyna znajomych ruchów i słów bynajmniej mnie nie uspokoiła. Wręcz przeciwnie, serce łomotało mi w piersi jak młotem. Choć próbowałam się skupić na liturgii, mój umysł opierał się temu zadaniu. Przed oczyma przepływały mi obrazy z dzieciństwa.

Po prawej stronie księdza stanęła wielka Murzynka o skórze koloru polerowanego mahoni. Jej włosy zebrane były na czubku głowy, a policzki lśniły, kiedy zaczęła śpiewać hymn „Amazing Grace”. Przypomniałam sobie, że jej twarz widziałam na zdjęciu w gazecie.

Ksiądz zaczął kazanie od dziecięcej niewinności. Krewni Emily Anne mówili o jej radosnym usposobieniu i miłości do rodziny. Wujek wspominał o tym, jak bardzo lubiła wafle, a nauczycielka podzieliła się opowieściami ze szkoły, w których podkreślała jej entuzjazm i chęć do nauki. Przeczytała także esej, za który Emily Anne dostała nagrodę. Koleżanki z klasy zadeklamowały wiersz, który napisały ku jej pamięci.

Potem zgromadzeni odśpiewali kolejny hymn i przystąpili do komunii. Gdy wrócili na miejsce, dało się słyszeć ciche łkania. Kadzidło pachniało, a ksiądz pobłogosławił trumnę przy akompaniamencie płaczu pani Toussaint.

Potem ksiądz zwrócił się do zgromadzonych i poprosił dzieci, aby podeszły do niego. Usiadł na schodkach prowadzących do ołtarza i czekał w milczeniu. Usłyszałam szepty rodziców, którzy wypychali dzieci w jego kierunku. Z wolna jedno po drugim wyszły z ławek i podeszły do ołtarza.

Ksiądz nie powiedział niczego oryginalnego. Emily Anne trafiła do nieba, gdzie spotkała się z ojcem, a któregoś dnia dołączą do niej matka i siostry oraz wszyscy zgromadzeni.

Potem jednak, młody ksiądz zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Powiedział, że Emily Anne za życia była szczęśliwą dziewczynką, a teraz raduje się w niebie, dlatego wszyscy powinni się cieszyć. Dał znać i po chwili ministranci wynieśli z zakrystii masę ogromnych balonów.

– Każdy z nich wypełniony jest helem – powiedział. – Dzięki niemu polecą one wysoko. Chcę, abyście wzięły, każde z was po jednym i wypuściły je, kiedy zmówimy ostatnią modlitwę. Emily Anne zobaczy balony i będzie wiedziała, że o niej pamiętamy i ją kochamy.

Spojrzał na poważne, smutne buzie.

– Myślicie, że to dobry pomysł?

Odpowiedziały mu milczące kiwnięcia głową.

Ksiądz wstał ze schodków, rozwiązał wstążki baloników i podał każdemu z dzieci po jednym. Potem zaprowadził do wyjścia z kościoła. Organista zaczął grać „Ave Maria”, a grabarze chwycili i unieśli trumnę, po czym ruszyli w jego ślady. Zająłam miejsce z tyłu konduktu.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, trumnę otoczyły dzieci, a te z kolei dorośli. Przeszliśmy naokoło kościoła, pani Toussaint szła podtrzymywana przez córki i śpiewaczkę.

Zatrzymałam się na schodkach. Wiatr rozwiął chmury i po niebie pędziły białe baranki. Kiedy obserwowałam, jak wzbijają się ku nim balony, poczułam w sercu taki żal i smutek, że o mały włos się nie rozplakałam.

Stałam nieruchomo przez chwilę, potem zeszłam na dół i otarłam łzę, która pomimo wszystko spłynęła po moim policzku. W milczeniu powtórzyłam przysięgę, którą złożyłam nad ciałem Emily Anne.

Znajdę tych rzeźników i doprowadzę do tego, że zgniją w więzieniu, gdzie nie będą stanowili zagrożenia dla innych dzieci. Może w ten sposób, choć w minimalnym stopniu, ukoję ból matki, która straciła dziecko.

Pozostawiłam Emily Anne z tymi, których kochała za życia i ruszyłam w stronę Parthenais, aby zatopić się w pracy.

Kiedy dotarłam do laboratorium, śledczy z *Carcajou* mieli dla mnie ciekawe informacje. Udało im się dotrzeć do personaliów ofiar z St-Basile. Pierwszą z nich był Félix Martineau, lat dwadzieścia siedem, drugą Robert Gately, lat trzydzieści dziewięć. Obydwaj należeli do nieistniejącego już gangu Tarantuli, który działał na terenie Montrealu w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Gately był jego pełnoprawnym członkiem, Martineau kandydatem.

Popołudniem 24 sierpnia 1987 roku opuścili mieszkanie Gately'ego przy Rue Hochelaga i

pojechali na imprezę. Stara pani Gately nie wiedziała, gdzie pojechali ani gdzie był gospodarz. Żadnego z mężczyzn już więcej nie widziano.

Resztę dnia spędziłam, badając kości z podwójnego pochówku. Posortowałam je, biorąc pod uwagę rasę, płeć i wzrost. Kości czaszkowe i miednicowe dowodziły, że mamy do czynienia ze zwłokami mężczyzn. Różnice wiekowe i metryczne sprawiły, że identyfikacja była znacznie łatwiejsza niż w przypadku braci Vaillancourtów.

Kiedy tylko skończyłam badać czaszki i szczęki, przekazałam je Marcowi Bergeronowi, aby przeprowadził analizę dentystyczną. Jego zadanie powinno być równie łatwe jak moje, jako że na uzębieniu obydwu widać było ślady zabiegów i plomb.

Na obojczyku wyższej z ofiar znalazłam ślady złamania kości. Był piątkowy ranek, szykowałam się właśnie do wykonania zdjęcia dokumentującego złamanie, kiedy Bergeron wszedł do laboratorium. Dentysta był jednym z najdziwniej wyglądających ludzi, jakich poznałam. Jego włosy przypominały rozgrzebany stóg siana i chodził pochylony do przodu, jakby miał za chwilę upaść. Nie sposób było zgadnąć, ile ma lat i nikt w laboratorium nie potrafił tego powiedzieć.

Bergeron odczekał, aż wykonam zdjęcie, a potem potwierdził identyfikację zwłok.

– Jakim cudem uporałeś się z tym tak szybko? – spytałam.

– Rozmawiałem z bardzo pomocnymi stomatologami. Jeden z zabitych dbał o zęby, Gately, dokładniej mówiąc. Były słabe, więc często gościł u dentysty. Martineau nie przejmował się uzębieniem, ale z drugiej strony posiadał kilka cech szczególnych. Zwalisty i groźny motocyklowy gangster miał cztery mleczone ząbki. To dość rzadki przypadek, zwłaszcza jak na mężczyznę w tym wieku.

Wyłączyłam światła i aparaturę.

– Zająłeś się już trzecią ofiarą?

– Nie, ale identyfikację tych dwóch ciał mogę dokończyć później. Chcesz mi towarzyszyć?

Przez cały ranek myślałam o trzeciej ofierze. Propozycja Bergerona dała mi wreszcie pretekst.

– No jasne.

Odłożyłam kość obojczykową na stół po lewej.

– Kto jest kim? – spytałam, wskazując na ciała.

Bergeron podszedł do tacki i obejrzał numerki na każdej z kości potylicznych, a potem na niewielkie kartki leżące obok szkieletów. Ułożył czaszki w odpowiednich miejscach i przesunął kościstą dłoń po obojczyku.

– *Monsieur Martineau*. – Przeniósł wzrok na drugiego i dodał: – I pan Gately.

– Gately był angielskojęzyczny?

– Tak mi się wydaje, zwłaszcza że jego dentysta nie mówił słowa po angielsku.

– Nie ma ich wielu pośród *les motards*.

– Faktycznie, o żadnym takim nie słyszałem – przytaknął Bergeron.

– Przekażę pan dobre informacje Claudelowi i Quickwaterowi?

– Już do nich dzwoniłem.

Podeszłam do półki, na której stały kartonowe pudła ze szczątkami i zdjęłam to, w którym schowano kości trzeciej ofiary z St-Basile. Całe były umazane w zaschniętym błocie, dlatego przymocowałam kratkę nad zlewem, ułożyłam na niej szczątki i splukałam ciepłą wodą.

Długie kości dały się oczyścić bez problemu. Odłożyłam je na bok i zaczęłam wypłukiwać piach z zakamarków czaszki. Po jej wadze poznałam, że wnętrze puszeki mózgowej jest pełne. Kiedy spod warstwy brudu wyłoniły się zarysy kości twarzowych, obróciłam ją i pozwoliłam wodzie spływać po potylicy. Osuszyłam szczątki i odłożyłam je na kratkę. Następnie podeszłam do biurka, aby wyciągnąć z szuflady formularze.

Kiedy wróciłam, Bergeron oglądał kości. Trzymając czaszkę w dłoniach, obrócił ją twarzą ku sobie, a potem bokiem. Przez dłuższą chwilę mierzył kości wzrokiem, aż w końcu szepnął:

– O rany...

Kiedy podał mi czaszkę, obejrzałam ją w ten sam sposób i powtórzyłam:

– O rany...

Rozdział 11

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby przekonać się, że nasze początkowe założenia były całkowicie błędne. Gładkie czoło i potylica, łagodnie zakrzywione luki brwiowe oraz niewielkie wybrzuszenia za uszami powiedziały nam, że trzecia ofiara bez wątpienia była kobietą.

Sięgnęłam po cyrkiel i zaczęłam dokonywać pomiarów, za wzór przyjmując jedną z kości, które leżały na stole. Główna kości udowej przypomina kulę, która dokładnie pasuje do torebki stawowej w miednicy, formując staw biodrowy. W tym przypadku średnica wynosiła trzydzieści dziewięć milimetrów, co mieściło się w normach kobiecych.

Ofiara była młoda. Na szczycie główki widziałam poszarpane linie, oznaczające, że w momencie śmierci nie dokonał się jeszcze całkowity zrost kości.

Wróciłam do czaszki. Tu też ząbkowane linie rozdzielały wszystkie kości. Obróciłam ją tak, aby spojrzeć na spód. U jej podstawy znajdował się otwór, z którego wychodził rdzeń kręgowy łączący mózg z resztą organizmu. Pomiędzy kośćmi klinową i potyliczną była szpara.

Pokazałam znalezisko Bergeronowi.

– To było dziecko – powiedziałam. – Prawdopodobnie nastolatka.

Bergeron powiedział coś pod nosem, ale nie dosłyszałam dokładnie co. Moją uwagę w całości przykuły nieregularności prawej kości potylicznej. Ostrożnie przeciągnęłam po nich palcami. Tak, coś tam było.

Ostrożnie, aby nie uszkodzić czaszki, podniosłam ją i zaczęłam oczyszczać z zaschniętego błota. Pracowałam miękkim pędzelkiem, Bergeron nie odrywał wzroku od jego ruchów. Po kilku chwilach moją uwagę przykuła niewielka okrągła jama znajdująca się tuż ponad otworem kanału usznego. Jej średnica wynosiła nie więcej jak jeden centymetr.

– Rana po kuli? – spytał Bergeron.

– Być może... Nie, jednak nie.

Choć średnica otworu mogła sugerować, że powstał on w wyniku postrzelenia, to sposób perforacji kości w ogóle nie przypominał rany po kuli. Krawędzie otworu były gładkie i zaokrąglone, przypominając dziurkę w środku amerykańskiego pączka.

– W takim razie, co to jest?

– Nie jestem pewna. Może jakaś wada wrodzona? A może ślad po ropniu wrzodowym? Muszę opróżnić czaszkę, żeby mieć pewność i przyjrzeć się jej strukturze. Podejrzewam, że nieodzowne będzie badanie rentgenowskie, które pozwoli mi dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja wewnątrz puszeki mózgowej.

Bergeron spojrzał na zegarek.

– Daj mi znać, jak skończysz. Zrobię kilka badań zgryzu. Nie widzę śladu po zaleczeniu ubytków, ale być może rentgen coś wykaże. Prawy kiel jest dość dziwnie wygięty i być może jego badanie powie nam coś o ofierze, ale wolę dysponować zdjęciami całej szczęki.

– Następnym razem bardziej się postaram.

– To żaden zarzut – roześmiał się głośno.

Kiedy Bergeron wyszedł, ułożyłam czaszkę górą do dołu i pozwoliłam wodzie przepływać przez otwory. Wróciłam do fotografowania szczątków Gately’ego i Martineau, dokumentując cechy szczególne ich kości, które miały pomóc w dokładnej identyfikacji zwłok. Zrobiłam też serię zdjęć, koncentrując się na ranach postrzałowych głowy.

Co jakiś czas wracałam do czaszki, oczyszczając ją z ziemi, która pod wpływem wody odlepiała się całymi płatami. Tuż przed południem, kiedy odsączałam osad, coś stuknęło o wewnętrzną stronę kości. Wzięłam czaszkę w dłonie i wsunęłam palce do środka.

Dziwny przedmiot był długi i cienki. Próbowалаm go wyciągnąć, ale jakaś jego część tkwiła nadal w skamieniałym błocie. Zmieniłam pozycję czaszki na sicie i wróciłam do zwłok Gately’ego.

Okolo pierwszej po południu większa część przedmiotu była już uwolniona, ale nadal nie mogłam go wydobyć. Zniecierpliwiona, nalałam wody do zlewu i zanurzyłam w niej czaszkę. Potem wyszłam z laboratorium i zeszłam do bufetu.

Kiedy zjadłam lunch, okazało się, że skamieniały muł wreszcie nasiąkł na tyle, że mogłam wyciągnąć dziwny przedmiot. Zagryzłam wargi i sięgnęłam palcami w głąb czaszki. Po chwili wyciągnęłam go na światło dzienne.

Urządzenie miało niecałe cztery centymetry długości i składało się z rurki zakończonej niewielkim zaworkiem na jednym końcu. Jasne dla mnie było, że to ważna poszlaka, niemniej, kompletnie nie wiedziałam, z czym mam do czynienia.

Oplukałam ręce i ruszyłam na poszukiwania jakiegoś patologa. Na tablicy informacyjnej znalazłam notatkę, że LaManche jest na zebraniu komisji zajmującej się zgonami niemowląt, dlatego poszłam do Marcela Morina.

Zastukałam do drzwi, a on spojrzał na mnie znad papierów.

– Masz minutkę?

– Oczywiście – odpowiedział wdzięcznym, dobrodusznym tonem. Jego francuski zdradzał ślady haitańskiego dzieciństwa. Weszłam do biura i położyłam na biurku tackę z rurką, którą znalazłam we wnętrzu czaszki.

– Ach. Implant chirurgiczny – powiedział, unosząc brwi. Spojrzał na znalezisko sponad okularów bez oprawek, a ja nie mogłam nie zauważyć, że siwieje, począwszy od czoła w kierunku potylicy.

– Tak właśnie myślałam. Możesz mi powiedzieć, jakie było jego przeznaczenie?

– Szczerze mówiąc, nie – odparł, unosząc dłonie, jak w obronnym geście. – Wygląda mi to na zastawkę komorową, ale nie jestem neurochirurgiem i nie mam pewności. Powinnaś porozmawiać z Carolyn Russell. Przeprowadza dla nas konsultacje w tej dziedzinie.

Morin otworzył notatnik, znalazł odpowiednią stronę, przepisał numer na karteczkę i podał mi ją, mówiąc:

– Pracuje w MNI.

Podziękowałam mu i wyszłam. Z własnego biura zadzwoniłam do Montreal Neurological Institute. Doktor Russell była na spotkaniu, więc zostawiłam dla niej wiadomość.

Ledwo odłożyłam słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie. To był Claudel.

– Rozmawiała pani z Bergeronem? – spytał.

– Tak, przed półgodziną.

– Czyli tych dwóch możemy skreślić z listy zaginionych, a zapisać jako martwych.

Czekałam, aż dokończy, ale zamilkł.

– I?

Przez chwilę nic nie mówił, a potem dodał:

– Zaczęliśmy przeprowadzać wywiad środowiskowy, ale nikt nic nie wie. Nie ma się czemu dziwić, skoro minęło dziesięć lat, a motocykliści nie siedzą w jednym miejscu. Poza tym nie powiedzieliby niczego, gdybyśmy wyciągnęli ich babki z grobów i zaczęli je przesłuchiwać. Żaba nie zmienia zeznań i nadal twierdzi, że o trupach wiedział ze słyszenia. Wedle opowieści jego kumpli, Gately i Martineau przyjechali na imprezę, nie wiedząc, że będzie to ich pogrzeb.

– W skarpetkach.

– Zgadza się. Ci goście nie dbają o porządną ubiór. Niemniej, Żaba powtarza, że nie było go wtedy na miejscu. Co z trzecim kolesiem?

– To dziewczyna.

– Aha.

– Tak. Czy Żaba wie coś na jej temat?

– Nie, ale ten drań nie puści pary z gęby, jeśli nic na tym nie zyska. Co mi może pani o niej powiedzieć?

– Dziewczyna, rasa biała, nastolatka.

– Była aż tak młoda?

– Tak.

Zapadło milczenie. W słuchawce słyszałam odgłosy ulicy. Claudel musiał dzwonić z miasta.

– Przejrzę listę zaginionych. Z jakiego okresu?

– Dziesięć lat wstecz.

– Czemu?

– Mam wrażenie, że ciało było w ziemi przez dwa lata, ale nie sposób mieć pewności, przy tak skąpym materiale. Poza tym uważam, że to był wtórny pochówek.

– Co to dokładnie oznacza?

– Dziewczynę pochowano gdzieś indziej, potem ciało wykopano i przeniesiono w miejsce, gdzie natrafiliśmy na szczątki.

– Czemu?

– Kolejne celne pytanie, detektywie Claudel.

Opowiedziałam mu o implancie chirurgicznym.

– A to co do cholery ma znaczyć?

– Dam panu znać, jak się tylko czegoś dowiem.

Odłożyłam słuchawkę i telefon ponownie zadzwonił.

Carolyn Russell mogła się ze mną spotkać o trzeciej.

Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że jeśli bogowie parkingów i miejskich korków

spojrzę na mnie łaskawym okiem, to zdążę.

Zapisałam numer sprawy na pokrywie plastikowego pojemnika i włożyłam do środka implant. Ruszyłam do wyjścia, powiedziałam Bergeronowi, że może przejąć czaszkę i pobiegłam do samochodu.

Royal Victoria Hospital zbudowano na przełomie wieków. Był to rozległy budynek z szarego kamienia, wznoszący się w samym centrum Montrealu. Opodal, w jego cieniu, znajdował się campus McGill, przypominający średniowieczną wieś, leżącą w cieniu zamku władzy.

Przy skrzyżowaniu z Peel znajduje się niesławny Allan Memorial Institute, w którym CIA w latach pięćdziesiątych przeprowadzało na pacjentach eksperymenty z użyciem narkotyków. Montreal Neurological Institute znajduje się na wschód od Royal Vic, naprzeciwko Rue Universite.

Instytucje naukowe i badawcze Uniwersytetu McGill, MNI i Neurological Hospital oraz nowy Brain Tumor Research Institute mieszczą się w starych ceglanych budynkach, opodal stadionu bejsbolowego. Jest to świadectwo priorytetów finansowych, jakimi kieruje się współczesny uniwersytet.

Neuro, jak potocznie się mówi o szpitalu i instytucie, zaczęły funkcjonować w latach trzydziestych i są dziełem Wildera Penfielda* [Wilder Graves Penfield (1891-1976), kanadyjski neurochirurg, zajmował się głównie leczeniem ciężkich postaci epilepsji (przyp. red.)]. Choć był to doskonały naukowiec i wybitny neurochirurg, kompletnie nie znał się na komunikacji miejskiej. Znalezienie miejsca do zaparkowania było koszmarem.

Idąc za radą doktor Russell, wjechałam na teren Royal Vic i zaczęłam szukać miejsca do zaparkowania. Po trzecim okrążeniu dostrzegłam tylne światła audi. Jak orzeł rzuciłam się na jego miejsce i kiedy wysiadałam z samochodu, była za pięć trzecia.

Do jej gabinetu wpadłam spocona i zdyszana. W międzyczasie zdążyłam zwiedzić cały szpital, w głowie mi huczało, ból narastał. Kiedy pani Russell spojrzała na mnie, na jej twarzy wykwitł wyraz zdumienia i zwątpienia.

Przedstawiłam się, a doktor Russell wstała i podała mi rękę. Jej twarz była pomarszczona, ale dłoń silna, jak u mężczyzny. Moim zdaniem doktor Russell miała około sześćdziesięciu lat.

– Przepraszam za spóźnienie, ale miałam kłopoty ze znalezieniem pani. – Było to co najmniej niedopowiedzenie.

– O, tak. Budynek przypomina labirynt. Proszę siadać. – Wskazała mi krzesło naprzeciwko.

– Nie miałam pojęcia, jak rozległy jest gmach.

– Tak, MNI prowadzi szereg różnorodnych badań.

– Macie szczególne osiągnięcia w leczeniu epilepsji. – Zdjęłam kurtkę.

– O, tak, w naszym szpitalu przeprowadza się więcej zabiegów niż w jakimkolwiek innym ośrodku na świecie. Metoda chirurgicznego usunięcia kory została opracowana właśnie u nas. Podobnie jak studia nad mapowaniem mózgu u pacjentów z epilepsją rozpoczęto

sześćdziesiąt lat temu i dzięki temu opracowano metody MRT* [MRI (magnetic resonance imaging) – metoda magnetycznego rezonansu jądrowego, nieinwazyjna metoda badania polegająca na uzyskiwaniu obrazów przekroju danej części ciała człowieka (przyp. red.)] oraz PET, którymi się dzisiaj posługujemy.

– Akurat o metodzie rezonansu magnetycznego wiem całkiem sporo, jednak co to jest PET?

– Pozytronowa Emisja Tomograficzna jest dość podobna do MRI, ale wykorzystuje się ją do tworzenia obrazu struktury mózgu i jego fizjologii. McConnell Brain Imaging Center jest jednym ze światowych pionierów tej dziedziny.

– Czym się zajmują inne zespoły badawcze?

– Och, wiele przełomowych odkryć naukowych dokonało się właśnie w MNI. Rozwinęliśmy metodę elektroencefalografii, koncepcję ogólnej i zogniskowanej epilepsji, nowe metody chirurgii bezinwazyjnej. Badaliśmy także zagadnienia gruczołów i ich biochemii oraz wpływu tych czynników na system nerwowy i na lokalizację dystrofii mięśni szkieletowych. Mogłabym pani opowiadać o tym godzinami.

Byłam pewna, że doktor Russell mogłaby kontynuować tę opowieść bez końca. Bez wątplenia była dumna z macierzystej organizacji. Uśmiechnęłam się zachęcająco, choć rozumiałam znaczenie tylko części osiągnięć instytutu.

Doktor Russell odchyliła się do tyłu i także się uśmiechnęła.

– Coś mi się wydaje, że nie przyjechała pani po to, aby wysłuchiwać listy sukcesów Neuro.

– Nie, ale przyznaje że jest fascynująca. Chciałabym mieć więcej czasu i dowiedzieć się więcej, ale wiem, że jest pani zajęta. Przepraszam, że zajmuję pani czas, ale mam pewien problem...

Wyjęłam pojemnik z torebki i podałam doktor Russell. Obejrzała go uważnie, po czym odkręciła wieczko i położyła implant na kartce papieru na biurku.

– To dość stary model – powiedziała, obracając przedmiot ołówkiem. – Wydaje mi się, że nie produkują go od wielu lat.

– Co to jest?

– To zastawka komorowo-otrzewnowa. Jest stosowana przy leczeniu hydrocephalusu.

– Hydrocephalusu? – Znałam ten termin, ale zaskoczyło mnie, kiedy doktor Russell wymieniła nazwę choroby. Czego jeszcze strasznego dowiem się o tym biednym dziecku?

– Tak, potocznie nazywa się tę chorobę wodogłowie. Termin nie jest poprawny, ale stanowi dosłowne tłumaczenie greckiego terminu, jakim nazwano tę chorobę. *Hydro* oznacza wodę, a *cephalus* głowę. Płyn rdzeniowo-mózgowy jest produkowany bez przerwy w przestrzeniach międzymózgowia, zwanych komorami. Zwykle przepływa pomiędzy czterema komorami, obmywa powierzchnię mózgu, a następnie jest odprowadzany w dół do kanału rdzenia kręgowego. Potem jest absorbowany przez krew, a ciśnienie i jego ilość w komorach mózgowych pozostaje na stałym i dobrym poziomie. Zdarzają się przypadki, kiedy odpływ płynu mózgowego jest zakłócony, wtedy się on zbiera i powoduje, że komory puchną oraz wywierają nacisk na otaczające je tkanki.

– Czy wodogłowie jest spowodowane złymi proporcjami między ilością produkowanego, a odprowadzanego płynu?

– Dokładnie tak.

– Jeżeli ilość płynu mózgowego będzie ciągle wzrastać, wtedy tkanki kostne głowy ulegną zniekształceniu i zacznie się ona rozrastać.

– Widzę, że ten problem jest pani znany. Hydrocephalus może być nabyty lub wrodzony, co nie znaczy, że jest odziedziczony. Termin *wrodzony* stosuje się tylko do określenia stanu zdrowia w momencie narodzin.

– Dren znalazłam wewnątrz normalnie wyglądającej czaszki. Czy osoba cierpiąca na to schorzenie nie powinna mieć jej nienormalnie rozrośniętej?

– Tak się dzieje w przypadku noworodków i to tych, u których schorzenie nie jest leczone. Sama pani wie doskonale, że później, u starszych dzieci oraz dorosłych, kości czaszki są już uformowane i nic nie można poradzić na zniekształcenia.

– Co jest przyczyną deformacji?

– Istnieje wiele przyczyn, dla których płyn rdzeniowo-mózgowy może nie być odprowadzany w prawidłowy sposób. Wcześniaki są szczególnie narażone na to ryzyko, a wodogłowie występuje szczególnie często u dzieci z rozszczepem kręgosłupa.

– Rozszczep kręgosłupa pociąga za sobą uszkodzenie cewy nerwowej?

– Tak. Problem pojawia się w ciągu czterech pierwszych tygodni życia płodowego, zwykle zanim matka się zorientuje, że jest w ciąży. Cewa nerwowa, z której później ewoluuje mózg, rdzeń kręgowy i kręgosłup, nie formuje się w sposób prawidłowy, co prowadzi do nieodwracalnych uszkodzeń.

– Jak często dochodzi do takich przypadków?

– Zbyt często. W Stanach Zjednoczonych uszkodzenie to dotyka jedno dziecko na tysiąc, a w Kanadzie rodzi się z nim jedno na siedemset pięćdziesiąt.

– Nie znaleźliśmy fragmentów kręgosłupa, więc nie jestem w stanie powiedzieć, czy cierpiała na rozszczep czy nie.

Russell pokiwała głową, a potem kontynuowała wyjaśnienia.

– Istnieje wiele innych przyczyn występowania hydrocephalusa. – Zaczęła je odliczać na palcach. – Po pierwsze krwotok wewnętrzny mózgu, zapalenie opon mózgowych na tle infekcyjnym, obrzęki potrafią zredukować tkankę mózgową i spowodować zakłócenie procesu drenażu. Co więcej, rzadko bo rzadko, ale choroba potrafi dotknąć członków jednej rodziny.

– Ta choroba bywa dziedziczna?

– Tak, ale rzadko.

– Kiedy stosuje się zastawki?

– Nie istnieje sposób, aby zapobiec wodogłowiu lub je wyleczyć. Przez ostatnich czterdzieści lat stosowano chirurgicznie wprowadzane układy zastawkowe, jako najskuteczniejszy sposób na zapobieżenie objawom choroby. Ten, który pani przyniosła, jest dość przestarzałym modelem, choć całkiem typowym. Większość z nich miała postać giętkich rurek, które wszczepiano do komory, aby odprowadzały nadmiar płynów. Składały się z

samej rurki i zastawki, która regulowała tempo opróżniania komory oraz zapobiegała cofaniu się płynu. Pierwsze modele kierowały płyn do żył szyjnych, a potem do prawego przedsionka serca. Nazywano je zastawkami komorowo-przedsionkowymi. Choć czasem są jeszcze używane, to wiąże się z nimi wiele problemów. Po pierwsze, istnieje ryzyko infekcji, a w rzadkich przypadkach zawału serca, związanego z blokowaniem komórek krwi w płucach, co jest rezultatem zatkania rurki. Większość obecnych drenów odprowadza płyn wprost do otrzewnej. – Doktor Russell wskazała na rurkę, która nadal leżała na biurku. – To jest właśnie ten rodzaj zastawki. U żywego pacjenta byłaby pani w stanie wyczuć rurkę biegnącą pod skórą opinającą żebra... Część tego urządzenia zaginęła. – Głos doktor Russell zawisł w powietrzu, a ja czekałam cierpliwie, aż zacznie kontynuować. – Otrzewna jest dość duża, aby dać sobie radę z każdą ilością płynu, jaki doprowadzi do niej dren. Kolejną zaletą tej metody jest rytmiczne poruszanie się jelit, dzięki czemu końcówka rurki nie pozostaje w jednym miejscu. W ten sposób nie formuje się blizna i nie blokuje ona wylotu drenu.

– Kiedy wprowadza się ją do organizmu?

– Kiedy tylko zostanie zdiagnozowany hydrocephalus. W brzuchu noworodka można umieścić do dziewięćdziesięciu centymetrów drenu, tak więc nawet kiedy dziecko urośnie, nie ma potrzeby dokonywać kolejnych zabiegów. Rurka po prostu się rozwija, dostosowując się do długości korpusu.

– Znalazłam niewielki otwór w czaszce, znajdujący się w pobliżu złączenia kości.

– To otwór odwiertowy. Wykonuje się go, aby wprowadzić górną część drenu. Zwykle umieszcza się ją poza linią włosów, na czubku głowy lub za uchem.

Spojrzenie doktor Russell przebiegło po tarczy zegara, a potem powróciło na mnie. Byłam ciekawa, jakie schorzenia mogą być spowodowane przez wodogłowie, ale mój czas dobiegł końca. Reszta poszukiwań zależała ode mnie.

Zapakowałam zastawkę do słoika, wykorzystując do tego kartkę papieru z biurka i sięgnęłam po kurtkę.

Wstałyśmy jednocześnie i podziękowałam za pomoc.

– Ma pani pojecie, kim była ta młoda dama?

– Jeszcze nie.

– Chciałaby pani jakieś materiały dotyczące hydrocephalusa? Istnieje kilka problemów związanych z chorobą, być może literatura okaże się pomocna.

– Tak, bardzo dziękuję.

Rozdział 12

Opuściłam gmach Neuro i pojechałam, do siedziby *Carcajou*, gdzie Roy miał kontynuować podsumowanie w trakcie drugiego spotkania. Kiedy dotarłam na miejsce, narada już trwała, więc po cichu wślizgnęłam się na miejsce. W dalszym ciągu myślałam o spotkaniu z Carolyn Russell, które przyniosło mi tyle samo pytań, co odpowiedzi.

W jaki sposób hydrocephalus wpłynął na organizm dziewczyny? Była chorowita? A może niepełnosprawna? Opóźniona w rozwoju? W jaki sposób nastolatka została pochowana na terenie gangu motocyklowego? Brała udział w ich spotkaniach, czy była kolejną niewinną ofiarą pokroju Emily Anne Toussaint?

Tym razem Roy także używał przeźroczy. Wskazywał na listę wyświetloną na ekranie i coś tłumaczył. Zmusiłam się, aby go słuchać.

– Nielegalne kluby motocyklowe charakteryzują się kilkoma wspólnymi elementami. Większość z nich zorganizowano na modłę Aniołów Piekieł. Za chwilę ich strukturom poświęcimy więcej uwagi. – Wskazał na drugi punkt. – Członkostwo w klubie jest czymś elitarnym.

Wokół gangu kręci się wielu kandydatów, którzy muszą udowodnić swoją wartość, zanim zostaną przyjęci. To nas prowadzi do punktu trzeciego, czyli barw. Oznaką przynależności jest zwykle naszywka, która stanowi najcenniejszy skarb motocyklisty. Nie wszyscy członkowie gangu noszą jego barwy. Osoby, które przynoszą organizacji zyski, mogą pozostawać stowarzyszone z nią bez faktycznego do niej wstępowania.

– Głównym obszarem zainteresowań nielegalnych klubów motocyklowych jest działalność przestępcza. Każdy z nich działa według pewnych ściśle określonych zasad obowiązujących jego członków. Prowadzone są akcje wywiadowcze koncentrujące się na konkurencyjnych gangach oraz przedstawicielach służb porządku publicznego. – Roy wskazał na ostatni element listy. – Punktem zbornym jest siedziba główna, budynek centralny, często ufortyfikowany i bardzo bogato urządzony, który służy też jako miejsce imprez gangu.

Pomyślałam o przepychu, który panował w siedzibie Żmij oraz na jakich to imprezach mogła bywać nastolatka z wodogłowiem.

Roy zdjął z rzutnika jeden slajd i zastąpił go kolejnym, zatytułowanym: „Narodowa struktura władzy nielegalnych klubów motocyklowych”. Wyjaśnienia zaczął od najniższego szczebla.

– Najniższą strukturą nielegalnego klubu motocyklowego jest oddział. Niezależna grupa może stać się częścią większej organizacji, takiej jak na przykład Anioły Piekieł, tylko wtedy, gdy zgoda zostanie wydana na poziomie narodowym. Proces ten jest dosyć skomplikowany i omówimy go później, jeśli czas nam na to pozwoli. Każda z grup działa na określonym terenie i zachowuje pewien stopień autonomii, musi jednak stosować się do zasad obowiązujących w całej organizacji. Mogą one mieć formę zarządzeń albo instrukcji, definiują prawa i obowiązki każdego członka gangu.

Na szybie projektora pojawiło się kolejne przeźrocze, zatytułowane: „Struktura władzy

nielegalnych klubów motocyklowych: oddział”.

– Każdy oddział zarządzany jest przez komitet egzekucyjny, którego członkowie wyłaniani są w drodze wyborów. Zazwyczaj na jego czele stoi prezydent, wiceprezydent, sekretarz-skarbnik oraz sierżant. Na ich barkach spoczywa zadanie utrzymania porządku wewnątrz grupy i spokoju na zewnątrz.

– No to żaden z okolicznych durni nie dostanie Nagrody Nobla w tym roku – zażartował Kuricek.

Wybuchły śmiechy, ale Roy uciszył je gestem dłoni.

– Istnieje także funkcja kapitana drogówki, który odpowiada za rajdy. Najniżej w hierarchii stoją szeregowi członkowie...

– Stoją członkowie, nieźle... – zamruczał pod nosem Kuricek.

– ... którzy mogą zabierać głos w sprawach dotyczących organizacji, jednak ostateczna decyzja należy do prezydenta. Niektóre większe kluby posiadają oficerów wywiadu, odpowiedzialnych za pozyskiwanie informacji o wrogich gangach, dziennikarzach, prawnikach, sędziach, oficjelach, świadkach i oczywiście takich, jak my.

– Jakie informacje zbierają? – padło pytanie z sali.

– Wszystkie. Osobiste, finansowe, o członkach rodziny, o narzeczonych, numerach telefonów, datach urodzin, adresach, używanych pojazdach, tablicach rejestracyjnych, miejscach zatrudnienia, nawykach i wszystkim tym, co uznają za interesujące lub przydatne. *Dossier* fotograficzne, jakie znajduje się w ich posiadaniu, sprawia, że National Portrait Gallery wygląda marnie. Jeżeli ktoś stanie się potencjalnym celem, gang może nawet typować miejsca najbardziej nadające się do zabójstwa.

– *Merde!*

– *Esti!*

Roy wskazał trzy prostokąty na przeźroczu i zaczął je opisywać od lewej do prawej.

– Najniżej w hierarchii społecznej gangu stoją kandydaci, osoby stowarzyszone oraz kobiety. – Długopis stuknął kilka razy w pole z napisem: „Potencjalny członek gangu”.

– „Kandydat” albo „uczniak” musi zostać wprowadzony przez pełnoprawnego członka gangu. Taki członek odważa całą brudną robotę w budynku klubowym oraz podczas rajdów. Kandydaci nie mogą głosować ani chodzić do kościoła.

– Kościoła? – śledczy z kucykiem nosił dzisiaj kolczyk ze srebrną czaszką.

– Obowiązkowe cotygodniowe spotkania oddziału.

– Ile trwa okres próbny?

– Od sześciu miesięcy do roku. Kandydatów można poznać, bowiem noszą tylko dolną część plakietki gangu.

– Tę z nazwą okolicy, w której działa ich grupa? – upewnił się Kucyk.

– *C'est ça*. W podręcznikach, które wam rozdałem, znajdziecie sporo zdjęć ilustrujących sposoby, na jakie można nosić barwy gangu. Niektóre z nich to prawdziwe dzieła sztuki.

Długopis Roy przemieścił się na pole z napisem: „Osoby stowarzyszone”.

– Osoby stowarzyszone wprowadzane są przez pełnoprawnego członka grupy. Niektóre z nich zostają kandydatami, inne nie. Przyjaciele gangu wykonują wszystkie prace pomocnicze

i wspierają gang w strukturach lokalnej społeczności. Niemniej, nie mają prawa uczestniczyć w zebraniach i działalności klubu.

Z pola najbardziej po prawej, zatytułowanego „Kobiety stowarzyszone”, wylaniały się dwa następne.

– Kobiety stanowią najniższy szczebel organizacji i dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza z nich to damulki, które są żonami członków gangu, czasami w świetle prawa, czasami obyczajowo. Kobiety te są poza zasięgiem innych członków gangu, chyba że ich partner wyrazi zgodę. Jeśli chodzi o „owce” albo „laski”, sprawa ma się zupełnie inaczej. Jakby to ująć... Te kobiety są dostępne dla wszystkich.

– Siostry samarytanki – mruknął Kuricek.

– Właśnie. Laski są dostępne dla każdego pełnoprawnego członka gangu. Damulki cieszą się pewnymi prawami i ochroną, ale proszę zdawać sobie jasno sprawę z tego, że gangi motocyklowe są wyjątkowo szowinistyczne i zdominowane przez mężczyzn. Kobiety się kupuje i sprzedaje, wymienia jak części od maszyny.

– Wyzwolenie kobiet u nich polega na zdjęciu kajdanek po tym, jak facet skończy. Jeśli będzie zadowolony – Kuricek.

– Dość trafne porównanie. Kobiety są wykorzystywane i używane – powiedział Roy.

– W jaki sposób?

– Oczywiście chodzi o seks, ale także o „refundację utrzymania”. Gangi wykorzystują je jako tancerki, kelnerki, handlarki narkotyków, prostytutki, przy czym od każdej tej działalności pobierają haracz. Jedna z dziwek w Halifax przyznała, że musiała oddawać swojemu „opiekunowi” czterdzieści procent dochodów. Jak widać, Anioły Piekła są dosyć pazerne.

– Jakim cudem znajdują chętnych do takiego życia? – spytałam, czując, jak żołądek zawiązuje mi się na supeł.

– Tak samo, jak zawsze: przysiadają się w barze, oferują podwiezienie lub pomoc w ucieczce z domu.

– Chcesz się przejechać na moim harleyu, mała? – rzucił Kuricek.

Przed oczyma stanęła mi czaszka i dren.

– Co najdziwniejsze, w zasadzie zawsze i wszędzie można znaleźć chętnych – kontynuował swój wykład Roy. – Choć część tych kobiet jest zmuszana do takiego życia, trzymana wbrew woli i poddawana presji, to wiele z nich decyduje się na nie z własnej woli. Pociąga je świat prawdziwych mężczyzn, płynący strumieniami alkoholu, łatwy dostęp do narkotyków i nieskrępowany seks. To życie na krawędzi, ale lubią je.

Co więcej, kobiety wykorzystywane są na różne sposoby, nie zawsze wiążące się z seksem czy robieniem pieniędzy. Zwykle to właśnie one transportują narkotyki, ukrywają broń, a jeśli trzeba, nieźle się biją. Niektóre z nich są szpiegami: zatrudniają się w instytucjach rządowych, firmach telekomunikacyjnych, urzędach, wszędzie tam, gdzie mogą zdobyć informacje cenne dla gangu. Niektóre z damulek są oficjalnymi właścicielkami broni lub nieruchomości, dzięki czemu nie można ich im odebrać w przypadku wyroku skazującego. Roy spojrział na zegarek.

– Myślę, że na tym dzisiaj skończymy. Widzę kilka nowych twarzy z CUM, dlatego dobrze by było, abyśmy się jeszcze spotkali.

CUM. *Communauté Urbaine de Montréal Police** [Communauté Urbaine de Montréal Police – Wydział Miejski Policji w Montrealu (przyp. red.)]. Ciekawe, dlaczego Claudel nie pojawił się także na dzisiejszym zebraniu.

– Dam znać o ewentualnym terminie.

Kiedy wracałam do domu, moje myśli nerwowo krążyły wokół sprawy nastolatki z St-Basile i tego, co na wykładzie mówił Roy. Czy dziewczynka padła ofiarą brutalności świata motocyklistów? Im dłużej o niej myślałam, tym bardziej coś mi nie grało, jednak nie wiedziałam co.

Dziewczyna umarła, nie będąc już dzieckiem, ale nie przemieniwszy się jeszcze w kobietę. Jej kości nie zdradziły przyczyny zgonu, ale dawały świadectwo tego, jak żyła. Hydrocephalus mógl ułatwić odkrycie jej tożsamości.

Dobrze zagojona rana po odwiercie drenowym świadczyła, że dziewczyna żyła we w miarę dobrym zdrowiu.

Czy nienawidziła drenu? Czy leżała nocą w łóżku, gładząc rurkę biegnącą pod skórą? Czy cierpiała na inne fizyczne schorzenia? Czy była dręczona przez rówieśników? Może do szkoły dostała się dzięki stypendium dla osób niepełnosprawnych? Ciekawe, czy uda nam się znaleźć jakieś zapiski powiązane z zaginioną, które pomogą nam ją zidentyfikować?

W przeciwieństwie do wielu innych zmarłych, których badałam, nie miałam najmniejszego pojęcia, kim mogła być za życia. Dla mnie pozostawała Dziewczyną. Tak o niej myślałam. Dziewczyna z grobu Żmij.

No właśnie, dlaczego pochowano ją na terenie należącym do gangu? Czy jej śmierć była jakoś połączona ze sprawą Gatel’ego i Martineau, a może umarła dlatego, że motocykliści traktują kobiety jak przedmioty? Czy zginęła dlatego, że coś zrobiła, czy może dlatego, że znalazła się w złym miejscu o złym czasie, jak mała Emily Anne Toussaint?

Przebijałam się przez zakorkowane ulice, czując, jak narasta we mnie gniew i ból. Nie potrafiłam odżalować życia, które skończyło się, zanim tak naprawdę się rozpoczęło i czułam wściekłość, którą rodziło okrucieństwo i bezdusność tych, którzy je zakończyli.

Nagle moje myśli skierowały się ku zabójczo pięknym błękitnym oczom Andrew Ryana. Nawet jego zapach sprawiał, że się uśmiechałam. Jakim cudem mogłam nie dostrzec jego drugiej, ciemniejszej strony charakteru? Czy to mogła być prawda? Bertrand był pewien, że tak, w takim razie czemu nadal nie wierzyłam w jego zapewnienia?

Wszystkie te rozmyślenia nie miały sensu i prowadziły donikąd. Bolał mnie kark, a lewa powieka nerwowo mrugała. Skręciłam w kierunku Parthenais i zaparkowałam na wolnym miejscu. Odsunęłam fotel do tyłu i zrobiłam sobie przerwę. Bardzo jej potrzebowałam.

Zrelacjonuję Claudelowi to, co już wiem, postanowiłam w duchu, a przez weekend nie będę się zajmowała żadnymi kośćmi czy sprawą Ryana. Nie zrobię nic, no może przejrzę podręcznik Roy o motocyklistach. Tak, będę czytać, pójdę na zakupy i wpadnę na przyjęcie Isabelle. W poniedziałek będzie czas na wypełnienie jednej przysięgi, odnalezienie zabójców

Emily Anne i złożenie drugiej. Dowiem się, jak miała na imię Dziewczyna z grobu Żmij.

Rozdział 13

Do domu przyjechałam po dziewiętnastej.

Będąc w laboratorium, zabezpieczyłam kości i dren, a potem zatelefonowałam do Claudela, informując go o tym, czego dowiedziałam się, od doktor Russell. Zdecydowaliśmy że przeanalizuję sprawy z ostatnich dziesięciu lat, w których brakowało części szkieletu. Claudel miał tymczasem badać listę zaginionych dziewczynek. Jeżeli do poniedziałku żadne z nas nie wpadnie na trop, zgłosimy sprawę do CPTC* [CPIC – Canadian Police Information Centre, Kanadyjskie Policyjne Centrum Informacyjne (przyp. red.)]. Jeśli i to nie da żadnych rezultatów, prześlemy akta na południe do NCIC* [NCIC – National Crime Information Center, Narodowe Centrum Informacji o Przestępstwach (przyp. red.)].

To był dobry plan.

Wróciłam do domu, przebrałam się i porozmawiałam chwilę z Ptaśkiem, a potem poszłam do McKay, gdzie w siłowni na ostatnim piętrze przez godzinę dawałam z siebie wszystko. Na ostatku u rzeźnika kupiłam sobie kurczaka, a do niego warzywa i owoce.

Wróciłam do domu, podgrzałam fasolę w mikrofalówce i podzieliłam kurczaka. Połowę schowałam do lodówki z przeznaczeniem na sobotni obiad. Do przyprawienia mięsa użyłam ulubionego sosu barbecue.

Montreal jest miastem, w którym miesza się wiele kultur i tradycji kulinarnych. Można znaleźć restauracje chińskie, niemieckie, tajskie, meksykańskie, a nawet libijskie. Żadna grupa etniczna nie jest dyskryminowana. Miasto oferuje tysiące okazji na szybką przekąskę lub wytworny obiad.

Jeśli chodzi o barbecue, Kanadyjczycy są tysiąc lat za cywilizacją. Według nich sos to brązowa pozbawiona smaku i zapachu breja przypominająca swoim wyglądem węgiel brunatny. Wytrwały poszukiwacz znajdzie sos oparty na pomidorach, czyli jego odmianę teksańską, ale mój ulubiony, octowo-musztardowy, który wywodzi się ze wschodniej części Karoliny jest praktycznie nie do kupienia. Dlatego muszę go sprowadzać. Moi przyjaciele z Montrealu zawsze podejrzliwie zerkali na złotawy napar, którym przyprawiałam moje potrawy. Takie są skutki pokochania jednego smaku.

Przelałam sos Maurice'a do miski i zaniiosłam ją wraz z obiadem do salonu. Zjadłam, oglądając telewizję. Do dziewiątej wieczorem mój weekend przebiegał spokojnie, a najtrudniejszą decyzją było, której dyscyplinie sportowej kibicować. Choć Cubs grali z Braves, to wybrałam play-offy NBA i kibicowałam Hornets, którzy 102 do 87 pokonali Knicks* [Cubs i Braves – drużyny bejsbolowe, Hornets i Knicks – drużyny koszykówki (przyp. red.)].

Biedny Ptasiek nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Z jednej strony pociągał go zapach kurczaka, z drugiej odstraszały moje gwałtowne ruchy, kiedy wymachiwaniem rąk próbowałam dodać koszykarzom energii i sił. Kocisko przeniosło się w przeciwległy kąt pokoju, skąd obserwowało mnie, otwierając niespokojnie oczy, ilekroć krzyczałam z radości po zwycięskiej zagrywce. O jedenastej poszłam spać, a Ptasiek ruszył za mną do sypialni. Pokręcił się po kołdrze, zanim zwinął się w kłębek na kolanach. W ciągu kilku minut

zasnęliśmy.

Obudził mnie dzwonek do drzwi. Świergot w zasadzie byłby lepszym określeniem. Kiedy gość z zewnątrz próbuje wejść do budynku, system zawiadamia o tym ćwierkającym dźwiękiem.

Roleta zasłaniająca okno miała szarawy kolor, a cyfry na wyświetlaczu zegarka pokazywały ósmą piętnaście. Ptasek gdzieś znikł, więc swobodnie odrzuciłam kołdrę i sięgnęłam po szlafrok.

Podreptałam do przedpokoju i gdy spojrzałam na monitor wideofonu, zobaczyłam ogromne zielone oko. Wbrew sobie cofnęłam się, zasłaniając usta dłonią.

Ćwirrrrrr.

Oko cofnęło się w głąb perspektywy i na monitorze dostrzegłam twarz mojego siostrzeńca. Uśmiechał się łobuzersko do kamery, kiwając głową i robiąc głupie miny. Wcisnęłam guzik i wpuściłam go do środka. Ptasek otarł się o moje nogi i spojrzał pytająco żółtymi ślepiami.

– Daj spokój, kolego.

Kit wyłonił się zza rogu korytarza z wojskowym workiem w jednej ręce i brązową papierową torbą w drugiej. Na ramionach miał dodatkowo plecak. Ubrany był w kolorowy sweter, który zdawał się być wielkości Gwatemali.

– Cześć, ciocia! – powiedział z teksańskim akcentem.

– Ciii – przycisnęłam palec do ust. – Jest sobota rano. Otworzyłam szerzej drzwi i wpuściłam go do środka.

Kiedy przechodził obok, poczułam od niego zapach drzewa, dymu, pleśni i czegoś, co kojarzyło mi się z mchem lub grzybami.

Kit rzucił pakunki na ziemię i mocno mnie uściskał. Puścił mnie w końcu i zdjął kapelusz. Jego włosy wyglądały jak czupryna Edwarda Nożycorękiego* [Edward Nożycoręki – postać fikcyjna, tytułowy bohater amerykańskiego filmu fantasy, fryzurę Edwarda Nożycorękiego można określić jako „siano na głowie” (przyp. red.)].

– Fajna fryzura, ciociu.

– Nic ci do tego, dzieciaku – odparłam z uśmiechem, zaczesując niesforne kosmyki za uszy.

Podał mi papierową torbę.

– Coś dla ciebie. Prosto z rzek Vermontu. – Kit zauważył Ptaśka, który wychynął zza mnie. – Cześć, kocie. Jak leci, kolego?

Ptasek dał drapaką do sypialni.

Spojrzałam na pusty korytarz.

– A gdzie jest Howard?

– Wrócił na południe.

– Doprawdy? – odparłam, zamykając drzwi. Poczułam nagłą ciekawość. – Czemu?

– Musiał dopilnować, żeby mu ropy nie wypili, czy jakoś tak. Ja za to zamierzam pokręcić się po okolicy, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Ani trochę, Kit. Jak długo? – spytałam, zezując na stertę bagaży. Jego matka, a moja

siostra, przyjechała do Montrealu na pięciodniową konferencję, a została na kilka tygodni.

– Sam nie wiem. Na razie chciałbym się doprowadzić do porządku, bo zwiniliśmy obóz, zanim słońce nawet zaczęło myśleć o wstaniu. Mogę wziąć prysznic i się przespać?

– Tak, jasne. Odpocznij, potem opowiesz mi o waszej wyprawie – odparłam, dodając w myślach, że pomysł z prysznicem jest bardzo dobry.

Przyniosłam mu ręczniki i pokazałam pokój gościnny. Ubrałam się w dżinsy i bluzę, po czym wyszłam na róg do *dépanneur** [dépanneur (fr.) – tu: mały sklepik, termin używany w tym znaczeniu przez francuskojęzycznych Kanadyjczyków (przyp. red.)], aby kupić *Gazette*. Kiedy wróciłam, mokre ręczniki leżały na podłodze łazienki, a drzwi do sypialni były zamknięte.

Poszłam do kuchni i zajrzałam do torby, którą przywiózł Kit. Pachniała rybami. Zawinęłam ją wraz z zawartością w folię i wsadziłam do lodówki, czekając na dalsze instrukcje.

Potem zrobiłam, sobie kawę i usiadłam w salonie do porannej prasy.

I wtedy mój weekend diabli wzięli.

LICZBA ZABITYCH SIĘGA 120 ZNALEZIONO CIAŁA DWÓCH KOLEJNYCH ZAMORDOWANYCH MOTOCYKLISTÓW.

Artykuł znajdował się na trzeciej stronie, pośrodku kolumny. Spodziewałam się, że prasa opíše zajście, ale nie oczekiwałam, że zilustruje artykuł moim zdjęciem. Choć fotografia była ziarnista i zrobiono ją ze znacznej odległości przy pomocy mocnego obiektywu, to jednak bez trudu mogłam siebie na niej rozpoznać.

Kłęczałam przy grobie, trzymając w ręce czaszkę. Jak zwykle zostałam opisana jako: „amerykańska antropolog sądowa pracująca dla *Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale*”.

Zdjęcie było tak niewyraźne, że nie potrafiłam powiedzieć, czy zrobiono je podczas badania pochówków na terenie Żmij, czy wykorzystano jakąś archiwalną fotografię. Podczas każdego z badań korzystam z różnego sprzętu i nie pamiętam zwykle, jak byłam ubrana, dlatego nie potrafiłam odgadnąć, kiedy i gdzie mnie sfotografowano.

Oprócz tego zdjęcia, artykuł ilustrowały jeszcze dwa inne: typowe ujęcie ofiar, pochodzące z archiwów policyjnych i panorama wjazdu na teren posiadłości gangu. Autor opisywał ekshumację zwłok Gately’ego i Martineau oraz przypominał historię ich zaginięcia. W skrócie podsumowano historię wojen pomiędzy bandytami i liczbę zabitych.

Do tych faktów można było dotrzeć kanałami oficjalnymi, jednak to, co przeczytałam później, głęboko mną wstrząsnęło.

Dziennikarz opisał zawartość trzeciego grobu, trafnie wymieniając nieliczne kości, jakie znaleźliśmy w mogile. Tekst kończył się konkluzją, że do czasu wydania tego numeru tożsamość dziewczyny nie została ustalona.

Skąd, u licha, mieli takie informacje?

Poczułam, jak ogarnia mnie złość. Zasadniczo niezbyt lubię uwagę mediów, ale

szczególnie mnie ona denerwuje, kiedy zagraża powodzeniu mojego śledztwa. Kto mógł ujawnić taką informację?

Zaczerpnęłam głęboko tchu i poszłam podgrzać filiżankę kawy.

No dobra, ktoś chlapnął jadaczkę. Co z tego?

Ano to, że tak się dziać nie powinno.

Wcisnęłam przycisk timera w mikrofalówce.

Racja, ale czy to zagraża śledztwu?

No właśnie, zastanawiałam się głęboko.

Brzęczyk oznajmił, że kawa jest gotowa. Otworzyłam drzwiczki i wyjęłam filiżankę.

Prawda była taka, że informacja w prasie mogła nam wyjść na dobre. Być może zgłosi się ktoś, kto rzuci światło na zagadkę tożsamości dziewczyny z drenem. Nic specjalnego się nie stało, ale czy informacja wypłynęła za zgodą kogoś z dowództwa *Carcajou*? Prawdopodobnie nie, w przeciwnym wypadku coś bym o tym wiedziała.

Ktoś opowiedział o tym wszystkim prasie, co było nie do pomyślenia. Tylko kto? Kto wiedział o kościach? Quickwater? Claudel? Ktoś z ekipy identyfikacyjnej? Technik laboratoryjny? Doktor Russell?

Zdecydowałam, że nie będę się tym zamartwiała w weekend.

Racja.

Postanowiwszy wrócić do tej sprawy w poniedziałek, skoncentrowałam się ponownie na czytaniu gazety, planowaniu zakupów i przyjęciu u Isabelle.

Kit.

Och.

Podeszłam do telefonu i wystukałam numer Isabelle.

– *Bonjour.*

– Isabelle, to ja.

– Tempe, nawet nie myśl o tym, żeby odwołać przyjęcie! – powiedziała. W tle słyszałam „Święto wiosny” Strawińskiego. To oznaczało, że Isabelle gotuje. Jeżeli szykowała jedzenie, to tylko przy Strawińskim.

– Cóż, stało się coś...

– Jedyna rzecz, jaka mogłaby cię usprawiedliwiać, to trzęsienie ziemi i tsunami.

– Mój siostrzeniec przyjechał dziś rano i pewnie zostanie u mnie na jakiś czas...

– *Oui?*

– Nie powinnam zostawiać go samego pierwszej nocy.

– Masz rację, Tempe. Przyrowadź go ze sobą.

– Ale on ma dziewiętnaście lat.

– Wspaniale. Też kiedyś byłam w jego wieku. Ach, musiałam przeżyć lata sześćdziesiąte, ale kolejna dekada była wspaniała. Fatalnie się ubierałam i brałam LSD. Pojaw się z młodym człowiekiem o wpół do ósmej.

Zgodziłam się i odłożyłam słuchawkę.

Teraz pozostało mi przekonać mojego siostrzeńca, że wieczór nad baraniną i ślimakami w towarzystwie seniorów to doskonały pomysł.

Jak się okazało, nie sprawiło mi to żadnych problemów. Kit wstał piętnaście po czwartej głodny jak wilk. Skończył kurczaka i zapytał, czy może zrobić pranie. Kiedy wspomniałam o kolacji, zgodził się bez wahania.

Powiedziałam sobie, że muszę zadzwonić do mojej siostry, Harry. Potulność Kita była zupełnie odmienna od nastoletniego wiecznego buntu Katy. Z drugiej strony, chłopak był nowy w mieście i nie wiedział, gdzie się można bawić.

Następnych kilka godzin spędziłam na ocenianiu prac studentów, sprzątaniu sypialni i wyjaśnianiu Kitowi tajników środków czystości. Około szóstej wyskoczyłam do Le Faubourg* [Le Faubourg – wielkie centrum handlowe przy ulicy Ste-Catherine (przyp. red.)] po wino i niewielki bukiet kwiatów.

Isabelle mieszka na Ile-des-Soeurs, niewielkiej wysepce położonej pośrodku nurtu rzeki Świętego Wawrzyńca. Przez wiele pokoleń należała ona do sióstr zakonnych, ale ostatnio została skolonizowana przez yuppies. Dzielnica określana jest jako „wielofunkcyjna”, co oznacza, że pomiędzy bloki mieszkalne, apartamenty i lofty wciśnięto kluby tenisowe, niewielkie sklepiki, ścieżki rowerowe oraz starannie dogładane parki i trawniki. Wyspę ze stałym lądem łączą trzy mosty. Z południowego brzegu można dojechać Champlain Bridge, a z Montrealu dworna, mniejszymi.

Mieszkanie Isabelle znajduje się na ostatnim piętrze kompleksu dwóch budynków na północnym skraju wyspy. Po katastrofie, jaką zakończyło się jej trzecie małżeństwo, Isabelle podpisała papiery rozwodowe i sprzedała dom wraz z meblami i wszelkimi ruchomościami, po czym przeprowadziła się na wyspę. Jedyne, co ze sobą zabrała, to kolekcja płyt i albumy ze zdjęciami.

Aby nie rozpamiętywać porażki ostatniego związku i ożywić mieszkanie, urządziła je w stylu safari. Dekorator wnętrz połączył naturalne tkaniny i materiały, które musiały uzyskać aprobatę World Wildlife Fund* [World Wildlife Fund – międzynarodowa organizacja ekologiczna zajmująca się głównie ochroną dzikich zwierząt, działa także w Polsce (przyp. red.)], ze sztucznymi skórami leopardów i tygrysów. Na ścianach wisiały zdjęcia zwierząt, szklany stolik kawowy ozdobiony był kolekcją afrykańskich rzeźb, a jego nóżki przypominały nogi słonia. Królewskich rozmiarów łóżce osłonięte było baldachimem, który zrobiono z moskitiery.

Kit był oczarowany, a przynajmniej na takiego wyglądał. Kiedy Isabelle nas oprowadzała, zasypywał ją gradem pytań o przeznaczenie, historię i pochodzenie przedmiotów. Choć miałam pewne wątpliwości, co do autentyczności jego zainteresowań, to obycie towarzyskie chłopaka miło mnie zaskoczyło.

Czekaliśmy na ostatniego gościa. Kit wziął swojego drinka i dołączył do reszty zaproszonych, a ja wymknęłam się cichaczem na balkon.

Na zewnątrz padał deszcz, mimo to widoczna była panorama miasta rozłożonego na przeciwległym brzegu. Mieniła się wszystkimi możliwymi kolorami, Ponad budynkami Centre-Ville majaczyły czarne góry. Widać było światła krzyża górującego nad zboczem.

Z wnętrza mieszkania dobiegł dźwięk dzwonka. Isabelle zawołała mnie, więc wróciłam do środka.

Ostatni z gości przybył, na jego widok szczęka mi opadła ze zdziwienia.

Rozdział 14

Vous!* [Vous! (fr.) – To pan! (przyp. red.)]

To nie było szczęśliwe rozpoczęcie spotkania. Rzuciłam Isabelle spojrzenie pod tytułem: „czekaj no, później się policzymy”, ale zignorowała je kompletnie.

– *Oui*. Jesteś zaskoczona, Tempe? – Isabelle wręcz promieniała. – Powiedziałam ci, że spotkaliście się już wcześniej. Teraz mogę was sobie przedstawić.

Dziennikarz wyciągnął rękę na przywitanie, tym razem nie miał mikrofonu i wyglądał przyjaźnie, a na jego twarzy nie malował się wyraz bezgranicznego zdziwienia, z jakim pozostawiłam go przed klubem Żmij.

– Tempe, to jest Lyle Crease. Jestem pewna, że znasz go z telewizji.

Teraz sobie przypomniałam, widywałam go na CTV, gdzie był jednym z dziennikarzy śledczych.

– Lyle, wiem, że nie muszę ci przedstawiać doktor Brennan. Przyjaciele mówią do niej Tempe, przez długie „e” na końcu. Niektórzy się jeszcze mylą.

Kiedy podałam mu dłoń, przysunął się i pocałował mnie najpierw w prawy, a potem lewy policzek. W Quebecu panował taki zwyczaj, przywieziony jeszcze z Francji. Wymamrotałam coś pod nosem, mając nadzieję, że uzna to za chłodne, ale uprzejme przywitanie.

Isabelle przedstawiła Crease’a reszcie gości. Dziennikarz z mężczyznami witał się uściskiem dłoni, kobiety całował w policzki. Potem gospodyni podniosła kieliszek szampana w toaście skierowanym do Kita.

– Myślę, że powinniśmy uczcić naszego młodego gościa, rozmawiając dziś tylko po angielsku! – powiedziała.

Goście unieśli kieliszki i z uśmiechami na twarzach przytaknęli. Kit wyglądał na niesamowicie uradowanego.

– Może pomóc ci z obiadem? – spytałam, bo chciałam zamienić z Isabelle kilka słów na osobności.

– Nie, moja droga, nie trzeba. Wszystko jest już przygotowane. Siadajcie, obok każdego z talerzy jest stosowna wizytówka.

Cholera jasna.

Isabelle znikła w kuchni, a my zebraliśmy się dookoła stołu, szukając swoich miejsc. Jak podejrzewałam, Crease miał usiąść po mojej lewej, a Kit po prawej.

Ogółem gości było ośmioro. Po prawej Kita siedział starszy aktor, którego nazwiska nie pamiętałam, choć spotkaliśmy się już wcześniej. Kiedy przedstawiano go dzisiejszego wieczoru, byłam na balkonie. Pozostalej dwójki nie znałam, ale później okazało się, że są małżeństwem. Ona zajmowała się handlem antykami, on był producentem filmowym.

Kiedy Isabelle podawała talerze z obiadem, rozmawialiśmy niezobowiązująco. Aktor skończył właśnie serię występów w *Théâtre du Rideau Vert*, gdzie w „Hamlecie” Szekspira grał Poloniusza. Crease przypomniał swoje ostatnie dochodzenie. Szesnastoletni haker włamał się do sieci komputerowej Armii Stanów Zjednoczonych, a potem zadzwonił do

RCMP i sam na siebie doniósł.

- Dzieciak chciał być sławny – podsumował aktor.
- Mógł zamiast tego grać w piłkę – odparł mój siostrzeniec.

Nieźle, Kit, nieźle, pomyślałam.

– A czym wy się zajmujecie? – spytała Isabelle, okrążając stół z butelką wina i nalewając gościom. Kiedy przyszła kolej na kieliszek Kita, spojrzała na mnie pytająco. Skinęłam głową, chłopak był pełnoletni i miał dziewiętnaście lat, a to ja prowadziłam samochód.

Producent nazywał się Claude-Henri Brault i niedawno wrócił z trzymiesięcznej podróży do Irlandii. Jego żona Marie-Claire prowadziła sklep w Starym Montrealu, a w antyki zaopatrywała się w Prowansji. Marudziła coś o królestwie Arles, dynastii Andegawenów i tuzinie Ludwików, opisując, jak każdy z królów zrewolucjonizował rynek meblarski. Pomiedzy jednym kęsem cielęciny a drugim rzucałam ukradkowe spojrzenia na Lyle'a Crease'a. Jego włosy i zęby były idealne, a twarz wypielegnowana. Jedyłą wadą były płatki łupieżu, które upstrzyły kołnierz marynarki.

Lyle okazał się wspaniałym słuchaczem. Cały czas spoglądał na Marie-Claire, co jakiś czas kiwając zachęcająco głową. Można było odnieść wrażenie, że faktura starych mebli interesowała go przez całe życie.

Kiedy antykwariuszka na chwilę zamilkła, Isabelle wpadła jej w słowo i zmieniła bieg rozmowy, jak policjant dyrygujący ruchem na zakorkowanej ulicy. Choć podziwiałam jej umiejętności w tym względzie, nie podobał mi się kierunek, w jakim potoczyła się dyskusja.

– Tempe pracuje obecnie nad sprawą strasznych gangów motocyklowych i morderstw, jakich się dopuszczają. Możesz nam coś opowiedzieć, moja droga?

– Motocykliści? – spytała Marie-Claire.

– Tak – odpowiedziałam, zwalczając w sobie pokusę rzucenia Isabelle morderczego spojrzenia. Nie chciałam wyjść na nieokrzesaną.

– To ty odkryłaś szczątki, o których czytaliśmy dzisiaj w prasie?

– Owszem, ale jak Isabelle dobrze wie, nie mogę...

– Co cię z nimi łączy, ciociu?

Zainteresowanie Kita rozmową osłabło, kiedy ta zeszła na meble, ale teraz wróciło ze zdwojoną siłą.

– Pracuję w laboratorium kryminalistycznym, wiesz o tym.

Kit pokiwał głową.

– W zeszłym tygodniu zostałam poproszona, aby zbadać kilka zabójstw. – Specjalnie pominęłam szczegóły związane z *Opération Carcajou*.

– Ile? – spytał Crease.

– Kilka.

– Więcej niż liczy Bee Gees? – drążył.

– Pięć.

– Pięć osób zabitych w ciągu tygodnia? – Oczywiście Kita zrobiły się wielkie jak spodki.

Wszyscy zgromadzeni przy stole zamilkli.

– Dwóch z nich zostało zamordowanych w 1987 roku. Ciała odnaleźliśmy dopiero w tym

tygodniu.

– O tym właśnie czytałem – powiedział Claude-Henri. Wskazał na mnie widelcem i dodał: – *C'est ça*. To pani była na zdjęciach.

– A co się stało z resztą? – dopytywał się Kit.

Teraz miałam ochotę udusić także mojego siostrzeńca.

– Dwóch zginęło w zamachu bombowym. Oprócz nich w strzelaninie zabito małą dziewczynkę.

– *Mon Dieu* – powiedziała Marie-Claire, zapominając o nakazie mówienia po angielsku.

Sięgnęłam po wodę Perrier, żalując, że nie słuchałam jej wywodu o antykach. Mogłabym uniknąć dalszego drażenia moich spraw.

– A co z tą młodą dziewczyną, której kości znaleziono w St-Basile-le-Grand? Czy zaliczają pani do ofiar gangsterskich porachunków?

Spojrzałam na Crease'a. Choć jego głos zdawał się być obojętny, to w oczach dostrzegłam iskierki, których jeszcze przed chwilą nie było. Jeżeli miał nadzieję wyciągnąć ode mnie jakieś informacje pod pozorem zwykłej rozmowy, to grubo się pomylił.

– Nie – odparłam.

– A zidentyfikowała pani zwłoki? – spytał, sięgając po wino.

– Nie.

– O kim wy u licha mówicie? – wtrącił Kit.

– Nieopodal grobu motocyklistów znaleźliśmy trzecie ciało. To młoda kobieta, nie wiemy, jak się nazywała ani czy była powiązana ze Żmijami. Istnieje prawdopodobieństwo, że pochowano ją, zanim gang nabył nieruchomość.

– Tak pani myśli? – zagadnął Crease.

– Na razie trudno mi cokolwiek powiedzieć.

– Kim są Żmije?

Moja opinia o dojrzałości towarzyskiej Kita zachwiała się w posadach.

– To podrzędny oddział Aniołów Piekieł.

– No co ty!

– Owszem, to prawda. Oni oraz ich kompani są odpowiedzialni za sto dwadzieścia zabójstw, jakie miały miejsce na terenie prowincji w ciągu ostatnich pięciu lat. Bóg jeden wie, ilu ludzi za ich sprawą znikło bez śladu.

– Motocykliści zabijają się nawzajem?

– Tak. Walczą ze sobą o kontrolę nad rynkiem narkotykowym.

– A czemu nie możemy im pozwolić, aby wytlukli się nawzajem? – spytał aktor. – Można powiedzieć, że zadziała prawo dżungli i populacja szumowin się zmniejszy.

– Ponieważ niewinne Emily Anne Toussaint giną podczas strzelanin które urządzają bandyci. Chciałam zaznaczyć, że dziewczynka miała ledwie dziewięć lat.

– Być może ta druga też tak zginęła.

– Racja, Kit.

– Uważa pani, że zdoła tego dowieść? – spytał Crease.

– Sama nie wiem. Claude-Henri, opowiedz nam o swoim filmie.

Producent zaczął opowiadać, a Crease otworzył butelkę Chardonnay i sięgnął po mój kieliszek. Pokręciłam przecząco głową, ale przechylił butelkę. Zasłoniłam kieliszek dłonią, a on odsunął ją na bok i napełnił go winem.

Westchnęłam i wyswobodziłam rękę z uścisku. Nienawidzę ludzi, którzy wmuszają w innych alkohol. Oparłam się wygodnie na krześle i przymknęłam oczy.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Kita. Isabelle wypytywała go o coś.

– Taa, przyjechaliśmy z ojcem. Jest nafcierzem. Przyjechaliśmy tutaj z Teksasu dużym starym Winnebago* [Winnebago – samochód kempingowy (przyp. red.)]. To był pomysł taty. Chciał, aby ta podróż nas do siebie zbliżyła. W każdym razie, podrzuciliśmy cioci jej kota i pojechaliśmy do Derby Line w stanie Vermont. Tatko zaplanował tę podróż dokładniej niż inwazję w Normandii. To dlatego wszystko świetnie zapamiętałem. Nieważne, rozbiliśmy biwak obok miejscowości Westmore i łowiliśmy łososie w Willoughby River. Ryby mają to do siebie, że na wiosnę płyną w głąb łądu i wtedy wędkarze się na nie zasadzają. Podejrzewam, że dla rybaków to taki święty Graal. Potem ruszyliśmy na południe do Manchesteru* [Manchester – miejscowość w stanie Vermont (przyp. red.)] i łowiliśmy w Battenkill River. Tatko nakupił masę badziewia w fabryce Orvis. Wiecie, spławiki, błystki i tak dalej. Potem wrócił do Teksasu, a mnie wysadził, żebym pomieszkał kątem u cioci. – Kit uniósł kieliszek w toaście na moją cześć, a reszta towarzystwa poszła za jego przykładem. – To bardzo dziwne, bo tatko rok temu kupił mi motocykl.

Nie byłam zaskoczona. Howard, drugi mąż mojej siostry, pochodził z Teksasu i dorobił się majątku na ropie. Miał więcej forsy niż rozumu, a jakiś defekt mózgu sprawił, że nie potrafił dochować wierności żonie. Rozwiedli się, kiedy Kit miał sześć lat. Howard uważał, że ojcostwo przejawia się kupowaniem wszystkiego, co tylko się da i rozpieszczaniem syna do granic przyzwoitości. Kiedy Kit miał trzy lata, dostał kucyka i samochodzik na napęd elektryczny. Na osiemnastkę został obdarowany żaglówką, a następnie porsche.

– Jaki motocykl? – spytała Isabelle.

– Harley-Davidson. Tata lubi tę markę. Mam Road King Classic, a tata kupił Ultra Classic Electra Glide, obydwaj z Evo, ale prawdziwą miłością taty jest jego Knucklehead. Produkowano je od 1936 do 1947 roku.

– Co oznaczają te wszystkie nazwy? – spytała Isabelle.

– To popularne określenia wyglądu głowicy silnika. Motocykl Evolution V2 został po raz pierwszy wyprodukowany na początku lat osiemdziesiątych. Początkowo mówiono o jego silniku jako o blokowym, ale ta nazwa nigdy nie przylgnęła. Ludzie nazywali go Evo i tak zostało. Większość motocykli ma silniki łopatkowe, produkowano je w latach 1966-1984. Od 1948 do 1965 w modzie były głowice miskowe, a przed nimi płaskie, które wyszły z użycia w 1929 roku. Łatwo określić, kiedy zbudowano motocykl, wystarczy spojrzeć na silnik.

Zainteresowanie Kita motocyklistami było niczym w porównaniu z jego miłością do motocykli.

– Czy wiecie, że produkowane obecnie modele Harleya-Davidsona pochodzą od maszyny Silent Gray Fellow, która jako pierwsza zjechała z taśmy produkcyjnej na przełomie wieków? Silent Gray Fellow miał jednocylindrowy silnik o pojemności 410 centymetrów sześciennych

i sile trzech koni mechanicznych. Żadnych hydraulicznych popychaczy, elektrycznego zapłonu czy podwójnego silnika klasy „V”. – Kit pokręcił głową z niedowierzaniem. – Obecne modele, Twin Cam, mają pojemność 1449 centymetrów sześciennych. Nawet stary ‘71FLH, który miał tylko 1200 centymetrów sześciennych, charakteryzował się sprężeniem osiem i pół do jednego. Dzisiejsze motocykle osiągają poziom dziewięć do jednego. Tak, przeszliśmy długą drogę, ale każdy motocykl na drodze może się poszczycić prostą linią pochodzenia od Silent Gray Fellow.

– A co z innymi producentami motocykli? – spytał aktor. – Nie ma takich?

– Są, proszę pana – odparł Kit, a na jego twarzy odmalował się wyraz lekkiej pogardy. – Można spotkać Yamahę, Suzuki, Kawasaki i Hondę, ale one służą jedynie do przejazdu z jednego miejsca na drugie. Brytyjczycy produkowali sporo dobrych motorów: Norton, Triumph, BSA, ale wszystkie te marki wypadły z rynku. Niemiecki BMW, to jest kawał maszyny, ale dla mnie liczy się tylko Harley.

– Czy harleye są drogie? – Claude-Henri.

Kit wzruszył ramionami.

– Harley nie produkuje tandety. To nie jest byle skuter.

Kiedy tak słuchałam mojego siostrzeńca, zdałam sobie sprawę, że motocykle darzy równą czcią, co Marie-Claire stare meble. Być może jego wizyta była darem z niebios. Jego wiedza mogła mi pomóc w zbadaniu świata, którego kompletnie nie znałam.

Prawie dochodziła północ, kiedy wreszcie się pożegnaliśmy i ruszyliśmy do windy. Ogarniała mnie senność, ale Kit trajkotał jak najęty o silnikach i obgadywał gości. Być może był to efekt wina albo młodości, niemniej podziwiałam jego wytrzymałość.

Deszcz przestał padać, ale od rzeki dął silny wiatr. Drzewa kołysały gałęziami, a w powietrzu wirowały kłęby liści. Kit zaoferował się, że przyprowodzi samochód. Zmierzyłam go wzrokiem, oceniając, jak bardzo jest wstawiony, ale podałam mu kluczyki i czekałam na zewnątrz.

Niecałą minutę później podjechał. Zatrzymał samochód, wysiadł, okrążył go od przodu i zajął miejsce pasażera. Usiadłam za kierownicą, kiedy podał mi dużą brązową kopertę.

– Co to jest?

– Koperta.

– Widzę, ale skąd ją masz?

– Była wciśnięta za wycieraczkę przedniej szyby. Ani chybi prezent od cichego wielbiciela.

Spojrzałam na kopertę. Była spora, zapewne wypełniona folią bąbelkową, z żyłką ułatwiającą otwieranie. Moje nazwisko wypisano czerwonym markerem.

Spoglądając na litery, poczułam dreszcz. Kto mógł wiedzieć, że będę dzisiaj wieczorem odwiedzała wyspę? Czy ktoś rozpoznał mój samochód? Byliśmy śledzeni?

Zaczęłam badać palcami zawartość koperty. W środku znajdowało się jakieś twarde wybrzuszenie.

– No i?

Podskoczyłam na dźwięk głosu Kita. Spojrzałam na niego. Jego twarz była dziwnie blada, nabrała demonicznego wyrazu w żółtym świetle padającym z klatki schodowej – Cholera jasna, Kit, to może być... – przerwałam w pół zdania, nie wiedząc, co chciałam powiedzieć.

– No co? – Kit pochylił się ku mnie, opierając o zagłówek. – No dalej, otwieraj. Założę się, że to jakaś podpucha. Pewnie któryś z twoich kumpli policjantów chce cię nastraszyć. Zauważyli samochód i stroją sobie z ciebie żarty.

Miał trochę racji. Już nieraz padałam ofiarą dowcipów.

– Na co czekasz? – namawiał mnie Kit. Włączył światło wewnętrzne i dodał: – Może to bilety na Expos?

Oderwałam żyłkę i wsunęłam rękę do środka. Moje palce natrafiły na niewielki słoiczek. Kiedy wyjęłam go i obejrzałam w świetle, poczułam jak zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. Chciałam zwymiotować. Sięgnęłam do klamki drzwi, ledwie słysząc:

– Ożeż kurna... ciociu, strasznie kogoś wkurzyłaś.

Rozdział 15

Gałka oczna leżała na dnie małego słoiczka żrenicą do góry. Wokół niej w mętnej cieczy pływały drobinki tkanki miękkiej. Organ był pobladły i częściowo zapadł się w sobie. Z boku chyba dostrzegłam dziurę. Choć zakrętka była ściśle dociśnięta do szyjki, to i tak wyczuwałam znajomy zapach śmierci. Do spodu pojemniki przyczepiona była kartka.

Kit wyciągnął dłoń i ją oderwał.

– *On te surveille* – przeczytał francuskie słowa z twardym teksańskim akcentem. – Co to znaczy, ciociu?

– Obserwujemy cię.

– Drżącymi dłońmi wsadziłam słoiczek oraz list do koperty, ciasno ją zwinęłam i odłożyłam na podłogę przed tylnym siedzeniem pasażera. Zapach formaliny był obezwładniający. Choć w pełni zdawałam sobie sprawę, że ów smród istnieje tylko w mojej głowie, to i tak byłam bliska ataku nudności. Próbując zwalczyć słabość, otarłam dłonie o spodnie, zacisnęłam je na kierownicy i uruchomiłam samochód.

– Sądzisz, że to jakiś głupi żart? – spytał Kit, gdy skręciliśmy w bulwar Ile-des-Soeurs.

– Sama nie wiem – odparłam zachrypniętym z nerwów głosem.

Wyczuwając, że nie jestem w nastroju do rozmów, milczał resztę drogi do domu.

Kiedy wróciliśmy, zawinęłam słoik w foliowe torebki, umieściłam go w pojemniku próżniowym, a ten następnie w przegródce na jarzyny w lodówce.

Kit obserwował mnie w milczeniu, a na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania.

– W poniedziałek zabiorę pojemnik do laboratorium.

– To prawdziwe oko?

– Tak.

– Czyli to nie są głupie żarty, co? – Powtórzył wcześniejsze pytanie.

– Istnieje taka szansa – odparłam, choć sama w to nie wierzyłam. Nie chciałam go denerwować.

– Wiem, że raczej nie powinienem o to pytać, ale skoro to wygląpy, to dlaczego zamierzasz zabrać pojemnik do laboratorium?

– Może odplacimy naszemu żartownisiowi pięknym za nadobne? Wykonam kilka badań i trochę go postraszę – odparłam najzwyczajszym tonem na świecie. Uściskałam Kita i dodałam: – Teraz zamierzam iść spać. Jutro wymyślimy coś fajnego do roboty.

– Super. Nie przeszkodzi ci, jeśli posłucham trochę muzyki?

– Ależ skądże. Czuj się jak u siebie.

Kiedy za Kitem zamknęły się drzwi sypialni, uważnie sprawdziłam wszystkie zamki, drzwi i okna. Upewniłam się, że alarm jest włączony i tylko siłą woli powstrzymałam się przed zajrzeniem do szaf oraz pod łóżko w poszukiwaniu ukrytych tam napastników.

Kit uwielbiał Black Sabbath. Wyłączył muzykę dopiero piętnaście po drugiej.

Leżałam w łóżku, słuchając heavymetalowego dudnienia, zastanawiając się, czy zasługuje na miano muzyki i ilu sąsiadów zwróci mi jutro uwagę. Potem zaczęłam drażnić temat, kto

mógł być aż tak zdeterminowany, aby wysłać mi ludzką gałkę oczną.

Choć przed snem wzięłam gorący i długi prysznic, to w dalszym ciągu czułam przylegający do mojego ciała zapach formaliny. Kiedy zasypiałam, moje ręce nadal pokrywała gęsia skórka.

Następnego dnia obudziłam się późnym rankiem. Sen nie przyniósł mi ulgi, byłam równie zmęczona jak w nocy. Kiedy tylko przyszłam do siebie, zaczęłam powtarzać nocną litanie. Kto? Dlaczego? Czy gałka oczna miała coś wspólnego z pracą? Czy ten drań kręcił się w moim sąsiedztwie? Kto mnie obserwował?

Odeгнаłam od siebie ponure myśli i postanowiłam, że wrócę do nich w poniedziałek. Do czasu wyjaśnienia tej sprawy będę szczególnie ostrożna. Upewniłam się, że skróty klawiszowe telefonu działają i na policję dodzwonię się bez kłopotu. Obejrzałam też skrzynkę bezpieczeństwa i okazało się, że wszystko jest w porządku.

Słońce świeciło jasno, a termometr na moim patio pokazywał temperaturę pięciu stopni Celsjusza powyżej zera. Czterdzieści wedle skali Fahrenheita o dziesiątej rano oznaczało, że jak na standardy kanadyjskiej wiosny będziemy mieli upalny dzień.

Znając rytm życia nastolatków, wiedziałam, że Kit nie wstanie przed południem. Spakowałam torbę i ruszyłam na siłownię. Szłam ostrożnie i rozglądałam się bacznie dookoła, szukając kogoś, kto mógłby mnie śledzić.

Po solidnej dawce ćwiczeń wstąpiłam do sklepu, kupiłam bagietkę, biały ser i kilka specjalów, które czynią z twaróżku prawdziwy przysmak. Pod wpływem impulsu kupiłam też kwiatek doniczkowy. Od przyjazdu Kita Ptasiak mnie unikał, więc postanowiłam go zwabić kocimiętką.

Ani twaróg, ani kwiat nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Kit wstał kwadrans po pierwszej, a kot dreptał leniwie za nim.

– Proszę, daruj sobie docinki spod znaku „ranny z ciebie ptaszek” i komentarze pokroju „skoro świt”.

– Bagietka?

– Bardzo chętnie.

– Twaróg, wędzony łosoś, cytryna, cebula i kapary.

– Bez kaparów, proszę.

Ptasiak tyknął ślepiem na kocimiętkę, ale nie powiedział słowa.

Kit jadł w milczeniu śniadanie, a ja wyłożyłam przed nim możliwości na ciekawe spędzenie dnia.

– Mamy wspaniałą pogodę, dlatego sugeruję, żeby gdzieś się wybrać.

– Jasne.

– Możemy odwiedzić Jardin Botanique* [Jardin Botanique (fr.) – ogród botaniczny (przyp. red.)], pokręcić się w okolicach góry albo przejechać na rowerach do starego portu lub ścieżką wzdłuż Lachine Canal.

– Pozwalają jeździć na rolkach?

– Rolkach?

– Takie wrotki, tylko z jednym rzędem kółek. Wypożyczylibyśmy je i pojeździli wzdłuż ścieżek rowerowych.

– Chyba nie ma przeciwwskazań. – O Boże.

– Jestem pewien, że to pokochasz. Harry jest w tym niezła.

– Aha. Hmm. Czemu mówisz na mamę Harry?

Zawsze mnie interesowało, dlaczego Kit przezywał tak moją siostrę.

– Sam nie wiem. Wiesz, nasze życie nigdy nie przypominało „Domku na prerii”^{*} [*Domek na prerii* – (ang. *Lit tle House on the Prairie*) pierwsza z serii książek dla dzieci autorstwa Laury Ingalls Wilder opisująca wyidealizowane dzieciństwo autorki, w Polsce szerzej znany tylko serial telewizyjny pod tym samym tytułem luźno oparty na tych książeczkach (przyp. red.)].

– Jasne, ale mówisz na nią tak, odkąd skończyłeś dwa lata.

– Wiesz, niespecjalnie lubiła wtedy siedzieć w domu. Nie zmieniaj tematu, ciociu. Pojeździmy na rolkach?

– Jasne.

– Odważna jesteś. Daj mi się umyć i lecimy.

Ten dzień był prawie idealny. Z początku na rolkach szło mi opornie, ale kiedy złapałam rytm, jeździłam tak, jakbym od urodzenia nie spędzała w inny sposób wolnego czasu. Powróciły wspomnienia czasów, kiedy jako mała dziewczynka jeździłam na wrotkach i o mały włos nie staranowałam kilku przechodniów na chodniku, a na jezdni nie zaliczyłam stłuczki z samochodami. Ciepłe promienie słońca sprawiły, że na ulice wylegli spacerowicze, rowerzyści, deskorolkarze oraz inni wielbiciele rolek. Z początku największe kłopoty sprawiały mi zakręty, ale opanowałam je na tyle, żeby unikać zderzeń. Jedyne, czego nie zdołałam się nauczyć, to jak natychmiast zatrzymać się w miejscu. Hamulce do rolek zostały wynalezione długo po tym, jak wyrosłam z dziecięcych szaleństw.

Kiedy popołudnie zaczęło się zamieniać w zmierzch, jeździłam już gładko, jak zawodowiec. Kit nazywał mnie „galaretą”, kpiąc ze mnie, że boję się zadrapać kolana. Wszystko to z powodu ochraniaczy, które założyłam na kolana, łokcie i podudzia. Rzeczywiście, w tym oporządzeniu mogłam spokojnie stanąć w bramce hokejowej.

Minęła piąta po południu, kiedy oddaliśmy rolki do wypożyczalni i poszliśmy do Chez Restaurant na azjatycki obiad. Potem wypożyczyliśmy „Różową Panterę” i „Strzał w ciemności”^{*} [*Różowa Pantera* i *Strzał w ciemności* (ang. *Pink Panther* i *A Shot in the Dark*) – komedie kryminalne, których głównym bohaterem jest inspektor Jacques Clouseau grany przez Petera Sellersa (przyp. red.)] – i śmialiśmy się do rozpuku, kiedy inspektor Clouseau demonstrował, jak można jednocześnie być częścią problemu i jego rozwiązania. Filmy wybrał Kit, mówiąc, że francuskie komedie pomogą mu zaaklimatyzować się w Montrealu.

Dopiero kiedy położyłam się do łóżka, obolała i zmęczona po całodziennym szusowaniu i z brzuchem pełnym popcornu, przypominałam sobie o oku. Obróciłam się na drugi bok, odganiając od siebie ponure myśli. Staralam się zapomnieć o paskudnej zawartości słoika w lodówce i złym człowieku, który podrzucił ją do mojego samochodu.

Poniedziałek nadal był ciepły, jednak nad miastem zaczęły się zbierać ciemne chmury. Wisiały nisko, nie pozwalając mgłę rozproszyć się w powietrzu i zmuszając kierowców do używania świateł.

Kiedy przyjechałam do pracy, zaniiosłam słoik do sekcji biologicznej i poprosiłam o zbadanie jego zawartości. Jako że nikt nie zapytał mnie, skąd mam oko, nie wyjaśniałam, jak weszłam w jego posiadanie. Nadaliśmy próbce zwyczajny numer, a technik powiedział, że da mi znać, kiedy będą wyniki badań.

Miałam własne podejrzenia, co do pochodzenia oka, ale w głębi duszy łudziłam się, że się nie sprawdzą. Wynikające z tego konsekwencje byłyby doprawdy straszne. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać na efekty badań.

Poranne spotkanie patologów było nadzwyczaj krótkie. Właściciel salonu Volvo powiesił się we własnym garażu. Do koszu przypiął list pożegnalny. Jednosilnikowy samolot runął na ziemię w St-Hubert. Ktoś wepchnął kobietę pod pociąg na stacji metra Vendôme.

Żadnych spraw dla mnie.

Kiedy wróciłam do biura, zalogowałam się do komputera. Zaczęłam przeczesać bazę danych w poszukiwaniu spraw związanych z niezidentyfikowanymi kobiecymi szkieletami, wykorzystując do zawężenia pola badań takie określenia jak: *anthropologie*, *squelette*, *inconnue*, *femelle* i *partie** [anthropologie, squelette, inconnue, femelle i partie (fr.) – antropologia, szkielet, nieznana, kobiecy i częściowy (przyp. red.)]. Komputer wyłowił dwadzieścia sześć numerów LML* [LML (fr.) – Laboratoire de Médecine Légale, laboratorium medycyny sądowej (przyp. red.)] z ostatnich dziesięciu lat.

Bazując na tej liście, zaczęłam szukać szczątków, które odnaleziono bez czaszki. Wszystkie wyniki pochodziły z czasów, kiedy już pracowałam dla LML. Przed moim angażem nie przeprowadzano kompletnej inwentaryzacji szczątków. Stan zwłok określano po prostu jako kompletny lub niekompletny.

Pośród niekompletnych szkieletów zaczęłam szukać takich, gdzie brakowało kości udowych. Żadnych wyników.

Dane zapisano w dość ogólnikowym formacie. Podczas gdy brak czaszki był zaznaczany, to już nie opisywano, których innych kości brakuje, a których nie. Jeśli chciałam dotrzeć do tych informacji, musiałam zajrzeć do akt.

Nie marnując czasu, zeszałam do archiwum. Za biurkiem w recepcji siedziała szczupła kobieta w czarnych dżinsach i niebieskiej luźnej bluzie. Patrząc na nią, miałam wrażenie, że na jej ciele występuje tylko jeden kolor. Biały. Kobieta miała jasne włosy, bladą cerę i oczy koloru starych pomyj. Kiedy na nią spojrzałam, dostrzegłam błękitne żyłki na skroniach i piegi na nosie. Moją uwagę przykuły jednak kolczyki powbijane w brwi dziewczyny. Nie potrafiłam się doliczyć, ile ich miała. Poza tym, nie znałam jej.

– *Bonjour. Je m'appelle Tempe Brennan** [Bonjour. Je m'appelle Tempe Brennan (fr.) – Dzień dobry. Nazywam się Tempe Brennan (przyp. red.)] – powiedziałam, wyciągając rękę na przywitanie.

Skinęła głową, ale nie przedstawiła się, ani nie uściśnęła mojej dłoni.

– Jesteś tu nowa?

– Pracuję tymczasowo.

– Ach, rozumiem. Nie spotkałyśmy się chyba, co?

– Nie. Nazywam się Jocelyn Dion. – Dziewczyna wzruszyła jednym ramieniem.

– Jocelyn, mam tutaj listę akt, które chciałabym przejrzeć. – Podałam jej wydruk z zaznaczonymi numerami spraw. Kiedy sięgnęła po niego dłonią, zobaczyłam wyraźne zarysy mięśni jej ręki. Musiała dużo czasu spędzać na siłowni. – Wiem, że jest ich całkiem sporo, ale spróbuj je szybko zlokalizować i zarezerwować dla mnie, dobrze?

– Jasne, nie ma sprawy.

– Potrzebuję pełnej teczki, nie tylko raportu antropologa.

Jakiś grymas zdał się przemknąć po jej twarzy, ale znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Gdzie mam je dostarczyć? – spytała, przebiegając wzrokiem listę.

Podałam jej numer mojego pokoju i wyszłam. Zdażyłam przejść dwa korytarze, kiedy przypomniałam sobie, że nie powiedziałam jej o zdjęciach. Kiedy wróciłam, zastałam Jocelyn pochyloną nad wydrukiem. Przesuwała palcem po liście nazwisk i czytała je pod nosem.

Wyglądała tak, jakby próbowała zapamiętać dokładnie każde słowo.

Kiedy powiedziałam jej o zdjęciach, praktycznie podskoczyła na dźwięk mojego głosu.

– Już się za to biorę – szepnęła, zsuwając się ze stołka.

Dziwna kobieta, pomyślałam, wracając do biura, gdzie czekało na mnie zamknięcie raportów ze sprawy Gately’ego i Martineau.

Nie minęła godzina, kiedy Jocelyn przyniosła mi akta, które zamówiłam. Kolejne trzy spędziłam, czytając je uważnie. Każda z teczek dotyczyła bezgłowych kobiecych zwłok. Jedynie w dwóch przypadkach brakowało kości udowych, a żadna z ofiar nie była na tyle młoda, aby powiązać ją ze szczątkami z grobu.

Z lat poprzedzających mój przyjazd do pracy do Montrealu pozostało siedem niezidentyfikowanych kobiecych szkieletów pozbawionych głów. Dwa z nich należały do młodych kobiet, ale opis szczątków był tak lakoniczny, że musiałabym zobaczyć kości na własne oczy, aby mieć pewność. W żadnej z teczek nie znalazłam fotografii.

Wróciłam do komputera i zbadałam stan najwcześniejszej sprawy. Kości przetrzymano pięć lat, ponownie sfotografowano i wydano do pochówku lub spalenia.

Co dziwne, nie znalazłam żadnych zdjęć.

Zapytanie dotyczące miejsca odnalezienia dało mi następującą odpowiedź. Kości wykopano we wsi Salluit, dwieście kilometrów na północ od cypla półwyspu Ungava.

Potem wpisałam numer LML świeższej sprawy i serce zabiło mi mocniej. Ste-Julie, niecałe dwanaście kilometrów od St-Basile-le-Grand. Sprawa nadał była niewyjaśniona.

Czyżby szczęście się do mnie uśmiechnęło?

Kiedy zaczęłam pracę w LML, zostałam obdarowana pokaźną kolekcją szczątków kostnych. Choć posegregowałam i uporządkowałam jej część, to sporo materiału pozostało w moim magazynie.

Otworzyłam drzwi i wniosłam do środka magazynku krzesło. Ustawiłam je w najdalszym kącie pokoju, gdzie na półkach umieszczono kartonowe pudła opatrzone numerami LML, według których je uszeregowano. Mnie interesowały najstarsze sprawy.

Pudło, którego szukałam, znajdowało się na najwyższej półce. Wdrapałam się na krzesło,

ściągnęłam je i ustawiłam na stole. Zdmuchnęłam kurz i odsunęłam wieko.

Po lewej znajdowały się resztki żeber i kręgow, po prawej kości długie. Choć większość powierzchni stawów została poharatana przez zęby zwierząt, jasne było, że w kolekcji nie brakuje żadnej kości udowej.

Cholera.

Wyjęłam wszystkie kości i sprawdziłam, czy rzeczywiście należały do tej samej osoby. Nie popełniono błędu przy identyfikacji. Zapakowałam zawartość do pudła i odstawiłam je na półkę. Umyłam dokładnie ręce, wróciłam do gabinetu i postanowiłam, że dalszą strategię obmyślę przy kanapce i budyniu.

Rozsiadłam się wygodnie w fotelu, obróciłam krzesło w stronę okna i położyłam stopy na niskim parapecie. Zaczęłam od budyniu, kierując się mottem z tabliczki, którą pewien kolega z UNC-Charlotte miał na drzwiach.

Głosiła ona: „*Życie jest nieprzewidywalne. Deser zjedz najpierw*”. Zawsze brałam pod uwagę dobre rady.

Spoglądałam na rzekę, smakowałam budyń i pozwoliłam myślom krążyć bez celu. Czasami ten sposób pracy jest dla mnie lepszy niż świadome koncentrowanie się na faktach, szukanie połączeń i odpowiedzi na zagadki.

Czaszka i kości, które znaleźliśmy w St-Basile nie były brakującymi fragmentami z żadnej ze wcześniejszych spraw. To było pewne. Przynajmniej nie w Quebecu.

No dobra.

Jeżeli Claudel nie zaproponuje żadnego nazwiska, następnym krokiem będzie CPIC.

Prosty ruch.

Jeżeli i to rozwiązanie zawiedzie, będziemy musieli skontaktować się z NCIC. W zasadzie nie mieliśmy żadnych poszlak sugerujących, że dziewczyna była miejscowa. Równie dobrze mogła zawędrować tutaj ze Stanów.

Terapeuta Ally McBeal* [Ally McBeal – postać fikcyjna, tytułowa bohaterka amerykańskiego telewizyjnego serialu komediowego (przyp. red.)] miał rację. Potrzebowałam piosenki przewodniej na chwilę, kiedy ogarniał mnie stres.

Zaczęłam nucić:

Runnin' down the road trying' to loosen my load

Got a world of trouble on my mind... * [Runnin' down the road trying' to loosen my load I Got a world of trouble on my mind... – cytat z jednego z największych przebojów amerykańskiej grupy The Eagles *Take It Easy* (przyp. red.)]

Może.

Slow down, you move too fast.

Got to make the morning last... * [*Slow down, you move too fast. I Got to make the morning last...* – cytat z przeboju duetu Simon and Garfunkel *The 59th Street Bridge Song (Feeling Groovy)* (przyp. red.)]

Sięgnęłam po kanapkę, a przed oczyma na chwilę stanął mi sobotni prezent. Zadrzałam. Nieważne, może to oko świni? Być może jakiś wariat przeczytał artykuł w gazecie i postanowił sobie zażartować. Kawał nie był śmieszny, a wręcz upiorny.

I'm woman watch me... * [*I'm woman watch me...* – przebój Helen Reddy *I am woman* (przyp. red.)]

Zdecydowanie nie.

*It's a beautiful day in the neighborhood** [*It's a beautiful day in the neighborhood* – cytat z piosenki grupy Ugly Kid Joe *Neighborhood* (przyp. red.)]

O rany.

W końcu ułożyłam sobie plan. Najpierw dokończę raporty dotyczące Gately'ego i Martineau, potem zatwierdzę sprawozdania z sekcji bliźniaków Vaillancourt, porozmawiam z Claudelem i w zależności od wyniku dyskusji złożę wnioski do CPIC lub NCIC.

Życie wróci pod moją kontrolę, wykonam swoją pracę. Nie będę miała powodów do zdenerwowania.

Zadzwonił telefon, całkowicie burząc mój ledwo co odzyskany spokój ducha.

Rozdział 16

Kobięcy głos oznajmił:

– Dzwoni pan Crease, proszę czekać.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, rozmowa została połączona.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że dzwonię do pracy.

W zasadzie, to byłam wściekła, ale trzymałam język za zębami.

– Chciałam powiedzieć, że świetnie się bawiłem w sobotę i mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Bardzo oryginalna zagrywka.

– Miałabyś chwilę, aby zjeść ze mną kolację w tym tygodniu?

– Przykro mi, ale mam masę roboty. Po prostu nie dam rady.

Mogłabym mieć czas wolny do końca przyszłego tysiąclecia, a i tak nie spotkałabym się z Lylem Crease'em. Facet był zbyt przymilny, jak na mój gust.

– To może za tydzień?

– Raczej nie.

– Rozumiem. W takim razie, dasz mi telefon do swojego siostrzeńca?

– Słucham?

– Chcę porozmawiać z Kitem. To niesamowity chłopak.

Niesamowity?

– Mam znajomego, który prowadzi sklep motocyklowy. Ma u siebie chyba z pięć tysięcy harleyowskich akcesoriów. Kit byłby zainteresowany, nie sądzisz?

Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było skojarzenie mojego siostrzeńca z taką glistą.

– Pewnie będzie wniebowzięty.

– To wspaniale. Nie masz nic przeciwko, żebym do niego zadzwonił?

– Jasne – odparłam tonem równie chłodnym co wewnątrz zamrażarki.

Pięć minut po tym, jak odłożyłam słuchawkę, do moich drzwi zastukał Quickwater. Zmierzył mnie swoim nieodgadnionym spojrzeniem, a potem rzucił na blat biurka teczkę.

Zdecydowanie potrzebuję piosenki na stres, uznałam w duchu.

– Co to jest?

– Formularze.

– Mam je wypełnić?

Quickwater miał mnie właśnie po raz kolejny zignorować, kiedy do mojego gabinetu zajrzał jego partner.

– Rozumiem, że nic nie znalazłeś.

– Ani śladu. Pusto jak w sejfie Ala Capone. – Claudel nie był zadowolony. – Nie natrafiłem na żaden, nawet choćby odrobinę zbliżony wpis w kartotece zaginionych.

Spojrzałam na papiery na biurku.

– Jeżeli wypełni pani te papiery, będę mógł wystąpić o informacje do CPIC, a Martin w tym czasie sprawdzi NCIC. Bergeron sprawdza ślady uzębienia.

CPIC to skrót od Canadian Police Information Centre, czyli Kanadyjskiego Centrum Informacji o Przestępstwach. NCIC z kolei oznacza National Crime Information Center, czyli Centrum Informacji o Przestępstwach Federalnych, za którym stoi FBI. To, co naprawdę się liczy, to elektroniczna baza informacyjna, pozwalająca na błyskawiczny dostęp do wszelkich danych, jakie zgromadzono na temat poszczególnych spraw. Choć z pomocy CPIC korzystałam już kilka razy, to znacznie bardziej zaznajomiona byłam z jego amerykańskim odpowiednikiem.

Baza danych NCIC została uruchomiona w 1967 roku i zawierała dane o skradzionych samochodach, tablicach rejestracyjnych, broni i kosztownościach oraz o osobach ściganych, poszukiwanych i zbiegach. Z biegiem czasu zasoby systemu powiększyły się i z początkowych dziesięciu wykształciło się siedemnaście baz danych. System wzbogacił się o międzystanowy indeks identyfikacyjny, dane bezpieczeństwa U.S. Secret Service, informacje o zagranicznych przestępcach, gangach, terrorystach oraz osobach zaginionych lub niezidentyfikowanych.

Główny komputer znajduje się w Clarksburgu, w Zachodniej Wirginii i jest połączony z terminalami w biurach szeryfów oraz na posterunkach policji w całych Stanach, Kanadzie, Puerto Rico oraz na Wyspach Dziewiczych. Nowych wpisów dokonywać mogą jedynie autoryzowani urzędnicy, co trzeba przyznać, że solennie robią. W trakcie pierwszego roku działania baza danych NCIC powiększyła się o dwa miliony. Obecnie codziennie jej zasoby są poszerzane o taką ilość.

Katalog zaginionych utworzono w 1975 roku i do dziś wykorzystuje się go do odszukiwania osób, które znikły bez śladu. Na listę mogą trafić nastolatki, które uciekły z domu, osoby chore lub niepełnosprawne i takie, które zaginęły w wyniku jakiejś tragedii. Formularz uzupełniany jest o dane pozyskiwane od rodziców lub opiekunów danej osoby, lekarza, dentysty i okulisty, a wprowadza go do bazy miejscowa komórka biura.

W 1983 roku utworzono katalog osób niezidentyfikowanych, który miał się stać narzędziem do krzyżowego sprawdzania danych z bazy ludzi zaginionych. Do jej zasobów dodaje się informacje o niezidentyfikowanych zwłokach, częściach ciała, osobach żywych i ofiarach katastrof.

Właśnie ten formularz rzucił na moje biurko Quickwater.

– Jeśli wypełni pani kwestionariusz NCIC, będziemy mogli przeszukać obydwie sieci. W zasadzie to są takie same dane, tylko wprowadzone w innym systemie kodowania. Ile potrzeba pani czasu?

– Dajcie mi godzinę – odparłam, wiedząc, że trzy kości to stosunkowo mało materiału porównawczego.

Kiedy tylko wyszli z mojego gabinetu, zabrałam się za wypełnianie formularza, co jakiś czas sprawdzając przewodnik w poszukiwaniu kodów katalogowych dla poszczególnych kości.

Zaznaczyłam kratkę przeznaczoną dla EUD niezidentyfikowanych zwłok.

Pola „1”, „9” i „10” na diagramie ciała zaznaczyłam literą „S”. Oznaczały one te części ciała, które odnaleźliśmy w grobie. Resztę pól opisałam literami „N”, co oznaczało, że nie

natknęliśmy się na nie.

Litera „K” oznaczała, że mamy do czynienia z kobietą, a „B”, że z rasą białą. Pola, gdzie powinnam wpisać wiek i datę oraz miejsce śmierci, pozostawiłam puste.

Rubrykę „Informacje dodatkowe” wypełniłam wpisem „dren mózgowy” i zaznaczyłam jego obecność na formularzu dodatkowym. I to cała praca. Żadnych opisów złamań kości, deformacji, tatuaży, znaków szczególnych czy blizn.

Reszta formularza, gdzie powinnam opisać znalezione ubranie, biżuterię, okulary, odciski palców, grupę krwi czy informacje o przyczynie śmierci, pozostała pusta. Z obowiązku dodałam kilka słów o miejscu, gdzie zostało znalezione ciało.

Wpisywałam właśnie dane jednostki stosującej zapytanie, kiedy w drzwiach stanął Quickwater. Skończyłam pisać i podałam mu papiery. Zabrał je, kiwnął głową i wyszedł.

Co z nim było nie w porządku?

Przed oczyma na chwilę stanął mi upiorny obraz gałki ocznej w słoiczku. Zadrżałam.

Czy powinnam o tym opowiedzieć? Mowy nie ma. Na pewno nie Claudelowi czy jego partnerowi. Mogłabym spytać Ryana, poprosić go o radę, ale on się już nie liczył i byłam zdana na własne siły.

Dokończyłam raporty z sekcji Gately’ego i Martineau i zaniiosłam je do sekretariatu. Kiedy wróciłam do mojego gabinetu, Claudel siedział w fotelu gościa i przeglądał jakiś wydruk.

– Miała pani rację co do wieku, ale nie trafiła z datą śmierci. Dziesięć lat to za mało. – Zamilkł, a ja czekałam, aż podejmie wątek. – Nazywała się Savannah Claire Osprey.

Nazwisko dziewczynki dziwnie zabrzmiało, kiedy Claudel wypowiedział je ze swoim silnym francuskim akcentem. Niemniej, samo brzmienie nazwiska powiedziało mi, że dziecko pochodziło z południa Stanów lub przynajmniej tam się urodziło. Niewielu ludzi poza wybrzeżem nazywa córkę Savannah. Opadłam na fotel. Czułam z jednej strony ulgę, z drugiej ciekawość.

– Skąd pochodziła?

– Shallotte, Karolina Północna. Czy to nie pani rodzinne miasto?

– Pochodzę z Charlotte.

Kanadyjczykom zawsze myli się Charlotte z Charlottesville i dwoma miastami Charlestone. Amerykanom także, dlatego już dawno przestałam tłumaczyć i wyjaśniać różnice, Shallotte, niewielkie nadmorskie miasteczko nie powinno być jednak być mylone z większymi.

Claudel podał mi wydruk.

– Zaginięcie zgłoszono w maju 1984 roku, dwa tygodnie po jej szesnastych urodzinach.

– Jestem zaskoczona szybkością odpowiedzi – mruknęłam, przeglądając wydruk.

– *Oui.*

Czekałam, ale Claudel również milczał. Kiedy się odezwałam, nie pozwoliłam ani jednej nucie irytacji zabrzmieć w moim głosie.

– *Monsieur* Claudel, każda informacja, jaką pan posiada, może się okazać pomocna przy

identyfikacji.

Przez chwilę milczał, a potem odparł.

– Kluczowe okazały się odciski zębów oraz informacja o drenie. Komputer praktycznie od razu podał odpowiedź. Zadzwoiłem na policję w Shallotte i rozmawiałem z oficerem dyżurnym. Według niego sprawę wniosła matka, ale potem ją wycofała. Dochodzenie trwało przez kilka miesięcy, było zakrojone na szeroką skalę, ale nic nie przyniosło.

– Trudne dziecko?

Cisza.

– Nie mamy żadnych zapisów dotyczących problemów z zachowaniem czy używaniem narkotyków. Hydrocephalus spowodował u niej problemy z nauką i negatywnie wpłynął na zmysł wzroku, ale nie była opóźniona w rozwoju. Chodziła do normalnej szkoły i dobrze się uczyła. Nigdy nie była uważana za dziecko, które mogłoby uciec z domu. Niemniej, dość często ją hospitalizowano ze względu na problemy z drenem. Najwidoczniej ciągle się zatykał, przez co dziewczynka często trafiała na oddział. Zwykle łączyło się to z okresami letargów, apatii, bólów głowy, czasami zaburzeń psychicznych. Jedna z teorii głosiła, że coś się dziewczynie pokręciło w głowie i zniknęła.

– Zniknęła? Gdzie? Co mówi inna teoria?

– Że to sprawka ojca.

Claudiel otworzył notatnik i przerzucił kilka kartek.

– Dwayne Allen Osprey, wcielenie praworządności i uczciwości. Jego kronika kryminalna jest dłuższa od kolei transsyberyjskiej. W tamtych czasach jego sposób na rodzinne życie ograniczał się do picia Jima Beana i okładania piętami rodziny. Wedle pierwotnego zeznania matki dziewczynki, które później zresztą odwołała, ojciec nigdy nie lubił Savannah, a z wiekiem jego stosunek do niej się tylko pogarszał. Zdarzało się nawet, że potrafił nią cisnąć o ścianę. Wygląda na to, że Dwayne bardzo się zawiódł na córce. Nazywał ją nawet „Wodomózgiem”.

– Policja uważa, że mógł ją zamordować?

– Istnieje taka możliwość. Whisky i złość to zabójczy koktajl. Teoria głosi, że dziewczynka zdenerwowała czymś ojca, ten ją zabił, a następnie ukrył ciało.

– Więc jakim cudem jej czaszka znalazła się w Quebecu?

– Celne pytanie, doktor Brennan.

Wstał z fotela, obciągnął mankiety najczystszej i najbielszej koszuli, jaką widziałam od dziesięcioleci i wyszedł. Rzuciłam mu obojętne spojrzenie, ale był odwrócony do mnie plecami.

Westchnęłam i oparłam się wygodniej o fotel.

Wsadź sobie takie odzywki w miejsce, gdzie światło nie dochodzi, *monsieur* Claudel.

A odpowiedź i tak znajdę.

Rozdział 17

Zaczerpnęłam głęboko tchu. Claudel, jak zwykle, rozwścieczył mnie do żywego. Kiedy się opanowałam, spojrzałam na zegarek. Była czwarta czterdzieści, późno, ale miałam szansę jeszcze ją złapać.

Zerknęłam do wizytownika i wykręciłam numer Kwatery Głównej SBI w Raleigh* [SBI w Raleigh – North Carolina State Bureau of Investigation, Biuro Śledcze Stanu Północna Karolina (przyp. red.)] Kate Brophy podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Kate, tutaj Tempe.

– Cześć, dziewczyno. Wróciłaś do Dixielandu?* [Dixieland – Dixie, Południe, zwyczajowe nazwy południowych stanów USA (przyp. red.)]

– Nie, nadal jestem w Montrealu.

– No to kiedy przywleciesz tutaj swoją kościstą pupę, żebyśmy wychyliły kilka głębszych?

– Nie piję już, Kate.

– Ach, racja. Przepraszam. Zapomniałam na śmierć.

Kate i ja spotkałyśmy się na studiach. To był pierwszy rok, wiosna, a ja już znajdowałam się w szponach uzależnienia alkoholowego. W przeciwieństwie do moich koleżanek nie miałam osiemnastu lat, a trzydzieści, byłam matką i żoną, nade wszystko wykładowcą akademickim, którego obowiązki i odpowiedzialność wykańczały psychicznie do cna.

W zasadzie nigdy nie spostrzegłam, kiedy dołączyłam do braci w zaprzeczaniu. Gdzieś po drodze stałam się mistrzynią racjonalizacji i wymówek. Szklaneczka merlota wieczorem to nie grzech. Piwko po wykładzie dobrze służyło mi na gardło. W weekend szłam na przyjęcie i nie musiałam pić alpagi w bramie. Nigdy nie piłam sama. Nie opuszczałam się w pracy, nie miałam z tym żadnego problemu.

Niepostrzeżenie szklaneczka czegoś mocniejszego zamieniła się w całą butelkę, a nocne libacje zaczęłam odprawiać samotnie. Bachus jest podstępny. Na udział w jego święcie nie trzeba mieć zaproszenia, nie musisz pić określonych drinków ani wyrabiać normy ich ilości. Zanim się obejrzyysz, leczysz w sobotnie popołudnie kaca, podczas gdy twoja córka gra w piłkę z koleżankami, pod opieką sąsiadów.

Ten etap życia zamknęłam za sobą już na dobre i byłam pewna, że nie zamierzam go ponownie otwierać.

– To zabawne, że dzwonisz – powiedziała Kate. – Właśnie rozmawiałam z jednym z naszych śledczych. Opowiedziałam mu o tym młodocianym motocyklicie, którego posklejałaś z kawałków jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Pamiętałam tamtą sprawę. Dwóch narwańców popełniło gruby błąd, sprzedając narkotyki na terenie Aniołów Piekieł. Ich porąbane ciała zostały znalezione w plastikowych workach, a mnie zlecono rozróżnienie handlarza „A” od handlarza „B”.

Ta sprawa była dla mnie przełomowa. Do czasu jej rozpoczęcia pracowałam nad kośćmi wydobytymi ze stanowisk archeologicznych. Szukałam oznak chorób oraz informacji

pozwalających określić długość życia. Było to fascynujące zajęcie, choć mocno odsunięte w cień wydarzeń z pierwszych stron gazet.

Kiedy zaczęłam pracę konsultanta dla biura koronera Północnej Karoliny, przepełniał mnie entuzjazm, jakiego nie zaznałam poprzednio. Sprawa motocyklisty, o której wspomniała Kate, a także kolejne zlecenia miały w sobie ładunek gwałtowności, jakiego brakowało pochówkom historycznym. Wreszcie mogłam przywrócić imię bezimiennym, dać rodzinie wiedzę, czy to ich krewny czy ktoś obcy, a nade wszystko wspomóc wymiar sprawiedliwości w zbożnym dziele zmniejszenia przestępczości na ulicach Ameryki. Mogłam zidentyfikować i wskazać złoczyńcę, a w końcu posłać go za kratki. Zmieniłam profil zawodowy, uporządkowałam życie osobiste i postanowiłam nie oglądać się za siebie.

Jak ci się udało trafić na wykład Tulia? – spytałam Kate.

– Byłam akurat w Quantico. Podwiozłam kilkoro moich znajomych na zajęcia VICAP i stwierdziłam, że skoro już jestem na miejscu, to mogę się rozejrzeć w poszukiwaniu nowości.

– Co znalazłaś?

– W sumie nic poza tym, że twoi motocykliści mordują się częściej niż użytkownicy innych środków komunikacji. Nic specjalnego się nie zmieniło – odparła Kate.

– Nie pamiętam, abym w ciągu ostatnich kilku lat zajmowała się jakąś sprawą związaną z motocyklistami w Karolinie. Kogo tam u siebie macie?

– Z wielkiej czwórki? Na razie trzy gangi.

– Anioły Piekieł, Renegatów i Bezbożników? – upewniłam się.

– Tak, dziecinko. Bandidos jeszcze do nas nie dotarli. Od jakiegoś czasu panuje u nas cisza i spokój, ale sprawy mogą przyjąć niebezpieczny obrót w przyszłym miesiącu, kiedy Anioły urządzają sobie zlot w Myrtle Beach.

– Czyli nadal macie u siebie Dzikiego Zachód, co? – roześmiałam się. – Prawdę mówiąc, dzwonię w zupełnie innej sprawie.

– Jakiej?

– Słyszałaś kiedykolwiek o dziewczynce nazwiskiem Savannah Claire Osprey?

Zapadła cisza. Fale oceaniczne, bijące setki kilometrów dalej, po drugiej stronie słuchawki brzmiały jak z muszli morskiej.

– Czy to jakiś żart?

– Nie, pytam najzupełniej serio.

Kate zaczerpnęła głęboko tchu.

– Zniknięcie małej Osprey było pierwszą sprawą, nad jaką pracowałam w biurze. Minęło wiele lat. Savannah była nastolatką z poważnymi problemami zdrowotnymi. Nie pałętała się z trudną młodzieżą, nie używała narkotyków. Któregoś popołudnia wyszła z domu i nie wróciła. Tak przynajmniej głosi oficjalna wersja.

– Nie jesteś do niej przekonana?

– Miejscowa policja podejrzewała jej ojca, ale nie znaleźli żadnego dowodu.

– Uważasz, że mógł być zamieszany w jej zniknięcie?

– Jest taka możliwość. Savannah była cherlawym dzieckiem, w grubych okularach, rzadko gdzie wychodziła z przyjaciółmi. Nie spotykała się z żadnym chłopakiem. Tajemnicą

poliszynela było to, że jej ojczulek wykorzystywał ją jako worek treningowy – w głosie Kate słyszałam złość i smutek. – Gość powinien był wylądować w mamrze. W zasadzie trafił tam kilka lat później za posiadanie narkotyków, tak mi się wydaje. Kopnął w kalendarz pięć lat po zniknięciu córki.

W słuchawce znowu zapadła cisza, ale następne zdanie Kate ugodziło mnie dokładnie w serce.

– Był takim cholernym dupkiem, a ona tak biednym maleństwem, że nie potrafiłam odpuścić tej sprawy. Kości małej trzymam w podręcznym magazynie.

– Co powiedziałaś? – spytałam, ledwie łapiąc oddech.

– Rodzice nigdy ich nie odebrali, ale jestem pewna, że to jej szczątki. Są nadal w moim biurze. Doc dzwoni i prosi o nie co jakiś czas, ale mówię mu, że nie teraz.

– Znaleziono jej szczątki?

– Tak, jakieś dziewięć miesięcy po zniknięciu Savannah, szkielet dziewczynki został znaleziony w Myrtle Beach. To była jedna z poszlak świadczących przeciwko Dwayne’owi Ospreyowi. Choć nigdy nie przepadał za pracą, to w okresie, kiedy mała zaginęła, jeździł jako dostawca w firmie produkującej ser. Tego dnia miał kurs do Myrtle Beach.

Byłam zbyt zszokowana, aby wydobyć z siebie głos. Dopiero po chwili spytałam:

– Potwierdziłaś tożsamość?

– Nie. Zbyt wiele części ciała zaginęło, a te, które odnaleźliśmy były w kiepskim stanie. Inna rzecz, że w tamtych czasach nie przeprowadzaliśmy analizy DNA.

– Natrafiliście na czaszkę?

– Nie. To był nasz najpoważniejszy problem. Zwłoki porzucono w lesie, były częściowo przykryte blachą falistą. Zwierzęta wygrzebały kawałki ciała i rozwłóczyły je po lesie. Nigdy nie odnaleźliśmy ani szczęki, ani czaszki. Założyliśmy, że znikły za sprawą padlinożerców. Kości spod blachy pozostały nietknięte, a reszta nie nadawała się do identyfikacji. Ledwie zdołaliśmy określić płeć ofiary. Badania przeprowadzał jakiś patolog i w raporcie napisał, że na podstawie szczątków nie można określić wieku, wzrostu ani płci.

Nic dziwnego, patolog nie wiedział o metodzie oceny wieku za pomocą mikroskopu czy kalkulacji wzrostu na podstawie kości udowych. Kiepska robota, doktoru.

– Czemu uważaliście, że to Savannah?

– W pobliżu ciała znaleźliśmy wisiołek. Choć matka zeznała inaczej, jestem pewna, że go rozpoznała. Poza tym medalion miał kształt rybołowa.* [Osprey (ang.) – rybołów (przyp. tłum.)]

Czekałam w milczeniu przez chwilę.

– No wiesz, takie skojarzenie z nazwiskiem. Opowiedziałam jej o czaszce i kościach udowych, znalezionych w Montrealu.

– O cholera jasna!

– Matka jeszcze żyje?

– Wszystko jest możliwe, odkąd sklonowali tę owcę. Dowiem się.

– Masz jeszcze akta tej sprawy?

– Co to za pytanie?

– Pośmiertne prześwietlenia rentgenowskie?

- Tysiące.
- Podjęłam szybką decyzję.
- Wyciągnij kości z pudła, jadę do ciebie.

Patineau zatwierdził moją delegację, a ja zarezerwowałam sobie bilet na poranny lot do Raleigh. Kit i ja zjedliśmy późny obiad, unikając rozmowy na temat pakunku, który postawiłam w przedpokoju i zabierałam do Stanów. Chłopak był podekscytowany spotkaniem z Crease'em i nie miał pretensji, że zostawiam go samego.

Samolot był wypełniony po brzegi studentami, biznesmenami i weekendowymi golfiarzami. Wyglądałam przez okno, nie zwracając uwagi na personel podający kawę i lekkie drinki. Też chciałabym lecieć do Pinehurst, Marsh Harbor czy Oyster Bay na jedną czy dwie partyjki zamiast przeprowadzać analizę kości zamordowanej nastolatki.

Spojrzałam na sportową torbę u moich stóp. Wyglądała niewinnie. Ciekawe, co powiedzieliby o niej moi współpasażerowie, gdyby dowiedzieli się, że w środku są ludzkie kości? Latałam z Dorad na tyle często, że operatorzy urządzeń bezpieczeństwa znali mnie już i nie zadawali pytań. Ciekawe, jak to będzie przed odlotem z Raleigh?

Na zewnątrz promienie świtu barwiły chmury na różowo. Kiedy przebiliśmy się przez ich zasłonę, dostrzegłam cień samolotu przebiegający po obłokach.

Dokładnie tak, powiedziałam do siebie w duchu. Tak właśnie widziałam dziewczynkę, której resztki znajdowały się u moich stóp. Choć znałam jej imię, nadal była ulotnym cieniem, marą widoczną na tle bezkształtnego horyzontu. Miałam nadzieję, że ta podróż zaowocuje większą ilością szczegółów.

Rozdział 18

Kate wyszła po mnie na lotnisko Raleigh-Durham, po czym bezpośrednio zawiozła do biura SBI. Zawczasu sprowadziła szczątki Savannah z biura koronera na Chapel Hill i zarezerwowała dla nas salę. Jeżeli imalibyśmy pobrać próbki DNA, taki układ byłby efektywny.

Założyłam gumowe rękawiczki i rozwinęłam fartuch, Kate zrobiła to samo. Położyła na blacie długie białe pudło i odsunęła się o krok. Serce łomotało mi w piersi jak szalone, kiedy odklejałam taśmę samoprzylepną i otwierałam pudło.

Wyjmowałyśmy kości jedną po drugiej i układałyśmy je na stole w porządku anatomicznym. Żebra, kręgi, miednica, kości długie.

Patolog celnie opisał i zanalizował szkody, jakie poczyniły zwierzęta. Padlinożercy obrali kości z tkanek mięsnych, nie oszczędzili też stawów, jeśli nie liczyć tych najmniejszych. Nie było śladów po spojeniach łonowych, grzebieniu biodrowym, z obojczyka pozostały jedynie niewielkie fragmenty. Jeden szczegół rzucał się w oczy: brakowało obydwu kości udowych.

Dołożyłam fragmenty ciała, które znaleźliśmy w St-Basile. Choć nawet dzięki nim nie dysponowaliśmy pełnym szkieletem, to żadne jego elementy się nie dublowały.

Kate odezwała się jako pierwsza.

– Wydaje mi się, że kości pasują do siebie pod względem wymiarów i rozbudowy mięśni. Boże, ależ musiała być drobniutka.

– Zrobiłam symulację wzrostu, opierając się na długości kości udowych. Savannah mierzyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt centymetrów. Ciekawe, czy pomiar bazujący na piszczelach da podobne efekty? – powiedziałam, wskazując na szczątki leżące na stole. – Istnieje formuła wsteczna, która pozwala dokonać obliczeń w oparciu tylko o nie.

Dokonałam pomiarów i zastosowałam wzór. Szybka kalkulacja wykazała, że nie pomyliłyśmy się, choć margines błędu był całkiem spory. Pomimo to, kiedy zestawiliśmy wyniki, mniej więcej się zgadzały. Gdy skończyłam liczyć i pokazałam wyniki Kate, ta podeszła do półki i zdjęła z niej tom grubszy niż książka telefoniczna na Manhattanie.

– Mam. Za życia Savannah mierzyła sto trzydzieści centymetrów. – Kate przerzuciła jeszcze kilka stron i wypięła z segregatora szarą kopertę. Oglądała zdjęcia i mówiła jednocześnie: – To było cholernie przynębiające. Większość dzieci z jej klasy nic o niej nie wiedziała. Pamiętaj, że Shallotte nie jest wielkim miasteczkiem. Te dzieci, które rozpoznały ją na zdjęciach, nie potrafiły nic powiedzieć o jej zainteresowaniach. Savannah była najwidoczniej jedną z tych osób, na które nikt nie zwraca uwagi. Urodziła się w 1968 roku, zmarła w 1984.

Kate zatrzymała się przy jednym zdjęciu.

– Tak naprawdę, to dziecko nie miało ani krztyny szczęścia w życiu. Koszmarna rodzina, żadnych przyjaciół. Sama popatrz, jaka to kruszynka.

Spojrzałam na fotografię i serce ścisnął mi żal.

Dziewczynka siedziała na kocu, oparta na jednym kościstym ramieniu. Drugie wyciągała

w stronę fotografa, aby zabrał aparat. Ubrana była w jednoczęściowy kostium kąpielowy, a cerę miała tak bladą, że wręcz siną. Choć próbowała zasłonić twarz, to na fotografii zostały uwiecznione ciemne oczy spoglądające zza wielkich grubych okularów. Z tyłu, w oddali dostrzegłam fale przyboju.

Patrzyłam na drobną buzię i gorączkowo rozmyślałam. Kto mógłby chcieć zaatakować takie dziecko? Czy napastnik jej groził, zaciągnął w las? Udużono ją czy zadżgano? Czy wiedziała, że umrze? Czy przerażona krzyczała, choć zdawała sobie sprawę, że nikt jej nie usłyszy? A może umarła we własnym domu, po czym jej ciało zostało porzucone w lesie na pastwę psów? Czy w ostatniej chwili życia czuła strach, rezygnację, nienawiść, a może straciła przytomność? Cierpiała?

– ... porównując z cechami szczególnymi czaszki – Kate wyjęła z koperty zdjęcia rentgenowskie i oglądała je pod światło. – Te fotografie wykonano na cztery miesiące przed zniknięciem Savannah.

Wyciągnęłam własne fotografie z torby i przypięłam je obok tych, które zrobiono w szpitalu. Poczynając od części twarzowej, porównałam je dokładnie ze sobą. Szczególną uwagę zwróciłam na zatoki, które mogą być małe lub wielkie, ale zawsze mają kształt charakterystyczny dla danego człowieka, podobnie jak odciski palców.

U Savannah przypominały grzebień kakadu, pnąc się ku górze w kierunku czoła. Ich kształt na jednych i na drugich zdjęciach był taki sam. Na każdym ujęciu, wykonanym zarówno przed, jak i po śmierci dziecka, widoczna też była dziura, którą chirurdzy wywiercili, aby przepuścić przez nią rurkę drenu.

Nie miałyśmy najmniejszej wątpliwości, że czaszka znaleziona w St-Basile należała do Savannah Claire Osprey. Ale czy mogłyśmy mieć pewność, że stanowiła część szkieletu, na który natrafiono w pobliżu Myrtle Beach?

Zanim opuściłam Montreal, pobrałam próbkę tkanki z kości udowej oraz z zęba trzonowego dolnej szczęki. Miałam nadzieję, że być może uda się zlokalizować krewnych dziewczynki i przeprowadzić badania. Gdyby ta metoda zawiodła, zawsze istniała możliwość zsekwencjonowania DNA z tkanek lub próbek krwi, aby w ten sposób potwierdzić tożsamość osoby zmarłej. Choć porównanie materiału stomatologicznego i radiograficznego sprawiło, że badanie DNA szczątków montrealskich okazało się niepotrzebne, to miałam jeszcze jeden cel do zrealizowania.

Wykorzystując piłę do kości, odciąłem dwuipółcentymetrowe kawałki z piszczeli i kości strzałkowych, które przez te wszystkie lata zachowała Kate. Obserwowała w milczeniu, jak wirujące ostrze z wyciem odcina fragmenty tkanek, a w powietrze wzbija się tuman pyłu.

– Jest całkiem prawdopodobne, że nie znajdą niczego, co można by wykorzystać jako materiał porównawczy. Minęło zbyt wiele lat.

– Owszem – przytaknęłam. – Ale trzeba mieć nadzieję.

To była najszczerza prawda. Kamienie żółciowe, plamy z wydzielin, kropla krwi. Na fragmenty ludzkiego DNA można było się natknąć w najprzeróżniejszych, często niespodziewanych miejscach.

– A co, jeśli nie znajdziemy żadnych krewnych?

– Jeśli porównamy sekwencje szczątków z Myrtle Beach i z St-Basile, będziemy przynajmniej wiedzieć, czy należą do tej samej ofiary. Jeśli tak, jesteśmy w domu, bowiem określiliśmy, że czaszka znaleziona w Kanadzie należała do Savannah. Wolałabym jednak oprzeć się na analizie DNA.

– A jeśli go nie znajdziemy?

– Zrobiłam już zdjęcia mikroskopowe kości udowych z St-Basile. Kiedy wrócę, przeanalizuję te szczątki pod dużym powiększeniem.

– Co ci to da?

– Informacje o wieku ofiary. Poszukam cech wspólnych kośćca i zbadam jego mikrostrukturę. To może być przydatne.

Była prawie pierwsza po południu, kiedy skończyłam pobierać i opisywać próbki, a Kate wypełniła formularze potrzebne do wydania mi ich. Postanowiłyśmy, że wyskoczymy na szybki lunch, a potem zagłębimy się w akta sprawy. Siedząc nad cheesburgerami i frytkami, usłyszałam to, co wiadomo o ostatnich godzinach życia Savannah Osprey.

Wedle zeznań jej rodziców, ten tydzień nie różnił się niczym od innych. Czuła się dobrze i z niecierpliwością oczekiwała na jakąś uroczystość szkolną, z jakiej okazji miała być ta impreza rodzice nie pamiętali. Tego dnia, kiedy znikła, uczyła się do klasówki z matematyki, jednak nie miała serca do nauki. Około drugiej powiedziała, że musi coś kupić w aptecce i wyszła z domu. Nigdy więcej już jej nie ujrzeli.

– Tak przynajmniej brzmiała wersja tatusia – podsumowała opowieść Kate.

– Był tego dnia w domu?

– Tak, do jakiejś wpół do czwartej. Potem pojechał do Wilmington, a później do Myrtle Beach. Jego pracodawca potwierdził tę wersję. Osprey pojawił się na miejscu nieco spóźniony, ale skarżył się na korki po drodze.

– Zbadaliście samochód?

– Nie. Brakowało nam dowodów i nie dostaliśmy nakazu.

– A co z matką?

– Brenda? To osobna historia. – Kate wgrzyła się w kanapkę, a potem otarła usta papierową chusteczką. – Cały dzień była w pracy. O ile dobrze pamiętam, sprzątała w motelu. Zeznała, że wróciła do domu około piątej i nikogo tam nie zastała. Nie martwiła się, dopóki nie zapadła noc, a córka nie wróciła. Około północy zadzwoniła na policję i zgłosiła zaginięcie.

Kate przerwała i pociągnęła łyk coli.

– Brenda współpracowała z nami przez jakieś dwa dni, a potem odwołała zeznania. Oświadczyła, że córka wyjechała z przyjaciółmi. Mogliśmy ją przekonywać i gadać, ale podobny efekt miałyby namawianie do współpracy zamrożonej wieprzowiny. Ostatecznie skontaktowało się z nami biuro szeryfa Shallotte i to jego oficer wprowadził Savannah do bazy NCIC oraz dostarczył wszelkich potrzebnych danych. Zwykle robią to rodzice albo opiekun.

– Skąd ta nagła zmiana?

– Pewnie Dwayne ją zastraszył.

– Co się z nim stało?

– Pięć lat po tym, jak znikła Savannah, jej tatuś poczuł zew natury. Zaczął jeździć w góry, aż do Chimney Rock* [Chimney Rock – górski park przyrodniczy w Północnej Karolinie (przyp. red.)], gdzie przy piwku z koleśiami świętował 4 lipca. Drugiego dnia pikniku pojechali po piwo do miasta, ale nasz Yankee Doodle* [Yankee Doodle – Jankes, mieszkaniec północnowschodnich stanów (przyp. red.)] zjechał z drogi i spadł do Hickory Nut Gorge* [Hickory Nut Gorge – kanion (przyp. red.)]. Wypadł z samochodu, a ten się po nim przetoczył. Kiedy znaleźli Dwayne’a, jego głowa miała większą średnicę od felgi koła zapasowego.

Kate zmięła chusteczkę, rzuciła ją na środek tacki i odsunęła się od stolika.

– Śledztwo poszło w diabły wraz ze śmiercią Dwayne’a – dodała, wyrzucając śmieci do pojemnika.

Wyszliśmy z restauracji na patio, gdzie czarny staruszek przywitał nas zwyczajowym „Cześć!”. Podlewał szlauchem kwiaty i zapach mokrej ziemi oraz petunii mieszał się z wonią tłuszczu do smażenia.

Popołudniowe słońce przygrzewało, wypędzając chłód z moich ramion i myśli. Kiedy wsiadliśmy do samochodu, spytałam:

– Sądzisz, że to on zrobił?

– Sama nie wiem, Tempe. Kilka rzeczy mi tutaj nie gra. – Kate zamilkła, a ja czekałam, aż będzie wiedziała, co powiedzieć. – Dwayne Osprey był alkoholikiem i wrednym typem, ale faktem jest, że mieszkając w Shallotte, pozbawił jakąś wieś szansy posiadania należnego jej wiejskiego idioty. Ospreya nie można opisać inaczej niż jako głupka. Nigdy bym nie przypuściła, że potrafiłby zabić córkę, przewieźć jej ciało do innego miasta i zatrzeć wszystkie ślady. Po prostu brak mu było do tego mózgu. Poza tym, tamten tydzień był szczególny.

– Dlaczego?

– Co roku w połowie maja w Myrtle Beach ma miejsce ogromny zlot motocyklistów. To impreza, w której obowiązkowo muszą uczestniczyć wszystkie kluby Aniołów Piekieł, a zwykle pojawiają się na niej także Bezbożnicy. Przez tydzień wszędzie jest pełno motocyklistów: od gangsterów po rubbie.

– Rubbie? – Byłam pewna, że Kate nie miała na myśli „opoja”, a takie było znaczenie tego słowa w montreal skim slangu.

– Rich Urban Biker, czyli bogaty miejski motocyklista. Tak czy inaczej, właśnie w ten sposób zostałam przydzielona do sprawy. Mój szef uważał, że w zabójstwo mogły być zamieszane gangi.

– Miał rację?

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy.

– A jak sądzisz?

– Cholera jasna, Tempe, nie wiem. Shallotte leży przy autostradzie 17. Tam są dziesiątki moteli i barów. Biorąc pod uwagę ruch z i do Południowej Karoliny, jaki na niej panuje, mogła mieć pecha i wpaść na jakiegoś psychola, który zamiast do kurczaków, strzela do małych dziewczynek.

– Ale dlaczego miałyby ją zabić? – Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę z tego, jaką głupotę palnęłam.

– Ludzie giną, bo jada za wolno, noszą czerwoną bandanę, a okoliczny gang niebieskie, czy kupują u jednego sprzedawcy, a nie u drugiego. Może ją zamordowano, bo nosiła okulary?

Albo bez powodu, jak Emily Anne Toussaint.

Kiedy wróciliśmy do laboratorium SBI, rozłożyliśmy dokumenty z teczki na blacie i zaczęliśmy je analizować. Miałyśmy do dyspozycji dokumenty pediatryczne i stomatologiczne, billingi telefoniczne, kartotekę kryminologiczną, stenogramy z przesłuchań, dane wywiadu środowiskowego, odręczne notatki z obserwacji terenowej.

Śledczy z Shallotte sprawdzili każdy trop, nawet prześwietlili przeszłość sąsiadów. Zespoły poszukiwawcze przeczesywały lasy, rzeki i bagna. Żadne z tych wysiłków nie przyniosły rezultatów. Savannah Osprey wyszła z domu i zaginęła bez śladu.

Dziewięć miesięcy później w Myrtle Beach odnaleziono tajemnicze zwłoki. Podejrzewając, że mogą się one łączyć ze sprawą zniknięcia Savannah, koroner z Horry County skontaktował się z organami ścigania Karoliny Północnej i wysłał kości do Chapel Hill. Raport patologa w pełni opisywał stan zwłok, jednak kończył się konkluzją, że ich identyfikacja nie jest możliwa. Oficjalnie nie odnaleziono żadnego śladu Savannah.

Ostatni wpis w aktach nosił datę 10 lipca 1989 roku. Po śmierci Dwayne’a Ospreya ponownie przesłuchano jego żonę, ale podtrzymała swoje zeznania, wedle których Savannah uciekła z domu.

Skończyliśmy przeglądać materiał po siódmej. Bolały mnie oczy od czytania niewyraźnego odręcznego pisma i małego druku, a plecy płonęły żywym ogniem, protestując przeciwko pozostawianiu przez wiele godzin w pochylonej pozycji. Byłam zmęczona i zniechęcona. Przegapiłam lot powrotny. Niczego się praktycznie nie dowiedziałam. Spoglądając na Kate, wiedziałam, że i ona czuje się podobnie.

– Co teraz? – spytałam.

– Znajdziemy ci jakiś ką na noc, zjemy kolację i pomyślimy o przyszłości.

To był dobry plan.

Zarezerwowałam pokój w Red Roof Inn, a potem zamówiłam bilet na poranny lot. Zadzwoiłam do Kita, ale nie odebrał telefonu. Zdziwiłam się mocno, więc podałam numer mojej komórki i poprosiłam, aby oddzwonił. Kiedy skończyłam rozmawiać, spakowałyśmy kości i pojechałyśmy z Kate do jej biura na Garner Road.

Budynek agencji diametralnie się różni od jej bardzo nowoczesnego laboratorium. Ten drugi jest zbudowany głównie z betonu, emanuje od niego funkcjonalność i sterylność. Biura tymczasem mieszczą się w dwupiętrowej kamienicy z czerwonej cegły o kremowym wykończeniu. Jej otoczenie stanowią przystryżone trawniki, a do głównego wejścia prowadzi alejka ocieniona starymi dębami. Siedziba główna SBI bardziej pasuje do antykwariatu znajdującego się naprzeciwko niż do megalitycznego molocha, od którego dzieli go kilka przecznic.

Pozostawiwszy samochód na parkingu, wypakowałyśmy nasze rzeczy i ruszyłyśmy w stronę budynku. Po prawej znajdował się żywopłot, na skraju którego zasadzono nagietki i bratki. Pośrodku trawnika wznosiły się trzy maszty. Idąc w stronę wejścia, obserwowałam, jak nieumundurowany oficer opuszcza ostatnią z flag, które łopotały na wietrze, pobrzękując linkami. Ponad dachem Highway Patrol Training Center widać było jeszcze tarczę słoneczną, której blask oświetlał tę scenę.

Przeszłyśmy przez szklane drzwi z emblematem North Carolina Department of Justice oraz State Bureau of Investigation, poddałyśmy się kontroli i wjechałyśmy na drugie piętro. Tam schowałyśmy kości, zamykając je w sejfie znajdującym się w gabinecie Kate.

– Masz ochotę coś zjeść?

– Tak – odparłam bez chwili wahania. – Zjadłabym jakieś smażone mięso, najlepiej na naturalnym tłuszczu.

– Jadłyśmy cheesburgery na lunch.

– Jasne, ale czytałam gdzieś, że ewolucja neandertalczyka okazała się sukcesem dlatego, że jadł mięso. To dzięki niemu przekształcił się w homo sapiens. Kluczem był właśnie tłuszcz. Mam nadzieję, że dobrze przyprawione żeberka pomogą mi utrzymać się na szczycie drabiny ewolucyjnej.

– Przekonałaś mnie.

Okazało się, że wołowina była strzałem w dziesiątkę. Być może smakowała nam tak bardzo, bo dzięki niej oderwałyśmy się od analizowania fotokopii dokumentów. Kiedy obiad został nam wreszcie podany, ja i Kate rozważyłyśmy główne zagadnienie.

Bez wątpienia kości znalezione w Montrealu należały do Savannah. Nie miałyśmy stuprocentowej pewności, czy te znalezione w Myrtle Beach także były jej szczątkami. Powstawało jednak pytanie: czy to możliwe, żeby szesnastoletnia bojaźliwa dziewczyna o kiepskim wzroku przebyła prawie dwa i pół tysiąca kilometrów, wyprawiła się na daleką północ, do innego kraju i tam zmarła? A może jakaś część jej szkieletu, na pewno nie cała, została przewieziona z Karoliny do Montrealu i tam pochowana?

Jeżeli Savannah zginęła w Kanadzie, to kości znalezione w Myrtle Beach nie mogły należeć do niej.

Choć Kate nie wierzyła w takie rozwiązanie zagadki, to przyznawała, że istniała taka możliwość.

Jeżeli ciało z Myrtle Beach należało do Savannah, to znaczy, że ten fragment zwłok przewieziono do Quebecu.

Uważnie obejrzałam zdjęcia z miejsca, gdzie odnaleziono ciało, ale nie zobaczyłam na nich nic interesującego. Dekompozycja zwłok musiała postępować przez około dziewięć miesięcy, co pokrywało się z czasem zaginięcia dziewczynki. W przeciwieństwie do mogiły w klubie Żmij, nie dostrzegałam oznak pochówku powtórnego.

To dawało nam kilka możliwości.

Savannah zginęła w Myrtle Beach.

Savannah została zabita gdzieś indziej, a potem jej zwłoka ukryto w Myrtle Beach.

Ciało dziewczynki rozkawałkowano i fragmenty pozostawiono w Myrtle Beach lub tam

przewieziono, podczas gdy czaszkę i kości udowe przewieziono do Kanady.

Jeżeli ciało zostało rozkawałkowane, to dlaczego na kościach nie pozostał żaden ślad?

Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: jakim cudem Savannah, żywa lub martwa, w jednym kawałku lub rozczłonkowana, znalazła się w Quebecu?

– Jak sądzisz, otworzą ponownie tę sprawę? – spytałam, czekając na rachunek.

– Wątpię. Wszyscy byli szczerze przekonani, że Dwayne zabił córkę. Śledztwo utkwilo w martwym punkcie na długo przed wypadkiem, a po jego śmierci zostało zamknięte.

Podalam kelnerowi moją kartę Visa, nie zwracając uwagi na protesty Kate.

– Co teraz?

– Powiem ci, co myślę. Po pierwsze, wkurzyłaś mnie tym manewrem z rachunkiem.

Dobra, dobra. Zbyłam Kate gestem dłoni.

– Czaszka Savannah została znaleziona na terenie klubu motocyklowego w Quebecu – ciągnęła dalej Kate, na palcach zaznaczając kluczowe punkty swojego wyводу. – Żmije są marionetkowym klubem Aniołów Piekieł, tak?

Skinęłam głową.

– Anioły zbierały się na autostradzie, opodal rodzinnego miasta Savannah, tydzień po tym, jak znikła.

Do dwóch palców dołączył trzeci.

– Jej szkielet został odnaleziony w Myrtle Beach, rzut kamieniem od miejsca zlotu.

Kate spojrzała mi w oczy.

– Jak dla mnie dość zbiegów okoliczności, aby się im przyjrzeć.

– Ale już to zrobiłaś.

– Nie mieliśmy wtedy śladu montrealskiego.

– Co proponujesz?

– Wczesne lata osiemdziesiąte były dość szalone, jeśli chodzi o środowisko motocyklistów z Karoliny. Przejrzyjmy moje akta i przekonajmy się, czy na coś nie wpadniemy.

– Twoje dane są aż tak dokładne?

– Zbieranie danych historycznych to jeden z moich obowiązków. Niekiedy okazuje się, że są ogromnie ważne, zwłaszcza w sprawach RICO, dotyczących starych zabójstw.

Kate miała na myśli Racketeering Influenced and Corrupt Organizations Act* [Racketeering Influenced and Corrupt Organizations Act – ustawa dotycząca przestępczości zorganizowanej oraz korupcji, federalne prawo wymierzone przeciwko organizacjom przestępczym, stworzone do zwalczania zorganizowanej przestępczości oraz infiltracji przez nią legalnych przedsiębiorstw, umożliwia rządowi USA zajęcie własności każdego, kto jest zamieszany w przestępczość zorganizowaną. W 1979 r. wykorzystano te przepisy przeciw oddziałowi Aniołów Piekieł z Oakland, oskarżono Sonny'ego Bargerę, ale został on uniewinniony przez ławę przysięgłych (przyp. red.)] podpisany przez prezydenta Nixona w 1970 roku. Przepisy te były często wykorzystywane do zwalczania zorganizowanej przestępczości.

– Członkowie gangów bardzo często zmieniają miejsce pobytu i grupy, do których przynależą, dlatego warto wiedzieć, gdzie byli, co i z kim robili, kiedy się szuka świadków. Mam całe tony informacji, włączając w to nagrania wideo i fotografie.

– Cóż... mamy całą noc – odparłam, rozkładając ręce.

– W takim razie, pooglądamy sobie motocyklistów.

Jak postanowiłyśmy, tak uczyniłyśmy. O piątej dwadzieścia trzy niespodziewanie odezwał się mój telefon. Ktoś dzwonił z Montrealu.

Rozdział 19

W przeciwieństwie do swojej nazwy *Les Appartements du Soleil* nie były nawet trochę nasłonecznione. Gdyby postanowiono ochrzcić je wedle, którejś z cech, jakimi się charakteryzowały, nikt nie wynająłby żadnego z nich. Budynek był ciemny i ponury, jego okna brudne lub zamalowane, w większości zamknięte na głucho. Każde z trzech pięter upstrzone było niewielkimi balkonikami, na których piętrzyły się kratki od grilli, tanie plastikowe krzeselka ogrodowe, kosze na śmieci i nieużywane przyrządy kulturystyczne. Tu i ówdzie mogłam dostrzec doniczki, jednak rosnące w nich kwiaty dawno już zwiędły i uschły.

Nikt nie mógł narzekać jednak na ogrzewanie. Tego samego dnia, kiedy poleciałam do Stanów, wiosna zagościła wreszcie w Quebecu. Ku mojej radości słupek rtęci pokazywał dwadzieścia stopni Celsjusza. Kiedy wróciłam, było jeszcze cieplej, ale kaloryfery w *Soleil* grzały nadal, powodując, że w środku czułam się jak w szklarni. Gorąco i smród rozkładającego się ciała sprawiały, że łatwo było zemdleć, a przynajmniej stracić na chwilę oddech.

Z miejsca, gdzie stałam, widziałam każde z pomieszczeń, które składały się na niewielkie mieszkanie. Po lewej miałam kuchnię, salon po prawej, a przed sobą łazienkę i ubikację. Wnętrze sprawiało takie wrażenie, jakby jego mieszkaniac prowadził ciągłą wyprzedaż garażową, choć smród i brud zniechęciłyby każdego amatora tanich okazji.

Praktycznie wszędzie walały się narzędzia, gazety, książki w miękkich okładkach i zepsute części mechaniczne. Podłogę zaścierał ekwipunek kempingowy, części zapasowe do samochodów i motocykli, kartonowe pudła, kije hokejowe i plastikowe worki spięte drutem. W kącie salonu piętrzył się stos puszek po piwie sięgający nieomalże sufitu. Ściany po jego obydwu stronach pokryte były plakatami, z których większość została zdarta lub wyblakła. Dostrzegłam jeden reklamujący koncert Grateful Dead* [Grateful Dead – amerykańska grupa rockowa (przyp. red.)] z 17 lipca 1983 roku, a pod nim ulotkę White Power* [White Power – ruch głoszący wyższość ludzi białej rasy nad ludźmi innych ras (przyp. red.)], głównych orędowników czystości rasowej.

Po lewej wisiał plakat zatytułowany *Le Hot Rod*, który przedstawiał penisa w erekcji, ubranego w smoking i palącego papierosa wetkniętego pomiędzy prącie a pozostałą część genitaliów. Poniżej dostrzegłam drugie przyrodzenie, które także dumnie się przeżyło, a ponad nim napis *Astro-Cock** [Le Hot Rod i Astro-Cock – *rod* i *cock* to slangowe określenia penisa (przyp. red.)]. Wokół niego narysowano znaki zodiaku i opatrzone je krótkimi notkami. Rzuciłam okiem na swój horoskop.

Jedynymi meblami, z których można by bez obawy skorzystać, były stół Formiki i jedno krzesło w kuchni, podwójne łóżko w sypialni oraz bujane krzesło w salonie. Ciało znajdowało się w tym ostatnim pomieszczeniu. Tors denata był czarny i osmalony, a głowa zamieniła się w czerwoną masę. Dopiero dłużej przyjrząwszy się temu okropnemu widokowi, dostrzegłam fragmenty czaszki, kości twarzowych, część nosa, płatów nosowych oraz jedno zachowane w całości oko. Dolna szczęka denata opadła, była jednak nietknięta. Z ust wysunął się

purpurowy język zwisający pomiędzy zgniłymi zębami.

Ktoś zadał sobie trud i zebrał odłamki czaszki oraz tkanki mózgowej, a potem umieścił je w zamykanych torebkach foliowych. Leżały na oparciu bujanego fotela, jakby denat miał pilnować swojego mózgu nawet po śmierci. Duży fragment skóry zwieszał się z oparcia i przypominał gładki, błyszczący rybi brzuch.

Fotel stał naprzeciwko niewielkiego telewizora, którego ułamaną antenę zastąpiono wieszakiem na ubrania. Jedna z żerdzi sterczała oskarżycielsko w stronę zamordowanego, jak wskazujący palec. Nikt nie zadał sobie trudu, aby wyłączyć odbiornik, dlatego słyszałam jak Montel* [Montel Brian Anthony Williams, gospodarz amerykańskiego telewizyjnego talk-show (przyp. red)] rozmawia z kobietami, którym matki odbiły chłopaków. Ciekawe, pomyślałam, co rozmówcy by powiedzieli, gdyby dowiedzieli się o istnieniu tego martwego widza?

Jeden z pracowników ekipy dochodzeniowej badał salon w poszukiwaniu odcisków palców, podczas gdy jego kolega robił to samo w kuchni. Trzecia osoba filmowała wygląd całego mieszkania. Przy każdej ze stert śmieci zatrzymywała się i robiła zbliżenie. Zanim przyjechałam na miejsce, kobieta wykonała kilka tuzinów zdjęć ofiary i jej ponurego mieszkania.

LaManche przyjechał, obejrzał miejsce zbrodni, po czym znikł. Ciało nie uległo znacznemu rozkładowi, ani nie zostało zbyt mocno spalone, dlatego moja pomoc była zbędna, choć nie od razu się o tym przekonałam. Pierwsze raporty wspominały o zwłokach i pożarze, dlatego wezwano mnie, abym przygotowała szczątki do transportu. Kiedy ustalono szczegóły, ja siedziałam już w samolocie z Raleigh, więc nie było sensu zmieniać oryginalnego planu. Quickwater odebrał mnie z lotniska i przywiózł na miejsce.

Les Appartements du Soleil mieściły się na południowy zachód od Centre-Ville, przy niewielkiej uliczce biegnącej od ulicy Charlevoix. Dzielnica, znana jako Pointe-St-Charles, znajdowała się na wyspie, dlatego podlegała jurysdykcji CUM.

Po przeciwnej stronie pokoju stał Michel Charbonneau, jego twarz miała ziemisty kolor, a włosy pozlepiały się w wilgotne stożki. Już dawno zdjął marynarkę, kołnierzyk jego koszuli był mokry od potu. Poluzowany krawat zwieszał się pod rozpiętym guzikiem, ale nawet takie zabiegi nie były w stanie ulżyć cierpiącemu z powodu gorąca policjantowi. Co chwila wyciągał chusteczkę z kieszonki i ocierał nią twarz.

Charbonneau przyznał mi się kiedyś, że gdy był nastolatkiem, pracował na platformach wiertniczych w Teksasie. Choć uwielbiał życie kowboja, to niechęć do upałów w końcu w nim zwyciężyła, wrócił do rodzinnego miasteczka Chicoutimi, a potem przeprowadził się do Montrealu, gdzie został policjantem.

Quickwater wyszedł z kuchni. Ofiara miała powiązania ze światem gangów motocyklowych, dlatego sprawę jej zabójstwa nadzorowało *Carcajou*.

Policjanci stanęli obok siebie i w milczeniu obserwowali pracę techników badających ślady krwi w kącie za plecami ofiary. Ronald Gilbert trzymał przy ścianie czarnobiałą linijkę w kształcie litery „L”, a jego młodszy kolega wykonywał zdjęcia. Każde z nich powtarzali z użyciem pionu, a potem Gilbert dokonywał pomiarów suwmiarką. Wszystkie dane były wprowadzane bezpośrednio do laptopa, a potem technicy wracali do pomiarów. Kolejne

zdjęcia, kolejne filmy wideo, kolejne pomiary. Krew była dosłownie wszędzie, pokrywała ściany, sufit i walające się dookoła przedmioty. Wyglądało na to, że tę dwójkę czeka naprawdę długi dzień.

Zaczerpnęłam głęboko tchu i podeszłam do policjantów.

– *Bonjour. Comment ça va?*

– Hej, Doc! Jak leci? – Charbonneau mówił do mnie po angielsku. W jego angielszczyźnie słycać było naleciałości slangu montrealskiego i teksańskiego, pełnego określeń i zwrotów, które wyszły już z mody.

Quickwater spojrział na mnie kątem oka, niezadowolony, że mu przeszkadzam, po czym skoncentrował się na śladach krwi. Technicy filmowali właśnie gitarę akustyczną, opartą o zardzewiałą klatkę dla ptaków. Za nią dostrzegłam odważniki do sztangi, zgromadzone przy ścianie w miejscu, gdzie literami „cock” kończył się kolejny z plakatów. Poczułam ulgę, że nie muszę oglądać pozostałych reklamówek stylu macho. Krew skutecznie je zakryła.

– Gdzie Claudel? – spytałam.

– Sprawdza podejrzanego – odparł Charbonneau. – Niedługo do nas dołączy. Ci goście są niezli – dodał po chwili, z niesmakiem rozglądając się dookoła. – Inteligencja i poczucie przyzwoitości na poziomie żuka gnojarka.

– Czy to zabójstwo na tle porachunków gangów?

– Tak. Nasz gospodarz, który chyba nie jest dziś w najlepszej formie, to niejaki Yves Desjardins, znany jako „Cherokee”. Należał do Drapieżników.

– A oni z kim trzymali?

– Drapieżniki to jeszcze jeden z marionetkowych klubów Aniołów Piekieł.

– Taki sam jak Żmije?

– Tak.

– Czyli to robota Rock Maszyny?

– Najprawdopodobniej. Z tego co wiemy, Cherokee ostatnio odsunął się w cień. Miał jakieś problemy z wątrobą. Nie, raka jelita, tak, dokładnie. Nie ma się czemu dziwić, jeśli wziąć pod uwagę to, co żrą, piją i wciągają nosem.

– A co takiego zrobił Cherokee, że dopadła go konkurencja?

– Prowadził mały sklepik z częściami zapasowymi – powiedział Charbonneau, zataczając szeroki łuk ramieniem. Kiedy to zrobił, dostrzegłam plamy potu pod jego pachami. – Najwidoczniej jednak przepustnice i gaźniki okazały się być średnio dochodowe i postanowił zmienić branżę. W schowku na bieliznę naszego bohatera znaleźliśmy dwa kilogramy kokainy. Bez wątplenia była to bezpieczna kryjówka, bo nikt nie podejrzewał, że nasz twardziel zmienia gacie. W każdym razie, prawdopodobnie z powodu tego proszku złożono mu wizytę. Chyba że to wyrównywanie rachunków za morderstwo Marcotte’a.

– Pająka?

Charbonneau pokiwał głową.

– Jakież ślady włamania?

– W sypialni zostało wybite okno, ale to nie tędy się dostali.

– Nie?

– Większość odłamków szyby znajduje się na zewnątrz domu, co oznacza, że wybito ją od środka.

– Kto to zrobił?

Charbonneau uniósł dłonie w geście „nie pytaj mnie”.

– Jakim cudem więc weszli do środka?

– Musiał ich wpuścić.

– A po co miały to robić?

– Cherokee był chytry jak pitbull i równie przyjazny. Niemniej, przeżył większość swoich kompanów i prawdopodobnie zaczął się uważać za nieśmiertelnego.

– Jeśli nie liczyć raka.

– Racja. Coś pani pokażę.

Podeszliśmy do ciała. Smród przyprawiał mnie o mdłości. Składał się z mieszaniny woni zwęglonej wełny, benzyny, fekaliów i rozkładającego się ciała. Charbonneau wyciągnął chusteczkę i przyłożył ją do nosa.

– Niech pani spojrzy na tatuaże – wymamrotał przez materiał.

Prawa dłoń Cherokee’ego leżała na kolanie, a lewa spoczywała pod dziwnym kątem na oparciu fotela bujanego, jakby wskazywała na dywan. Pomimo grubej warstwy sadzy dostrzegłam na prawym nadgarstku tatuaż składający się z gromady czaszek. Ogółem było ich piętnaście, ułożonych w piramidę jakby ku czci tajemniczych bóstw, których rysunki można było spotkać w jaskiniach Europy. W przeciwieństwie do sztuki neandertalczyków, te symbole miały bardzo konkretne znaczenie. Trzydzieści czaszek miało czarne oczy, dwie – czerwone.

– To coś w stylu nacięć na kolbie pistoletu – powiedział Charbonneau. Oderwał chusteczkę od ust, skończył zdanie i ponownie ją przytknął do nosa. – Czarne czaszki oznaczają zabitych mężczyzn, czerwone zaś kobiety.

– To głupie. Sam przyznawał się do winy.

– Owszem, ale najwidoczniej nasz przyjaciel był tradycjonalistą. Dzisiejsi motocykliści słuchają swoich prawników.

Sądząc po stanie zwłok, oceniłam, że ofiara nie żyła od co najmniej kilku dni.

– Jak go znaleźliście?

– Tak samo, jak zawsze. Sąsiad zaczął się skarżyć na smród. Zadziwiające, że w ogóle ktoś coś poczuł w tej norze.

Jeszcze raz spojrzałam na ciało. Pomijając zęby i fragment wąsów, nie sposób było powiedzieć, jak zamordowany wyglądał za życia. Resztki jego głowy spoczywały na oparciu fotela, a tapetę za nią pokrywał czarny wykwit zakrzepniętej krwi.

– Lubi pani efekty specjalne?

Charbonneau wskazał na niewielki skotłowany dywanik pod fotelem. Był prawie doszczętnie spalony, podobnie jak spodnia część mebla, ale samo ciało Cherokeeego zostało jedynie osmalone. Tylko lewa dłoń, buty i dżinsy zostały nadpalone.

Mordercy oblali ciało benzyną, czego dowodem był chociażby jej mocny zapach. Podpalili ją następnie i kiedy płomienie objęły ciało, opuścili mieszkanie Cherokeeego. Kiedy

tylko benzyna się wypaliła, ogień przygasł, skutkiem czego ciało zostało jedynie osmalone.

Charbonneau ponownie przytknął chusteczkę do ust.

– Typowe zabójstwo. Motocykliści zabijają ofiarę, a następnie podpalają ciało. Ci tutaj pierwszą część opanowali do perfekcji, ale nad drugą nie popracowali.

– Czemu ten facet miałby ich wpuścić do środka, skoro handlował koką na cudzym terenie?

– Może choroba rzuciła mu się na mózg? Może sam przyćpał? A może był pewien, że poradzi sobie z każdym napastnikiem? Kto wie, co mógł sobie pomyśleć? Jeżeli tacy ludzie w ogóle myślą.

– Czy jest prawdopodobne, że załatwili go członkowie jego własnego gangu?

– Zdarzały się takie przypadki.

Do mieszkania wszedł Claudel, więc Charbonneau przeprosił mnie uprzejmie i poszedł przywitać się z partnerem. Byłam ciekawa, kogo przesłuchiwał Claudel, ale nie chciałam się znowu ścierać z nim i Quickwaterem, dlatego podeszłam do rogu pokoju i zaczęłam obserwować pracę analityków badających krwisty wzór na ścianie. Skończyli z zachodnią stroną i zaczęli oglądać północną.

Choć starałam się trzymać jak najdalej od ciała, to jego smród stawał się powoli nie do zniesienia. Charbonneau miał rację, odór trupa był tylko jednym składnikiem obrzydliwej mieszanki, którą uzupełniał brud, zapach smaru motocyklowego, porozlewane piwa oraz wielu lat gotowania obrzydliwych potraw. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby żyć w takiej norze.

Spojrzałam na zegarek, była druga piętnaście. Czas wezwać taksówkę, pomyślałam, patrząc przez okno.

Cherokee mieszkał na pierwszym piętrze, tak więc jego balkon znajdował się niewiele ponad dwa metry nad poziomem ziemi. Przez brudną szybę dostrzegałam zaparkowane na ulicy samochody, półciągarówki i nieoznakowane policyjne furgonetki. Sąsiedzi stali w grupkach na chodniku lub obserwowali zbiegowisko ze schodów okolicznych kamienic. W wylocie ciasnej i już zakorkowanej uliczki dostrzegłam furgonetki stacji telewizyjnych.

Przez to całe zbiegowisko przecisnęła się półciągarówka biura koronera. Kierowca i jego pomocnik wysiedli, otworzyli tylne drzwi i wyjęli z wnętrza samochodu nosze na kółkach. Rozłożyli je kilkoma wprawnymi ruchami i potoczyli po chodniku, omijając błotniste kałuże stojącej wody. Praktycznie każda z nich mieniła się kolorami tęczy, a to za sprawą oleju i benzyny. Urocze. Reprezentacyjna strona du Soleil.

Chwilę później dwójka sanitariuszy zastukała do drzwi. Claudel otworzył je i wpuścił ludzi koronera do środka, a potem wrócił do swoich kolegów. Wzięłam się w garść i podeszłam do policjantów. Claudel nie przerwał swojej relacji z przesłuchania głównego podejrzanego:

– Uważasz, że ta ściana jest uświniona? – spytał, wskazując ręką na ekipę dochodzeniową, która nadal cierpliwie badała ślady krwi na tapecie. – Kurtka tego koleśka wygląda tak, jakby wybrał się w niej na wycieczkę po rzeźni. Rzecz jasna ten debil nie pomyślał i postanowił ją zatrzymać.

– Ale dlaczego to zrobił? – spytał Charbonneau.

– Pewnie był zbyt splukany, żeby kupić sobie nową. Poza tym wymyślił sobie, że nigdy nie weźmiemy go na celownik. Niemniej wyczyścił ją i schował pod łóżko, tak na wszelki wypadek.

– Był tu widziany w poniedziałek?

– Tak, mniej więcej po północy – To się zgadza z opinią LaManche’a. Oceniał, że zgon nastąpił mniej więcej w tym momencie. Co powiedział nasz aniołek?

– Ma problemy z pamięcią. George chyba zagląda do kieliszka.

– Jakies powiązania z ofiarą?

– George kręcił się od kilku lat w pobliżu Bezbożników. Pozwalali mu ze sobą jeździć i handlować trawą, dlatego uznał, że jest tam kimś ważnym. Prawda jest taka, że nie liczy się w ogóle.

Jeden z sanitariuszy zawołał Claudela, ale ten pokazał, aby robili swoje. Rozpostarli czarny plastikowy worek na podłodze, a na opuszczonej dłoń Cherokee’ego założyli papierową torbę.

Spoglądając na Claudela, zauważyłam, jak bardzo nie pasował do tego miejsca. Nie pocił się, włosy miał idealnie ułożone, a spodnie wyprasowane w kant tak ostry jak brzytwa. Wyglądał jak żywa reklamówka Armaniego ustawiona w pijackiej melinie.

– Być może George Dorsey uznał, że morderstwo będzie jego szansą na karierę w gangu – powiedział Charbonneau.

– Bez wątplenia tak pomyślał. Teraz będzie mógł robić karierę w pudle – stwierdził Claudel.

– Mamy coś na niego?

– Jeśli będę musiał, oskarżę go o śmiecenie. Wedle moich źródeł, Dorsey dał ostatnio do zrozumienia, że szuka roboty i jest w stanie podjąć się wszystkiego. Przygwoździliśmy go w sprawie innego morderstwa, ale kiedy pokazałem zdjęcie kilku ludziom, jeden z nich stwierdził, że widział go tutaj. Kiedy złożyłem Dorseyowi wizytę, aby o tym porozmawiać, znaleźliśmy u niego zakrwawioną kurtkę. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

W tym momencie radio Claudela zatrzeszczało. Poszedł w kierunku drzwi i uważnie się wsłuchał w komunikat, a potem powiedział coś do mikrofonu. Gestem dłoni przywołał Quickwatera. Wymienili kilka zdań, a konstabl odwrócił się i wskazał na Charbonneau i na mnie, a potem na drzwi. Charbonneau wysunął kciuk w górę, Quickwater skinął głową i wyszedł na korytarz, a Claudel dołączył do nas.

Świetnie. Przekazywali sobie mnie jak uciążliwą młodszą siostrę.

Dwie sytuacje działają na mnie wyjątkowo irytująco: kiedy czuję się bezsilna albo bezyteczna. W tej chwili poczułam się i tak, i tak.

Co gorsza, im dłużej obserwowałam miejsce zbrodni, tym bardziej byłam przekonana, że coś mi tutaj nie pasuje. Racja, to nie moja działka, ale przypomniawszy sobie slajdy pokazywane w siedzibie *Carcajou*, miałam wrażenie, że coś tutaj nie gra.

A co tam. Nie prosiłam się o ten przydział.

– Czy sposób, w jaki dokonano morderstwa, nie różni się od ich zwyczajnych metod?

Claudel odwrócił się ku mnie z tym swoim lodowatym spojrzeniem i obojętnym wyrazem twarzy.

– Słucham?

– Czy użycie strzelby śrutowej nie różni się od zwykłego modus operandi* [modus operandi (łac.) sposób działania (przyp. red.)] motocyklistów? No i nieudane podpalenie ciała...

Charbonneau uniósł brew i lekko wzruszył ramionami. Claudel nie powiedział ani słowa.

– Wszystko tutaj wygląda potwornie chaotycznie – ciągnęłam dalej, zdecydowana dorzucić swoje trzy grosze. – Sprawy, które badałam, dowodzą, że morderstwa dokonywane przez motocyklistów były idealnie zaplanowane.

– Takie rzeczy się zdarzają – odparł Charbonneau. – Może ktoś im przeszkodził?

– O to mi właśnie chodzi. Czy oni nie zbierają informacji o ofierze i nie planują morderstwa tak, aby nikt im nie przeszkodził?

– Mamy zamordowanego motocyklistę, który na lewo handlował kokainą. Nie musimy szukać zabójcy w Armii Zbawienia – odparł chłodno Claudel.

– Nie powinniśmy też popadać w myślenie schematyczne i koncentrować się na pierwszej lepszej teorii, która nam przyszła do głowy.

Claudel rzucił mi takie spojrzenie, jakbym właśnie po raz kolejny nadwyreżyła jego anielską cierpliwość.

– Jest pani świetnym ekspertem, jeśli chodzi o mierzenie i badanie kości, ale obawiam się, że w sprawie tego zabójstwa te umiejętności się pani nie przydadzą. Do rozwiązania sprawy jest potrzebna inna wiedza i doświadczenie.

– Trudno znaleźć zabójcę, skoro nie mamy pewności, kim była ofiara. Sam pan poskłada jego twarz? – Gniew sprawił, że moje policzki się zarumieniły.

– Nie będzie takiej potrzeby. Mamy odciski palców. Wiedziałam, że miał rację, ale arogancja Claudela zawsze doprowadzała mnie do szału.

Charbonneau splótł ręce na piersi i sapnął ciężko. Claudel spojrział na zegarek, a ja dostrzegłam blask złotej bransoletki.

– Detektyw sierżant Charbonneau i ja odwieziemy panią – powiedział Claudel tonem nieznoszącym sprzeciwu. Coś w jego głosie mówiło mi, że nie zamierza więcej dyskutować ze mną o sprawie zabójstwa Cherokee'ego.

– Dziękuję.

Wyszliśmy z pokoju, a ja rzuciłam ostatnie spojrzenie na siedzisko, na którym zginął Yves „Cherokee” Desjardins. Fotel był już pusty, tylko ciemna plama znaczyła miejsce, gdzie spoczywały resztki jego głowy. Ciemne strumyczki opływały oparcie, rozczapierzając się jak szpony atakującego jastrzębia.

Claudel otworzył mi drzwi i wyszliśmy na korytarz. Dłonie zacisnęłam na torebce tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w skórę. Kiedy przechodziłam obok niego, nadal byłam wściekła. Okazywane przez Claudela poczucie wyższości doprowadzało mnie do szału. Pomimo to albo właśnie dlatego, powiedziałam:

– *Monsieur* Claudel, jestem technikiem oficjalnie uczestniczącym w *Opération Carcajou*, dlatego ma pan obowiązek mówić mi o swoich planach, przypuszczeniach oraz posiadanych

informacjach, czy się to panu podoba czy nie.

Z tymi słowami wyszłam przed dom.

Rozdział 20

Choć na zewnątrz jasno świeciło słońce, moje myśli były ponure i mroczne. Kiedy zgłosiłam się do udziału w *Opération Carcajou*, chciałam wyjaśnić sprawę śmierci Emily Anne, a nie grzebać się w brudnych sprawkach motocyklowych gangów. Kiedy jechałam z detektywami cały czas myślałam o Yvte „Cherokiee'em” Desjardinsie i Savannah Osprey, ofiarach tak różnych od siebie jak Charles Manson i Sugarplum Fairy* [Sugarplum Fairy (ang.) – Wieszcza Cukrowa, postać z baletu Piotra Czajkowskiego *Dziadek do orzechów* (przyp, red.)].

Savannah była nieśmiałą dziewczyną, stale przed oczami miałam, chude, patykowate dziecko w zbyt dużym kostiumie kąpielowym. Jakim cudem dała się wciągnąć w tę ponurą spiralę śmierci?

To, co widziałam w mieszkaniu, także wywarło na mnie duże wrażenie. Choć para policjantów siedzących na przednich siedzeniach samochodu była pewna, że mieliśmy do czynienia z gangsterskimi porachunkami, ja wcale nie byłam o tym przekonana. Coś mi nie grało.

Choć w zasadzie to nie była moja sprawa, nie potrafiłam przestać o niej myśleć.

Savannah i Cherokee. Cherokee i Savannah. Ronald i Donald Vaillancourtowie, Robert Gately i Félix Martineau. No i mała Emily Anne Toussaint, dziewczynka, która uwielbiała tańczyć i jeździć na rolkach oraz kochała wafelki. Ludzie ci zdawali się nie mieć ze sobą nic wspólnego, ale znaleźli się w aktach jednej sprawy.

W samochodzie zapanowało milczenie, tylko radio przeskakujące z jednego kanału na drugi szumiało komunikatami i raportami policyjnymi.

W tunelu Ville-Marie stanęliśmy w korku, który powstał przy wyjeździe na Berri. Spoglądałam na samochody jadące w kierunku starego miasta i poczułam wzbierającą w sercu melancholię. Co takiego uczyniłam, że po raz kolejny byłam skazana na Pana Opryskliwego i jego kompana? Dlaczego na mnie spadła sprawa zamordowanej dziewczynki, której kości znajdowały się w torbie u moich stóp, a w głowie miałam obrazy zamordowanych motocyklistów i ich okaleczonych zwłok? Czemu nie mogłam myśleć o obiedzie w Place Jacques Carter, tańcach albo kilku drinkach z ukochanym?

Nie mogłam sobie pozwolić nawet na kroplę alkoholu.

Nie miałam ukochanego.

Ryan.

Daj sobie spokój, Brennan. Takie myślenie sprawi, że wpadniesz w depresję. Odpowiedź jest prosta, sama wybrałaś takie życie. Mogłaś nadal uczestniczyć w archeologicznych wykopkach, pisać artykuły do prasy fachowej i wykładać w szkołach lub na uczelniach, gdzie to ty mówisz, a oni słuchają. Sama się prosiłaś o takie życie, więc nie narzekaj, bo dostałaś to, czego chciałaś. Wracaj do roboty i nie jęcz.

Kiedy Charbonneau zatrzymał się przed budynkiem SQ, wysiadłam, rzuciłam zdawkowe „dziękuję”, trzasnęłam drzwiami i ruszyłam do wejścia. Nim dotarłam do bramy, zadzwonił mój telefon komórkowy. Postawiłam mój bagaż na ziemi i wygrzebałam go z torebki.

– Ciociu Tempe?

– Cześć, Kit. – Z jednej strony cieszyłam się, że słyszę jego głos, a z drugiej byłam zła. Zanim wyleciałam z Raleigh, dzwoniłam kilka razy, ale nie podniósł słuchawki. – Odsłuchałeś wiadomość ode mnie?

– Tak. Kurczę, nie zgraliśmy się. Byłem na mieście, kiedy zadzwoniłaś, a jak wróciłem, od razu poszedłem spać. Zresztą i tak nie chciałabyś, abym późno dzwonił.

Nic nie powiedziałam.

– Byłem z Lyle'em.

– Przez dwa dni?

– Gość jest w porządku.

W porządku?

– Byliśmy w tym sklepie motocyklowym, koleś nie przesadzał, mają tam więcej gówna niż fabryka Harleya. Ups, przepraszam.

– Hmm.

Postawiłam walizkę obok torby podróźnej i obróciłam się tak, aby barkiem otworzyć drzwi. Kątem oka dostrzegłam samochód zaparkowany po przeciwnej stronie Parthenais. Z jego wnętrza dobiegał hip-hop, a kierowca siedział bokiem do kierunku jazdy, jedną ręką wybijając rytm na kółku, drugą na oparciu fotela.

– Będę w domu około szóstej – powiedziałam. – Powiedz, na co masz ochotę, to zrobimy jakiś bombowy obiad.

– Właśnie dlatego dzwonię. Lyle powiedział, że może mnie zabrać do studia telewizyjnego, obejrzę jak robią wieczorne wydanie wiadomości.

Z budynku mieszkalnego naprzeciwko wyszedł jakiś mężczyzna. Powoli zszedł po stopniach, a w ustach niedbale trzymał papierosa. Jego fryzura wyglądała tak, jakby opodał głowy faceta wybuchł granat. Część włosów sterczała grubymi kołtunami, inne były pozlepiane w strąki i przylegały do głowy. Facet miał na sobie skórzaną kamizelkę, a ramiona tak pokryte tatuażami, że z daleka wyglądały na błękitne.

Rozejrzał się po ulicy, a kiedy jego wzrok padł na mnie, zmrużył oczy, jak terier, który wpadł na trop.

Wydmuchnął dym przez nos, a kiedy dwie smużki się rozwiały, zdusił niedopałek podeszwą buta i wsiadł do samochodu melomana.

– ... widziałaś to na własne oczy?

– Słucham?

– Wiadomości. Czy widziałaś, jak się produkuje program informacyjny?

– Nie, ale to musi być pasjonujące.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko, to chętnie bym tam poszedł.

– Jasne, nie ma sprawy. Zapowiada się ciekawie.

– Dowiedziałaś się, kim ona była?

Nie potrafiłam się skupić i ponownie zgubiłam wątek.

– Dziewczynka. Okazało się, że to ta osoba, o której myślałaś?

– Tak.

– To świetnie. Mogę powiedzieć Lyle’owi?
– To nie jest oficjalny wynik. Dopóki coroner nie potwierdzi wyników, nie możemy podać szczegółów.

– Jasne, nie ma sprawy. Do zobaczenia później.

– OK.

– Wszystko w porządku? Nie masz pretensji?

– Nie, Kit, idź. Byłam porzucana przez większych twardzieli niż ty.

– Jasne. Przywal mi, jeżeli puszcze farbę.

– Pa.

Lyle Crease. Czyżby ten drań próbował wykorzystać mojego siostrzeńca, aby wydobyć informacje, których ja nie chciałam mu udzielić?

Kiedy znalazłam się w moim gabinecie, zabezpieczyłam kości Savannah, a próbki przekazałam Dennisowi, technikowi histologii. Przy pomocy mikrotomu miał odciąć kawałki nie grubsze niż sto mikronów, a potem zabarwić i umieścić na szkiełkach, przygotowując do analizy.

Kolejną próbkę zabrałam do działu analizy DNA. Będąc tam, spytałam o wyniki badań gałki ocznej. Czekałam cierpliwie, czując, jak stres zamienia się w napięcie mięśni i ucisk z tyłu głowy.

– Migrena? – spytał technik, kiedy wrócił z zaplecza.

– Tak.

Wyników jeszcze nie było.

Potem zgłosiłam się do LaManche’a, słuchał mnie cierpliwie, kiwając od czasu do czasu głową. Opowiedziałam mu o spotkaniu i rozmowie z Kate i pokazałam fotografie oraz kopie danych medycznych.

Kiedy skończyłam, LaManche zdjął okulary i potarł dwa czerwone owale, jakie pozostawiły na nosie oprawki. Odchylił się do tyłu, a mnie uderzył u niego kompletny brak emocji, z jakimi człowiek reaguje na śmierć.

– Skontaktuję się z biurem coronera.

– Dziękuję.

– Rozmawiałaś z kimś z *Opération Carcajou*?

– Z grubsza opisałam wyniki Quickwaterowi, ale wszyscy w tej chwili są skupieni na zabójstwie Cherokee’ego Desjardinsa.

To było lekko powiedziane, Quickwater nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, co mówiłam do niego w samochodzie.

– Porozmawiam jutro z Roy – dodałam.

– Agent z Północnej Karoliny uważa, że dziewczynę zabili motocykliści?

– Kate Brophy. W zasadzie bierze pod uwagę taką ewentualność.

– Czy istnieje jakieś powiązanie pomiędzy Quebeciem a gangami z Myrtle Beach?

– Nie.

LaManche westchnął ciężko.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. Kawał czasu minęło.

Siedząc naprzeciwko mojego szefa, po twarzy którego pelęgały promienie słońca odbite od wód Rzeki Świętego Wawrzyńca, musiałam przyznać, że nawet ja nie byłam w stanie uwierzyć we własną teorię. To, co wydawało się logiczne w Raleigh, tutaj zdawało się być mrzonką, fantazją wziętą ze snu.

– Nie zdążyliśmy prześledzić wszystkich tropów. Zostałam wezwana do sprawy Cherokee’ego, ale agent Brophy była tak uprzejma, że udostępniła mi kopie znacznej ilości materiałów SBI, w tym zdjęcia. Jutro przedstawię je *Carcajou* i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

LaManche z powrotem założył okulary.

– Szkielet z Karoliny może w ogóle nie mieć związku ze sprawą.

– Wiem.

– Kiedy będziemy mieli wyniki badania DNA? Choć starałam się nie przewrócić oczyma, to jestem pewna, że na mojej twarzy widać było irytację.

– Technicy nie byli w stanie mi powiedzieć. Są zawaleni robotą związaną ze sprawą bliźniaków. – Przypomniałam sobie wyraz twarzy jednego z nich, kiedy zobaczył datę śmierci Savannah. – Poza tym, jak sam pan zauważył, to dość dawna sprawa.

LaManche pokiwał głową.

– Jest zgon niewyjaśniony. Ciało znaleziono w Quebecu, dlatego potraktujemy je jako sprawę zabójstwa. Mam nadzieję, że SQ postąpi tak samo...

Zadzwoił telefon. Kiedy LaManche rozmawiał, ja zebrałam swoje papiery. Gdy odłożył słuchawkę, powiedziałam:

– Zabójstwo Cherokee’ego nie pasuje mi do ogólnego wzorca, ale kto wie, dlaczego ci ludzie zabijają?

LaManche zapisał coś na żółtej karteczce. Choć mówił do mnie, widziałam, że myśłami jest przy tamtej rozmowie.

– Wiem, że *monsieur* Claudel potrafi być nieprzyjemny, ale doprowadzi tę sprawę do pomyślnego finału.

A co to miało znaczyć?

Zanim zdążyłam spytać, telefon zadzwonił jeszcze raz.

LaManche sięgnął po słuchawkę, przez chwilę słuchał, po czym przycisnął ją do piersi i spytał:

– Coś jeszcze?

To było uprzejme odprawienie mnie.

Byłam tak bardzo zbита z tropu jego słowami o Claudelu, że prawie wpadłam na Jocelyn, kiedy wyszłam z gabinetu szefa i ruszyłam do swojego. Dziewczyna miała duże okrągłe kolczyki w uszach i we włosach pasemka koloru afrykańskiego fiołka.

Kiedy obchodziłyśmy się naokoło, zbierając swoje papiery, po raz kolejny uderzyło mnie to, jak bardzo blada jest skóra dziewczyny. We fluorescencyjnym świetle jej dolne powieki wyglądały jak śliwki, a cera była biała jak brzuch ryby. Przez chwilę pomyślałam, że Jocelyn może być albinoską.

Z jakiegoś powodu poczułam, że muszę ją zagadnąć.

– Jak sobie radzisz, Jocelyn?

Spojrzała na mnie, jakby nie była w stanie pojąć, o co mi chodzi.

– Mam nadzieję, że praca w laboratorium nie jest zbyt męcząca?

– Daję sobie radę.

– Jestem tego pewna. Chodziło mi o to, że na początku zawsze jest pod górkę.

Jocelyn otworzyła usta, aby jakoś odpowiedzieć, ale wtedy z sąsiednich drzwi wyszła sekretarka i dziewczyna popędziła korytarzem.

Jezu Chryste, pomyślałam. Przydałby się jej kurs *savoir-vivre*. Może gdybym zapisała i ją, i Quickwatera, dostałabym jakąś zniżkę?

Resztę dnia spędziłam, nadrabiając zaległości. Notatki o telefonach od dziennikarzy wyrzuciłam, do przedstawicieli kolegów po fachu oddzwoniłam.

Przejrzałam prośbę od Pelletiera, najstarszego z patologów w laboratorium. Pisał, że w Outremont właściciel domu znalazł na swojej posesji jakieś kości. Kopał dziurę w piwnicy i natrafił na nie pod podłogą. Kości były stare i kruche, Pelletier nie był pewien, czy szczątki należały do ludzi.

Nic pilnego.

Kiedy uporałam się z większością spraw, pojechałam do domu i spędziłam kolejny szalony wieczór w najstarszym z francuskich miast w Ameryce Północnej.

Pizza, kąpiel i bejsbol.

Ptasiek został przy mnie przez całą ósmą rundę, a potem przeniósł się na łóżko w sypialni gościnniej. Kiedy wyłączyłam telewizor o dwudziestej trzeciej piętnaście, kot się rozciągnął i przeniósł na fotel do sypialni.

Zasnęłam prawie natychmiast, ale dręczyły mnie jakieś majaki. Kit machał na mnie z łodzi, a u jego boku siedział Andrew Ryan. Isabelle podawała obiad, bezgłowy Cherokee Desjardins zbierał fragmenty swojego ciała pęsetą i wkładał je do plastikowych woreczków.

Obudziłam się, gdy Kit wrócił do domu, jednak byłam zbyt senna, aby z nim rozmawiać. Krzątał się jeszcze po kuchni, kiedy zapadłam z powrotem w sen.

Następnego ranka pracowałam nad kośćmi od Pelletiera, kiedy do laboratorium wszedł Denis i powiedział:

– *C'est la vedette!** [C'est la vedette! (fr.) – Oto i nasza gwiazda! (przyp. red.)]

Gwiazda?

Och, nie.

Położył przede mną egzemplarz *Le Journal de Montreal* i otworzył na stronie, którą ozdabiało moje zdjęcie zrobione przed domem Żmij. Poniżej zamieszczono artykuł opisujący odnalezienie zwłok Gately'ego i Martineau oraz kości szesnastolatki zidentyfikowanej jako Savannah Claire Osprey, która zaginęła w 1984 roku. Opis pod zdjęciem mówił o mnie jako o członkini zespołu *Carcajou*.

– *C'est une promotion ou une reduction?** [C'est une promotion ou une reduction? (fr.) – To awans czy degradacja? (przyp. red.)]

Uśmiechnęłam się pod nosem, zastanawiając się, co powiedzieliby Quickwater i Claudel. Wróciłam do pracy i dokończyłam sortowanie szczątków. Trafiłam na resztki pieczonej wołowiny, jagnięciny oraz grillowanego kurczaka w ilościach przekraczających moje upodobania.

Do dziesiątej napisałam raport, opatrując go opinią, że nie znalazłam szczątków ludzkich.

Zaniosłam dokumenty na biurko sekretarki, po czym wróciłam do siebie i zadzwoniłam do biura *Opération Carcajou*. Jacques Roy był na spotkaniu, które miało potrwać do późnego popołudnia. Zostawiłam swoje nazwisko i numer, po czym zatelefonowałam do Claudela. Ten sam skutek. Charbonneau także był nieuchwytny, więc powtórzyłam procedurę. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zawiadomić ich za pomocą pagerów, ale uznałam, że sprawa nie jest aż tak nagląca.

Rozzłoszczona przekreśliłam się na krześle, położyłam nogi na niskim parapecie i patrzyłam na rzekę.

Nie mogłam przebadać mikrostruktury szczątków z Myrtle Beach, bo próbki nie były jeszcze gotowe. Bóg jeden wiedział, kiedy będą rezultaty badań DNA, pod warunkiem, że materiał będzie nadawał się do zsekwencjonowania.

Pomyślałam o tym, żeby zadzwonić do Kate, ale postanowiłam jej nie naciskać. Była w tę sprawę zaangażowana równie mocno jak ja, jeśli nie bardziej. Jeżeli wpadnie na jakiś trop, z pewnością da mi znać.

Co robić?

LaManche był na dole i przeprowadzał autopsję Cherokee'ego. Mogłabym do niego zejść, może rozwiązałyby się moje wątpliwości dotyczące zabójstwa.

Odpada. Miałam już dość trupów zamordowanych motocyklistów.

Postanowiłam, że zamiast tego uporządkuję materiały, które dostałam od Kate. Spakowałam je wtedy w pośpiechu, bez ładu wrzuciłam do walizki, podpisałam protokół przekazania i popędziłam na lotnisko.

Teraz wysypałam zawartość neseseru na biurko i zaczęłam segregować. Zdjęcia na lewo, teczki na prawo. Sięgnęłam po dużą beżową kopertę i wyjęłam z niej fotografie. Miały dwanaście na piętnaście centymetrów i z tyłu opisane były datą wykonania, miejscem, wydarzeniem, imieniem sfotografowanego oraz kilkoma numerami porządkowymi.

Jako pierwsze trafiło mi się zdjęcie Martina „Deluxe” DeLuccio. Wykonano je 23 lipca 1992, podczas rajdu do Wilmington w Północnej Karolinie.

Oczy mężczyzny były ukryte za szklami wielkości denka od butelki, a głowę miał owiniętą bandaną. Na jego skórzanej kamizelce wymalowano szczerzącą zęby czaszkę i dwa skrzyżowane tłoki, symbol Renegatów. Poniżej znajdował się napis identyfikujący go jako członka oddziału z Lexington.

Ciało motocyklisty było napuchnięte, jego szczeka nikła pod fałdami tłuszczu, a znad paska wylewał się ogromny kałdun. Zdjęcie przedstawiało go siedzącego okrakiem na lśniąącym od chromu motorze z puszką piwa w ręce i głupawym wyrazem twarzy. Deluxe wyglądał na człowieka, który potrzebuje instrukcji, aby skorzystać z papieru toaletowego.

Kiedy zadzwonił telefon, oglądałam zdjęcie Eliego „Robin” Hooda. Odłożyłam je obok

Deluxe'a, mając nadzieję, że dzwoni Roy.

Pomyliłam się.

Ponury głos wymówił moje imię, gubiąc przy tym ostatnie „e”, ale unikając błędu w nazwisku. Nieznajomy był najwidoczniej angielskojęzyczny, dlatego przytaknęłam:

– Tak, tu doktor Brennan.

W słuchawce słyszałam tylko trzaski przekierowania rozmowy, aż ktoś na drugim końcu linii odchrząknął.

– Halo?

Dyszenie, odkaszlnięcie, a potem wreszcie głos:

– Tutaj George Dorsey.

– Słucham? – Gorączkowo myślałam, skąd mogę znać to nazwisko, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

– To pani wykopała tamtych sztywniaków?

W słuchawce zapanowała cisza, jakby George Dorsey zakrył mikrofon dłonią.

– Tak. – No to się zacznij.

– Widziałem pani nazwisko w dzisiejszej gazecie...

– Panie Dorsey, jeśli posiada pan informacje o którymś z denatów, powinien się pan skontaktować z oficerami prowadzącymi śledztwo.

Niech Claudel albo Quickwater się borykają z wariatami.

– Nie jest pani w *Carcajou*?

– Nie w tym sensie, o jakim pan myśli. Nie jestem oficerem śledczym...

– Ale ten kutas nosi głowę tak wysoko, że dupa potrzebuje radaru, aby ją znaleźć!

To przykuło moją uwagę.

– Rozmawiał pan już z konstablem Quickwaterem?

– Nie, jak mam to zrobić, skoro ten nadęty bufon, Claudel, próbuje mi urwać jaja.

– Słucham?

– Ten kretyn ma wysokie aspiracje, dlatego dobiera mi się do dupy.

Zapadła cisza, miałam wrażenie, jakby Dorsey dzwonił do mnie z kopalni.

– Pewnie chce wystąpić z bombowym materiałem dla CNN.

Ciągła złośliwa tyrada działała mi już na nerwy, ale nie chciałam stracić ważnych informacji.

– Chodzi panu o ciała wykopane na terenie St-Basile?

Mój rozmówca zaczął się krztusić, a potem odparł.

– Kurwa, nie.

Wtedy do mnie dotarło. George Dorsey, podejrzany o zabójstwo Cherokee'ego.

– Został pan oskarżony, panie Dorsey?

– Jeszcze nie.

– Więc czemu pan został zatrzymany?

– Bo miałem przy sobie sześć działek amfetaminy.

– Dlaczego pan do mnie dzwoni?

– Bo żaden z tych kutafonów mnie nie słucha. Nie załatwiłem Cherokee'ego. To była

amatorszczyzna.

– To znaczy?

– Żaden z braci nie spieprzyłby tak roboty.

– Twierdzi pan, że zabójstwo Cherokee’ego nie było związane z wojną gangów?

– Bystra pani jesteś.

– Kto go w takim razie zabił?

– Zjedź pani do mnie na dół, to pogadamy. – Nic nie odparłam. Dorsey dyszał w słuchawce. – Żeby to było jasne, chcę czegoś w zamian.

– Nie mam powodu, żeby panu ufać.

– Cholera, też bym nie uznał pani za Kobietę Roku, ale żaden z tych zakutych łbów nie chce mnie słuchać. Urządzili sobie tutaj D-Day* [D-Day – kryptonim dnia rozpoczęcia operacji „Overlord”, czyli lądowania aliantów w Normandii 6 czerwca 1944 roku (przyp. red.)] i traktują mnie jak plażę „Omaha”* [plaża „Omaha” – kryptonim plaży w Normandii, jednego z miejsc desantu aliantów w ramach operacji „Overlord” (przyp. red.)].

– Jestem pod wrażeniem pańskiej wiedzy historycznej, panie Dorsey, ale czemu mam panu zaufać?

– A ma pani wybór?

Milczałam przez chwilę, pozwalając pytaniu zawisnąć w próżni. Choć George Dorsey był wykolejńcem, to nieźle rozumował. Poza nim nikt nie chciał dzisiaj ze mną rozmawiać.

Spojrzałam na zegarek. Była jedenasta dwadzieścia.

– Będę w ciągu godziny.

Rozdział 21

Dla celów policyjnych *Communauté Urbaine de Montréal* podzielono na cztery części. W każdej z nich znajduje się kwatera główna, gdzie mieści się wydział dochodzeniowy, analityczny, interwencji i areszt. Podejrzani o gwałt lub morderstwo przetrzymywani są w placówce opodal Versailles, na wschodnim krańcu miasta. Inni przestępcy kierowani są do któregoś z więzień, dlatego Dorsey trafił do Op South.

Kwatera Op South mieści się przy skrzyżowaniu Rue Guy i bulwaru René Lévesque, na obrzeżach Centre-Ville. Test to okolica zamieszкана głównie przez angielsko – lub francuskojęzycznych obywateli, choć można też usłyszeć dialekt mandaryński, język estoński, arabski lub grecki. To kolebka federalistów i separatystów zarazem. Spotkać można włóczęgów i bogaczy, studentów i bezrobotnych, imigrantów oraz miejscowych *pur laine québécois** [pur laine québécois (fr.) – francuskojęzyczni mieszkańcy Quebecu uważający się za potomków francuskich osadników zasiedlających Quebec w czasach, gdy należał jeszcze do Francji (przyp. red.)].

W Op South sąsiadują ze sobą spelunki i kościoły, eleganckie butiki i sex-shopy, luksusowe apartamenty i nory w suterrenach. Śmierć Emily Anne Toussaint i Yves'a Cherokee'ego Desjardinsa miała miejsce w obrębie tej dzielnicy.

Kiedy zjechałam z Rue Guy na parking, dostrzegłam grupę ludzi z kartonowymi transparentami. Rozstawieni wzdłuż chodnika domagali się podwyżek płac. Powodzenia, stwierdziłam w duchu, spoglądając na robotników. Ich sytuacja nie była godna pozazdroszczenia, choć trudno było odgadnąć, co jest jej przyczyną. Może sytuacja na światowych rynkach, a może polityka rządu kanadyjskiego. Fakt pozostawał faktem, w Quebecu zaciskano pasa. Obcinano budżety, redukowano usługi. Ja podwyżki nie dostałam od siedmiu lat.

Weszłam przez główne drzwi i przystanęłam przy biurku po prawej.

– Chcę się zobaczyć z George'em Dorseyem – powiedziałam strażniczce.

Ta odłożyła ciastko na talerzyk i spojrzała na mnie znudzona.

– Jest pani na liście odwiedzających?

– Nazywam się Temperance Brennan. Więzień chciał się ze mną widzieć.

Kobieta otrzepała pulchne dłonie z cukru pudru, obejrzała uważnie swoje palce, potem zaczęła wpisywać coś do komputera. Pochyliła się ku monitorowi i światło zaczęło błyszczeć w szklach jej okularów. W ich odbiciu widziałam tekst na ekranie, jak przewija się ku dołowi, a potem zamiera. Nie podnosząc wzroku, kobieta powiedziała:

– *Carcajou*?. – Ralph Nader* [Ralph Nader – amerykański polityk (przyp. red.)] nie potrafiłby jednym słowem wyrazić większej podejrzliwości.

– Aha. – *Le Journal* twierdził, że tak.

– Ma pani dokumenty?

Spojrzała na mnie, a ja pokazałam jej mój identyfikator i wejściówkę do budynku SQ.

– Nie ma pani odznaki?

– Nigdy jej nie potrzebowałam.

– Będzie musiała pani wpisać się na listę i pozostawić wszystkie przedmioty.

Otworzyła dziennik wejść i wyjść, przerzuciła kilka kartek i podała mi go wraz z długopisem. Wpisałam moje imię i nazwisko, zdjęłam torebkę z ramienia i położyłam ją na ladzie.

– Jeszcze chwilkę – powiedziała pani Słodka i zamknęła moje rzeczy w metalowej szafce. Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i cicho powiedziała kilka słów. Dziesięć minut później usłyszałam szcęk zamka w metalowych drzwiach po lewej. Stał za nimi strażnik, który skinął na mnie ręką. Był przeraźliwie chudym mężczyzną, na którym mundur wisiał jak na wieszaku.

Jego kompan przejął mnie przy metalowych zakratowanych drzwiach i pokazał, abym szła za nim. U jego paska pobrzękiwały klucze. Skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy korytarzem, który oświetlały fluorescencyjne lampy i czujnie obserwowały kamery. Na wprost przed sobą dostrzegłam sporych rozmiarów salę z oknem, przez które widać było recepcję. Za kratami na drewnianych ławkach siedzieli lub spali aresztanci. Było ich z pół tuzina. Obserwując zamkniętych w celi mężczyzn, miałam wrażenie, jakbym znalazła się w zoo.

Za izbą zatrzymań znajdowały się kolejne metalowe zielone drzwi, na których białą farbą napisano *Bloc Cellulaire** [Bloc Cellulaire (fr.) – blok cel (przyp. red.)]. Obok nich stało biurko, za którym siedział kolejny wartownik. Za jego plecami znajdowała się szafka, w której przechowywano paski, okulary, biżuterię i inne przedmioty należące do aresztanta.

– Facet jest tutaj – powiedział strażnik, wskazując na drzwi z plaketką *Entrevue avocat*. Prowadziły one do sali widzeń i były przeznaczone dla adwokata. Z drugiej strony przez te oznaczone *Entrevue détenu* wchodził zatrzymany.

Podziękowałam i weszłam do pokoju, którego widok nie podnosił na duchu ani prawnika, ani zatrzymanego. Ściany pomalowano na żółto, podłogę na zielono, a meble były czerwone. Stół przykręcono do podłogi, na ścianie wisiał telefon.

Po drugiej stronie czworokątnego okna siedział pochylony z rękoma zwieszonymi między kolanami George Dorsey.

– Kiedy skończy pani rozmawiać, proszę nacisnąć przycisk.

Drzwi zamknęły się za mną i zostałam sam na sam z Dorseyem. Ten nawet nic drgnął, tylko podniósł wzrok i spojrzał na mnie. Podeszłam do telefonu i ujęłam słuchawkę.

Przed oczyma stanął mi obraz z sypialni mojej babci. Chrystus wisiał na krzyżu, po jego czole spływały krople krwi, ale niezależnie gdzie bym nie poszła, jego oczy zdawały się ciągle na mnie spoglądać. Obraz był tak straszny, że przez całe dzieciństwo unikałam sypialni babci jak ognia. Dorsey miał identyczne spojrzenie.

Z wewnętrznym drzeniem przycupnęłam na krześle. Dłonie zacisnęłam na krawędzi stołu. George Dorsey był chudy i zasuszony, miał haczykowaty nos i cienkie usta. Na lewej połowie jego czoła widniała blizna ciągnąca się przez policzek i zakręcająca w kierunku ust. Mężczyzna był ostrzyżony na zero, jedyne kępki włosów na jego głowie wyrastały obok blizny. Czekałam, aż podniesie słuchawkę i coś powie. Zza drzwi dobiegały mnie krzyki i uderzenia stalowymi miskami o kraty. Pomimo przenikliwego spojrzenia, Dorsey sprawiał

wrażenie człowieka, który nie spał od jakiegoś czasu.

Minęła dłuższa chwila i w końcu aresztant się uśmiechnął. Jego wargi rozszerzyły się i ujrzałam poółkłe zęby, ale w jego oczach nie było radości. Gwałtownym ruchem chwycił słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

– Masz jaja, żeby tutaj przyjść, paniusiu.

Wzruszyłam ramionami.

– Masz fajki?

– Nie palę.

Podciągnął stopy, złączył je i zaczął się bujać. Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Nie miałem nic wspólnego z robotą na Pointe-St-Charles.

– Już to słyszałam. – Przed oczyma stanęła mi ponura scena z *Les Appartements du Soleil*.

– Ten dupek Claudel próbuje mnie wykastrować na żywca. Wymyślił sobie, że jak mnie przyciśnie, to się przyznam do zabicia Cherokee’ego.

Krzyki i hałasy na zewnątrz przybrały na sile.

– Detektyw Claudel wykonuje swoją pracę.

– Detektyw Claudel nie potrafiłby się porządnie zesrać.

Bywały takie chwile, kiedy w pełni zgadzałam się z tym stwierdzeniem.

– Znał pan Cherokee’ego Desjardinsa?

– Słyszałem o nim.

Dorsey przeciągnął palcem po krawędzi stołu.

– Wiedział pan, że Cherokee handluje narkotykami?

Wzruszenie ramion.

Czekałam.

– Może trzymał prochy na własny użytek? Jako apteczkę. Miał kłopoty ze zdrowiem. – Dorsey podrapał się po szczęce i ponownie zaczął gładzić stół.

– Widziano pana w okolicy domu Cherokee’ego mniej więcej w czasie, kiedy został zastrzelony. W pańskim mieszkaniu odnaleziono pokrwawioną kurtkę.

– Nie była moja.

– O.J. Simpson* [O.J. Simpson – właściwie Orenthal James Simpson, amerykański futbolista i aktor filmowy, w 1994 r. został oskarżony o zabicie swojej byłej żony i jej znajomego, znaleziona w pobliżu miejsca zbrodni zakrwawiona rękawiczka była na procesie jednym z najważniejszych dowodów rzeczowych (przyp. red.)] też podobno nie miał rękawiczek.

– Co za idiota zatrzymuje pamiątki po morderstwie?

Tu miał racie – Czemu był pan w tamtej okolicy?

– To moja sprawa.

Przesunął się nagle do przodu, opierając łokcie o blat. Serce załomotało mi w piersi, ale nie drgnęłam ani o milimetr.

– To nie miało nic wspólnego z zabójstwem Desjardinsa.

Zauważyłam, jak mruży oczy. Ciekawe, jaki obmyślał plan, aby mnie oszukać. Ponownie zapadła cisza.

– Czy wie pan, kto go zabił, George?

Błąd.

– No, nie! – Zaciśnął dłonie w pięści i uderzył nimi w skronie. – Mogę ci mówić Tempe?

– To nie jest spotkanie towarzyskie. Chciał pan ze mną rozmawiać, więc słucham.

Dorsey odwrócił się bokiem do mnie i rozprostował nogi. Zaczął się bawić kablem od słuchawki, a bosą stopę oparł o ścianę. Na zewnątrz jakiś mężczyzna wołał kogoś imieniem Marc. W końcu Dorsey mruknął:

– Posłuchaj, już ci powiedziałem, że to Amateur Hour* [Amateur Hour – radiowy i telewizyjny show prowadzony przez Teda Macka (przyp. red.)]. Brakuje tylko Teda Macka.

Dorsey ponownie usiadł twarzą do szyby i wbił we mnie świdrujące spojrzenie. Potem opuścił wzrok i zaczął na przemian zaciskać, a potem rozwierać dłonie. Jak zahipnotyzowana patrzyłam na poruszające się knykcie i litery F.T.W.

– I?

– To była fuszerka, ale nie powiem nic więcej.

– W takim razie nie jestem w stanie pomóc. Sami doszliśmy już do tego, że to była spartaczona akcja.

Dorsey rzucił się do przodu, rozpościerając ramiona na blacie i zaciskając dłonie na jego krawędzi.

– Twój koleś, Claudel, może sobie myśleć, że jestem jakimś pętakiem Bezbożników, ale się myli. Nie jestem głupi. Podobnie jak oni.

Jak dla mnie, mylił się w dwóch punktach, ale postanowiłam trzymać język za zębami.

– Polubiłby cię za tę myśl.

Dorsey pochylił się ku szybie i przysunął tak blisko, że widziałam brud na skórze jego nosa.

– To wszystko jedna wielka bujda. Nie zabiłem Cherokeeego.

Spojrzał mi w oczy. Na jedną krótką chwilę maska butnego motocyklisty opadła i zobaczyłam w jego oczach strach, niepewność i samotność. Było też coś jeszcze... szczerść.

Potem Dorsey zmrużył oczy i na powrót stał się bezczelnym typem.

– Powiedzmy sobie jasno: pani nie lubi sposobu, w jaki ja i moi kumple załatwiamy interesy, pani sprawa. Ja nie trawię praworządnych głupot. Trzymajcie mnie tutaj, a temu, kto załatwił Cherokee'go, morderstwo to ujdzie na sucho.

– Po to mnie pan tu poprosił, panie Dorsey?

Wbił we mnie spojrzenie i prawie poczułam bijącą od niego nienawiść.

– Dysponuję też kilkoma dodatkowymi informacjami – powiedział, nonszalancko oglądając brud pod paznokciami.

– Na jaki temat?

– Nie powiem ani słowa. Cherokee to niejedyny sztywniak, jakim się pani ostatnio zajmowała.

W myślach przejrzałam katalog zabitych. Czy chodziło mu o Pająka Marcotte'a? A może wiedział, kto zabił Emily Toussaint?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, odchylił się do tyłu na krześle, a na jego twarzy pojawił

się chętni uśmiezek.

– Czyżby chciał się pan podzielić ze mną jakąś anegdotą?

Dorsey przeciągnął dłonią po zarośniętych policzkach, a potem zawinął kozią bródkę pomiędzy palcami. Przyłożył słuchawkę do drugiego ucha i odparł:

– Powiedz dupkowi, żeby sobie mnie odpuścił.

Już chciałam wstać, ale jego słowa sprawiły, że zamarłam w pół kroku.

– Pomóż mi, a powiem ci, kim była dziewczyna.

– Jaka dziewczyna? – spytałam najspokojniejszym tonem, na jaki było mnie stać.

– Ta, którą wykopałaś.

Rzuciłam mu gniewne, pełne wściekłości spojrzenie.

– Mów, co wiesz – syknęłam.

– Zawrzemy umowę? – Choć jego twarz przypominała teraz szczurzy pysk, to oczy pozostały tak ciemne, jak głębia dziewiątego kręgu piekła Dantego.

– Kłamiesz.

Uniósł brwi i prawą dłoń:

– Daję słowo harcerza.

– Daruj sobie ten teatrzyk, Dorsey.

Odłożyłam z hukiem słuchawkę, zerwałam się z krzesła i obróciłam na pięcie. Nie słyszałam tego, co do mnie powiedział na odchodnym, ale kiedy mijałam strażnika, zobaczyłam jego twarz. Rozpoznałam po ruchu warg, co mówi.

Będziemy w kontakcie.

Droga powrotna trwała prawie godzinę. Doszło do wypadku na wschodniej jezdni autostrady 720 i w okolicy tunelu Ville-Marie korek ciągnął się na ponad kilometr. Zanim zorientowałam się w sytuacji, było już zbyt późno, aby zawrócić i nie pozostało nic innego, jak wlec się w otoczeniu innych sfrustrowanych kierowców. Betonowe ściany tunelu blokowały odbiór radia, dlatego nie miałam jak oderwać się od myśli o Dorseyu.

Nie ulegało wątpliwości, że był potwornie zdenerwowany, ale czy mogło to oznaczać jego niewinność?

Pamiętałam wyraz jego oczu, kiedy na chwilę maska chojraka opadła i zobaczyłam za nią przestraszonego, zagubionego człowieka.

Wrzuciłam jedynekę, przejechałam kilka metrów, przełączyłam dźwignię zmiany biegów na luz i stanęłam.

Czy Claudel podążał złym tropem?

To nie byłby pierwszy raz.

Po prawej między samochodami przeciskała się karetka. Czerwone światło migotało, odbijając się od ścian tunelu.

Co Claudel powie, kiedy dowie się, że byłam w więzieniu?

Łatwe do przewidzenia.

Zaczęłam bębnić palcami o kierownicę.

Czy Dorsey rzeczywiście mógł coś wiedzieć o śmierci Savannah Osprey?

Zmieniłam bieg i podjechałam do przodu może o długość samochodu.

A może próbował ratować skórę przy pomocy kłamstw?

Nie znałam odpowiedzi.

Przypomniała mi się twarz Dorsey'a z wypisanym na niej cwaniackim uśmiechem, świadczącym o kompletnie aspołecznym podejściu do życia.

Racja, ten facet był irytujący, ale byłam pewna, że przez chwilę widziałam w jego oczach prawdę. Czy mogłam mu zaufać? Powinnam to zrobić? Co stracę, jeśli w zamian za informacje o śmierci Savannah Osprey, policja odrobinę rozszerzy zakres śledztwa w sprawie zabójstwa Cherokee'ego? Czy dam radę to uczynić? Na pewno nie z pomocą Claudela.

Po czterdziestu minutach dojechałam do miejsca wypadku. Jeden z samochodów stał wzdłuż pasa, drugi w poprzek. Uderzył w ścianę tunelu, a jego światła rzucały dziwaczny blask, nie w tę stronę, co trzeba. Jezdnia błyszczała od potłuczonego szkła, a policja i pogotowie otoczyły miejsce kraksy. Przez chwilę spoglądałam, jak strażacy zaczynają rozcinać karoserię i przez głowę przemknęła mi myśl: czy właściciel auta trafi na mój stół operacyjny?

Kiedy wydostałam się w końcu z korka, wyjechałam na Lorimer i ruszyłam w kierunku laboratorium. Gdy tylko wysiadłam z windy na dwunastym piętrze, od razu zdałam sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

Biurowo sekretarki było puste, a telefon dzwonił jak oszalały. Idąc korytarzem, naliczyłam pięć sygnałów. Nie minęła chwila, a już dzwonek odezwał się po raz kolejny.

Wsunęłam kartę identyfikacyjną w otwór przy drzwiach i szklane tafle rozsunęły się przede mną. Najpierw dostrzegłam recepcjonistkę, która stała obok toalety. Jej oczy były czerwone, dłonie zaciśnięte kurczowo, na policzkach miała ślady łez. Towarzyszyła jej jedna z sekretarek, obejmowała ją delikatnie ramieniem i pocieszała.

Pomieszczenie było pełne ludzi. Stali w grupkach po dwie, trzy osoby i rozmawiali przyciszonymi głosami. Na twarzach zgromadzonych rysował się smutek i niepokój. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się w poczekalni ostrego dyżuru.

Przed oczyma stanęła mi scena sprzed piętnastu lat.

Zostawiłam Katy pod opieką Harry'ego i pojechałam załatwić kilka spraw. Kiedy wjechałam na podjazd przed domem, od razu zdałam sobie sprawę, że stało się coś złego. Harry i sąsiedzi stali blisko obok siebie. Zbyt blisko, zwłaszcza że się nie znali. Na twarzy siostry widziałam ślady po łzach, a jej dłonie drżały.

Zadawałam sobie wtedy jedno pytanie: gdzie moja córka?

W duchu zaczęłam błagać: dobry Boże, nie Katy. Nie moja córeczka. Wszystko, tylko nie ona.

W oczach sąsiada było współczucie i troska, kiedy zobaczył, jak wysiadam z samochodu.

McDuff wybiegł z domu i wpadł pod koła buicka. Pies nie miał szans, zginął na miejscu. Najpierw poczułam ulgę, potem smutek. Potrafiłam sobie z nim poradzić. Moja córka żyła, choć zginął wierny pies.

To samo uczucie powróciło do mnie teraz, kiedy spoglądałam na moich kolegów i koleżanki.

Co tu się stało?

Za drugimi szklanymi drzwiami dostrzegłam Marcela Morina i Jeana Pelletiera, którzy ze sobą rozmawiali. Ruszyłam w ich stronę.

Usłyszeli, że się zbliżam i spojrzeli w moją stronę.

– Co się stało? – spytałam bez ogródek.

– LaManche – odparł drżącym z emocji głosem Morin. – Zasłabł w trakcie autopsji Cherokee’ego Desjardinsa.

– Kiedy?

– Pracował sam, podczas lunchu. Kiedy Lisa wróciła, znalazła go na podłodze. Był nieprzytomny i ledwie oddychał.

– Jest źle?

Pelletier odchrząknął.

Morin pokręcił głową.

– Wszystko w rękach Boga.

Rozdział 22

Pierwszą rzeczą jaką zrobiłam w piątek, był telefon do szpitala. Stan zdrowia LaManche'a ustabilizował się, jednak pacjent nadal przebywał na oddziale intensywnej terapii i nie wolno go było odwiedzać. Pielęgniarka dodała też, że nie może mi nic więcej powiedzieć na temat stanu jego zdrowia.

Czułam się bezsilna. Zamówiłam kwiaty, potem wzięłam prysznic i ubrałam się.

Drzwi pokoju Kita były zamknięte, a my nie rozmawialiśmy od środy i nie wiedziałam, gdzie spędził poprzednią noc. Kiedy wróciłam do domu, na lodówce znalazłam kartkę, że wróci późno i żeby na niego nie czekać.

Tak też zrobiłam.

Przygotowałam sobie kawę i postanowiłam, że zadzwonię do Harry. Co prawda mój siostrzeniec miał już dziewiętnaście lat i nie trzeba było się nim opiekować, ale ciekawiło mnie, ile uwagi powinnam mu poświęcać według mojej siostry. I jak długo ma zostać u mnie.

Kit z wolna zaczynał przejmować moje mieszkanie. W lodówce znalazłam jego pizzę, kanapki z chleba pita i puszki Mellow Yellow. Oprócz tego natknęłam się na pochowane w różnych częściach kuchni serowe przekąski, nachos, a na blacie stały płatki śniadaniowe, Lucky Charms i Cocoa Puffs.

W salonie znalazłam konsolę PlayStation, podłączoną do telewizora. Na podłodze leżały splątane kable, a płyty CD wały się na szafkach i na dywanie. Krzesła zostały zasłane dzinsami i skarpetkami, w holu na samym środku zastałam parę kowbojek.

Mieszkanie wyglądało tak, jakbym mieszkała z Garthem Brooksem* [Troyal Garth Brooks, jeden z najpopularniejszych amerykańskich wokalistów i autorów piosenek country (przyt. red.)].

Zamieniłam karteczkę od Kita na swoją, informując go, że wrócę około piątej i z przyjemnością zjem w jego towarzystwie obiad. Potem wyszłam do pracy.

Podobnie jak poprzedniego dnia w laboratorium panowała przygnębiająca atmosfera. Na porannym spotkaniu Morin powiedział, że rozmawiał z żoną LaManche'a. Jej mąż nadal był nieprzytomny, ale funkcje życiowe zostały ustabilizowane. Przyczyną zapaści był najprawdopodobniej atak serca. Pani LaManche zapewniła, że zadzwoni, jeśli tylko dowie się czegoś nowego. Sprawy na dzień bieżący zostały omówione szybko i po cichu, bez normalnych żartów czy komentarzy.

W Dollard-des-Ormeaux upadło drzewo i zmiażdżyło człowieka. W Pointe-aux-Trembles znaleziono małżeństwo. Leżeli w łóżku, policja sugerowała, że zgony nastąpiły w wyniku morderstwa i samobójstwa. Na brzeg Rivière-des-Prairies woda wyrzuciła ciało kobiety.

Mnie nie przypadła żadna z tych spraw. Tym lepiej. Dzięki temu mogłam się zająć materiałami, które pożyczyłam od Kate Brophy. Postanowiłam, że jeśli uda mi się skontaktować z Jakiem Roy, pojedę do siedziby *Carcajou* i zapytam go, co sądzi o zebranych materiałach.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, zabrałam swój kubek i poszłam na kawę. Przy barze siedział Ronald Gilbert i rozmawiał z jednym z młodszych techników. Choć nie wiedziałam,

jak się nazywa, to rozpoznałam w nim jednego ze śledczych, których widziałam w mieszkaniu Cherokee'ego. Pomagał Gilbertowi w badaniu rozbryzgów krwi.

Kiedy czekałam przy automacie na swoją kolej, podслуchałam kilka strzępków dyskusji i zdałam sobie sprawę, że rozmawiają o zabójstwie Desjardinsa. Pochyliłam głowę, wstrzymałam oddech i próbowałam wyłowić więcej szczegółów.

– Nie, dzięki Bogu, nie wszystkie są tak skomplikowane. Pierwsza sprawa i trafiłeś na niezłe bagno.

– Szczęście początkującego, co?

– Tak – odparł z przekąsem Gilbert. – Szczerze powiedziawszy, chciałbym porozmawiać z LaManche'em, zanim napiszę raport, ale to raczej niemożliwe w obecnych okolicznościach.

– Jak on się miewa?

Gilbert wzruszył ramionami, upił łyk kawy i wyrzucił drewniane mieszadelko do kosza.

Obydwaj mężczyźni ruszyli do drzwi, a mnie przypomniało się dziwne przecucie, jakie miałam, kiedy obserwowałam mieszkanie Cherokee'ego. W zasadzie nie ma czegoś takiego, jak typowe morderstwo. Czyżbym była przeczulona? Co tak naprawdę sprawiło, że nabrałam podejrzeń? Nie znałam odpowiedzi na te pytania.

Nalałam kawy do kubka, dodałam sobie śmietankę i wróciłam do gabinetu. Pociągałam łyk za łykiem i myślałam. Obróciłam fotel ku oknu, położyłam stopy na parapecie i śledziłam barkę z wolną pracą w górę rzeki.

Coś sprawiło, iż uważałam, że w domu Cherokee'ego doszło do morderstwa, ale nie takiego, jak wszyscy sądzili. Brak śladów włamania? Może ofiara stała się zbyt pewna siebie? I co z tego, zdarzają się takie przypadki. Więc może nieudolne podpalenie? Charbonneau mógł mieć rację, ktoś coś schrzanił, może zabójca został wypłoszony i nie dokończył roboty. Nawet dobry plan może spalić na panewce, jeśli realizują go partacze. Wystarczy spojrzeć na Watergate.

Pociągnęłam łyczek.

Co Gilbert miał na myśli, mówiąc o „prawdziwym bagnie”?

Kolejny łyk.

Co było takie skomplikowane?

Kawa nadal była gorąca.

O czym chciał porozmawiać z LaManche'em?

Nie zaszkodzi spytać.

W przypadku Watergate zadziało.

Gilberta zastałam przed komputerem. Kiedy zapukałam, odwrócił się i spojrzał na mnie zza szkieł w drucianych oprawkach. Jego głowa, policzki i szczeka pokryte były kręconymi włosami, nadającymi mu wygląd boga z greckiej mitologii.

– Masz minutkę?

– Nawet więcej. Ile czasu potrzebujesz? – Zaprosił mnie gestem dłoni do środka i przesunął krzesło tak, abym usiadła obok niego.

– Chodzi mi o sprawę Cherokee'ego Desjardinsa.

– Ach, tak. Widziałem cię na miejscu. Czemu się nią zajmujesz?

– W zasadzie to nie jest mój przydział. Początkowe doniesienia mówiły o spalonym ciele, dlatego zostałam wezwana. Okazało się, że ofiara nie była w aż tak złym stanie.

– Nie była w aż tak złym stanie? Jego mózg zbieraliśmy z całej ściany!

– Cóż... tak. W zasadzie chciałam porozmawiać o tym z LaManche'em, ale to w chwili obecnej niemożliwe.

Spojrzał na mnie zbity z tropu.

– Śledczy, którzy prowadzą tę sprawę, są pewni, że to zabójstwo związane z porachunkami gangów motocyklowych. – Zamilkłam, niepewna, w jakie słowa ubrać moje wątpliwości. – Nie potrafię określić dlaczego, ale mam wrażenie, że coś nie grało w miejscu mordy.

– Nie grało?

Wyjaśniłam mu, dlaczego zostałam przydzielona do *Carcajou* i co widziałam podczas prelekcji.

– Zdaję sobie sprawę, że jestem w tej materii nowa, ale być może dzięki temu patrzę na nią innymi oczyma.

– I co sądzisz?

– Morderstwo było niezdarne.

– Coś jeszcze?

– Ofiara się nie spodziewała ataku. Najprawdopodobniej Cherokee znał swojego zabójcę i mu ufał. Czy tak zachowałby się ktoś, kto na własną rękę handluje narkotykami na cudzym terenie?

Ani słowem nie wspomniałam o Dorseyu i jego zapewnieniach o niewinności. Pomyślałam sobie, że im mniej będę opowiadać o wizycie w więzieniu, tym lepiej.

Gilbert zmierzył mnie wzrokiem, a potem się uśmiechnął.

– Claudel uważa, że jesteś jak cierń w dupie.

– Ja także mam o nim dobre mniemanie.

Gilbert odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Chwilę później uspokoił się, a jego twarz przybrała poważny wyraz.

– Jak dużo wiesz o analizie rozprysku?

– Mało – przyznałam.

– Jesteś gotowa na kurs przyśpieszony?

Pokiwałam głową.

– Świetnie, to zaczynamy.

Ponownie odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit. Bez wątpienia zastanawiał się, od czego zacząć i jak przekazać wiedzę w skondensowanej formie. Pewnie musiał to robić za każdym razem, kiedy stawał przed sądem jako ekspert.

– Spadająca kropla krwi ma kształt kuli, a to ze względu na oddziałujące na nią siły grawitacji oraz napięcie powierzchniowe. Wyobraź sobie, że skaleczyłaś palec. Krew zbiera się na jego spodniej stronie do chwili, kiedy kropla oderwie się i spadnie. Teoretycznie proste, tak?

– Owszem.

– A gdzie tam. Na tę jedną kroplę krwi oddziałują wszystkie rodzaje sił fizycznych. Grawitacja ziemiska i masa „ciągną” ją w dół. W tym samym czasie napięcie powierzchniowe próbuje im przeciwdziałać i zmniejsza powierzchnię kropli, „podciągając” ją w górę.

Ilekoć mówił o działaniu sił, jak o poczynaniach istot rozumnych, Gilbert wykonywał palcami gest oznaczający cudzysłowy.

– Kiedy siły „ciągące” pokonają te „podciągające”, kropla spada. Z początku jest wydłużona, ale opór powietrza spłaszcza ją. Napięcie powierzchniowe z kolei sprawia, że przyjmuje ona kształt o jak najmniejszej powierzchni zewnętrznej. Dlatego spadająca kropla ma kształt kuli, a nie kropli, jak się ją najczęściej rysuje. Ten właśnie kształt jest jedną z rzeczy, którą bierzemy pod uwagę przy badaniu wzorca rozprysku.

Gilbert odchrząknął i kontynuował:

– Wzór rozprysku jest rezultatem działania siły kinetycznej na statyczną materię, czyli krew. Może ona się znajdować w kałuży na chodniku albo wewnątrz głowy ofiary. Jeżeli zostanie pobudzona do rozprysku, przyjmuje postać krolek, które zostają wyrzucone w powietrze. Tam przybierają formę kul i rozpryskują się w określony wzorec.

Pokiwałam głową.

– Kiedy te kule trafią na twardą płaską powierzchnię, pozostawiają możliwe do przewidzenia ślady. Interpretacja wzoru rozpryskowego opiera się na badaniu tych znaków, które nie są typowe. Interesują nas zacieki i plamy, które powstawały w wyniku nieprzewidzianego działania, zazwyczaj gwałtownej napaści.

Naszym celem jest jakby cofnięcie czasu: analizujemy skutki widoczne na miejscu zbrodni, aby zrekonstruować wydarzenia, które doprowadziły do ich powstania. Co się wydarzyło? W jakiej kolejności? Jakie przedmioty zostały poruszone? Odpowiedź jest ukryta w śladach po kroplach krwi. – Gilbert na chwilę zamilkł, a potem zaczął odliczać na palcach dłoni: – Analiza jest skomplikowanym procesem. Na przykład, musimy wziąć pod uwagę właściwości materiałów. Krew inaczej zachowa się, osiadając na gładkiej powierzchni, a inaczej na chropowatej. Jeden palec zagięty.

– Kształt. Jako że stosunek długości do szerokości plamy ściśle odpowiada kątowi, pod jakim padł cios, niezależnie od materiału, na którym zapisały się znaki, musimy dokładnie obejrzeć jej kształt.

Gilbert zagiął drugi palec.

– Rozmiar rozprysku. Efektem mniejszych i wolniej poruszających się obiektów są duże rozpryski. Przedmioty duże lub szybko uderzające pozostawiają po sobie małe ślady.

Gilbert zamilkł i po chwili zgiął trzeci palec.

– Nadażasz? – spytał, zaginając czwarty.

– Tak.

– Często mówimy o rozpryskach będących efektem wolno, średnio i szybko poruszających się obiektów, choć są to terminy dość relatywne i niedokładne.

– Możesz podać jakieś przykłady?

– Lepiej. Chodź ze mną, coś ci pokażę.

Gilbert wstał z fotela i poprowadził mnie korytarzem do lodówki ze stali nierdzewnej. Uchylił jej drzwiczki i wyjął litrową butelkę, oznaczoną etykietą *Sang du boeuf*.

– Krowia krew – wyjaśnił.

Potem ruszyliśmy jednym z bocznych korytarzy, który doprowadził nas do nieoznakowanych drzwi. Za nimi znajdowało się pomieszczenie, którego wszystkie ściany, podłogę oraz sufit pokrywały przyklejone do nich arkusze papieru.

Niewielkie pomieszczenie wyglądało tak, jakby w środku doszło do jakiejś masakry. Na ścianach i suficie widziałam rdzawe zacieki, a krew zbierała się w kałuże na podłodze. W kątach było jej szczególnie dużo, gdzie widać było linie, jakimi spływała w dół. Każdy ze śladów opisany był długopisem.

– W tym pomieszczeniu eksperymentujemy z różnymi rodzajami rozprysku – wyjaśnił Gilbert, stawiając butelkę na podłodze. – Patrz.

Odkręcił korek i zanurzył w pojemniku drewniany patyczek. Następnie pozwolił, aby na jego końcu zebrała się kropla krwi i opadła na papier wyściełający podłogę.

– Rozprysk o niskiej intensywności bierze się z kropli krwi, która biernie opada na powierzchnię. Tak jest w przypadku jej swobodnego skapywania. Cechą charakterystyczną rozprysku jest jego rozmiar, zwykle powyżej trzech milimetrów średnicy. Prędkość opadania kropli jest mniejsza od tej, jaką narzuca siła grawitacji, do półtora metra na sekundę.

Pochyliłam się i uważnie obejrzałam niewielką okrągłą plamkę, którą pozostawiła po sobie spadająca kropla.

– Rozprysk o średniej intensywności może być wynikiem zadania ciosu, krwawienia z rany tłuczonej czy dźgnięcia. Krew opada szybciej, z prędkością około półtora do czterech i jednej trzeciej metra na sekundę.

Na potwierdzenie swoich słów, Gilbert ulał trochę krwi na tackę, gestem dłoni kazał mi się cofnąć i unurzał kijek w mazi. Potem machnął nim dość energicznie i wskazał na ścianę, gdzie uderzyły krople krwi. Ślady były mniejsze od pierwszych, znajdujących się u naszych stóp.

– Widzisz? Ich średnica jest mniejsza od tych spowodowanych przez rozprysk o niskiej intensywności i mieści się w przedziale od jednego do czterech milimetrów.

Odłożył kijek i dodał.

– W przypadku rozprysku o wysokiej intensywności sprawa nie jest taka prosta. Podejź i popatrz na to.

Zbliżyliśmy się do przeciwległej ściany, gdzie Gilbert wskazał na arkusz papieru, który wyglądał jak pomalowany sprayem.

– Rozprysk o wysokiej intensywności to taki, który powstał w wyniku uderzenia kropli krwi poruszających się z prędkością około trzydziestu metrów na sekundę. Przyczyną jego powstania może być postrzał, wybuch czy wypadek z udziałem maszyn. W zasadzie krew przypomina wtedy mgłę, a sam rozprysk składa się ze śladów o średnicy mniejszej niż jeden milimetr. Aha, jedno musimy powiedzieć sobie jasno, niektórych z rozprysków nie można zaklasyfikować do żadnego z tych rodzajów. Krew bywa rozchlapana, strąśnięta czy rozlana, co komplikuje nam dochodzenie.

– W jaki sposób?

– Każdy z tych czynników komplikujących jest tak naprawdę rozpryskiem o niskiej intensywności, ale różni się od tych, które już opisałem. Na przykład krew może być rozchlapana, jeśli ktoś wdepnie w kałużę. Takie zdarzenie pozostawia po sobie ślad w postaci podłużnych wąskich zacieków otaczających centralnie położoną kałużę. Zwykle śladów wtórnych jest wtedy niewiele. Dobrym przykładem będzie wbiegnięcie w kałużę. Podobne ślady pozostawia po sobie krwotok z tętnicy lub uderzenie czyjąś głową o podłogę. W takim przypadku mamy również do czynienia z długimi wąskimi śladami otaczającymi pierwotne miejsce zebrania się krwi. Różnicą będzie to, że krawędzie śladu centralnego będą rozsmarowane i zakłócone. Strząśnięcie krwi z broni pozostawia zupełnie inny wzór. Pokażę ci, o co mi chodzi.

Gilbert wrócił po patyk, unurzał go w krowiej jusze i silnie strząsnął. Krew oderwała się od czubka kijka i wylądowała na ścianie po prawej.

– Krople są mniejsze od tych, które zwykle powstają przy rozprysku o niskiej intensywności. Im większa jest siła, która na nie działa, tym mają mniejsze rozmiary. Co więcej, jako że krew została wyrzucona w powietrze z szybko poruszającego się przedmiotu, ślad przez nie pozostawiony jest prosty lub lekko zakrzywiony, a poszczególne krople są dość podobne do siebie.

– Czy na podstawie ich właściwości oraz śladów, można określić wielkość i rozmiar narzędzia zbrodni?

– Tak. Co więcej, w większości przypadków jesteśmy w stanie określić, gdzie znajdował się napastnik. Wracajmy do mojego gabinetu, pokażę ci coś jeszcze.

Kiedy usiedliśmy przed monitorem, Gilbert zaczął stukać w klawiaturę.

– Widziałas, że filmujemy ślady krwi w mieszkaniu ofiary, prawda?

– Tak.

– Wykorzystujemy zwykłą kamerę wideo, ale można użyć także cyfrowej. Każdy wzorec rozprysku zarejestrowaliśmy na taśmie, wykorzystując przy tym miarkę i pion.

– Czemu akurat pion?

– Program używa go do określenia pionowego kierunku na plamie krwi.

Gilbert wcisnął ostatni klawisz i na monitorze pokazała się gromada eliptycznych brązowych kształtów.

– Obraz zapisany na taśmie filmowej został wprowadzony do komputera i możemy nim manipulować na monitorze. Każda klatka jest czytana i zapisywana w formie bitmapy na twardym dysku. Dzięki temu program jest w stanie wyświetlić każdą z nich, a także dokonać wszelkich niezbędnych pomiarów. Te są wykonywane, aby ustalić dwa kąty: kierunkowości oraz uderzenia.

Następne komendy sprawiły, że na poprzedni obraz nałożyła się owalna biała linia.

– Kierunek głównej osi elipsy w stosunku do osi pionowej wyznacza kąt kierunkowości, zwany inaczej gammadą plamy. Może się zawierać w przedziale od zera do trzystu sześćdziesięciu stopni. Kąt uderzenia, inaczej alfa, mieści się w przedziale od zera do dziewięćdziesięciu stopni. Wyliczamy go na podstawie kształtu elipsy.

– Dlaczego?

– Pamiętaj, że kropla krwi, która przemieszcza się w przestrzeni, jest kulisa. Kiedy uderza w cel, spłaszcza się i pozostawia ślad. Dzieje się tak dlatego, że zazwyczaj jej spodnia strona rozpryskuje się na przeszkodzie. – Dla podkreślenia swoich słów Gilbert wykonał dłonią gest, jakby strząsał krew z dłoni.

– Ślad jest z początku zwarty, ale potem się rozszerza, a w swoim najszerszym punkcie odpowiada środkowi wyrzuconej masy, po czym znowu się zwęża i zanika. Widzisz tutaj? – Pokazał na wydłużony owal z jedną kropką na końcu. Wyglądał tak samo, jak wiele ze śladów, jakie widziałam w pokoju eksperymentów.

– Wygląda jak wykrzyknik.

– Prawdę powiedziawszy, tak jest właśnie nazywany. Niekiedy niewielka kropla krwi odłącza się od pierwotnej i wyskakuje na przód całego śladu. Jeżeli spojrzeć na rozprysk z góry, będzie wyglądała jak kropka od wykrzyknika lub kijanka, w zależności od tego, jak bardzo jest wydłużony przeciwległy koniec. W każdym razie kierunek lotu krwi jest całkowicie jasny.

– Kropelka wskazuje stronę, w którą przemieszczała się krew.

– Zgadza się. Program generuje także plik, w którym zapisuje wartości kątów każdego przeanalizowanego rozprysku. Na ich podstawie jesteśmy w stanie obliczyć, gdzie nastąpił moment początkowy rozprysku. Wierz mi, komputer znacznie ułatwia nam pracę. Poprzednio musieliśmy wszystko mierzyć strunami.

– Nie rozumiem.

– Przepraszam. Chodzi o to, że pomiaru dokonywano, przykładając strunę do punktu, w którym znajdował się ślad i rozciągano ją w przypuszczalnym kierunku ruchu. Procedurę należało powtórzyć dla każdego śladu. W rezultacie otrzymywaliśmy wzór ze strun ciągnących się od śladu do domniemanego źródła krwi. Wszystkie te znaczniki zbiegały się w jednym miejscu, zwanym bazą. Prawdę mówiąc, procedura była czasochłonna i pozostawiała spory margines błędu. Obecnie komputer sam wyznacza linie wirtualne, rysując struny w pamięci.

Kilka uderzeń w klawiaturę dało efekt w postaci nowego obrazka. Dostrzegłam układ współrzędnych, linie X oraz Y, które biegły wzdłuż lewej i dolnej krawędzi ekranu. Tuzin innych kresek tworzył coś na kształt przestrzennej litery „X”, krzyżując się i przeplatając ze sobą.

– To widok z lotu ptaka wirtualnego zestawu strun opierającego się na dwunastu śladach. Trudno uzyskać taki obraz przy pomocy prawdziwych strun, co jest wyjątkowo frustrujące, ponieważ jest on najbardziej przydatny.

Palce Gilberta przebiegły po klawiaturze jeszcze raz i na monitorze pojawił się nowy obraz. Linie w lewym górnym i prawym dolnym rogu były scalone w jeden węzeł, a w dwóch trzecich obrazu, od dołu patrząc, zbiegały się po to, aby z lekka się rozproszyć, jak zwiędłe kwiaty.

– Program jest w stanie wygenerować rzut boczny, potrzebny do określenia wysokości, na której rozpoczął się rozprysk. Łącząc wyniki obydwu symulacji, jesteśmy w stanie określić,

gdzie do niego doszło, czyli tym samym zidentyfikować położenie ofiary.

Gilbert odchylił się w fotelu i spojrzał na mnie.

– Co chciałabyś, abym powiedział ci na temat analizy dotyczącej Cherokee’go?

– Wszystko, co możesz.

Przez następne czterdzieści minut siedziałam, słuchałam i oglądałam symulacje, przerywając jedynie, aby upewnić się co do niektórych szczegółów. Gilbert okazywał anielską wręcz cierpliwość, prowadząc mnie przez gąszcz danych płynących z mieszkania Desjardinsa.

To, co usłyszałam, sprawiło, że nabrałam pewności, iż Claudel wie nas na manowce.

Rozdział 23

Ekran był pełen niewielkich kropek, przypominających ślady po mgiełce w pokoju testowym Gilberta. Pomiędzy nimi znajdowały się resztki ciała i kości.

– Patrzymy teraz na część północnej ściany, tuż za krzesłem ofiary. To tak zwany przedni rozprysk.

– Przedni rozprysk?

– Tak, wziął się ze śrucin, które przeszły przez głowę Cherokee'ego. Krew z rany wlotowej nazywana jest rozpryskiem tylnym. Popatrz tutaj.

Gilbert przebiegł palcami po klawiaturze i kolejny obraz wypełnił ekran. Przypominał poprzedni ale tworzyła go mniej intensywna mgiełka i brakowało w niej drobin tkanek.

– To ślady zebrane z telewizora. Kiedy śruciny trafiły Desjardinsa, część jego krwi trysnęła także do tyłu.

– Został postrzelony, kiedy siedział na krześle?

– Tak.

Wpisał kilka następnych komend i obraz na monitorze zmienił się. Teraz oglądaliśmy ten sam fragment pokoju z telewizorem i krzesłem, ale widziany z boku. Ponad sprzętami biegingy linie krzyżujące się nad oparciem fotela.

– Strzał był na końcu, gdyby Cherokee został zastrzelony od razu, wszystko wyglądałoby inaczej. Popatrz na to.

Znów obraz pokoju został zastąpiony innym. Tym razem kropki były większe i miały bardziej zróżnicowane rozmiary.

– To rozprysk o średniej prędkości, pokrywający cały północnowschodni róg mieszkania.

– Ale...

– Poczekaj.

Kolejna klatka, tym razem dostrzegłam kropki odrobinę większe od tych na poprzednim zdjęciu, ale między sobą prawie nie różniły się wielkością. Gama ich kształtów rozciągała się od okrągłego do jajowatego.

Kiedy Gilbert oddalił perspektywę obrazu, dostrzegłam, że większa część tego rozprysku układała się w długą zakrzywioną linię z pojedynczymi kropkami po jej obydwu stronach.

– To obraz z sufitu.

– Sufitu?

– Tak. Nazywamy go wzorcem pozostałościowym. Bierze się z krwi wyrzuconej z powierzchni szybko poruszającego się obiektu, podobnego do mojego patyka. Kiedy napastnik macha bronią, zadając gwałtownie cios, a później szybko ją wycofuje, aby zaatakować ponownie, większość krwi odrywa się od powierzchni narzędzia zbrodni przy ruchu do tyłu, ale jej niewielka część skapuje przy ponownym uderzeniu. – Gilbert wskazał na kropki leżące w centrum śladu. – Te rozpryski pochodzą od ruchu do tyłu.

Później zwrócił moją uwagę na kilka kropek leżących wzdłuż brzegu łuku. – A te od ciosu w dół.

Przez chwilę musiałam to przetrwać.

– Chcesz powiedzieć, że zanim został zastrzelony, ktoś go pobił?

– To jeden z pięciu śladów, które zdołaliśmy zidentyfikować. Zakładając, że jedynym, a przynajmniej pierwszym, źródłem rozprysków krwi są uderzenia tęnym narzędziem, to ilość śladów równa się ilości uderzeń plus dwa.

– Dlaczego?

– Nie będzie śladów krwi po pierwszym uderzeniu. Przy drugim krew jest dopiero zbierana przez broń i odrzucana, kiedy napastnik wykonuje zamach do trzeciego ciosu.

– Rozumiem.

– Nisko na ścianie odnaleźliśmy rozprysk krwi padającej ze średnią prędkością, na podobny trafiliśmy na śmieciach w rogu.

W miarę jak Gilbert wpisywał następne komendy, na ekranie monitora pojawiały się kolejne linie na wysokości około pół metra nad podłogą.

– Moim zdaniem, pierwszy cios dosięgnął go w pobliżu rogu pokoju, Cherokee upadł na podłogę, a potem został uderzony jeszcze kilka razy. Następnie, ktoś podniósł go, posadził w fotelu i zastrzelił.

– Czym go bito?

Gilbert wydał usta.

– Hmm. To już nie moja działka.

– Po co kogoś okładać tęnym narzędziem, jeśli później i tak zamierza się go zastrzelić?

– To już zdecydowanie nie moja działka.

– Czy gdyby ktoś go ciągnął, nie pozostałyby jakieś ślady?

– Napastnik mógł zatrzeć. Poza tym, w całym pokoju było aż lekko od krwi, którą na dodatek zdeptali nasi ludzie. Część śladów mogła zostać zniszczona przez naszych.

– Płomienie także mogły mieć swój wpływ.

– Tylko w przypadku dywanu. Możemy przeprowadzić badania z luminolem, ale jego wyniki nie zmienią tego, co mówią rozpryski.

Myślałam o jego słowach, kiedy po chwili milczenia dodał:

– Jest coś jeszcze.

– Co takiego?

Znowu stukot klawiszy i na ekranie pojawił się rozprysk w postaci mgły utworzonej z drobinek krwi pędzących z dużą prędkością. Część chmury jednak znikła, jak gdyby ze wzorca wycięto jakiś szablon.

– To obraz ze ściany za głową ofiary.

– Wygląda, jakby ktoś użył szablonu do zrobienia tego.

– To tak zwany wzorzec pusty. Pojawia się, kiedy na drodze kropli krwi znajduje się jakaś przeszkoda, a potem zostanie usunięta.

– Co to było?

– Nie mam pojęcia.

– Ktoś z naszych coś zabrał?

– Nie wiem.

Wróciłam szybko do swojego biura. W głowie huczały mi słowa Dorseya, a przed oczyma miałam obrazy z komputera Gilberta.

Amatorska robota. Temu, kto załatwił Cherokee'ego, morderstwo to ujdzie na sucho.

Chwyciłam za telefon i wystukałam numer. Sekretarka Jacquesa Roy powiedziała mi, że poleciał do Val-d'Or i nie wróci przed poniedziałkiem. Zniecierpliwiona zadzwoniłam do Claudela. Ani on, ani Quickwater nie byli osiągalni. Pomyślałam o wysłaniu informacji na pager, ale po raz kolejny uznałam, że nie była to aż tak nagląca sprawa. Ograniczyłam się do pozostawienia wiadomości.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, gdy telefon zadzwonił.

– Hej, czyżbym była ci winna największy kosz słodczy i owoców na świecie?

– Cześć, Harry. – Jak zwykle, głos mojej siostry brzmiał tak, jakby skończyła właśnie długi bieg. – Czemu się tak zasapałaś?

– Ćwiczę aikido.

Wolałam nie dociekać szczegółów.

– Czy mój synalek wpędził cię z powrotem w alkoholizm?

– Nie, jest w porządku.

– Zawsze masz taki dobry humor w piątek?

– Nie, po prostu usłyszałam właśnie kilka niespodziewanych informacji. Co u ciebie?

– Pewnie już wiesz, że Kit i Howard znowu się pokłócili?

– Doprawdy? – Podejrzywałam taką ewentualność, ale wolałam nie odpytywać Kita.

– Zawsze mam wrażenie, że chodzi o tę aferę z wózkiem golfowym.

Pamiętałam tamtą sprawę. Kit miał piętnaście lat, kiedy ukradł z garażu klubu Howarda samochódzik elektryczny. Pojazd znaleziono następnego ranka na wpół zatopiony w jeziorku obok piętnastego dołka. W skrzynce narzędziowej znajdowała się opróżniona do połowy butelka tequili. Tydzień później mój siostrzeniec pojawił się w Charlotte. Ostatni etap podróży autostopem poszedł nie po jego myśli i chłopak był winien taksówkarzowi dziewięćdziesiąt sześć dolarów. Katy i Kit od razu przypadli sobie do gustu, więc został u nas na całe lato.

– O co poszło tym razem?

– Nie jestem pewna, ale chyba o ekwipunek wędkarski. Jak on się zachowuje?

– Szczerze mówiąc, ostatnio rzadko się widzujemy. Znalazł sobie jakichś przyjaciół.

– Wiesz, jaki on jest. Gdyby moje nastoletnie tornado mogło zostać u ciebie przez jakiś czas, doceniłabym ten gest. Wydaje mi się, że przez jakiś czas nie powinni sobie z ojcem wchodzić w drogę.

– Howard mieszka niedaleko Austin, prawda?

– Tak.

– A Kit z tobą, w Houston?

Dla mnie to była spora odległość.

– Widzisz, Tempe, jest pewien problem. Tę podróż do Meksyku miałam zaplanowaną od dawna i jutro wylatuję. Jeżeli odwołam rezerwację, stracę kaucję i Antonio będzie zawiedziony. Oczywiście, powiedz jedno słowo, a to zrobię.

– Hmm.

Ciekawe, czy Antonio miał coś wspólnego z aikido? W przypadku Harry, nowy mężczyzna w życiu oznaczał zwykle nowe hobby.

– Nie chciałabym zostawiać Kita samego w domu na tydzień, a nie mogę go znowu wysłać do ojca. Dopóki mieszka u ciebie, dopóty mam go z głowy, pod warunkiem, że to dla ciebie nie jest problem... – Harry pozwoliła pytaniu zawisnąć w powietrzu.

– Wiesz, że za nim przepadam – odparłam, a w myślach dodałam: „choć może to nie jest odpowiednia chwila na wychowywanie siostrzeńca”.

– Tempe, jeśli to ci nie jest na rękę, mogę wszystko odwołać...

– Muszę tylko wiedzieć, ile kontroli rodzicielskiej powinnam mieć nad jego życiem.

– Kontroli? – Harry najwidoczniej nie znała takiego pojęcia.

– No wiesz, wychowywanie i tak dalej. To żmudna robota, ale ktoś to musi robić.

– Tempe, zjedź na ziemię. Kit ma już dziewiętnaście lat, a poza tym jest nieokiełznany i niezależny. Musisz tylko dopilnować, żeby był w jednym kawałku i policja go nie ścigała. Aha, nie pozwól mu urządzać imprez dla młodszych znajomych. Wiesz, nie wyrastał w szczególnie surowej obyczajowo rodzinie.

Taka wizja nigdy nie zagościła w moich myślach.

– Nie zmuszaj go do katorżniczej pracy, ale dopilnuj żeby po sobie sprzątał i zmywał.

W myślach ujrzałam górę ubrań piętrzącą się w salonie.

– Sama do niego zadzwonię i powiem, że twój dom to nie nasz i że ma się odpowiednio zachowywać, bez wybryków.

– Jak długo będziesz w Meksyku?

– Dziesięć dni.

– A co mam zrobić, jeśli zechce wcześniej wrócić do domu?

– Nie ma sprawy. Howie dał mu z tuzin kart kredytowych, więc pieniądze nie stanowią problemu. Uświadom mu jednak, że wcześniejszy powrót oznacza Austin, a nie Houston i nie pozwól, aby się zapłakał. Wiesz, jak sobie dać radę, prawda siostrzyczko? Poza tym, Kit za tobą przepada.

Harry bierze mnie na piękne słówka.

– Zapamiętam sobie na wypadek, gdyby próbował zwędzić babcine srebra. Baw się dobrze, kochana, aha, podaj mi do siebie jakiś numer telefonu.

Gdy odłożyłam słuchawkę, w drzwiach gabinetu pojawił się Claudel. Jego twarz była tak ściągnięta, że odznaczały się na niej kości policzkowe. Przeszedł przez cały pokój i usiadł na fotelu.

Wspaniale.

– *Bonjour, monsieur Claudel.*

Nie oczekiwałam odpowiedzi. I żadnej nie otrzymałam.

– Odbyła pani nieuprawnioną wizytę w więzieniu.

– Czyżby pan Dorsey opowiedział o naszej rozmowie? – spytałam z niewinnym wyrazem twarzy.

– Przesłuchiwała pani mojego więźnia.

– Jest pańską osobistą własnością?

– Nie pracuje pani w wydziale zabójstw, nie jest pani nawet detektywem. – Claudel był wściekły, ale mówił cichym, spokojnym tonem. – Nie ma pani powodów, aby mieszać się w tę sprawę.

– Dorsey sam do mnie zadzwonił.

– Powinna była pani odmówić i złożyć raport.

– Zwrócił się do mnie, bo uważał, że pan go nie wysłucha.

– Wykorzystał panią, aby zakłócić przebieg śledztwa.

– Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że może się pan mylić, Claudel?

– Wykracza pani poza swoje kompetencje, nie muszę tego chyba wyjaśniać, prawda?

– Cała sprawa z Dorseyem śmierdzi i wygląda na kiepską podpuchę.

– Ale to moja kiepska podpucha, madam, nie pani.

– Jest pan niezmiennie przekonany, że za morderstwem Cherokee’ego stoją motocykliści

– powiedziałam w końcu. – Ja natomiast zostałam czasowo przydzielona do *Opération Carcajou*.

– Zrobię wszystko, aby te rozkazy zostały jak najszybciej odwołane – syknął, ledwie skrywając złość.

– Doprawdy? – Moje policzki zarumieniły się, tak bardzo mnie zdenerwował.

– Dopóki pani jeszcze z nami pracuje, niech się pani trzyma z daleka od nie swoich spraw. Nie zamierzam więcej o tym dyskutować.

– Nie będzie mi pan rozkazywał!

– To się jeszcze okaże.

– Już raz współpracowaliśmy i udało nam się rozwiązać trudną sprawę.

– To nie czyni z pani detektywa, ani nie upoważnia do ingerowania w sprawę, która mnie została przydzielona.

– Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak bardzo mnie pan nie docenia, *monsieur* Claudel.

Detektyw wyprostował się, zacisnął zęby i wziął głęboki oddech. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos był spokojny i opanowany.

– Dalsza rozmowa nie ma sensu.

Przytaknęłam.

Claudel wstał z fotela i ruszył do drzwi, wyprostowany, jakby połknął kij od szczotki.

– Jest coś jeszcze, o czym powinna pani wiedzieć, doktor Brennan.

Milczałam.

– George Dorsey został dziś rano oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia.

Choć głos Claudela pozostał opanowany, wręcz lodowaty, to biła od niego nienawiść. Wyszedł z mojego gabinetu bez pożegnania.

Gdy zostałam sama, odetchnęłam kilka razy głęboko. Splatałam i rozprostowywałam na przemian palce, a potem obróciłam się na krześle w stronę okna i zaczęłam obserwować dzieci grające w piłkę dwanaście pięter niżej.

Byłam wściekła na Dorseya. Upór i zadufanie Claudela wprawiały mnie we frustrację. Byłam przerażona tym, że powziął kroki mające na celu usunięcie mnie z *Carcajou*.

Złość na Claudela była równa tej, którą czułam względem siebie. Po raz kolejny straciłam nad sobą panowanie przy Claudelu, ale nie chodziło mi o to.

Na swój sposób się go bałam i, co szczególnie mnie irytowało, szukałam jego aprobaty. Choć w przeszłości uznał mnie za cenną współpracowniczkę, to nadal uważał jedynie za pomocnika, a nie pełnoprawnego partnera. Ku mojemu zdumieniu bardzo mnie to ubodło. Jego opinia liczyła się dla mnie.

Zrobiłam błąd, nie mówiąc mu o spotkaniu z Dorseyem. Praca zespołowa, zwłaszcza w takich grupach śledczych jak *Carcajou*, wymaga tego, aby dzielić się wszystkimi posiadanymi informacjami. Claudel nigdy by nie poinformował mnie o swoim śledztwie, więc podświadomie uznałam, że odpłacę mu pięknym za nadobne. Problem w tym, że to on prowadził śledztwo w sprawie Cherokee'ego. Sama mu się podłożyłam.

– A niech go diabli porwą – mruknęłam.

Oderwałam spojrzenie od meczu piłki nożnej na dole i rozejrzałam się po biurze. Musiałam uzupełnić raporty, zaaprobować zniszczenie próbek, oddzwonić do kilku osób i przejrzeć całą walizkę informacji o gangach motocyklistów.

Mój wzrok padł na stosik fotokopii leżących na półce w rogu. Doskonale. Najlepszym sposobem na zdystansowanie się od problemów z zarozumiałymi policjantami i kośćmi nieznanymi bandytów, było nadrobienie zaległości i lekcja historii przestępczości. Odkładałam ją od kilku miesięcy.

Jak postanowiłam, tak uczyniłam. Zawzięcie studiowałam fotografie, aż przyszła pora wracać do domu.

Po drodze do siebie wstąpiłam do sklepu Metro na Papineau, gdzie kupiłam niezbędne składniki do sosu puttanesca. Ciekawe, czy Kit lubi anchois, zastanawiałam się, wrzucając je do koszyka. Zaskoczę go, nic mu nie powiem. Przekonamy się, co jada młody człowiek.

Kiedy dotarłam w końcu do domu, przywitał mnie jedynie Ptasiek. Ku mojemu zdziwieniu, na podłodze panował porządek, a buty stały pod ścianami. W salonie przywitała mnie kompozycja kwiatowa rozmiarów Rhode Island i liścik.

Mój siostrzeniec ogromnie przeproszał, ale nie mógł zmienić swoich planów i musiał wyjść. Smutna buźka. Niemniej obiecywał, że całą sobotę spędzi ze mną. Uśmiechnięta buźka.

Zostawiłam torby na kuchennym blacie i poszłam się przebrać do sypialni. Cholera jasna, jak tak żyć? Kolejny piątkowy wieczór, który spędzę przed telewizorem w kocim towarzystwie.

Może Claudel dałby się namówić na wspólny obiad. To by dopiero było coś!

Zrzuciłam ubranie i założyłam zwyczajne dżinsy oraz bluzę od dresu.

Sama jesteś sobie winna, Brennan. Nie należysz do najmilszych osóbek na świecie.

Pokreśliłam się po mieszkaniu, złamałam paznokiec i zwinęłam się na kanapie.

Już dawno nie byłam w takim dołku.

Samotna, bardzo, bardzo samotna.

Nagle w mojej głowie powstała myśl.

Zadzwoń do Ryana.

Nie.

Powlokłam się do kuchni i zaczęłam opróżniać siatki. W myślach widziałam ciągle jego twarz.

Może jednak?

Nie, to już przeszłość.

Przypomniało mi się to miejsce poniżej jego obojczyka, gdzie było zagłębienie, w które idealnie wpasowywał się mój policzek. Było mi wtedy tak dobrze. Tak bezpiecznie. Tak wspaniale.

Zadzwonię.

Lepiej nie.

Może porozmawiamy?

Nie mam ochoty na głupie wymówki albo kłamstwa.

Może jest niewinny?

Jean Bertrand powiedział, że dowody są przytłaczające.

Moja wola okazała się bardzo słaba. Kiedy skończyłam kroić pomidory, wiedziałam, że zadzwonię. Posprzątałam blat, wrzuciłam torby pod zlew i poszłam do salonu po telefon.

Wtedy zobaczyłam lampkę pobłyskującą na obudowie automatycznej sekretarki.

Isabelle!

Prawda okazała się inna, znacznie mniej przyjemna.

Na taśmie znajdowały się dwie wiadomości. Pierwszą zostawiła Harry, która nie mogła się dodzwonić do Kita. Druga także była przeznaczona dla niego, ale sprawiła, że zadrżałam ze strachu.

Rozdział 24

Po tym, jak nie udało mi się zrozumieć wiadomości o spotkaniu, pozostawionej przez mamroczącego osobnika o ksywce „Kaznodzieja”, zdałam sobie sprawę, że musi chodzić o harleye i to nie takie, jakie znajdują się w posiadaniu podmiejskiego klubu motocyklistów.

Instynktownie wykręciłam numer Ryana. Od razu włączyła się automatyczna sekretarka. Całkowicie zdruzgotana i osamotniona powlokłam się do łóżka.

Spałam dobrze, choć moje sny przypominały drobinki kolorowego szkła w kalejdoskopie. Same obrazy były wyraźne i dobrze mi znane, ale układały się w całkowicie absurdalne sekwencje i ciągi zdarzeń. Większość z nich koncentrowała się wokół osoby Kita.

Raz widziałam go, jak jechał pickupem przez tunel z drzew, potem mknął na harleyu, a za jego plecami siedziała Savannah Osprey.

Przez sen usłyszałam sygnał alarmu przy drzwiach, potem z łazienki dobiegły odgłosy wymiotowania i spuszczonej wody.

Pomiędzy tymi krótkimi epizodami z siostrzeńcem w roli głównej, moja podświadomość prezentowała kolejne propozycje piosenek, z których najczęściej powracał temat z „Lord of the Dance”^{*} [*Lord of the Dance* – pieśń napisana przez angielskiego poetę, pieśniarza i muzyka folkowego Sydneya Cartera, jej melodia to zaadaptowany protestancki hymn *Simple Gift* (przyp. red.)]. Melodia przyczepiła się do mnie, jak rzep do psiego ogona.

Tańcz, tańcz, gdziekolwiek się znajdziesz...

Kiedy się obudziłam, na zewnątrz było już szaro. Nakryłam głowę poduszką i zwinęłam się w kłębek, kolana podciągając prawie pod brodę.

Jestem panem tańca, rzekł do mnie tak...

O ósmej w końcu się poddałam. Nie ma sensu denerwować się na próżno. W zły humor mogło mnie wprowadzić poranne zwleknięcie się z łóżka, jeśli musiałam to robić. Tymczasem ja zdecydowałam się wstać. Na tym polegała różnica. Wysunęłam się spod kołdry i ubrałam w te same rzeczy, co wczorajszego wieczoru. Oto złota zasada Brennan: „Jeśli nie wiesz, co przyniesie ci dzień, ubierz się w swobodny strój”.

Wyjrzałam przez rozsuwane francuskie drzwi i przekonałam się, iż na zewnątrz pada deszcz. Zacinał od boku, przemieniając pnie drzew w śliskie filary oblepione młodymi liśćmi. W zagłębieniach pomiędzy kostkami chodnika zbierały się strużki wody. Jeden jedyny krokus wyglądał na szczęśliwego.

Kogo ja oszukiwałam? Taki poranek należało przespać.

Cóż, Brennan, nie tobie dany sen. Zrób coś.

Zarzuciłam kurtkę na ramiona i sprintem pobiegłam na róg po *Gazette*. Kiedy wróciłam, Ptasiek zwinął się na krześle obok stołu, gotów na rozpoczęcie sobotniego rytuału.

Nasypałam sobie pełną miskę chrupkich płatków śniadaniowych, dodałam ciepłego mleka, obok postawiłam kubek gorącej kawy. Tak przygotowana, zaczęłam długą lekturę. Ptasiek zbliżył się kocim krokiem, pełen płynącej z doświadczenia pewności, że wszystkie resztki i okruszki będą należeć do niego.

Narody Zjednoczone potępiły Kanadę za sposób traktowania rdzennych mieszkańców kraju.

Tańcz, tańcz...

Partia Równości* [Partia Równości – (ang. Equality Party, fr. Parti Égalité), polityczna partia Quebecu, powstała w 1989 r. w opozycji do dążeń quebeckich separatystów, żądała zrównania języka angielskiego z francuskim, praktycznie już nie istnieje (przyp. red.)] świętowała dziesiątą rocznicę istnienia.

Ciekawe z jakiego powodu? W zeszłych wyborach nie zdobyła nawet jednego mandatu. Pojęcie równości społecznej zrodziło się z lat kryzysu, ale ostatnio nie było powodów, aby wracać do dawnych buńczucznych haseł. Partia znajdowała się na krawędzi rozpadu i desperacko potrzebowała nowych haseł.

Kanał Lachine miał być wyremontowany, budżet przedsięwzięcia zawierał się w milionach dolarów. To dobrze.

Skończyłam płatki, dopiłam kawę i nalałam sobie jeszcze jeden kubek. Resztę mleka oddałam Ptaškowi. Oczyma wyobraźni ujrzałam bulwar, po którym szusowaliśmy z Kitem. Biegł wzdłuż kanału Lachine, dziewięciokilometrowego zbiornika pełnego toksyn i ścieków przemysłowych. Nie zawsze tak się sprawy miały.

Kanał oddano do użytku w 1821 roku, aby otworzyć drogę komunikacji wodnej, omijającą wodospady Lachine. Dzięki niemu statki płynące z Europy mogły bezpośrednio dostać się na teren Wielkich Jezior. W tamtych czasach kanał stanowił integralną część miejskiej gospodarki. Sytuacja uległa zmianie, kiedy otworzono szlak wodny Świętego Wawrzyńca w 1959 roku. Później ujście kanału zasypano ziemią wydobytą w trakcie budowy metra i ostatecznie zamknięto go dla żeglugi. Okoliczne dzielnice podupadły i uległy zapomnieniu. Jeśli nie liczyć ścieżki rowerowej, nic tam nie budowano ani nie remontowano. Kanał został zapomniany i tylko fabryki niezmiennie pompowały weń ścieki.

Obecnie wdrożono plany rewitalizacji południowo-zachodniej części miasta. Podobnie jak Mont-Royal Park zaprojektowany sto dwadzieścia pięć lat temu przez Fredericka Lawa Olmsteda, kanał miał się stać centralnym punktem odnowy całej dzielnicy.

Może to czas na nowe mieszkanie?

Usiadłam wygodniej i przeczuciłam stronę.

RCM* [RCM (fr. Rassemblement des citoyens et des citoyennes de Montréal, ang. Montreal Citizens' Movement) – ugrupowanie polityczne sprawujące władzę w Montrealu (przyp. red.)] musiało znaleźć ponad dwadzieścia jeden milionów dolarów, aby pokryć koszty wzrostu płac. Rząd federalny zgodził się pokryć jedynie część tej sumy.

Przypomniałam sobie robotników pikietujących na Guy.

*Bonne chance** [Bonne chance – (fr.) Powodzenia (przyp. red.)].

Expos* [Montreal Expos, montrealaska drużyna bejsbolowa (przyp. red.)] przegrali z Mets* [New York Mets, nowojorska drużyna bejsbolowa (przyp. red.)] 10-3.

Auć! Może Piazza* [Michael Joseph Piazza, w latach 1998-2005 zawodnik drużyny New York Mets (przyp. red.)] rzeczywiście był wart dziewięćdziesięciu jeden milionów dolarów, które zapłaciło za niego Big Apple* [Big Apple – Wielkie Jabłko, przydomek Nowego Jorku (przyp. red.)].

Oskarżenia wobec Dorsey'a znalazły swoje miejsce na stronie piątej, tuż obok artykułu o

przestępstwach internetowych. Jedyne, czego się dowiedziałam, to to, że w piątek przewieziono go z Op South do więzienia Rivieredes-Prairies.

Kiedy skończyłam czytać, zadzwoniłam do szpitala. Madame LaManche powiedziała, że życiu jej męża nie zagraża niebezpieczeństwo, ale nadal nie odzyskał przytomności. Uprzejmie podziękowała za pomoc, ale jej nie potrzebowała. Słuchając jej głosu, miałam wrażenie, że jest wyczerpana. Oby córki wspomogły ją w tym trudnym momencie.

Posegregowałam rzeczy do prania i załadowałam do pralki białe. Przebrałam się w dres i poszłam potrenować. Spacerkiem dotarłam na skrzyżowanie McKay i Ste-Catherine, windą wjechałam na ostatnie piętro i oddałam się ćwiczeniom.

Dwadzieścia minut na bieżni, dziesięć wspinania się po schodkach Stair-Mastera. Pół godziny podnoszenia ciężarów zakończyło harówkę. Przyjść, poćwiczyć i wyjść. Żadnych wspomagaczy, osobistych trenerów, minimum udogodnień.

Kiedy wyszłam na ulicę, już nie padało, a chmury z wolna się rozrzedzały. Na tle góry dostrzegłam przebijający zza szarości błękit nieba.

Dom zastałam równie cichy, co przed wyjściem. Ptasiak odsypiał mleczną ucztę, mój siostrzeniec imprezę, o której wolałam nie myśleć.

Tańcz, tańcz...

Rzuciłam okiem na automatyczną sekretarkę, ale światełko nie chciało zabłysnąć. Ryan nie oddzwonił. Nie zdziwiłam się, ostatnio w ogóle nie można się było z nim skontaktować.

Dobrze, Ryan. Rozumiem, co oznacza to milczenie.

Wzięłam prysznic i przebrałam się w czyste rzeczy, a potem usiadłam za stołem w salonie i zaczęłam przeglądać materiały, które pożyczyła mi Kate. Fotografie ułożyłam po lewej, dokumenty po prawej, zaczęłam od zdjęć.

Zerknęłam na zdjęcia znanych mi już Martina „Deluxe” Deluccio oraz Eli „Robin” Hooda, a potem zapoznałam się z ich kumplami. Wszyscy należeli do tego samego gatunku długowłosych, brodatych i wąsatych zarośniętych małpoludów.

Skończywszy oglądać zawartość jednej koperty, przeszłam do następnej. Wysypałam zdjęcia na blat i obejrzałam je. Większość z nich była niewyraźna, postacie się rozmywały lub były obcięte, jakby fotografie wykonano w pośpiechu i z ukrycia.

Jak było do przewidzenia zrobiono je na parkingach, podjazdach moteli czy publicznych skwerach. Amatorski sposób ich wykonania sprawił, że zdawały się być jeszcze bardziej autentyczne. Biło od nich życie, którego brakowało na fotografiach z obserwacji policyjnej.

Przeglądałam jedną fotografię po drugiej, stając się świadkiem wydarzeń, które turyści, motocykliści i zwykli przechodnie zarejestrowali zupełnie przypadkowo. Każda z nich opowiadała historię o tym, jak zwyczajne, proste życie przecięło się z mroczniejszą, bardziej złowieszczą rzeczywistością. Dowód fascynacji i strachu. Przyspieszone bicie serca, spocone dłonie, sięgnięcie po aparat, zanim żona i dzieci wrócą z toalety.

Wybrałam jedno zdjęcie i przyjrzałam się mu dokładnie. Stacja benzynowa Esso. Sześciu mężczyzn siedzi na swoich harleyach i choć od obiektywu dzieli ich niecałe dwadzieścia metrów, to zdają się należeć do innego wszechświata. Czuć było respekt, jaki budzili w fotografującym. Fascynacja i odraza tworzyły aurę wokół wyrzutków na motocyklach.

Przez kolejną godzinę oglądałam fotografię za fotografią. Wykonano je w różnych miejscach: Sturgis, Południowej Dakocie, Daytona Beach, na Florydzie. Nieważne, czy autorem był przechodzień, czy policyjny wywiadowca, sytuacje zdawały się powtarzać. Rajdy, biwaki, spotkania. Ich sceną były motele, przydrożne bary.

Około pierwszej uznałam, że mam już dość.

Gotowa na rozmowę z siostrzeńcem, podeszłam do drzwi jego sypialni i zapukałam.

Odpowiedziała mi cisza.

Zastukałam ponownie, tym razem mocniej.

– Kit?

– Taaa?

– Już po pierwszej. Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Mmmm.

– Wstałeś już?

– Aha.

– To nie zasypiaj z powrotem.

– Daj mi pięć minut.

– Wolisz śniadanie czy od razu obiad?

– Aha.

Jego odpowiedź pozostawiła mi pole do dowolnej interpretacji, dlatego przygotowałam kanapki z szynką, serem, sałatą i sosem koperkowym. Kończyłam właśnie układać je na talerzu, gdy usłyszałam otwierające się drzwi sypialni, a potem odgłosy dochodzące z łazienki.

Kiedy Kit pojawił się w końcu w kuchni, straciłam ochotę na rozmowę. Oczy miały czerwone obwódki, a twarz była blada jak ściana. Jego włosy wyglądały jak fryzura Jima Carreya* [James Eugene Carrey, kanadyjski komik i aktor filmowy (przyp. red.)].

– Cześć, ciocia.

Kiedy podniósł rękę, żeby przetrzeć dłońmi twarz, rękaw zsunął się i dostrzegłam krawędź tatuażu pokrywającego jego ramię.

– Jest już popołudnie.

– Przepraszam. Późno wróciłem.

– Owszem. Masz ochotę na kanapkę?

– Jasne – odparł zachrypniętym głosem. – Masz colę?

– Tylko dietetyczną.

– Świetnie.

Przyniosłam puszki z lodówki i usiadłam przy stole. Kit zmierzył wzrokiem kanapki, jednak wywoływały w nim odrazę.

– Lepiej się poczujesz, jak coś zjesz.

– Muszę się tylko rozbudzić. Nic mi nie będzie.

Kit wyglądał równie zdrowo, co chory na ospę. Przyglądając mu się z bliska, dostrzegłam żyłki przecinające białka oczu. Bił od niego zapach dymu papierosowego.

– Kit, wiem, co znaczy kac.

Rzeczywiście, byłam w pełni świadoma tego, przez co teraz przechodził. Pamiętałam to uczucie, kiedy alkohol uderzał do głowy, a później odchodził, pozostawiając po sobie złe samopoczucie. Ta suchość w ustach, drżące dłonie i wrażenie, że zamiast żołądka mam kulę z ołowiu.

Kit przetarł twarz dłońmi, a potem sięgnął ręką w kierunku Ptaśka i pogładził jego futerko. Wiedziałałam doskonale, że chciałby się teraz znaleźć gdzieś indziej.

– Jedzenie ci pomoże.

– Nic mi nie jest.

– Spróbuj kanapkę.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Kiedy tylko opuścił wzrok, jego usta przybrały z powrotem smutny wyraz. Pomimo to Kit ugryzł kawałek chleba.

– Hmmmm. – Otworzył puszkę chłodnej coli, przytknął ją do ust i zaczął pić łapczywie.

Jasne było, że nie ma ochoty na poważną rozmowę. Ja także ją straciłam. Zresztą, może nie było do niej powodu? Ostatecznie, miał dziewiętnaście lat i chciał się wyszaleć. Impreza przerodziła się w popijawę i teraz męczył go kac. Wszyscy przez to przechodzimy.

A potem przypomniałam sobie wiadomość na sekretarce i nowy tatuaż.

Były sprawy, które musieliśmy przedyskutować.

Wiedziałałam, że to, co powiem, nie da zbyt dużego efektu. Kit miał dziewiętnaście lat, był młody, czuł się niezniszczalny i urodzony, aby dawać czadu, jak to określiła Harry. Pomimo tego musiałam spróbować.

– Kim jest Kaznodzieja?

Kit spojrzał na mnie i zaczął się bawić puszką.

– Gość, którego poznałem.

– A gdzie?

– W sklepie z motocyklami. Tym, w którym byliśmy z Lyle'em.

– Co to za człowiek?

Kit wzruszył tylko ramionami.

– Normalny.

– Dzwonił do ciebie.

– Serio?

– Sam posłuchaj. Nie rozumiem, co mówi.

– Tak, Kaznodzieja ma namieszane we łbie.

Kit był dla niego zbyt uprzejmy.

– To znaczy?

– Nie wiem, jak to opisać, ale skoro jeździ na chopperze '64, to jest całkiem w porządku.

– Kit pociągnął kolejny łyk. – Przepraszam, że cię wystawiłem zeszłego wieczoru. Znalazłaś kartkę?

Kit bez wątpienia próbował zmienić temat.

– Tak. Co to było za ważne wydarzenie?

– Mecz bokserski – odparł markotnie.

Jego twarz miała kolor owsianki i podobny wyraz.

- Lubisz boks?
- Niespecjalnie, ale ci goście, z którymi się umówiłem, bardzo.
- Jacy?
- Ci, których poznałem.
- W sklepie z motocyklami?

Wzruszył tylko ramionami.

- A skąd ten tatuaż?
- Zabójczy, nie?

Kit podciągnął rękaw i na jego lewym bicepsie dostrzegłam skorpiona w hełmie, oplatającego swoimi odnóżami jego rękę.

- Co ma oznaczać?
- Nic, naprawdę, po prostu super wygląda.

Musiałam przyznać mu rację.

- Twoja matka mnie zabije.
- Harry ma tatuaż na lewym pośladku – odparł z zawadiackim uśmiechem.

Jestem panem tańca, rzekł...

Przez chwilę żadne z nas nie zabierało głosu. Jadłam kanapkę w milczeniu, a Kit skubał kęs za kęsem, popijając colą.

– Masz ochotę na jeszcze jedną? – spytał, wstając od stołu i wyrzucając do kosza pustą puszkę.

– Nie, dziękuję.

Kiedy wrócił, zaczęłam dalej drażyć temat.

– Ile wypiliśmy?

– Za dużo – odparł, drapiąc się po głowie. – Ale tylko piwo, nic więcej, ciociu. Żadnego łamania prawa.

– Samo piwo?

Kit oparł się o stół i spojrzał mi w oczy, chcąc się przekonać, że dobrze rozumiem moje pytanie.

– Jeśli jest choć jedna rzecz, na jaką możesz liczyć u tego chłopaka, to alergia na prochy – powiedział, wskazując na siebie. – Może to ciało nie jest superwystrzałowe, ale pozostaje wolne od narkotyków.

– Miło mi to słyszeć – odparłam. – Opowiedz mi coś jeszcze o Kaznodziei i jego trzódce.

– Ej, żyj i pozwól żyć innym, ciociu.

– Nie zawsze się tak da, Kit. – No dalej, Brennan, spytaj. – Czy to motocykliści?

– Jasne. Dlatego czuję się jak w Disneylandzie. Wszyscy jeżdżą na harleyach.

Pięknie. Pytaj dalej.

– Są powiązani z jakimś klubem?

– Ciociu, pewnych pytań się po prostu nie zadaje. Jeśli chodzi ci o przynależność do gangu, odpowiedź brzmi: nie. Możecie być spokojni, nie sprzedam żaglówki i nie przyłączę się do Aniołów Piekła.

– Kit, motocykliści nie rozróżniają nieszkodliwych wielbicieli od tych, którzy chcą do

nich przystać. Jeśli uznają cię za kogoś, kto im przeszkadza lub nawet za najdrobniejsze zagrożenie, pozbędą się ciebie na zawsze. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś ci się stało.

– Czy ja wyglądam na idiotę?

– Wyglądasz mi na dziewiętnastolatka z Houston zafascynowanego harleyami i romantycznym obrazem młodych gniewnych z *Dzikiego** [*Dziki – (Wild One)*, pierwszy film fabularny o motocyklowych gangach (nakręcony w 1953 r.), w którym główną rolę grał Marlon Brando, a producentem był Stanley Kramer (przyp. red.)].

– Słucham?

– Film Stanleya Kramera, znasz?

Jego spojrzenie powiedziało mi, że nie.

– Marlon Brando?

– Słyszałem o nim.

– Nieważne.

– Ciociu, świetnie się z nimi bawię i czuję doskonale.

– Podobnie jak pies, który wygląda przez okno samochodu na autostradzie, dopóki nie trafi łbem w słup przydrożny.

– To nie są źli ludzie.

– Motocykliści są pozbawieni zasad. To nie są źli ludzie, są gorsi.

– W wielu sprawach mają rację. Nieważne, wiem, co robię.

– Nie, nie wiesz. W ciągu ostatnich dwóch tygodni dowiedziałam się o nich rzeczy, których nigdy nie chciałam znać. Racja, mają fajne motory i świetnie się z nimi imprezuje, ale ci ludzie nic sobie nie robią z prawa i bywają skorzy do przemocy.

– A cóż takiego robią, że uważasz ich za wcielenie zła?

– Są nieodpowiedzialni, podstępni i żerują na słabszych – Doprawdy? W jaki sposób? Dokonują aborcji wieszakiem na ubrania? Gwałcą zakonnice? Strzelają do staruszków na spacerze w parku?

– Handlują prochami.

– Eli Lilly* [Eli Lilly and Company, wielki międzynarodowy koncern farmaceutyczny, produkujący m. in. prozac (przyp. red.)] też.

– Podkładają bomby, mordując kobiety i dzieci. Pakują ludzi do bagażnika, wywożą na odludzie i tam zabijają.

Rywali tną na kawałki, a pokawałkowane ciała wyrzucają w porcie.

– Jezu Chryste, wypłem ledwie parę piw!

– To nie jest odpowiednie towarzystwo.

– Poszedłem tylko na mecz bokserski!

Wbił we mnie spojrzenie zielonych oczu, ale powieki zaczęły mu drgać. Zamknął je i przycisnął dłonie do skroni. Krew musiała uderzyć mu do głowy, potęgując ból.

– Kocham cię jak rodzone dziecko, Kit, wiesz o tym. – Nie spojrział mi w oczy, ale po jego postawie wiedziałam, że czuje się nieswojo. – Dobrze wiesz, że ci ufam, ale chcę, abyś był świadomy tego, z jakimi ludźmi się zadajesz. Będą mili, pokażą swoje motory i zdobędą twoje zaufanie, a potem poproszą o drobną przysługę. Nawet nie będziesz wiedział, kiedy

przekroczysz granicę prawa.

Zapadła cisza i żadne z nas nie chciało jej przerwać. Na zewnątrz wróble walczyły o karmnik, który dla nich wywiesiłam. W końcu, nie podnosząc wzroku, Kit powiedział:

– Do czego dążysz, ciociu?

– Nie rozumiem.

– Ostatnio strasznie jesteś nakręcona. Rzeczywiście, nie wiedziałam, o co mu chodzi.

– Nie jestem głupi ani ślepy.

– Kit, nie rozumiem, o czym mówisz.

– Bawisz się ze mną. Jedne rzeczy pokazujesz, inne ukrywasz.

– Co robię, Kit?

Spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma i odparł:

– Weźmy obiad w zeszłym tygodniu. Znalazłaś po nim w samochodzie ludzkie oko, a potem wyskoczyłaś w tajemnicy na kilka dni. Umiem składać fakty do kupy. Sama powiedziałaś, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni widziałas więcej gówna, niż ludzie przez całe życie.

Kit zamieszał colą w puszcze.

– Chcesz wiedzieć, co ja robię, ale sama nie zamierzasz opowiedzieć nic o sobie.

– Kit, ja...

– To nie wszystko. Coś się dzieje z tym gościem, Ryanem. Ilekroć ktoś o nim wspomina, podskakujesz jak kaznodzieja na myśl o podatkach.

Spróbowałam zwalczyć uśmiech.

– Bierzesz mnie w obroty, bo myślisz, że ćпам, a sama ciągle coś ukrywasz.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby coś powiedzieć. Kit zagryzł wargi, najwidoczniej zawstydzony słowami, które padły z jego ust. Słońce przebijało się przez zasłony, obramowując na złoto jego sylwetkę.

– Nie chcę narzekać, ale kiedy byłem młodszy, okazałaś się jedyną porządną osobą, która potrafiła mnie wysłuchać. Harry była... – Kit, szukając brakującego słowa, uniósł dłoń. – Cóż... Harry to Harry. Ty potrafiłaś mnie wysłuchać i porozmawiać. Jako jedyna z całej rodziny. A teraz traktujesz mnie jak tumana.

Kit miał rację. Unikałam odpowiedzi, zwodziłam go, kiedy tylko interesował się moimi sprawami. Zbyt długo żyłam sama, odwykłam od otwartej rozmowy w domu. Ilekroć spotykałam się z kimś na gruncie prywatnym, zawsze znajdowałam wymówkę, aby nie rozmawiać o pracy. Teraz ni z tego, ni z owego, zaczęłam przesłuchiwać mojego siostrzeńca, domagając się, aby opowiedział wszystkie swoje tajemnice.

– Masz rację i jej nie masz. Przyznaję, że unikam odpowiedzi, ale nie wolno mi rozmawiać o sprawach, które się toczą. To wymóg stawiany przez moją pracę, a nie dobre wychowanie. Naprawdę chcesz wiedzieć, co robię?

Wzruszył ramionami i mruknął:

– Tak.

Spojrzałam na zegarek – Weź prysznic, a ja posprzątam. Pójdziemy sobie na spacer w góry i pogadamy. Co ty na to?

– Dobra – odparł ledwie słyszalnym tonem. Kłopot w tym, że nie wiedziałam, czy moja decyzja jest słuszna.

Rozdział 25

Choć miejscowi nazywają je górami, to pagórkom otaczającym miasto daleko do poszarpanych stożków Rockies czy zalesionych szczytów karolińskich Sniokies. Morit-Royal to pozostałość po wulkanie wygasłym w prehistorycznych czasach, którego stożek wygładziły miliony lat. Góra znajduje się w samym centrum miasta i przypomina cielsko śpiącego niedźwiedzia.

Choć jest niska i nie zapiera swym wyglądem tchu w piersiach, to dała miastu nazwę, a także stała się swego rodzaju kręgosłupem, wokół którego rozrosła się metropolia. Na wschodnim stoku rozłożył się Uniwersytet McGill, a po przeciwnej stronie znajduje się angielskojęzyczna dzielnica Westmount. Od pomocy górę zajęły frankofońskie osiedla Outremont i L'Université de Montréal, a poniżej znajduje się Centre-Ville, stanowiące mieszkankę różnych kultur, dzielnicę, w której przemysł spotyka się z finansjerą, życie zwykłe z tym bardziej frywolnym, nocnym.

Góra zdaje się być zlepkiem dolin i pagórków, parków i cmentarzy. Amatorzy spacerów znajdują kamieniste ścieżki i szlaki pośród drzew. W czasie krótkich, cennych letnich miesięcy na jej zboczach mrowią się turyści, zakochane pary, biegacze i amatorzy pikniku na łonie natury. Zimą we władanie obejmują je łyżwiarze, snowboardziści i narciarze. Dla mnie, podobnie jak dla większości mieszkańców miasta, góra jest miejscem schronienia przed zgiełkiem i tempem życia w Montrealu.

Popołudnie było dosyć ciepłe, a niebo bezchmurne. Kit i ja przeszliśmy przez de Maisonneuve i ruszyliśmy w górę zbocza, w kierunku Drummond. Wchodząc po schodach des Pins, prowadzących do Pine Avenue, po prawej mieliśmy wysokie budynki, których niższe piętra wyglądały jak dziób betonowego okrętu.

– Co to za wieżowiec? – spytał Kit.

– McIntyre Medical. To część uniwersytetu McGill.

– Wygląda jak budynek Capitol Records* [Capitol Records – amerykańska wytwórnia płytowa będąca własnością EMI, siedziba firmy mieści się w Los Angeles w Capitol Records Tower, 13-piętrowym budynku, który powstał w 1956 r. i jest pierwszym na świecie okrągłym biurowcem (przyp. red.)] w L. A.

– Hmm.

Kiedy byliśmy w połowie schodów, w nasze nosy uderzył smród skunksa.

– *Une mouffette** [Une mouffette (fr.) – śmierdziel (przyp. red.)] – wyjaśniłam.

– Nieźle brzmi po francusku, ale cuchnie jak zwykły teksaski śmierdziel – odparł Kit, marszcząc nos. – Może przyspieszymy?

– Dobrze – przytaknęłam i zaczęłam wbiegać po schodach. Kiedy dotarliśmy na szczyt, przecięliśmy ulicę Pine i ruszyliśmy krętą piaszczystą drogą ku następnym betonowym schodom. Pokonaliśmy je, skręciliśmy w prawo, przeszliśmy kolejny odcinek ścieżki i wspięliśmy się na następne, tym razem drewniane, stopnie. Znaleźliśmy się na zboczu.

Nim dotarliśmy na szczyt, poważnie się obawiałam, że będę potrzebować maski tlenowej. Kiedy ja dyszałam i próbowałam złapać oddech, Kit podbiegł do barierki. Gdy moje serce

przestało bić rekord świata w ilości uderzeń na sekundę, dołączyłam do niego przy balustradzie.

– To niesamowite – powiedział Kit, spoglądając przez mosiężną lornetę wycelowaną na McTavish Reservoir* [McTavish Reservoir – sztuczny zbiornik wodny (przyp. red.)].

Miał stuprocentową rację. Dookoła człowieka tętni życie miasta, człowiek nie wie, na co ma patrzeć. Na pierwszym planie są wysokościowce, wieże śródmiejskich kościołów i kominy, a dalej, w tle, widać port i główną arterię miasta, Rzekę Świętego Wawrzyńca. Ponad tym całym spektaklem światła i ruchu majaczą zarysy szczytów St-Bruno i St-Hilaire, u stóp których rozłożyło się Eastern Townships* [Eastern Townships – region leżący na wschód od Montrealu za Rzeką Świętego Wawrzyńca (przyp. red.)].

Kit obracał lornetkę w kierunku miejsc, o których ja opowiadałam. Ville-Marie, stadion McGill, Royal Victoria Hospital. Montreal Neurological Institute and Hospital.

Ten ostatni budynek przypominał mi o rozmowie z Carolyn Russell i drenie. Myśl o Savannah Osprey sprawiła, że poczułam ukłucie smutku.

– Chodź, Kit. Opowiem ci, czym się ostatnio zajmuję. Ruszyliśmy wzdłuż kamiennych stopni, klucząc pomiędzy rowerami, które leżały na chodniku. Wolną ławkę znaleźliśmy dopiero przy wejściu do szaletu. Na belkach stropowych jego dachu przycupnęły gołębie i gruchały cicho.

– Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku.

– Jasne, mądre słowa. Tylko co nim było?

– Quebec ma wątpliwy honor być terytorium jedynej wojny w świecie motocyklistów, jaka się obecnie toczy.

– Anioły Piekieł, o których opowiadałaś na obiedzie u Isabelle?

– Tak. Gangi walczą ze sobą o kontrolę nad rynkiem handlu narkotykami.

– Jakimi?

– Głównie kokainą, ale także haszyszem i heroiną. Na parking wysypała się grupa japońskich turystów.

Ruszyli w górę zbocza i od razu zaczęli robić sobie zdjęcia w różnych konfiguracjach towarzyskich.

– W całą sprawę zostałam włączona jakieś dwa tygodnie temu. Dwaj członkowie Bezbożników, marionetkowego klubu Rock Maszyny, zostali wysadzeni w powietrze, kiedy próbowali podrzucić bombę pod budynek w południowozachodniej części miasta, należącej do Żmij.

– Kto się udławił własnym pasztetem?

– Dwóch bliźniaków, Le Clic i Le Clac Vaillancourtowie.

– Żmije trzymają z Aniołami Piekieł?

– Tak. Snajper, który ich załatwił, został aresztowany...

– Żmija-snajper, podoba mi się.

– Jego zeznania doprowadziły do odkrycia dwóch ciał, o których opowiadałam przy obiedzie.

– Goście, których zakopano w ogródku Żmij?

– Tak.

– Gdzie jest ten klub?

– St-Basile-le-Grand.

Na twarzy Kita pojawił się dziwny wyraz, ale chwilę później znikł.

– Szkielety zostały zidentyfikowane jako szczątki dwóch członków gangu Tarantuli, który obecnie już nie istnieje, ale był aktywny w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

– Dobrze, a co z kośćmi dziewczynki, które tam znalazłaś?

– Nazywała się Savannah Claire Osprey i mieszkała w Shallotte, Karolina Północna. To dlatego polecałam do Raleigh. W chwili swego zaginięcia miała szesnaście lat.

– Kto ją zabił?

– Chciałabym to wiedzieć.

– Jakim cudem znalazła się aż tutaj?

– Też nie wiem. Daj mi dokończyć historię. Zanim odkryliśmy ciała w St-Basile-le-Grand, doszło do jeszcze innego morderstwa. Członek gangu Żmij, Richard „Pająk” Marcotte został zastrzelony przed swoim domem. Być może był to odwet Bezbożników za Clica i Claca.

– I znów podatnicy zaoszczędzili trochę grosza.

– Może i tak, jednak w trakcie wymiany ognia zginęła dziewczynka.

– Dziewięciolatka, prawda? – Oczy Kita zwęziły się, a spojrzenie skoncentrowało na mojej twarzy. – Zabili ją.

Pokiwałam tylko głową.

– Zginęła tego samego dnia, kiedy ty i Howard przywieźliście mi Ptaśka.

– Cholera jasna.

– Od tamtej pory szukam dowodów łączących się z przestępstwami, które zostały popełnione przez motocyklistów. Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo nie podobają mi się twoi nowi przyjaciele.

– I tatuaż. Faktycznie, wdepnęłaś w niezłe bagno.

– To nie wszystko. – Rzuciłam spojrzenie na twarz Kita. Choć cienie kładły się pod jego powiekami, to obserwował mnie czujnie, jak łowczy ptak.

– W zeszłym tygodniu zginął kolejny motocyklista, Yves „Cherokee” Desjardins.

– Po której był stronie?

– Drapieżniki, kumple Aniołów.

– Bezbożnicy nadal próbowali wyrównać rachunki?

– Być może. Problem w tym, że Cherokee był starszym facetem, który od lat nie brał udziału w życiu gangu. Co więcej, handlował na boku kokainą.

– Czy mogli go załatwić koledzy?

– Istnieje taka możliwość. Brak nam na razie materiału dowodowego. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Potem opowiedziałam mu o LaManche’u.

– Ożeż w dupę! Może i jego załatwili?

– Kto?

– Anioły. Mógł się natknąć na ślady, których nie chcieli, aby odkrył.

– Nie wydaje mi się, Kit.

– Mogli mu coś podać. Wiesz, taką truciznę, która nie pozostawia śladu.

– Był w sali autopsyjnej. To zabezpieczona strefa.

– W waszym laboratorium może być ich wtyczka. Wiesz, oni tak robią. Potrafią wprowadzić swoich ludzi.

– Nie przesadzajmy – roześmiałam się na głos.

Kit powiódł spojrzeniem po turystach, a potem po odległych górskich szczytach. Za naszymi plecami ktoś trzasnął drzwiami i przestraszone gołębie odfrunęły.

– Jezu Chryste, ciociu, czuję się jak ostatni dupek. Twój szef jest chory, pracujesz nad tysiącem spraw naraz, a co ja robię? Nagle wpadam, podrzucam do lodówki zdechłą rybę i włóczę się po mieście, imprezując.

Japończycy ruszyli w swoją stronę.

– I byłem zbyt zajęty balangowaniem, żeby zainteresować się tym, co robisz. Masz siłę iść dalej?

– Żyję, żeby wędrować.

Okrążyliśmy toaletę i ruszyliśmy jedną ze ścieżek, które wily się wzdłuż górskiego zbocza. Szliśmy w milczeniu, obserwując wiewiórki, które harcowały pośród zeszlorocznych liści, podekscytowane wiosną. Ptaki świergotały w koronach drzew. W pewnym momencie przystanęliśmy, słuchając jakiegoś starszka grającego na flecie prostym „Ode do radości”. Ubrany w długi płaszcz i beret włożony na bakier, koncertował ze skupieniem godnym wirtuoza.

Gdy skręciliśmy na zachód, a przed nami na horyzoncie majaczyła kopuła l’Oratoire St-Joseph* [l’Oratoire St-Joseph – Saint Joseph’s Oratory of Mount Royal, (fr. Oratoire Saint-Joseph du Mont-Royal), bazylika zbudowana w latach 1924-1967 na północnym zboczu Mount Royal (przyp. red.)] opowiedziałam Kitowi historię o skradzionym sercu brata Andre* [brat Andre – Andrzej Alfred Bessette (1845-1937), kanadyjski zakonnik ze Zgromadzenia Krzyża Świętego, zasłynął z cudownych uzdrowień, zbudował kaplicę na Mount Royal, czym zainicjował budowę bazyliki Saint Joseph’s Oratory, w 1982 roku beatyfikowany przez Jana Pawła II (przyp. red.)]. Zostało wyniesione z krypty, w której spoczywało, i w jego poszukiwania włączono ogromną ilość ludzi. W końcu serce trafiło do naszego laboratorium, a obecnie przechowywane jest w kościele, przy zachowaniu daleko posuniętych środków bezpieczeństwa.

Właśnie zaczęliśmy schodzić w dół zbocza, kiedy Kit poruszył kolejny nieprzyjemny temat.

– A co z tym gościem, Ryanem?

– To po prostu mój znajomy – odparłam.

– Harry o nim wspominała. To policyjny detektyw, prawda?

– Tak, pracuje dla wydziału zabójstw.

Poznałam moją siostrę z Ryanem, kiedy odwiedziła mnie w Montrealu. Coś pomiędzy nimi zaiskrzyło, a ja musiałam wyjechać poza miasto. Nigdy się nie dowiedziałam, czy do

czegoś doszło, ale unikałam potem Ryana przez jakiś czas. Nigdy go też nie spytałam o szczegóły.

– Więc o co chodzi?

– Wpakował się w tarapaty.

– Jakie?

*Calèche** [Calèche (fr.) – kalesza, reprezentacyjny duży pojazd 2-4 – konny z siedziskami naprzeciwko siebie i składaną budą (przyp. red.)] przemknął po drodze biegnącej nad nami. Usłyszałam, jak woźnica najpierw ściąga, a potem popuszcza uzdę.

– Chodzi o narkotyki.

– Zażywał?

– Sprzedawał. – Choć starałam się ze wszystkich sił, aby mój głos nie zdrzął, to i tak Kit musiał wyczuć napięcie, jakie się w mych słowach czaiło.

– Och.

Stukot kopyt ucichł.

– Martwisz się o niego, prawda?

– Tak.

– Bardziej niż o wujka Pete'a?

– To nie było miłe, Kit.

– Przepraszam. Co zrobiłaś z rybą? – spytał, zmieniając temat.

– Jest w zamrażalniku.

– Mam pomysł. Wyeksmitujmy pstrąga z lodówki i w czasie, kiedy będzie się rozmrażał, przyjrzymy się tym *les motards*. Wieczorem wrzucimy rybkę na ruszt i kiedy z nią skończymy, wyskoczmy na kilka piw do pubu Hurley's.

– Dobry plan, ale w jednym się pomyliłaś. Ryba to łosoś.

Zeszliśmy na dół zbocza, przecięliśmy teren szpitala Montreal General i poszliśmy w dół ulicą Côte-des-Neiges. Gdy stanęliśmy u podnóża góry, spojrzałam na jej szczyt.

– Widziałeś kiedyś krzyż* [krzyż – na szczycie Mount Royal stoi żelazny krzyż iluminowany nocą (przyp. red.)] nocą?

– Tak, jest niesamowity.

– Stąd, rzeczywiście. Ale z bliska to tylko kupa żelastwa i żarówek. Wydaje mi się, że taki jest właśnie Andrew Ryan. Z daleka fajny, ale kiedy mu się przyjrzeć, bardzo pokręcony.

Rozdział 26

Berawanie to osiadły lud mieszkający w charakterystycznych długich chatach na Borneo. Kiedy rozpoczynam wykłady z antropologii, wykorzystuje ich wierzenia, aby unaocznić studentom absurdalność europejskich zwyczajów pogrzebowych.

Wedle wierzeń Berawanów, dusza zmarłego może odejść wolna w zaświaty dopiero wtedy; gdy ciało, które zamieszkiwała, całkowicie się rozłoży. Zanim to nastąpi, bytuje ona w limbo, miejscu, które nie jest już światem żywych, a jeszcze nie stało się zaświatami. Tutaj rodzi się problem: ciała mogą paść łupem złowrogich duchów, które przemierzają pustkowiec w poszukiwaniu nowej powłoki. Raz ożywionych w ten sposób nieumarłych nie można zabić. Z tego powodu Berawanie bardzo się ich obawiają.

Kiedy etnografowie przybliżyli im europejskie zwyczaje, Berawanie byli przerażeni. Z ich punktu widzenia mycie zwłok, ubieranie ich w odzienie, woskowanie i składanie do grobu jest czystym szaleństwem. Nie tylko wydłuża ono mękę uwięzionej w ciele duszy, ale zwiększa ryzyko, że zmarły zamieni się w zombie. Dla nich nasze cmentarze są potencjalną wylęgarnią koszmarów.

Ciekawe, co Berawanie powiedzieliby, widząc w mojej dłoni chlubę kolekcji Kate – fotografię Bernarda Silvestre'a.

Rozmrożenie ryby zdawało się trwać wieki, dlatego w międzyczasie zaczęliśmy z Kitem oglądać kolekcję Kate.

Silvestre leżał w trumnie. Wąsy i bokobrody okalały jego twarz, dłonie zostały splecione na piersi opiętej czarną skórzaną kurtką. Dookoła nieboszczyka stało dziesięciu podobnie ubranych mężczyzn, a czterech trzymało trumnę za ręczki. Jeśli nie liczyć niezbyt konwencjonalnego ubioru: skór, dżinsów i wysokich butów, wyglądaliby jak bractwo z imprezy u Paddy'ego Murphyego* [Paddy Murphy – przemytnik alkoholu pracujący dla Ala Capone w latach 20. (przypr. red.)].

Od jednego krańca fotografii do drugiego ciągnęły się bogato zdobione wieńce żałobne. Na jednej ze wstęg znajdował się złoty napis na niebieskim tle: „Bystrzak”. Inny głosił czerwienią i różem: „Żegnaj BS”, a tuż za trumną stała wiązanka w kształcie liczby „13”. Był to niezawodny znak powiązań zmarłego z amfetaminą lub heroiną.

W prawym górnym rogu znajdowało się to, co interesowało mnie najbardziej. Ustawiono tam zdjęcie, na którym widać było motocyklistę i jego maszynę. Mężczyzna pysznił się wąsami, oczy skrył za ciemnymi okularami, na kurtce miał skrzydła anioła. Próbowałam odczytać napisy nad hełmem i przednim kołem, ale nie zdołałam.

– Wiesz coś o tym „Bystrzaku”? – spytał Kit.

– Nie wygląda na miłośnika małych zwierząt.

– Tak, nawet tych dzikich – Kit odwrócił fotografię i gwizdnął. – Pochowali go, kiedy miałem trzy lata.

W trakcie ceremonii zrobiono jeszcze dwie fotografie. Wykonano je ze sporej odległości, pierwsza pokazywała żałobników na cmentarzu, druga na schodach kościoła. Wielu spośród

nich miało ciemne okulary, twarze zaś osłoniło chustami.

– To pierwsze zdjęcie musi pochodzić z jakiejś prywatnej kolekcji, pozostałe dwa zrobili wywiadowcy. Przyjaciele zmarłego niechętnie pokazywali swoje twarze.

– Rany, ten chopper to prawdziwe wyznanie wiary zakłete w stal i chrom. Niedziwne, że pojechał na nim aż do grobu.

Obeszłam stół i zajrzałam Kitowi przez ramię.

– Wygląda na dość prosty.

– O to właśnie chodzi. Czysta moc! Gość pewnie zaczął od śmieciarki i...

– Śmieciarki?

– Stary policyjny motor, pewnie terenowy model FLH. Zerwał całe niepotrzebne wyposażenie, jak owiewka czy bagażnik i zamontował wyposażenie robione na zamówienie.

– Jakie? – Dla mnie motocykl wyglądał zwyczajnie i pozbawiony był wszelkich dodatków.

Kit zaczął wskazywać poszczególne elementy maszyny.

– Wąskie przednie koło, bak na benzynę w kształcie trumny, kurtyzowany tylny błotnik i zwięzane siodełko. To najfajniejszy element, bo dzięki niemu wyglądasz, jakbyś siedziała okrakiem na maszynie.

Kit wskazał na przednie koło.

– Wydłużony widelec i nowe szerzej rozstawione rączki.

Uznałam, że ma na myśli podłużne wykrzywione do tyłu rurki.

– No i nie zapominajmy o malunku! Rany, chciałbym móc się mu przyjrzeć z bliska. Ta maszyna to dzieło sztuki. Jedyne, czego jej brakuje do perfekcji, to stelaż.

– A po co on? Żeby motocyklista mógł się opalać?

– To oparcie dla pasażera.

Dla mnie motocykl był równie dziwaczny, co jego zmarły właściciel. Bystrzak ubrany był w skórzane spodnie, kamizelkę z harleyowskimi naszywkami i przypinkami, miał więcej włosów niż przeciętny Wookie* [Wookie – właśc. Wookiee, postaci fikcyjne z filmu *Gwiezdne wojny*, futrzaste humanoidalne istoty zamieszkujące planetę Kashyyyk (przyp. red.)]. Samym wyglądem stwarzał zagrożenie dla porządku publicznego.

– Idę szturchnąć pana łosiosia. Jeżeli nadal się nie rozmroził, wysadzę go w powietrze.

Ryba była uparta, więc wrzuciliśmy ją na grill. Obłożyłam ją zieloną fasolką i nasmarowałam masłem, a potem zajęłam się sałatką. Kit tymczasem doglądał łosiosia.

Właśnie otworzyliśmy puszki z napojami, kiedy zadzwonił telefon. Szorstki głos w słuchawce zapytał o Kita. Bez słowa podałam mu słuchawkę.

– Cześć, gościu, co tam?

Przez chwilę mój siostrzeniec wpatrywał się w blat stołu.

– Nie idę, nie mogę.

Pauza.

– Mowy nie ma – odpowiedział po chwili, wiercąc się i przyciskając palec do upatrzonego punktu na stole.

– Nie tym razem.

Choć głos tamtego był przytłumiony, to co nieco z rozmowy docierało do mnie. Brzmiał jak ujadanie złego psa zamkniętego w piwnicy i przyprawiał mnie o dreszcze.

– Cóż, tak to właśnie jest.

Ze wzrokiem utkwionym w podłogę, Kit przeszedł do korytarza, skąd nie mogłam go słyszeć.

Wybierałam fasolkę z grilla, przeżuwałam, połykałam. Jedna za drugą znikwały w moich ustach, ale straciłam apetyt. Po pięciu kęsach Kit wrócił.

Wyraz jego twarzy sprawił, że zakłuło mnie serce. Miałam neodpartą chęć objąć go i utulić, odgarnąć włosy z czoła i zapewnić, jak robiłam to, gdy był małym chłopcem, że wszystko będzie dobrze. Cokolwiek się stało, nie było to otarte kolano i wiedziałam, że nie mogę mu pomóc. Taki gest wprowadziłby go jedynie w zakłopotanie. Wyczuwałam jego niepokój, ale nie mogłam nic zrobić.

Kit uśmiechnął się i wzruszył ramionami, a potem usiadł na swoim krześle i zaczął dżgać widelcem rybę.

Patrzyłam na niego, aż w końcu się odezwał:

– Po prostu świetnie – sięgnął po mrożoną herbatę i dodał: – Tak, to był jeden z nich. Nie, nigdzie nie wychodzę.

Nagle wrócił mi apetyt.

Następny telefon zastał nas przy końcówce zmywania. Kit odebrał, ale nie słyszałam o czym i z kim rozmawiał, bowiem woda szumiała w zlewozmywaku, a talerze wesóło pobrzękiwały. Po kilku minutach mój siostrzeniec stanął w drzwiach do kuchni i oznajmił:

– Dzwonił Lyle. Chyba kiedyś powiedziałem mu, że lubię się przeprowadzać, bo zaprasza nas na jutro na oglądanie jakiegoś domu.

– Słucham?

– Nie, coś mi się pomyliło. Chodzi o jakiś pchli targ w miejscu zwanym Hudson. No dobra, powiedział, że może będziesz bardziej zainteresowana, jeśli powiem, że to dom na sprzedaż.

Cała ta opowieść nie miała większego wpływu na moją decyzję. Choć pomysł wyprawy do Hudson całkiem mi przypadł do gustu, to nie za cenę, jaką było spędzenie popołudnia z Creaseem.

– Jedź, Kit, nie krępuj się. To urocze miejsce, mieści się tam sporo stadnin. Muszę zostać w domu i dokończyć kilka rzeczy, które i tak za długo odkładałam.

– Co takiego?

– Mam na jutro umówioną wizytę u fryzjera.

– Uuuu.

Kit wyszedł do salonu, a ja skończyłam wycierać naczynia. Nie mogłam uwierzyć, iż czuję ulgę na myśl, że mój siostrzeniec spędzi cały dzień z Lylem Crease'em. Gość był szczywany jak lis.

To, co mnie zastanawiało, to jaki ma interes w nawiązywaniu znajomości z dziewiętnastolatkiem? Nie wątpiłam, że Kit potrafi o siebie zadbać, ale postanowiłam, że przy najbliższej okazji dokładnie zapytam Isabelle o szczegóły.

Hurley's to jedyny pub w Montrealu, który można określić jako „irlandzki”. Choć nie mogę pić alkoholu, to moje wyspiarskie korzenie sprawiają, iż uwielbiam tamtą atmosferę.

Miejsce przypadło Kitowi do gustu tak samo, jak kiedyś jego matce. Trudno przecież pozostawać w ponurym nastroju, kiedy wesoło przygrywiają skrzypce i flet, a tancerze śmigają po parkiecie jak oszaleli. Wyszliśmy grubo po północy.

Kiedy następnego ranka Lyle Crease zapukał do moich drzwi, przeglądałam zdjęcia, które zostawiliśmy z Kitem wczorajszego popołudnia na stole.

– Co słyhać? – spytał, gdy wpuściłam go do korytarza. Ubrany był w spodnie koloru khaki i białą koszulę z długimi rękawami. Narzucił na nią kurtkę przeciwdeszczową z napisem „CTV News” na piersi po lewej stronie. Jego fryzura przypominała pozlepiany stopiony plastik.

– Wszystko w porządku. A co u ciebie? – przywitałam go po angielsku.

– Nie mogę narzekać.

– Kit za chwilę będzie gotowy. Trochę zasnął dzisiaj rano.

– Nie ma sprawy – zachichotał i uśmiechnął się do mnie znacząco.

Nie odpowiedziałam na tę zaczepkę.

– Napijesz się kawy?

– Nie, nie, dziękuję. Wypiłem już trzy filiżanki – uśmiechnął się, odsłaniając rząd mlecznobiałych zębów. – Zapowiada się wspaniały dzień, na pewno nie dasz się namówić na przejażdżkę?

– Nie, nie. Mam trochę spraw do załatwienia. Ale bardzo dziękuję za zaproszenie.

– Może następnym razem?

Jasne, zaraz po tym, jak ponownie za sprawą Mojżesza morze się rozstąpi, pomyślałam.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, a wzrok Creasea błędził po holu i zatrzymał się w końcu na zdjęciu Katy.

– To twoja córka?

– Tak.

Podszedł i wziął fotografię do ręki.

– Śliczna. Studiuje?

– Tak.

Odłożył zdjęcie na miejsce i zerknął w głąb korytarza, do salonu.

– Cudowny bukiet. Musisz mieć poważnego wielbiciela.

Niezła próba.

– Mogę?

Pokiwałam twierdząco głową, choć wolałabym powitać w moim domu diabła z „Egzorcysty”. Crease wszedł do salonu, zbliżył się do bukietu wazonie na stole i powąchał kwiaty.

– Uwielbiam stokrotki – wyznał. Jego spojrzenie powędrowało ku zdjęciom z kolekcji Katy. – Widzę, że pracujesz.

– Chcesz usiąść? – spytałam, wskazując na sofę.

Crease obejrzał jedno zdjęcie, potem wziął do ręki drugie.

– Dobrze rozumiem, że zajmujesz się śledztwem w sprawie śmierci Cherokeeego Desjardinsa? – spytał, podnosząc wzrok.

– W pewnym sensie – odparłam i podeszłam do stosu zdjęć.

Crease westchnął ciężko i powiedział:

– Świat stanął na głowie.

– Całkiem możliwe – przytaknęłam, wyciągając rękę po zdjęcie z pogrzebu Silvestre’a. – Usiądź, proszę.

Crease zajął miejsce na kanapie i skrzyżował nogi.

– Dobrze się domyślam, że Dorsey został oskarżony o morderstwo i przeniesiony do Rivieredes-Prairies?

– Tak słyszałam.

– Uważasz, że to zrobił?

Wydawać się mogło, że ten facet nigdy się nie poddaje.

– Trudno mi cokolwiek powiedzieć, nie zostałam włączona do śledztwa.

– A co z tą dziewczyną, Osprey? Masz jakieś wiadomości?

A może byś się tak przymknął, odparłam w duchu.

W tym momencie mój siostrzeniec pojawił się w drzwiach. W dzinsach Levisa i ogromnym kapeluszu wyglądał niczym miejski kowboj. Zerwałam się na równe nogi.

– Nie będę was zatrzymywać, na pewno chcecie dojechać na miejsce jak najwcześniej, zanim co ciekawsze rupiecie zostaną wykupione.

– Jakie? – spytał Kit.

– Koszulki z podobizną Elvisa i żyłki wędkarskie.

– Szczerze mówiąc, szukam plastikowej figurki Madonny.

– Spróbuj w kościele.

– Chodzi mi o tę drugą – mruknął porozumiewawczo Kit.

– Bądź ostrożny – odparłam, kiwając znacząco palcem.

– „Ostrożny” to moje drugie imię. Christopher „Ostrożny” Howard. Dla przyjaciół CO. – powiedział z beczelnym uśmiechem, po czym stuknął palcami w rondo kapelusza.

– Jasne.

Kiedy się zegnaliśmy, Crease położył dłoń na moim ramieniu, przesunął ją w dół i lekko ścisnął za łokieć.

– Ty też na siebie uważaj – powiedział, rzucając mi dziwne spojrzenie.

Wzięłam długi gorący prysznic.

Kiedy wyszłam z łazienki czysta i pachnąca drzewem sandałowym, postanowiłam sprawdzić pocztę elektroniczną. Żadnych ważnych wiadomości. Odpisałam na pytania studentów, udzieliłam porady antropologowi bledzącemu się nad dziwnie zdeformowaną czaszką i odpisałam moim siostrzenicom z Chicago. Nastoletnie córki siostry Pete’a były zagorzałymi miłośniczkami komputerów i informowały mnie na bieżąco, co się dzieje w łotewskiej gałęzi rodziny byłego męża.

Na koniec podziękowałam koledze z Armed Forces Institute of Pathology* [Armed Forces Institute of Pathology – agenda amerykańskiego departamentu obrony zajmująca się udzielaniem konsultacji,

edukacja i badaniami naukowymi w zakresie patologii (przyp. red.), który przysłał mi zabawne zdjęcie. Sprawa dotyczyła świni i bardzo wysokiego budynku.

O wpół do drugiej wyłączyłam komputer i spróbowałam dodzwonić się do Isabelle. Jak można przypuszczać, nie zastałam jej.

Szukając wymówki, aby wyjść na zewnątrz, ruszyłam na zakupy. Chciałam kupić duże krewetki, ale nie przeszłam pół przecznicy, kiedy stanęłam jak wryta. Na wystawie *Coiffure Simone** [Coiffure Simone (fr.) – Fryzjer Simone (przyp. red.)] zobaczyłam czarnobiałą fotografię modelki mającej świetną fryzurę: modną i elegancką zarazem. Wystylizowaną, a jednocześnie naturalną.

Chryste Panie, Brennan, powiedziałam sama do siebie w myślach, mówisz, jakbyś brała udział w reklamie szamponu. Następnym razem pewnie dodasz „jesteś tego warta”.

W sumie, powiedziałam Kitowi, że idę do fryzjera.

Przyjrzałam się uważniej fotografii, oceniając, jak skomplikowane będzie ułożenie włosów w taką właśnie fryzurę i ile czasu to zajmie. Najprawdopodobniej więcej niż przepisowe dziesięć minut.

Już miałam sobie pójść, kiedy w szybie dostrzegłam swoje odbicie. To, co zobaczyłam, było przygnębiające.

Kiedy ostatni raz zmieniałam uczesanie?

Lata temu.

Salon kusił mnie dodatkowo niedzielną zniżką.

Pięć dolarów kanadyjskich mniej, czyli jakieś trzy pięćdziesiąt amerykańskich.

Nowa fryzura polepszy mój humor.

A jak będę wyglądać beznadziejnie?

W razie czego, włosy mi odrosną.

Jakbym słyszała swoją matkę.

Pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

Kilka godzin później jadłam obiad, oglądając Discovery Channel. Na ekranie samce kangurów boksowały się ze sobą, walcząc o kontrolę nad stadem. Ptasiak obserwował mnie z oddali, zainteresowany, ale nieufny.

– Włosy odrastają, kocie.

Szkoda, że nie zdążą tego zrobić, zanim Kit wróci do domu. Umoczyłam krewetkę w sosie i wsadziłam ją do ust.

– Mógłbyś okazać mi trochę wsparcia, Ptasiak – dodałam.

Jeśli nowa fryzura miała mi poprawić nastrój, to eksperyment zakończył się totalną klapą. Odkąd wróciłam do domu, myślałam tylko o tym, jak uniknąć spotkania z innymi ludźmi. Dzięki postępowi w dziedzinie telekomunikacji miałam przed sobą kilka ciekawych możliwości. Telefony, faksy i poczta elektroniczna były w stanie wybawić mnie z kłopotów. W ostateczności założę kapelusz.

Około dziesiątej wieczór mój nastrój osiągnął poziom z piątkowego wieczoru. Byłam w

kompletnym dołku: pracowałam ponad siły, nikt mnie nie doceniał, a mój niedoszły kochanek okazał się być złodziejem, a nie praworządnym policjantem. Co gorsza, mój szef miał zawał serca, siostrzeniec zaprzyjaźnił się z człowiekiem, który zasługiwał na miano glisty roku, a ja wyglądałam, jakby piorun strzelił w starą miotłę.

A potem zadzwonił telefon i sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

– *Claudela ici.*

– Słucham? – odparłam zbyt zaskoczona, aby przestawić się na francuski.

– Dzwonię, żeby powiedzieć, że dwie godziny temu napadnięto George’a Dorsey’a.

– Kto go napadł?

– On nie żyje, pani Brennan. Zginął, bo zaczęła się pani wtrącać w nie swoje sprawy.

– Ja?

W słuchawce usłyszałam tylko sygnał wolnej linii.

Przez resztę wieczoru nie potrafiłam się na niczym skupić. Ledwie dotarło do mnie, że Kit wrócił i oświadczył, iż się świetnie bawił.

W mojej skołatanej głowie tłukły się słowa Claudela: „Zginął, bo zaczęła się pani wtrącać w nie swoje sprawy”. To nie fair. Dorsey zadzwonił do mnie, ale czy wypadki potoczyłyby się inaczej, gdyby rozmawiał z Claudelem, Charbonneau czy Quickwaterem? Zabito go, bo stanowił zagrożenie dla reszty gangu. Takie rzeczy zdarzają się w więzieniach, to nie moja wina. Claudel po prostu się na mnie wyżywał. Przez całą noc przewracałam się z boku na bok i powtarzałam: „to niesprawiedliwe”.

Rozdział 27

Następnego dnia w biurze zjawiłam się o siódmej trzydzieści. Pozostali pracownicy przyjeżdżali zwykle około godziny później, dlatego budynek sprawiał wrażenie wymarłego. Cieszyłam się spokojem, jaki panował na korytarzach i postanowiłam wykorzystać go w jak najlepszy sposób.

Weszłam do swojego gabinetu, przebrałam się w fartuch i wróciłam do laboratorium histologicznego. Z magazynu wyjęłam pudło, w którym znajdowały się szczątki Savannah Osprey. Postanowiłam, że pozwolę sprawie Dorseya rozwinąć się tak, jak było jej dane.

Położyłam czaszkę i kość udową na blacie, a potem zaczęłam żmudny i pracochłonny proces badania jej powierzchni pod mikroskopem elektronowym przy działaniu silnego światła. Pełna wątpliwości, czy to coś da, w głębi duszy żywiłam nadzieję, że być może natknę się na jakiś szczegół, który do tej pory nie został zauważony. Może jakieś zadrapanie albo zadziór powiedzą mi, w jaki sposób kości zostały oddzielone od reszty ciała?

Ciszę przerwało pukanie. Przez szybę w drzwiach dostrzegłam kontur postaci Claudela. Jak zwykle stał sztywno wyprostowany, a włosy miał idealnie ułożone.

Otworzyłam mu i powiedziałam:

– Ładny krawat.

Naprawdę był elegancki: bladofioletowy, najprawdopodobniej z jedwabiu.

– *Merci* – odparł z uprzejmością pitbulla.

Odłożyłam czaszkę, wyłączyłam lampę i podeszłam do zlewu.

– Co się przydarzyło Dorseyowi? – spytałam, myjąc ręce.

– Śrubokręt krzyżakowy – odparł dość obojętnym tonem. – Strażnik wyszedł z łaźni, kiedy Dorsey brał prysznic. Usiadł sobie na zewnątrz i czytał, pewnie literaturę fachową – dodał z przekąsem. – W pewnym momencie usłyszał, że woda inaczej szumi, więc poszedł sprawdzić, co się dzieje. Dorsey leżał twarzą w odpływie, a na ciele miał dwadzieścia osiem ran kłutych.

– Chryste.

– Nie umarł od razu – ciągnął dalej Claudel. – Żył jeszcze kilka chwil, dość, aby zabrano go do szpitala. Dlatego przyszedłem z panią porozmawiać.

Sięgnęłam po papierowy ręcznik, zaskoczona otwartością Claudela.

– Ratownik nie jest pewien, ale usłyszał coś, co mamrotał Dorsey. – Claudel uniósł głowę, mierząc mnie spojrzeniem. – Brennan.

Zamarłam.

– To wszystko?

– Cóż, był zajęty ratowaniem Dorseya, ale zapamiętał pani nazwisko, ponieważ ma psa, który tak się nazywa.

– Psa?

– Tak, setera irlandzkiego, który wabi się Brennan.

– To popularne nazwisko.

– Może w Galway, ale nie w okolicach Montrealu. Rozmawiała pani z Dorseyem o sprawie Cherokeeego Desjardinsa, czyż nie?

– Nikt o tym nie wiedział.

– Owszem, jeśli nie liczyć osadzonych w Op South.

– Rozmawialiśmy w pokoju przesłuchań.

Claudiel nie odpowiedział. Przed oczyma stanęła mi izba zatrzymań.

– Choć ktoś mógł mnie zauważyć.

– Racja. Takie rzeczy mają to do siebie, że szybko wychodzą na jaw.

– Jakim cudem?

– Dorsey kręcił się koło Bezbożników. Chłopcy nie byli szczęśliwi, kiedy się dowiedzieli, że może wyjawić kilka ich tajemnic w zamian za wymiganie się od kary.

Stałam nieruchomo, zdając sobie sprawę, że to jednak przeze mnie napadnięto na Dorseya.

– Nie wydaje mi się, aby to Dorsey zabił Cherokee'ego – powiedziałam, wyrzucając do kosza zmięty w kulkę papierowy ręcznik.

– Doprawdy?

– Tak.

– Zakładam, że Dorsey twierdził, iż jest niewinny jak wielkanocny króliczek?

– Tak, ale jest coś więcej.

Claudiel rzucił mi niepewne spojrzenie, po czym splótł ręce na piersi i wygodniej rozparł się w fotelu.

– Słucham, co to za rewelacje?

Opowiedziałam mu wszystko, czego dowiedziałam się na temat badania rozprysku krwi. Na koniec spytałam:

– Nadal uważa pan, że to typowe morderstwo w wojnie gangów?

– Czasami sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Ale okładanie kogoś pałką po głowie? Zwykle mordercy używają broni palnej.

– Ostatni z motocyklistów, którego wyłowiliśmy z rzeki, został zatłuczony na śmierć młotem. Podobnie jego ochroniarz.

– Myślałam też o wzorcu pustym za głową Cherokee'ego. Czy jest możliwe, aby morderca usunął jakiś przedmiot po zabójstwie? A jeśli tak, to co to było?

– Na miejscu zabójstwa kręciło się wiele osób. Ktoś mógł coś potrącić, równie dobrze sąsiadka coś zwędziła.

– Ten przedmiot był cały umazany krwią.

– Porozmawiam z nią – odparł Claudiel.

Jego ton zdawał się mówić, że uznawał rozmowę za zakończoną. Cierpliwość detektywa była zwykle krótka i kurczyła się w zastraszającym tempie.

– Czemu Cherokee miałby wpuścić kogoś do domu? – drążyłam dalej temat.

– Może zabił go kumpel z dawnych czasów?

To miało sens.

– Czy dysponujemy już danymi z badań balistycznych?

Pokręcił jedynie głową.

– Kto prowadzi dochodzenie w sprawie Pająka Marcotte’a?

– Jego sprawa i zabójstwo dziewczynki przypadły Kurickowi.

Sipowicz.

– Jakież postępy?

Claudel uniósł tylko dłonie.

– Dorsey mówił, że dysponuje jakimiś informacjami, które chciał przehandlować.

– Te śmieci wsypią własną matkę, byleby się wywinąć od kary. – Claudel strzepnął nieistniejący pyłek kurzu z rękawa. – Jest coś jeszcze, o czym chciałbym z panią porozmawiać.

– Tak?

W tym momencie usłyszeliśmy trzask drzwi prowadzących do sąsiedniego laboratorium, co oznaczało, że do pracy przybył któryś z techników.

– Możemy? – spytał, wskazując na mój gabinet.

Zaciekawiona poprowadziłam go do pokoju i zajęłam swoje miejsce za biurkiem. Claudel usiadł naprzeciwko i wyjął zza pazuchy fotografię. Położył ją na biurku i przesunął w moją stronę.

Zdjęcie przedstawiało grupę motocyklistów, jednak różniło się od tych z kolekcji Kate. Było lepszej jakości i wyraźniejsze, Poza tym od razu rozpoznałam na nim jedną z postaci.

Pomiędzy ubranymi w skóry mężczyznami stał Kit.

Rzuciłam Claudelowi pytające spojrzenie.

– Zostało wykonane w zeszłym tygodniu opodal speluny nazywanej *La Taverne des Rapides** [La Taverne des Rapides (fr.) – Tawerna Szybkich (przyp. red.)] – wyjaśnił. – To pani siostrzeniec, czyż nie?

– I co z tego? Nie widzę u nich znaków gangu – odparłam szorstko.

– To członkowie Rock Maszyny.

Obok pierwszej fotografii ułożył następną. Zaczynałam już mieć dość tych celuloidowych motocyklistów.

Ponownie zobaczyłam Kita. Gładził bak harleya i rozmawiał z dwoma innymi miłośnikami tych maszyn. Byli gładko ogoleni i ostrzyżeni, ale ubrani w skórzane kurtki bez rękawów, bandany i wysokie buty. Na ich plecach widniał symbol Bandidos, a poniżej napis „Houston”.

– To zdjęcie wykonano podczas zlotu na przedmieściach Galveston County* [Galveston County – okręg administracyjny w stanie Teksas w USA (przyp. red.)].

– Co pan sugeruje? – spytałam zachrypniętym piskliwym głosem.

– Nic a nic, tylko pokazuję zdjęcia.

– Rozumiem.

Claudel zmarszczył czoło, założył nogę na nogę i przeszył mnie spojrzeniem.

Splotłam dłonie na podołku, aby ukryć ich drżenie.

– Mój siostrzeniec mieszka w Teksasie, ojciec niedawno kupił mu motocykl, więc nie ma się czemu dziwić, że chłopak dał się oczarować światem motocyklistów. To wszystko –

Współcześni motocykliści nie żyją po to, aby jeździć sobie bez celu.

– Zdaję sobie sprawę. Jestem pewna, że to były przypadkowe spotkania, ale zamienię z nim kilka słów.

Oddałam mu zdjęcia.

– Pani siostrzeniec jest notowany w aktach Departamentu Policji w Houston.

W tamtej chwili, gdybym dorwała Harry w moje ręce, popełniłabym przestępstwo federalne.

– Został aresztowany?

– Cztery miesiące temu. Za posiadanie narkotyków. Nic dziwnego, że ojciec postanowił go wywieźć w północną głuszę.

– Wiem, że słowa nie mają wielkiej wartości – powiedział Claudel. – Ale niech pani będzie ostrożna.

– Czego mam się wystrzegać?

Claudel ponownie wbił we mnie spojrzenie, bez wątpienia zastanawiając się, co może mi powiedzieć, a czego nie. Potem dodał:

– W zasadzie ratownik usłyszał dwa słowa.

Na biurku zadzwonił telefon, ale zignorowałam go.

– Jakie?

– Dzieciak Brennan.

Serce zamarło mi w piersi. Czy to oznacza, że wiedzą coś na temat Katy? Czy chodzi o Kita? Odwróciłam wzrok, nie chcąc, aby Claudel zobaczył w moich oczach strach.

– Co to może znaczyć?

Detektyw wzruszył ramionami.

– To groźba? Ostrzeżenie?

– Ratownik powiedział, że nie zawraca sobie głowy tym, co mówią pacjenci, a koncentruje się na ratowaniu ich życia.

Spojrzałam za okno.

– Co pan sugeruje?

– Nie chciałbym pani niepotrzebnie niepokoić, ale konstabl Quickwater i ja uważamy...

– Ach tak, pan Quickwater. Pewnie miał niezły ubaw – przerwałam mu, wyładowując swój gniew i strach.

– To dobry policjant.

– To dupek. Ilekroć próbuję z nim porozmawiać, udaje głuchego.

– Jest głuchy.

– Słucham?

– Quickwater jest głuchy.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie potrafiłam wykszusić ani słowa.

– Ściślej mówiąc, ogłuchł, to zasadnicza różnica.

– Jak to się stało?

– Próbował rozdzielić uczestników bójki w jakimś zaułku i został uderzony metalową rurą w głowę. Potem został jeszcze potraktowany paralizatorem, aż bateria się wyczerpała.

- Kiedy to się stało?
- Około dwóch lat temu.
- Przez to stracił słuch?
- Najprawdopodobniej.
- Czy szkody są do naprawienia?
- Ma taką nadzieję.
- Jak daje sobie radę?
- Nadzwyczaj dobrze.
- Chodziło mi o to, w jaki sposób się porozumiewa?

– Quickwater jest jednym z najszybciej uczących się ludzi, jakich spotkałem. W zasadzie od razu potrafił czytać z ruchu warg, poza tym zawsze był cholernie ambitnym człowiekiem, który się nie poddaje. Na odległość porozumiewa się poprzez pocztę elektroniczną, faks i DKS.

- DKS?

– Dalekopis. Zasadniczo jest to klawiatura z wbudowanym syntezatorem mowy. W domu ma specjalny modem w komputerze obsługujący tę samą częstotliwość co kod Baudota* [kod Baudota – stworzony przez francuskiego inżyniera Emilea Baudota zestaw znaków używanych w dalekopisach, pierwowzór m. in. kodu ASCII stosowanego w komputerach (przyp. red.)], tak samo jak zwyczajny DKS. Faks i DKS wykorzystują tę samą linię. Modem rozpoznaje przychodzące fakсы, przesyłając je do drukarki, resztę połączeń kieruje do dalekopisu. Mamy identyczne urządzenie w centrali, dlatego komunikujemy się z nim bez kłopotu.

- A co, jeśli nie ma go w domu?

- Ma przenośny DKS, który działa na baterię.

– Jak się komunikuje z kimś, kto nie ma takiego urządzenia albo z panem, gdy jest pan poza biurem?

– Istnieje specjalny serwis zajmujący się przekazywaniem wiadomości. Telefon zostaje odebrany i zapisywane jest to, co osoba głucha mówi. Dla głuchoniemych stworzono możliwość wpisania tekstu, który jest głosowo odczytywany rozmówcy. Quickwater mówi wyraźnie, dlatego nie ma potrzeby wykorzystywania drugiej opcji.

Gorączkowo myślałam. Oczywiście wyobraźni widziałam Quickwatera w siedzibie Żmij i na konferencji w Quantico.

– Kiedy spotkałam go w Stanach, miał zebrać informacje i przekazać je *Carcajon*. Jakim cudem potrafi czytać z ruchu warg i robić notatki? Skąd wie, co zostało powiedziane, kiedy zgaszono światło albo gdy nie widzi prelegenta?

– Quickwater wyjaśniłby to lepiej ode mnie. Używa czegoś, co nazywa się CARTT, czyli Computer Assisted Real Time Translation* [Computer Assisted Real Time Translation – komputerowy asystent tłumaczący w czasie rzeczywistym (przyp. red.)]. Stenotypista zapisuje na maszynie do stenografowania to, co zostaje powiedziane, a w tym samym czasie specjalny program komputerowy przekształca stenogram w zwykły tekst i wyświetla go na monitorze. Identyfikacyjny system wykorzystuje telewizja dla niesłyszących. FBI ma ludzi, którzy się tym zajmują, ale samo urządzenie może być używane wszędzie, przy czym stenotypista może być

w jednym miejscu, a Quickwater w drugim.

– Dzięki telefonowi i komputerowi?

– Tak.

Nie powiedziałam na głos, co myślę. Udział w spotkaniu czy konferencji to jedno, ale co w wypadku, gdyby ktoś się na niego zaczął? Co w sytuacjach groźnych?

– Konstabl Quickwater to zdolny i oddany służbie oficer. Został poważnie zraniony na służbie i nie sposób powiedzieć, czy zdolność słyszenia wróci, czy nie. Rzecz jasna, nie może wykonywać tych wszystkich zadań, które do niego należały kiedyś, ale pomaga nam i jest ważnym członkiem zespołu.

Chciałam spytać o sprawę Dorsey'a, ale Claudel wstał i położył na blacie biurka kartkę papieru. Przygotowałam się na kolejne, jeszcze gorsze nowiny.

– To są wyniki badania DNA zebranego z materiału, który znajdował się na kurtce Dorsey'a.

Nie musiałam czytać. Wyraz twarzy Claudela powiedział mi, jak brzmi ekspertyza.

Rozdział 28

Przez kilka minut po tym, jak Claudel wyszedł, siedziałam w bezruchu, pozwalając myślom, aby dryfowały w stronę, którą same sobie obiorą.

Skupiły się wokół rozmowy z detektywem. DNA nie kłamie. Krew ofiary była na kurtce Dorseya, co oznaczało, że to on zabił Chcrokee'ego, jak Claudel od początku podejrzewał. A może jednak nie? Przecież Dorsey powiedział, że kurtka nie należała do niego.

Zamordowany nie wiedział nic o Savannah Osprey. Czy okłamał mnie po to, aby wywinąć się od odpowiedzialności, a ja naiwnie mu uwierzyłam.

Bez dwóch zdań, moja wizyta w więzieniu sprawiła, że na Dorseya zapadł wyrok śmierci. A może jednak nie? Czy zginął dlatego, że był mordercą, czy właśnie dlatego, że nim nie był? Tak czy inaczej, Dorsey został zabity, bo ktoś się obawiał, że motocyklista coś mi powie.

Poczułam silne pieczenie pod powiekami.

Nie płacz, nie waż się uronić jednej łzy, skarciłam sama siebie w duchu.

Na dodatek sprawa z Quickwaterem. Nie patrzył się na mnie lekceważąco, a czytał z ruchu moich warg.

I kto tu kogo traktował obcesowo? Ale skąd mogłam wiedzieć?

Kit. Czy zdjęcia wywiadowców faktycznie uwieczniły jego przypadkowe spotkanie z motocyklistami, czy był uwikłany w ciemne interesy Bandidos? Czy to dlatego dzwonił Kaznodzieja? Czy to z powodu jakichś ciemnych sprawek wybrał się do Kanady, a nie po to, aby przeczekać gniew ojca? A może próbował nabrać nierozgarniętą ciocię?

Galka oczna. Czy Kit rzeczywiście znalazł ją na przedniej szybie?

Claudel dostał swój raport, cholera, a co z moim?

Zerwałam się na równe nogi i wyszłam z gabinetu. Omijając pracowników biurowych, którzy śpieszyli gdzieś z papierami i teczkami, laborantów popychających wózki z kartonami, przeszłam przez korytarz i schodami wspięłam się na trzynaste piętro, gdzie była sekcja DNA. Moją ofiarę wypatrzyłam przy biurku w kącie, pochyloną nad próbką.

– *Bonjour, Tempe. Comment ça va?* – przywitał mnie Robert Gagne.

– *Ça va.*

– Zmieniłaś fryzurę – powiedział. Jego włosy były kręcone i ciemne, choć na skroniach można było dostrzec pierwsze oznaki siwizny. Robert strzygł się na krótko.

– Tak.

– Pozwolisz im odrosnąć?

– Trudno je przed tym powstrzymać.

– Oczywiście, wyglądasz wspaniale – zapewnił mnie, odkładając szklaną pipetę. – Wydaje mi się, że dowód rzeczowy w postaci kurtki, przyskrzyni tego Dorseya na dobre. Claudel uśmiechnął się, kiedy mu to powiedziałem. No dobra, prawie się uśmiechnął, raczej skrzywił.

– Właśnie, nie miałeś przypadkiem wolnej chwili, aby przeprowadzić porównanie, o które cię prosiłam?

– To bez numeru, tak?

Skinęłam głowę.

– Gałka oczna?

Znowu przytaknęłam.

– Miałem ją porównać z sekwencją z LML 37729.

– Tak. – Pamięć Roberta do numerów spraw zawsze mnie zadziwiała.

– Poczekaj.

Gagne podszedł do przypominającej plaster miodu półki, gdzie trzymane były akta i zaczął szukać w środkowej przegródce. Po chwili wyciągnął teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość. Czekałam cierpliwie.

– Dokonałiśmy porównania, ale nie napisałem jeszcze raportu.

– Jakie są wyniki?

– Sekwencja zgadza się w stu procentach.

– Nie ma żadnych wątpliwości?

– *Mais, oui.* – Robert uniósł brwi. – Zarówno oko, jak i tkanki pochodzą od jednej osoby.

Albo brata bliźniaka, dodałam w duchu. Podziękowałam Robertowi za pomoc i wróciłam do siebie.

Moje podejrzenia okazały się słuszne. Gałka oczna należała do któregoś z braci Vaillancourtów. Któryś ze Żmij musiał ją znaleźć i zatrzymać w charakterze upiornej pamiątki. Pytanie, kto podrzucił ją do mojego samochodu?

Przez drzwi usłyszałam dźwięk telefonu. W ostatniej chwili dopadłam aparatu, dzwonił Marcel Morin, który pracował piętro niżej.

– Brakowało nam ciebie na spotkaniu.

– Przepraszam.

Marcel od razu przeszedł do rzeczy. W tle słyszałam głosy i wycie piły Strykera:

– Dwa tygodnie temu do brzegu przybił statek. Wyładowano z niego kilkanaście kontenerów do naprawy.

– Takie duże, które ładuje się na osiemnastokołowce?

– *C'est ça.* Wczoraj robotnicy otworzyli jeden z nich i znaleźli we wnętrzu ciało. Kapitan uważa, że to pasażer na gapę, ale nic więcej nie potrafi nam powiedzieć.

– Pod jaką banderą pływa statek?

– Malezyjską. Zacząłem przeprowadzać autopsję, ale ciało jest w tak kiepskim stanie, że wiele nie zdziałam. Chciałbym, abyś zeszła do mnie i rzuciła okiem na szczątki.

– Zaraz do ciebie przyjdę.

Kiedy odłożyłam słuchawkę i przeszłam do laboratorium, zastałam Jocelyn pochylona nad stołem. Ubrana była w siatkowe pończochy i spódniczkę tak krótką, że mogłam dostrzec ich ciemniejsze podwiązki. Kiedy usłyszała skrzypnięcie drzwi, wyprostowała się i odwróciła w moją stronę.

– Doktor Morin prosił, abym to pani przekazała. Kiedy wyciągnęła dłoń w moją stronę, jej kolczyki, w których jakiś mały ptaszek mógłby spokojnie uwić sobie gniazdo, zabręczały niczym chińskie dzwonki.

Podeszłam bliżej, wzięłam arkusz, zastanawiając się, czemu Morin sam nie zostawił go na moim biurku.

– Zabójcza, fryzura – powiedziała Jocelyn. Jej głos był płaski i monotony, nie mogłam wyczuć, czy mówi szczerze, czy złośliwie. Twarz dziewczyny była blada, a oczy podkrążone i zaczerwienione.

– Dziękuję, Jocelyn – powiedziałam, nie chcąc być wścibska. – Wszystko w porządku?

Z początku dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby nie rozumiała pytania. Dopiero po chwili wzruszyła ramionami i mruknęła:

– Którejś wiosny ta alergia mnie zabije, ale na razie nic mi nie jest.

Rzuciła mi jeszcze jedno dziwne spojrzenie i wyszła.

Zapakowałam szczątki Osprey do pudła, a resztę poranka spędziłam nad ciałem malezyjskiego pasażera na gapę. Morin nie przesadzał, większość tkanek miękkich stała się własnością robactwa.

Okolo południa wróciłam do gabinetu i zastałam Kita siedzącego na moim fotelu, z nogami na parapecie i kapeluszem, którego nie powstydzilby się Frank Sinatra, na głowie.

– Jak się tutaj dostałeś? – spytałam, próbując ukryć zaskoczenie w głosie. Kompletnie zapomniałam o tym, że za pośrednictwem kartek na drzwiach lodówki umówiliśmy się na obiad.

– Zostawiłem prawo jazdy strażnikowi i wpuścił mnie do środka – wyjaśnił, pokazując na błękitną plaketkę odwiedzającego. – Siedziałem i czekałem na korytarzu, ale jedna z pań zlitowała się nade mną i wpuściła mnie do środka.

Zakręcił się w fotelu i podjechał do mnie.

– Rany! – wykrzyknął, przyjrzawszy mi się dokładniej. – Zabójcza fryzura. Nie zrozum mnie źle, jest... fantastyczna! Mówię poważnie, wyglądasz młodziej.

– Ruszajmy – odparłam, biorąc sweter z wieszaka, miałam już dość komentowania mojej nowej fryzury.

Znaleźliśmy sobie miejsce w niewielkiej cichej restauracji, gdzie przy frytkach i kanapkach Kit opowiedział mi o dniu spędzonym z Crease'em i wyprawie na pchli targ, której punktem kulminacyjnym było kupienie kapelusza. Żadnych figurek Madonny czy starych przynęt... Po powrocie do Montrealu zjedli wędzoną wołowinę u Bensa, a potem Crease zabrał Kita do redakcji.

– O czym rozmawialiście?

– Ten gość jest nie z tej ziemi – powiedział Kit, przetykając kanapkę z szynką i serem. – No i jest zakręcony na punkcie motocykli.

– Zadaje ci dużo pytań?

Byłam ciekawa, czy Crease próbuje wyciągnąć z Kita jakieś informacje o moim śledztwie. Wojna pomiędzy gangami motocyklistów stała się tematem numer jeden w gazetach.

– Coś tam go interesowało.

Kit sięgnął po papierową serwetkę, która znajdowała się w metalowym pudełku na skraju stołu. Wytarł usta z sosu, a ja zapytałam:

– Co na przykład?

Kit zmiął chusteczkę i wyrzucił ją do kosza, a zaraz potem sięgnął po kolejną.

– Różne rzeczy. Gość jest niesamowity, interesuje go praktycznie wszystko.

Coś w jego głosie powiedziało mi, że Lyle Crease był dla mojego siostrzeńca nowym idolem. Pomyślałam, że jakoś to przeżyję, zwłaszcza że spychał tym samym Kaznodzieję na dalszy plan.

Po obiedzie Kit zapytał, czy może wrócić do laboratorium. Choć spieszno mi było zająć się dalszymi oględzinami szkieletu, przystałam na jego prośbę. Obiecałam oprowadzić go po budynku, ostatecznie też mogę być fajna.

Podczas całej tej wycieczki, Kit odezwał się tylko dwa razy. Jego słowa przypomniałam sobie znacznie później i nieraz łajałam się w myślach za to, że nie wyciągnęłam z nich odpowiednich wniosków.

– Co to za dziwadło? – spytał na widok Jocelyn, która kserowała dokumenty.

– Pracuje czasowo jako asystentka – odparłam.

– Nie wygląda na normalną. Jak dla mnie, to nieźle koksuje.

– Ma poważną alergię.

– Tak, jasne, pewnie leczy ją, wciągając proszek nosem.

Po raz drugi odezwał się w pomieszczeniach sekcji balistycznej, gdzie kolekcję broni nazwał „wspaniałą”.

Kiedy już Kit sobie poszedł, wróciłam do zwłok pasażera na gapę. Było wpół do piątej, gdy zakończyłam wstępną analizę. Wnioski z niej płynące wskazywały, że mamy do czynienia z mężczyzną lat około dwudziestu. Usunęłam z ciała kości i posłałam je na górę, aby zostały wygotowane. Potem umyłam się, przebrałam i wróciłam do gabinetu.

Sięgałam właśnie po sweter, kiedy zobaczyłam zdjęcie leżące na rejestrze spraw.

Cudownie, stwierdziłam w duchu. Nie oglądałam żadnych fotografii od dwóch godzin, więc czas nadrobić zaległości.

Sięgnęłam po zdjęcie, sądząc, że należało do Claudela.

Myliłam się.

Fotografię zrobiono dawno temu, jej powierzchnię pokrywała siatka pęknięć, ale jakoś była całkiem dobra.

Przed oczyma miałam grupę ludzi na pikniku lub obozie w lesie. Uczestnicy zabawy siedzieli lub krzatali się przy stołach ustawionych w kształt litery „U”. Wokoło pełno było pustych puszek i butelek, a na stołach piętrzyły się plecaki, przenośne chłodziarki, siatki i papierowe torby. W tle widziałam gęsto rosnące sosny, obcięte przez brzeg fotografii.

Jeden z worków stał oparty o nogę stołu, zdobiący go napis widniał prostopadle do kamery. Logo przykuło moją uwagę: „... ggly Wiggly”.

Odwrociłam zdjęcie, ale nie znalazłam żadnego podpisu.

Odwiesiłam sweter, wzięłam szkło powiększające i usiadłam, chcąc uważnie zbadać fotografię. Moje podejrzenia potwierdziły się w ciągu kilku chwil. Zobaczyłam przypominającego goryla wielkoluda ubranego w skórzaną kamizelkę i rękawiczki bez palców. Do klatki piersiowej przyciskał ramię szersze od autostrady międzystanowej, na

którym widniała wytatuowana swastyka, błyskawice i poetycki skrót: „F.T.W”. Choć ręka zasłaniała górną część podkoszulka, to poniżej mogłam dostrzec wyraźny napis: „Myrtle Beach”.

Dech mi zaparło w piersiach. Wolno i systematycznie zaczęłam oglądać twarze wszystkich ludzi, których uchwyciła kamera.

Po kilku chwilach znalazłam ją. Stała w cieniu drzewa skryta za morzem długich kudłów i skórzanych czapek. Trzymała głowę przekrzywioną, światło odbijało się od szkieł okularów, a dłonie oparła na biodrach.

Savannah Claire Osprey.

Choć nie byłam w stanie dostrzec rysów jej twarzy, to poza dziewczynki zdradzała jakieś napięcie. Skąd się wzięło? Ekscytacja? Strach? Nieśmiałość?

Mężczyzna stojący z prawej strony dziewczyny wyglądał jak postać z *The Life and Death of Cormac the Skald** [*The Life and Death of Cormac the Skald* – islandzka saga nieznanego autorstwa, powstała w XIII w., opowiada o losach jednego z wodzów wikingów (przyp. red.)]. Miał włosy do ramion i brodę sięgającą do połowy piersi. Fotograf uchwycił moment, jak motocyklista odchyła głowę i pije piwo z puszki. Po drugiej stronie stał bardzo wysoki mężczyzna mający krótkie włosy, ale niechlujną brodę i wąsy. Jego twarz skryta była w cieniu, jedynym widocznym fragmentem ciała był brzuch. Kaldun zwieszał się ponad ozdobną sprzączką od paska, na której dostrzegałam jakiś napis. Próbowałam go odczytać, ale ani zbliżanie, ani oddalenie szkła nie pomogło.

Rozzłoszczona przesunęłam lupę nad jego klatką piersiową i twarzą, w nadziei, że coś zauważę. Tak się nie stało. Wróciłam do sprzączki i pochyliłam się jeszcze bardziej.

Nagle zaświtał mi w głowie jakiś pomysł. Jeszcze raz popatrzyłam na twarz. Czy to możliwe?

Nie, mężczyzna na zdjęciu był zbyt masywny.

A może jednak? Trudno powiedzieć. Za późno doszłam do tego. Zbyt duża strata.

Tak, można było dostrzec podobieństwo.

Czyżby George Dorsey jednak miał jakieś przydatne informacje?

Serce waliło mi jak młotem, kiedy sięgnęłam po słuchawkę.

Rozdział 29

Kiedy Claudel odebrał telefon, przedstawiłam się i od razu przeszłam do rzeczy:

– Jest coś, o czym panu nie powiedziałam. Dorsey twierdził, że ma informacje nie tylko na temat Pajaka Marcotte’a, ale także Savannah Osprey.

– Czy to dziewczynka, której szczątki znaleźliśmy w St-Basille-le-Grand?

– Tak, to ona. Wydaje mi się, że Dorsey mówił prawdę.

– Oczywiście, prawdomówność to jego główna cecha. Puściłam tę sarkastyczną uwagę mimo uszu.

– Zostawił pan u mnie na biurku jakieś zdjęcie?

– Nie.

– No więc ktoś inny to zrobił. To stara fotografia ze zjazdu motocyklistów.

– Pewnie pamiątka z kółka różańcowego.

– Wygląda raczej na piknik czy kemping.

– Aha.

Zaczerpnęłam tchu i zapanowałam nad drżeniem głosu.

– Jest na nim Savannah Osprey.

– Doprawdy? – w jego głosie usłyszałam niedowierzenie.

– Tak, jestem tego pewna.

– Co to zdjęcie ma wspólnego z Dor...

– Zrobiono je w Myrtle Beach.

– Skąd ta pewność?

– Przynajmniej jeden z wiernych ma koszulkę z logo miasta.

– I co z tego? Mój syn ma koszulkę Kansas City Chiefs.

– Wiem, że jedna jaskółka wiosny nie czyni. Na jednej z toreb dostrzegłam logo sieci sklepów Piggly Wiggly.

– A co to jest u licha?

– To sieć supermarketów, które znajdują się w okolicy Myrtle Beach.

– Co za idiota nazwał w ten sposób sklep?

– Jednym z uczestników tego pikniku jest Cherokee Desjardins.

W słuchawce zapadła grobowa cisza.

– Skąd ta pewność?

– Ma pasek, na sprzączce którego znajduje się wygrawerowany napis „Cherokee”.

– Jak ten facet na zdjęciu wygląda?

– Jak włochaty małpolud, którego należałoby prowadzić na smyczy i karmić ochłapami mięsa podawanymi na kiju – odparłam zjadliwie. Sarkazm Claudela doprowadzał mnie do wściekłości.

– Chodziło mi o to, czy facet ze sprzączką wygląda jak Cherokee Desjardins?

– Trudno powiedzieć, jego twarz jest częściowo zasłonięta. Poza tym nie miałam okazji zobaczyć twarzy Cherokee’ego w jednym kawałku.

Ponownie zapadła cisza, a ja słyszałam, jak Claudel wolno oddycha. W końcu powiedział:

- Zdobę jego fotografię i wpadnę do pani jutro rano.
- Możemy spróbować powiększyć zdjęcie cyfrowo.
- Niech to pani zaaranżuje, ale muszą się uwinąć migiem. Spodziewamy się komplikacji spowodowanych przez śmierć Dorseya i cały oddział jest na nogach.

Wracalam do domu pełna wątpliwości i rozdarta.

Dałam się nabrać Dorseyowi i w swojej naiwności doprowadziłam do jego śmierci. A co, jeśli znowu się pomyliłam i mężczyzna na zdjęciu nie był Cherokeeem Desjardinsem? Claudel najwidoczniej w to powątpiewał, więc jeśli moje przypuszczenia okażą się błędne, uzna mnie za kompletną idiotkę.

Najbardziej doskwierała mi świadomość błędu, jaki popełniłam względem Quickwatera. Całkowicie się co do niego pomyliłam. Czy tak samo było z Ryanem? A Kit?

Skąd się wzięło na moim biurku to zdjęcie? Dlaczego nie pozostawiono mi żadnej notatki ani numeru telefonu? Kto je tam położył? Na pewno któryś z pracowników laboratorium albo jakiś detektyw. Nikt inny nie miał dostępu do gabinetu. Zmieniałam biegi i prowadziłam samochód niczym automat, nie zwracając uwagi na to, co się dookoła mnie dzieje.

A może powinnam niespodziewanie odwiedzić Ryana? Czy otworzy mi drzwi? Odciał się od wszystkich, ponieważ w ten sposób chciał załatwić swoje sprawy. Czy to prawda? W dalszym ciągu nie potrafiłam uwierzyć, że okazał się przestępcą.

Kit, czy rzeczywiście związał się z Bandidos? Miał styczność z narkotykami? Czy groziło mu niebezpieczeństwo? Co takiego Dorsey próbował powiedzieć ratownikowi?

Czy było możliwe, aby Katy znalazła się w niebezpieczeństwie z powodu gangu, który działa tysiące kilometrów od pokładu statku, na którym pływała? Ostatni list, jaki przysłała, nadano w Penang.

Kogo ja próbowałam oszukiwać? Dorsey został zabity pod nosem strażnika w więzieniu. Jeśli *les motards* chcieli kogoś skrzywdzić, to nie mógł czuć się bezpiecznie, nieważne, gdzie się znajdował.

- Cholera jasna! – warknęłam, uderzając dłonią o kierownicę.

Ryan i Katy byli daleko, ale mogłam coś przynajmniej zrobić, jeśli chodzi o Kita. Poprzysięgłam sobie, że wyjaśnię tę sprawę, jeszcze przed zachodem słońca.

Albo przed wschodem, dodałam po chwili, wjeżdżając na rampę prowadzącą do parkingu podziemnego. Wszystko zależy od tego, gdzie Kit był i jak późno wróci.

Okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam.

- Cześć, ciocia – powitał mnie w korytarzu przepelnionym zapachem kminku i szafranu.
- Coś smakowicie pachnie – powiedziałam, stawiając neseser pod ścianą.

Mój siostrzeniec i kot zajęli całą kanapę. Konsola została ponownie podłączona do telewizora, dookoła walały się resztki porannej *Gazette*, a po podłodze rozciągnięte były kable.

- Wpadłem do La Maison du Cari* [La Maison du Cari – restauracja serwująca hinduskie potrawy

(przyp. red.)]. Uznałem, że dziś moja kolej na gotowanie.

Wyjął słuchawki z uszu i przewiesił je przez szyję. Dobiegały z nich dźwięki muzyki Grateful Dead* [Grateful Dead – nieistniejąca już amerykańska grupa rockowa, utożsamiana z ruchem hipisowskim, a później z subkulturą rockersów, jej liderem był Jerry Garcia, po jego śmierci w 1995 r. zespół rozwiązał się (przyp. red.)].

– Świetnie. Co kupiłeś?

– *Uno momento.*

Wstał z kanapy i cisnął na nią słuchawki. Ptasek prysnął jak oparzony, obawiając się bliższego spotkania z twórczością Jerry’ego Garcii.

Sięgnęłam po rachunek na ladzie i szybko przejrzałam listę dziewięciu pozycji.

– Lokalny patriotyzm w kuchni? – spytałam.

– Nie, proszę pani – odparł, naśladując ton, jakim mówi dumny właściciel restauracji. – Nie wiedziałem, jak lubi pani przyprawione, więc postanowiłem dokonać zmieszania dwóch kultur kulinarnych. Nie martw się, zaraz wszystko zjemy – dodał z teksańskim akcentem.

– Daj mi się tylko przebrać.

– Poczekaj najpierw musisz coś zobaczyć.

Kit zaczął szperać pośród rozrzuconych dookoła kartek *Gazette* i znalazł w końcu stronę tytułową. Złożył ją na pół i podał mi tak, abym mogła odczytać nagłówek:

WIĘZIENÍ ZABITY W GANGSTERSKICH PORACHUNKACH

Artykuł opisywał okoliczności zabójstwa Dorseya, przedstawiając go jako głównego podejrzanego w mordzie na Yvie „Cherokee’em” Desjardinsie. Wedle autora, Dorsey był luźno powiązany z Bezbożnikami, a Cherokee członkiem Drapieżników, choć w ciągu ostatnich lat wycofał się z czynnego udziału w poczynaniach gangu.

Tezą główną było poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: czy śmierć Dorseya mogła mieć coś wspólnego z próbą zatarcia śladów w sprawie morderstwa Desjardinsa. Oprócz tego przypomniano śmierć bliźniaków Vaillancourtów, Richarda „Pajaka” Marcotte’a i Emily Anne Toussaint. Artykuł kończyło zdanie, że pogrzeb Dorseya odbędzie się zaraz po tym, jak biuro koronera wyda jego ciało rodzinie. Poniżej znajdowała się notka od redakcji, informująca, że przedstawiciele policji niepokoiли się ogromnie eskalacją przemocy oraz przypuszczali, iż pogrzeb Dorseya może być okazją dla sympatyków Bezbożników do zemsty. Policja informowała, że wzmoże środki bezpieczeństwa na kilka najbliższych tygodni.

Kiedy oderwałam się od lektury, Kit wpatrywał się we mnie.

– Czadowo byłoby pójść na ten pogrzeb.

– Nie ma mowy.

– Gliniarze spacyfikują tych gości. Będą szli grzecznie jak ministranci na mszę.

– Powiedziałam coś.

– Tam będą same harleye.

– Nawet nie myśl o tym, żeby się zbliżyć do cmentarza.

– A potem przejadą w formacji – dodał, imitując ruch dłoni na manetce motoru. – Jak grom z jasnego nieba.

– Kit!

– Co? – Jego oczy płonęły gorączką, jak wzrok telewizyjnego kaznodziei.

– Nie chcę, abyś tam szedł.

– Ciociu, za bardzo się przejmujesz. Ile razy słyszałam te słowa z ust Katy?

– Przebiorę się i zjemy obiad. Mam do ciebie kilka pytań.

Do zasadniczego tematu przeszłam przy deserze.

– Odwiedził mnie dzisiaj jeden ze śledczych *Carcajou*.

– Tak? – odparł Kit, zgarniając wierzchnią warstwę z puddingu i nabierając pełną łyżkę słodkości.

– Powinieneś zacząć od lukru.

– Tak? Wyglądał jak sreberko.

– Bo to jest sreberko.

Bałam się przejść do rzeczy.

– Policjant przyniósł mi zdjęcie wywiadowcze.

Kit rzucił mi zdziwione spojrzenie i dalej pałaszował deser.

– Jesteś na nim ty.

Mój siostrzeniec opuścił głowę i łypnął na mnie niepewnym spojrzeniem.

– Fotografię zrobiono opodal Galveston County. Widać na nim, jak rozmawiasz z członkami Bandidos.

– Ach, o to chodzi... – odparł, posyłając mi szeroki, zbyt jowialny uśmiech. – Włączyłem się ze znajomymi.

– Doprawdy?

– Co, doprawdy?

– Kolegujesz się z Bandidos?

– To był jeden jedyny raz. Poza tym oni mnie zmusili.

– To nie jest temat do żartów, Kit. Zostałeś przyłapany na konszachtach z handlarzami narkotyków.

Kit odłożył łyżkę i posłał mi pełen radości uśmiech. Nie odwzajemniłam go.

– Ciociu, często jeżdżę na pchle targi. Motocykliści także je odwiedzają i czasami się spotykamy. Wtedy akurat gadaliśmy o harleyach. Tyle, nic wielkiego.

– Detektyw powiedział mi, że zostałeś aresztowany pod zarzutem posiadania narkotyków.

– Staralam się mówić najspokojniej, jak to tylko możliwe.

Kit odsunął się od stołu i warknął.

– Pięknie, znowu wracamy do tego gówna!

– Jakiego gówna?

– Jezu Chryste, chyba nie sądzisz, że rozprawdzam prochy wśród przedszkolaków, co? – Jego głos był nieprzyjemny, znikł z niego cały dobry humor.

Czekałam.

– Kupiłem porcję za dziesięć dolców dla koleżanki, bo zostawiła swój portfel w domu. Zanim zdążyłem oddać jej ziolo, policja mnie zwinęła, przeszukała i znalazła towar w kieszeni. Czy ja wyglądam na dilera?

– Czemu policja cię zatrzymała?

– Byłem po jednym piwie.

Kit szturchnął dywanik dużym palcem stopy, długim i szczupłym, bulwiastym w stawie i kwadratowym przy paznokciu. Zupełnie jak u mojego ojca. Kit był jak skóra zdarta z dziadka.

– No dobra, więcej niż jednym. Mówiłem już, ja nie używam narkotyków. Chryste, zachowujesz się jak mój ojciec.

– Jak każdy zatroskany rodzic – odparłem głosem, w którym zmagą się miłość i złość.

– Ciociu, posłuchaj... Odpracowałem zasądzoną mi ilość godzin pracy społecznej, nawet wytrzymałem na idiotycznym kursie antynarkotykowym. Jestem czysty, ludzie nie potrafią tego zrozumieć?

Wstał z krzesła i poszedł do swojego pokoju. Chwilę później usłyszałam trzask zamykanych drzwi.

Świetnie, Brennan, powiedziałam do siebie w duchu. Należy ci się medal za dobrą opiekę nad młodzieżą.

Posprzątałam ze stołu, zawinęłam w folię to, czego nie zjedliśmy, wrzuciłam brudne naczynia do zmywarki i spróbowałam dodzwonić się do Howarda.

Bez skutku.

Niech cię diabli porwą, Harry. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Niech cię lichy porwie za ten Meksyk.

Spróbowałam zatelefonować do Isabelle, chcąc zapytać ją o Lyle'a Crease'a, ale odpowiedziała mi automatyczna sekretarka.

Resztę popołudnia spędziłam przy książce Pata Conroya, którą zaczęłam tydzień wcześniej. Jakże chciałabym znaleźć się w Karolinie.

Jak mogłam przewidzieć, Kit jeszcze spał, kiedy wyszłam do pracy. Tym razem zdążyłam na poranne zebranie.

Kiedy dotarłam do mojego gabinetu, czekał tam na mnie Claudel.

– Wiadomo już, kto zabił Dorseya? – spytałam, rzucając na biurko akta sprawy.

Claudel obdarzył mnie spojrzeniem, które mogłoby zmrozić ławę i podał mi kopertę. Usiadłam za biurkiem, wyciągnęłam z szuflady fotografię i przesunęłam ją po blacie.

– Mówiła pani, że skąd ją ma?

– Nie powiedziała – odparłam, podając mu lupę. – Nie wiem, jak się znalazła na moim biurku.

– Tak po prostu się pojawiła?

– Tak. – Claudel uważnie spojrzał na zdjęcie, a ja dodałam: – Zauważyłam ją wczoraj. Nie jestem pewna, kiedy do mnie trafiła.

Po kilku chwilach Claudel zbliżył lupę do pewnego miejsca na zdjęciu i spytał:

– Myśli pani o facecie stojącym obok ZZ Top?* [ZZ Top – rockowe trio z Teksasu, którego dwaj członkowie zapuścili długie brody, ubierają się na czarno, nierzadko w skórzane kurtki i wyglądem

przypominają harleyowców (przyp. red.)).

– Muszę spojrzeć – odparłam, zaskoczona muzycznym porównaniem. Byłabym w stanie się założyć, że Claudel słucha tylko opery.

Detektyw odwrócił zdjęcie i wskazał jedną z postaci.

– Tak, to on. Dziewczynka obok to Savannah Osprey.

Claudel ponownie przybliżył lupę.

– Ma pani pewność?

Wygrzebałam szkolną fotografię, którą pożyczyła mi Kate. Claudel przyjrzał się zdjęciu, wrócił do poprzedniego i tak jeszcze kilka razy, jak wielbiciel tenisa oglądający rozgrywkę.

– Ma pani rację.

– A co z panem Sprzączką?

Claudel wskazał na przyniesioną przez siebie kopertę.

– Desjardins przed chorobą był zwalistym mężczyzną.

Wysypałam zdjęcia na blat i obeszałam biurko, abyśmy mogli je obejrzeć z Claudelem wspólnie.

Określenie Cherokee'ego jako zwalistego było niedopowiedzeniem. Częściowo bezgłowe zwłoki, które widziałam w fotelu, były zaledwie cieniem ogromnego ciała, którym mógł szczyć się kiedyś Cherokee Desjardins. Zanim rak przetrawił jego wnętrzności, a narkotyki i alkohol zniszczyły zdrowie, motocyklista był prawdziwym olbrzymem, choć faktycznie zwalistym i grubawym.

Fotografie z koperty pokazywały Cherokee'ego na przestrzeni lat. Broda wydłużała się i skracała, linia czoła nieustępliwie posuwała się do góry, ale brzuch i twarz pozostawały te same.

Zmiana przyszła wraz z rakiem.

Sześć miesięcy przed swoją śmiercią Cherokee był cieniem samego siebie. Kompletnie wyłysiał i był chudy jak więzień obozu koncentracyjnego. Gdyby fotografia nie była opisana, nie rozpoznałabym go na niej.

Przyglądając się ostatniemu zdjęciu, przypomniałam sobie słowa Marlona Brando. Starzejący się aktor powiedział, że ma oczy jak zdychająca świnia.

Nie przejmuj się Marlon, dobrze ci służyły. Cherokee nadal wyglądał na złowrogiego, zawistnego draba, niczym dziki pies, który ukradł kawał mięsa.

Niestety pomimo usilnych starań nie byliśmy w stanie powiedzieć ponad wszelką wątpliwość, czy facet ze sprzączką na pasku na zdjęciu z Myrtle Beach był nieodżałowanym Cherokeeem Desjardinsem.

Rozdział 30

Zebrałam fotografie Cherokee'ego i przeszliśmy korytarzem do sekcji *Imagerie*. Postanowiliśmy, że do opracowania zdjęcia spróbuję wykorzystać Adobe Photoshop, ponieważ znałam już ten program. Gdyby wyniki okazały się niezadowolające, poprosimy o pomoc technika, który posłuży się bardziej efektywnymi środkami.

Pracownicy laboratorium spodziewali się nas, dlatego od razu mogliśmy przystąpić do pracy. Technik włączył skaner, uruchomił odpowiedni program na komputerze i zostawił nas samych.

Ułożyłam zdjęcie na szybie, zaznaczyłam marginesy tak, aby zeskanowane zostało w całości, a plik zapisałam na twardym dysku komputera. Potem otworzyłam odpowiedni katalog i wybrałam fotografię.

Zaznaczyłam twarz pana Sprzączki i powiększyłam ją do tego stopnia, że wypełniła ekran. Następnie oczyściłam ją z brudów, czyli pęknięć oraz uszkodzeń i zmodyfikowałam poziom nasycenia czerwieni, zieleni i błękitu, poprawiłam jasność i kontrast, a także wyostrzyłam kontury.

Claudiel z początku obserwował moją pracę w milczeniu, ale w miarę, jak rosła jego ciekawość, zaczął mi podpowiadać, co mam robić. Każde polecenie zmieniało głębię cieni, jasność szarości, wydobywając na wierzch szczegóły, które były niewidoczne na oryginalnej fotografii.

Minęła niecała godzina, kiedy mogliśmy spojrzeć na efekty naszej pracy. Bez wątplenia, Pan Sprzączka był Yves'em „Cherokee'em” Desjardinem.

Tylko co to oznaczało?

Claudiel odezwał się pierwszy.

– Cherokee znał tę dziewczynę, tak?

– Na to wygląda – odparłam.

– A Dorsey go zabił. – Claudel ewidentnie myślał na głos. – Jak pani sądzi, co chciał nam przehandlować Dorsey?

– Może wiedział o tym, że Cherokee zabił Savannah?

– Czy to możliwe, żeby przyjechała z nim do Montrealu? – Claudel znów wrócił do rozmowy z samym sobą.

Wyobraziłam sobie oczy dziewczyny, która, jadąc na motorze, ogląda zza wielkich okularów dziwny, nowy i nieznany świat. Pokręciłam głową.

– Nie zrobiłaby tego z własnej woli.

– Mógł ją zabić w Myrtle Beach i ukryć ciało w Quebecu. – Tym razem Claudel zwrócił się do mnie.

– Ale po co ryzykować z przewożeniem ciała?

– Żeby zmniejszyć szansę na jego odnalezienie?

– Czy motocykliści postępują w ten sposób?

– Nie – odparł detektyw, a w jego oczach dostrzegłam niepewność. I złość.

- W takim razie, gdzie jest reszta zwłok? – naciskałam dalej.
- Być może odciął głowę?
- A co z nogami?
- To już nie jest pytanie do mnie. – Claudel obciągnął rękawy i poprawił krawat.
- Jakim cudem jej szczątki pochowano razem z Gatelym i Martineau?

Claudel nie odpowiedział.

- Co ze szkieletem z Myrtle Beach?
- To już pytanie do pani przyjaciół z SBI.

Jako że Claudel rzadko bywał rozmowny, postanowiłam wykorzystać okazję i zmieniałam temat:

- A może zabójstwo Cherokee’ego nie było zemstą?
- Nie rozumiem, do czego pani zmierza.
- Mogło być połączone z odnalezieniem szczątków Savannah?
- Być może. – Claudel spojrział na zegarek i wstał z fotela. – Równie możliwe, że poproszą mnie o dołączenie do Dixie Chicks* [Dixie Chicks – amerykańska żeńska trzyosobowa grupa countryrockowa (przyp. red.)]. Ale przedtem powinienem zapuszkować kilku wrednych typów.

Co go napadło z muzyką pop?

Kiedy wyszedł, zgrałam skany oryginalnego i powiększonego zdjęcia na płytę kompaktową i dodałam do kolekcji część zdjęć ze zbiorów Kate, z myślą, aby obejrzeć je w domu.

Wróciłam do gabinetu i zadzwoniłam do sekcji DNA. W zasadzie znałam odpowiedź, ale musiałam spróbować, nie mogąc pogodzić się z myślą o kolejnym wieczorze spędzonym nad albumem pełnym zdjęć motocyklistów.

Miałam rację. Gagne z przykrością przyznał, że testy, o które prosiłam, nie zostały wykonane. Sprawa z 1984 roku nie miała wysokiego priorytetu ważności, ale przy odrobinie szczęścia wkrótce przeprowadzą badania.

Coś za coś, badania gałki ocznej wykonali prawie od ręki.

Rozłączyłam się i sięgnęłam po fartuch laboratoryjny. Próbki powinny już być gotowe.

Denisa zastałam przy wprowadzaniu danych o badaniach do komputera. Odczekałam cierpliwie, aż wpisze informacje zanotowane na etykiecie plastikowego pojemnika, w którym w formalinie pływały fragmenty serca, nerki, śledziony, płuc oraz innych organów. Kilka wprawnych uderzeń palców w klawiaturę i odstawił słoik do wózka.

Poprosiłam o materiały i Denis podszedł do swojego biurka, z którego zabrał niewielkie białe pudełko z plastiku. Podziękowałam mu i poszłam do swojego laboratorium.

Denis przygotował próbki materiału z kości, które przywiozłam z Raleigh. Próbkę pobraną z kości piszczelowej umieściłam pod mikroskopem, dostosowałam światło i zaczęłam badania. Dwie godziny później znałam już odpowiedź.

Próbki pozyskane z kośćca szkieletu znajdującego się w posiadaniu Kate były pod względem histologicznym nie do odróżnienia od tych, które pobrałam z goleni Savannah. Badanie każdego z fragmentów wykazało zgodność wieku ofiary z wiekiem Savannah w chwili jej zaginięcia.

Zgodność to ulubione słowo biegłych sądowych.

Czy może pani stwierdzić z pewnością popartą dowodami naukowymi, że kości odnalezione w Myrtle Beach należą do Savannah Claire Osprey?

Nie, nie mogę.

Rozumiem. Czy może pani ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że kości wydobyte w Myrtle Beach pochodzą z ciała osoby w tym samym wieku, w którym w chwili zaginięcia była Savannah Claire Osprey?

Nie, nie mogę.

Rozumiem. Co w takim razie może pani zeznać przed sądem, doktor Brennan?

Pod względem histologicznym i mikrostrukturalnym, kości wydobyte w Myrtle Beach są zgodne z tymi, które zidentyfikowano jako należące do Savannah Claire Osprey.

Wyłączyłam światło i nakryłam mikroskop plastikowym pokrowcem.

To był dopiero początek.

Na mój obiad składała się wegetariańska pizza i lody. Potem zameldowałam się w biurze *Carcajou*. Morin skończył autopsję i był gotów do wydania ciała Dorseya, w związku z czym Jacques Roy zwołał spotkanie w sprawie środków bezpieczeństwa podczas pogrzebu. Zażądał także mojej obecności.

Dorsey pochodził z dzielnicy położonej na południowy wschód od Centre-Ville. Była to okolica pełna wąskich uliczek i jeszcze węższych zaułków, zatłoczonych mieszkań i stromych klatek schodowych oraz niewielkich balkoników. Na zachód od niej znajdowało się Main, na wschód Hochelaga-Maisonneuve, gdzie miały miejsce najzacieklejsze starcia obecnej wojny gangów. Dzielnica mogła poszczycić się największą liczbą kradzieży samochodowych w mieście. W przeciwieństwie do większości montrealskich dystryktów nie miała swojej nazwy.

Nie oznaczało to, że dzielnica nie posiada własnego charakteru. Była matecznikiem Rock Maszyny i domem dla *Sûreté du Québec*. Często spoglądałam na jej ulice, place zabaw dla dzieci, nabrzeże i most, ponieważ *Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Médecine Légale* mieści się w samym jej centrum.

Pogrzeb Dorseya miał się odbyć sześć przecznic od naszego budynku. Biorąc pod uwagę, że na ulicach będzie pełno miejscowych, zapewnienie bezpieczeństwa było poza możliwościami policji.

Przy pomocy mapy wyspy Roy wskazywał rozmieszczenie kolejnych jednostek policyjnych. Nabożeństwo miało się rozpocząć około godziny ósmej rano w piątek w rodzinnej parafii zmarłego w Fullum and Larivière. Po mszy kondukt miał ruszyć z Fullum na północ do alei Mont-Royal, potem na zachód pod górę na *Chimetièrre de Notre-Damedes-Neiges*.

Roy po kolei wskazywał na miejsca, gdzie miały być zapory, wozy policyjne, piesze patrole i tajniacy, wyjaśniał procedury, jakie miały być zastosowane podczas zabezpieczenia uroczystości. Bezpośrednie otoczenie kościoła miało zostać objęte ścisłą ochroną, a skrzyżowanie z Mont-Royal wyłączone z ruchu na czas przejścia żałobników. Sam kondukt wedle planów będzie posuwał się wschodnim pasem Mont-Royal w eskorcie policji.

Także na samym cmentarzu miały zostać podjęte środki najwyższej ostrożności.

Wszelkie inne uroczystości zostały odwołane, a członkowie *Carcajou* mieli w piątek zgłosić się do pracy. Pokaz slajdów, który nastąpił po tej zapowiedzi, został przywitany słowami *Sacré bleu!* i *Tabernac!* Złorzeczenia i wyrazy niezadowolenia szybko jednak ucichły, kiedy oczom obecnych ukazały się zdjęcia dokumentujące poprzednie ceremonie pogrzebowe. Slajd za slajdem oglądaliśmy motocyklistów palących papierosy na schodach kościołów, jadących kolumną za ukwieconą lawetą z trumną czy zebranych dookoła grobu.

Twarze osób zgromadzonych w sali w kolorowym świetle kolejnych slajdów stawały się błękitne, żółte, czasem różowawe. Projektor szumiał, a Roy opowiadał o wydarzeniach, podawał czas i miejsca poszczególnych pogrzebów i przedstawiał nam ważniejszych uczestników uroczystości.

Ciepło w pokoju, uczucie sytości spowodowane dużą porcją lodów w żołądku i monotonność wykładu sprawiły, że powieki zaczęły opadać, a głowa sennie pochylać się na bok. Zapadłam w drzemkę.

Projektor pyknął, a ja nagle się przebudziłam.

Na ekranie widziałam motocyklistów zatrzymanych przez drogowy posterunek. Niektórzy siedzieli na motorach, inni kręcili się w pobliżu. Choć wszyscy nosili emblemat uskrzydłonej czaszki należący do Aniołów Piekieł, to mogłam odczytać tylko dwie nazwy miejscowości: Durham i Lexington. Na boku żółtego pojazdu w tle dostrzegłam także napis „Metro Police”, reszta była zasłonięta przez brodatego mężczyznę robiącego zdjęcie fotografowi. U jego boku stał Cherokee Desjardins i groźnie spoglądał w obiektyw.

– Gdzie zrobiono to zdjęcie? – spytałam.

– W Południowej Karolinie.

– To Cherokee Desjardins.

– Wielkolud spędził sporą część lat osiemdziesiątych na południu.

Przebiegłam wzrokiem po postaciach na zdjęciu, a kiedy spojrzałam na motocyklistę na jego skraju, coś zwróciło moją uwagę. Mężczyzna siedział bokiem, twarz była na wpół skryta, ale maszyna doskonale widoczna wyglądała znajomo.

– Kim jest ten facet po lewej na skraju?

– Na tym dziwadle?

– Tak.

– Nie wiem.

– Widziałem go na kilku zdjęciach – podpowiedział Kuricek. – Dawne dzieje, pojawia się w dawnych sprawach.

– Można powiedzieć coś o jego motorze?

– Dzieło sztuki. Dzięki.

Dyskusja o piątkowym pogrzebie potoczyła się dalej, razem z pokazem slajdów. Kiedy dobiegła końca, podeszłam do Roy i zapytałam:

– Czy mogę pożyczyć zdjęcie Cherokee’ego Desjardinsa?

– Chce pani slajd czy wersję drukowaną?

– Wydruk.

- Zauważyła pani coś interesującego?
- Po prostu ten motocykl wyglądał znajomo.
- To hummer.
- Tak.

Ruszyliśmy do jego gabinetu, gdzie wyciągnął z szafki teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość w poszukiwaniu fotografii.

– Jedno jest pewne, że w obecnych czasach stara gwardia wygląda zupełnie inaczej – powiedział, podając mi zdjęcie. – Ubierają się w garnitury Versace i mają własne restauracje. Łatwiej ich było rozpracować, gdy mieliśmy do czynienia z pijanymi i zawszonymi typami.

– Czy to pan zostawił kilka dni temu na moim biurku zdjęcie z Południowej Karoliny?

– Nie. Powinienem je zobaczyć?

– Przypomina jedną z fotografii z pańskiej kolekcji, tyle że dostrzegłam na niej Savannah Osprey. Mówiłam o tym Claudelowi.

– To już coś konkretnego. Ciekaw jestem, jakie jest jego zdanie.

Podziękowałam i wyszłam, obiecując zwrócić fotografię jak najszybciej.

Kiedy dotarłam do laboratorium, od razu udałam się do sekcji *Imagerie*, gdzie dodałam zdjęcie do kolekcji zapisanej na płycie. Nurtowała mnie pewna myśl i chciałam przeprowadzić porównanie.

Z pracy wyszłam o wpół do piątej i zajrzałam do szpitala Hôtel-Dieu. Miałam nadzieję, że stan LaManche'a poprawił się na tyle, że będę mogła go odwiedzić, ale okazało się, że nadal nie odzyskał przytomności, a lekarze zatrzymali go na oddziale intensywnej terapii kardiologicznej, co wykluczało jakiegokolwiek wizyty osób spoza rodziny. Bezsilna i zła, zamówiłam bukiet kwiatów w szpitalnym kiosku i ruszyłam na parking.

Wsiadłam do samochodu i włączyłam radio, pozwalając automatowi wyszukać stację. Trafiłam na jakąś lokalną rozgłośnię, nadającą właśnie audycję, której tematem była wojna gangów motocyklowych i przewidywania, do czego może doprowadzić pogrzeb jej ostatniej ofiary. Kiedy prowadzący zaczął podsumowywać wysiłki policji, pogłodziłam odbiornik.

Zdania słuchaczy były podzielone, ale wszyscy byli zdenerwowani. Unikano całych dzielnic, matki odprowadzały dzieci do szkoły, a bywalcy pubów zmieniali lokale, uważnie rozglądając się, gdzie pozostawiają samochody.

Niektórzy z dzwoniących byli rozżłoszczeni, domagając się oczyszczenia miasta z tych Tatarów dwudziestego wieku.

Kiedy wróciłam do domu, Kit rozmawiał przez telefon. Zasłonił słuchawkę dłonią i poinformował mnie, że Harry dzwoniła z Puerto Vallarta.

– Co powiedziała?

– *Buenos dias** [Buenos dias (hiszp.) – Dzień dobry (przyp. red.)].

– Zostawiła do siebie numer?

– Nie, podobno sporo podróżuje. Obiecała, że zadzwoni pod koniec tygodnia.

Znikł w pokoju, wracając do rozmowy.

Świetnie, Harry, po prostu pięknie.

Nie tracąc czasu na niepotrzebne zmartwienia, wyjęłam zdjęcie pożyczone od Roy i

położyłam je na stole. Następnie odszukałam fotografie od Kate, przedstawiające pogrzeb Bernarda „Bystrzaka” Silvestre’a. Szczególnie interesowała mnie ta zrobiona przy grobie, którą analizowaliśmy z Kitem.

Trzy razy przeszukałam stos fotografii i jej nie znalazłam. Potem wyrzuciłam wszystko z nesesera. Zajrzałam do biurka w sypialni, pod stos papierów obok komputera. Uważnie przejrzałam zawartość teczek, które dała mi Kate.

Zdjęcie po prostu wyparowało.

Zdezorientowana, poszłam do Kita, ale on także go nie miał.

Dobrze Brennan. Przypomnij sobie, kiedy ostatni raz je widziałaś?

Sobotni wieczór z Kitem?

Nie.

Niedzielnny poranek.

W rękach Lyle’a Crease’a.

Ogarnęła mnie ogromna fala gniewu. Zaciśnęłam dłonie w pięści i krzyknęłam:

– Pieprzony sukinyń!

Byłam wściekła na Crease’a, ale jeszcze bardziej na siebie. Tak długo mieszkałam sama, że nie widziałam nic niewłaściwego w zabieraniu pracy do domu. Reguły laboratorium nie przyzwały na to, ale nikomu to nie przeszkadzało. A teraz, przez moją nieuwagę, straciłam zdjęcie, które mogło być ważnym dowodem.

Z wolna uspokoiłam się, przypominając sobie słowa pewnego detektywa, z którym współpracowałam przy sprawie morderstwa w Charlotte. Samochody stacji telewizyjnych otoczyły dom, gdy wywoziliśmy z niego w workach na zwłoki czteroosobową rodzinę.

„System wolnej prasy przypomina ścieki”, powiedział. „Wciąga każdego i miesza z głównym. Jedna chwila nieuwagi i po ptakach”.

Popęniłam kardynalny błąd, ale musiałam jakoś odzyskać to zdjęcie.

Rozdział 31

Aby wyrzucić z siebie gniew na Crease'a, złość na własną głupotę, obawę o życie LaManche'a, przebiegłam trzy kilometry na bieżni w siłowni. Potem przez pół godziny podnosiłam ciężary, a na koniec przez dziesięć pociałam się w saunie.

Kiedy szłam po Ste-Catherine do domu, czułam się fizycznie wyczerpana. Choć ciało było zmęczone, to myśli pędziły jak szalone, dlatego zmusiłam je, aby zaczęły krążyć wokół zwyczajnych, codziennych rzeczy.

Powietrze stało się duszne i wilgotne. Mewy krzyczały, a ciężkie, ciemne chmury wisiały nisko ponad miastem. Wiatr niósł zapach Rzeki Świętego Wawrzyńca, a zmierzch zapadał wyjątkowo szybko jak na tę porę roku.

Pomyślałam o mewach. Po co mają walczyć z gołębiami o okruchy chleba, skoro niedaleko mają taką rzekę? Czy te dwa gatunki są ze sobą jakoś spokrewnione?

Potem skoncentrowałam się na myśleniu o obiedzie, bolącym lewym kolanie i zębie, który podejrzewałam o dziurę. Na koniec zaczęłam się zastanawiać nad skutecznym sposobem ukrycia nowej fryzury przed spojrzeniami ciekawskich.

Najczęściej jednak myślałam o Lyle'u Creasie. Zrozumiałam nienawiść trawiącą muzułmańskich fundamentalistów i pracowników poczty. Zadzwońię do niego i zażądam zwrotu fotografii. A potem, jeśli ta gadzina znów wejdzie mi w drogę, prawdopodobnie znajdę swoje nazwisko w gazetach.

Kiedy skręciłam za róg, dostrzegłam człowieka idącego w moją stronę. Biała hołota, burak z Południa w skórzanej kamizelce, wyglądał jak jednoosobowe stado hien.

Czyżby wyszedł z mojego domu?

Kit!

Poczułam, jak serce przeszywa mi lodowaty kolec strachu.

Przyśpieszyłam kroku, trzymając się środka chodnika. Mężczyzna nie zbacział z drogi, dlatego wpadliśmy na siebie. Był tak masywny, że się od niego odbiłam i prawie upadłam. Odzyskując równowagę, spojrzałam w ciemne oczy skryte jeszcze dodatkowo pod daszkiem czapeczki bejsbolowej.

Spójrz na mnie, dupku, rzuciłam w myślach. Zapamiętaj moją twarz, a ja zapamiętam twoją.

Spojrzał mi w oczy i posłał obleśny pocałunek. W odpowiedzi pokazałam mu środkowy palec.

Z dudniącym sercem ruszyłam biegiem przed siebie. Minęłam portiernię i znalazłam się wewnątrz budynku. Otworzyłam drzwi prowadzące do części mieszkalnej, wspinając się po dwa stopnie naraz, dotarłam do korytarza i otworzyłam kluczem drzwi do mieszkania.

Kit był w kuchni i wrzucał właśnie makaron do gotującej się wody. W zlewie stała pusta butelka po piwie, obok jego łokcia druga, opróżniona do połowy.

– Kit.

Podskoczył na dźwięk mojego głosu.

– Cześć, co u ciebie?

Zamieszał kluski drewnianą łyżką i pociągnął łyk piwa. Choć starał się wyglądać na spokojnego i zrelaksowanego, to gwałtowne ruchy zdradzały, że czymś się denerwuje.

Nic nie powiedziałam, czekając, aż sam zacznie mówić.

– Znalazłem trochę sklepowego sosu, dodałem podsmażony czosnek i czarne oliwki. Nie jest to jakiś rarytas, ale pomyślałem, że będziesz wolała spaghetti domowej roboty.

Rzucił mi jeden z kolekcji swoich przeuroczych uśmiechów i upił kolejny łyk.

– Co tu się dzieje?

– Play-offy NBA.

– Wiesz, o czym mówię.

– Serio?

– Kit! – Nawet nie próbowałam ukryć złości w moim głosie.

– O co chodzi? Pytaj śmiało.

– Czy ktoś cię odwiedzał, kiedy byłam w pracy?

Kit zamieszał makaron, postukał łyżką w ściankę garnka i odłożył ją na blat. Z wnętrza naczynia buchnęła para. Kit zmrużył oczy i odparł:

– Nie – powiedział, patrząc w podłogę. Niepewność trwała zaledwie chwilę i znowu spojrzał na mnie. – O co chodzi?

– Widziałam na ulicy kogoś, kto zdawał się wychodzić z budynku.

– Cóż... obawiam się, że nic nie wiem na ten temat. – Znowu się uśmiechnął. – Lubi pani makaron al dente, madam?

– Kit...

– Za bardzo się o wszystko martwisz, ciociu. Rozmowa zaczynała toczyć się znajomymi torami.

– Czy nadal spotykasz się z tymi ludźmi ze sklepu z motocyklowymi częściami?

Kit wyciągnął ręce w moim kierunku i złączywszy nadgarstki, powiedział:

– Dobrze, przyznaję się. Proszę mnie aresztować pod zarzutem konszachców z makaronem!

– Spotykasz się?

Głos Kita nagle stał się surowy.

– Na czyje polecenie pytasz o to?

Jasne było, że Kit nic mi nie powie. Odeгнаłam od siebie strach, wiedząc, że zostanie gdzieś w zakamarkach mojego umysłu i niebawem znowu z nich wychynie. Poszłam do sypialni się przebrać. I podjęłam decyzję.

Kit jak najszybciej musi wrócić do Houston.

Po obiedzie siostrzeniec usadowił się przed telewizorem, a ja siadłam przy komputerze. Porównywałam właśnie fotografie z kolekcji Kate z tą, którą pożyczyłam od Jacquesa Roy, kiedy zadzwonił telefon.

Odebrał Kit. Najpierw usłyszałam śmiech i żarty, ale potem jego ton się zmienił. Choć nie rozróżniałam słów, to byłam pewna, że mój siostrzeniec jest zły. Jego głos stał się donośny i

pełen wściekłości, a w pewnym momencie usłyszałam trzaśnięcie słuchawką.

Chwilę później stanął w drzwiach do mojego pokoju.

– Wychodzę na trochę, ciociu.

– Na miasto?

– Tak.

– Z kim?

– Ze znajomymi – odparł z fałszywym uśmiechem.

– To niewystarczająca odpowiedź.

– Do cholery, nie zaczynaj od nowa.

Odwrócił się na pięcie i wybiegł do przedpokoju.

– Cholera jasna!

Zerwałam się na równe nogi, ale kiedy zdążyłam dobiec do rogu pokoju, Kit trzasnął drzwiami.

– Cholera – powtórzyłam z naciskiem.

Już miałam wybiec na korytarz, gdy zadzwonił telefon. Myśląc, że to rozmówca Kita dzwoni jeszcze raz, podniosłam słuchawkę.

– Tak? – syknęłam jadownicie.

– Chryste Panie, Tempe, powinnaś zapisać się na jakiś program walki z agresją. Robisz się chamska.

– Gdzie ty się do cholery podziewasz, Harry?

– Wielki stan Jalisco* [Jalisco – stan w środkowowschodnim Meksyku (przyp. red.)]. *Buenas noch...*

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o problemach Kita?

– Jakich?

– Niewielki wyrok za posiadanie narkotyków.

– A, o to ci chodzi.

– Oto.

– Nie wierzę, żeby to była wina Kita. Gdyby nie jego znajomi, nigdy by nie zbliżył się do narkotyków.

– Ale tak się stało, Harry. Teraz chłopak jest notowany w kartotekach.

– Ale przecież nie trafił do więzienia. Adwokat Howarda go wybronił, załatwił mu nadzór kuratora i zamianę aresztu na prace społeczne. Tempe, ten chłopak przez całe pięć dni pracował, mieszkał i tak dalej, w przytułku dla bezdomnych! Myślę, że dzięki temu zrozumiał, jakie ma szczęście i jak nisko można upaść...

– Wysłałaś go do lekarza?

– Kitowi nic nie jest. To po prostu były młodzieńcze wybryki.

– On może być uzależniony.

– Nie przesadzaj, po prostu wpadł w nieodpowiednie towarzystwo.

Miałam ochotę nawrzeszczyć na nią, ale zanim zdążyłam podnieść głos, uderzyła mnie pewna myśl.

– Powiedziałaś, że Kit jest pod nadzorem kuratora?

– Tak, ale to nic wielkiego. W zasadzie nie uważałam, że powinnam ci o tym mówić.

– Na jakich warunkach?

– Słucham?

– Czego nie wolno robić Kitowi?

– Nie może prowadzić pojazdów w nocy, co strasznie go denerwuje. Aha, nie wolno mu przebywać w towarzystwie osób z przeszłością kryminalną. – Ostatnie zdanie powiedziała, przesadnie je podkreślając i na koniec parsknęła śmiechem. – Zupełnie, jakby zadawał się z Bonnie i Clydeem* [Bonnie i Clyde – Bonnie Parker i Clyde Barrow, para amerykańskich przestępców działających w latach 30., wątek miłosny ich historii i to, że przez jakiś czas udawało im się wyprowadzać w pole policję, sprawiło, że stali się sławni, zginęli zastrzeleni w policyjnej pułapce w 1934 r. (przyp. red.)].

Harry nigdy nie umiała dostrzec rzeczy takimi, jakie były naprawdę i zawsze mnie to zadziwiała. Potrafiła rozmawiać z kwiatami w domu, ale nie potrafiła znaleźć wspólnego języka z własnym synem.

– Czy sprawujesz jakikolwiek nadzór nad tym, co on robi?

– Tempe, przecież on nie napadnie na żaden bank!

– Nie mówię o tym.

– Nie chcę wracać do tego tematu. To była koronna zagrywka Harry.

– Muszę kończyć, Harry – powiedziałam, wiedząc, że za chwilę rozmowa przerodzi się w kłótnię, na którą nie miałam ochoty.

– Jasne, kochana. Dzwonię tylko, aby dowiedzieć się, czy u was wszystko w porządku. Będziemy w kontakcie.

– Mam nadzieję.

Rozłączyłam się i przez pięć minut stałam nieruchomo, rozważając swoją sytuację. Nie była godna pozazdroszczenia.

Potem stwierdziłam, że wiem, co robić. Sprawdziłam w notesie pewien adres, zgarnęłam kluczyki i wyszłam.

Ulice były w miarę przejezdne, dlatego po dwudziestu minutach zaparkowałam na rogu rue Ontario. Wyłączyłam silnik i rozejrzałam się dookoła. W żołądku czułam gulę. Teraz, kiedy znalazłam się na miejscu, straciłam cały rezon, determinację i pewność siebie.

La Taverne des Rapides znajdowała się dokładnie naprzeciwko mnie, wciśnięta pomiędzy salon tatuażu i warsztat motocyklowy. Okolica sprawiała takie samo nieprzyjemne wrażenie, jak na zdjęciach od Kate czy Claudela. Neonowe znaki kusily nazwami Budweisera i Molsona, a szyby w oknach ostatnio myto przed nadejściem Ery Wodnika* [Era Wodnika – epoka miłości i humanizmu, zgodnie z poglądami głoszonymi w latach 60. przez hipisów miała nadejść w drugiej połowie lub pod koniec XX wieku, według ruchu New Age Era Wodnika dopiero ma nadejść (przyp. red.)].

Schowałam pojemnik z gazem łzawiącym do kieszeni kurtki, wysiadłam i zamknęłam drzwi samochodu. Przeszłam przez ulicę i nim dotarłam do chodnika, poczułam wibrację muzyki granej w knajpie.

Kiedy pchnęłam drzwi, uderzył mnie zapach dymu papierosowego, potu i zwietrzałego

piwa. Przy wejściu bramkarz ubrany w czarną koszulkę z czaszką i napisem „Urodzony, by umrzeć” zlustrował mnie spojrzeniem od góry do dołu.

– O, słoneczko – powiedział, a przez dziury w uzębieniu z jego ust trysnęły kropelki śliny. – Chyba się zakochałem!

Wyglądał jak członek Klubu Anonimowych Zbirów, a w szczerbę po wybitych zębach mógłby wetknąć papierosa. Nie odwzajemniłam powitania.

– Wróc do Remiego, kiedy będziesz miała ochotę na coś naprawdę ekstra, malutka – powiedział, gładząc mnie włochatą łapą po ramieniu, a potem skinął głową na znak, że mogę wejść.

Ruszyłam szybko przed siebie, zwalczając ochotę na wybite Remiemu kilku następnych zębów.

Wnętrze speluny przypominało typową knajpę położoną na poboczu autostrady biegnącej przez Appalachy.

Zauważyłam stół bilardowy, szafę grającą i telewizor umocowany do narożnej półki. Kontuar ciągnął się na całą długość ściany, po przeciwnej stronie znajdował się obskurny kibel. Resztę pomieszczenia zajmowały stoliki. Jeśli nie liczyć świątecznych lampek, które otaczały jasnymi punkcikami okna i drzwi, w pomieszczeniu było ciemno.

Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, rozejrzałam się uważnie. Klientela składała się z długowłosych i zapuszczonych samców alfa. Wyglądali jak wizygoty statyści przybyli na casting. Uwijające się pomiędzy nimi kobiety miały włosy nażelowane w skomplikowane fryzury i głębokie dekolty praktycznie w całości odsłaniające uwydatnione biusty.

Nigdzie nie spostrzegłam Kita.

Ruszyłam w kierunku przeciwległej ściany, gdy usłyszałam krzyki i rumor. Pochyliłam głowę i zaczęłam kluczyć w labiryncie obwisłych piwnych bandziochów, aż przylgnęłam do ściany.

Siedzący w pobliżu kontuaru typ, który mógłby uchodzić za brata Rasputina, ryknął coś głośno i zerwał się aa równe nogi. Po jego twarzy spływała krew, wsiąkając w przepoconą koszulkę i oblepiając łańcuchy na szyi. Po przeciwnej stronie stolika stał mężczyzna o nalanej twarzy i spoglądał na niego złowrogo. W dłoni trzymał butelkę Molsona z odbitym dnem i raz za razem usiłował dźgnąć nią Rasputina. Ten zrewanżował się, ciskając krzesłem w przeciwnika. Usłyszałam trzask rozpryskującego się szkła, kiedy facet z butelką zwałił się na betonową podłogę.

Hałas przesuwanych stolików był ogłuszający. Ludzie rzucili się, aby obejrzeć bójkę lub do niej dołączyć. Wykidajło Remi wszedł na salę, kręcąc młynka kijem bejsbolowym i ruszył w kierunku baru.

Miałam dość, postanowiłam poczekać na Kita na zewnątrz.

Byłam w połowie drogi, kiedy ktoś chwycił mnie za ramiona. Próbowałam się wyswobodzić, ale chwyt był niewiarygodnie silny. Rozzłoszczona zdołałam się obrócić i spojrzałam w gębę, która równie dobrze mogłaby należeć do aligatora bagiennego. Facet miał byczy kark, wyłupiaste oczy, a szczękę wąską i cienką, wystającą do przodu pod dziwnym kątem.

Mój prześladowca zwinął usta w trąbkę i głośno gwizdnał. Rasputin zamarł bez ruchu, a w sali zapanowała niesamowita cisza, kiedy wszyscy próbowali zlokalizować źródło dźwięku. George Strait* [George Harvey Strait, amerykański piosenkarz country (przyp. red.)] z szafy grającej nucił w kompletnej ciszy.

– Darujcie sobie burdę. Mamy coś ciekawszego – powiedział zaskakująco cienkim głosem. – Remi, zabierz Tankowi tulipana.

Remi położył nonszalanckim gestem kij na ramieniu i wszedł pomiędzy walczących. Przycisnął butem nadgarstek mężczyzny do podłogi, a potem kopnął w kąt to, co pozostało ze stłuczonej butelki. Następnie jednym ruchem postawił go na nogi. Tank próbował coś bełkotać, ale facet, który mnie trzymał, przerwał mu:

– Zamknij mordę i słuchaj, co mówię.

– Do mnie mówisz, JJ? – spytał zaczepnie tamten, rozstawiając szerzej nogi, aby odzyskać równowagę.

– Do ciebie, pieprzony dupku.

Tank otworzył usta, ale JJ go zignorował.

– Patrzcie, co my tutaj mamy, panowie.

Mało kto go słuchał. Większość bywalców odwróciła głowy, na JJ spoglądali tylko ci znudzeni lub zbyt pijani, aby pojąć, co się dookoła dzieje. George dokończył swoją piosnkę i zaczęli grać Rolling Stones. Barman wrócił do nalewania drinków, podniósł się gwar rozmów.

– Wielkie mi halo – zawołał jeden z siedzących przy barze – znalazłeś cizję, która nie rzyga na twój widok.

Rozległy się śmiechy.

– Przyjrzyj się lepiej, złamasie – odparł JJ. – Słyszałeś kiedy o tej paniusi od kości?

– A kogo to kurwa obchodzi?

– Ej, to ta, która wykopała sztywniaka w ogródku Żmij! – krzyknął, a żyły na jego szyi nabrzmiały jak grube powrozy.

Kilku z bywalców spojrzało na nas, na ich twarzach odmalowało się zdziwienie.

– Żaden z was, dupki, nie czyta gazet? – JJ ochryplł od ciągłego krzyku.

Podczas gdy większość gości wróciła do swoich kufli, Tank ruszył ku nam, idąc z przesadną ostrożnością pijanego człowieka. Dysząc ciężko, stanął przede mną i pogładził brudną łapą po policzku.

Odwróciłam głowę, ale chwycił mnie za podbródek i zmusił, abym spojrzała mu w oczy. Smród z jego gęby przyprawiał mnie o mdłości.

– Nie wygląda mi na twardą sztukę.

Nie pisałam słówka.

– Zabawić się przyszałaś, *plotte* * [plotte – żeński narząd płciowy w slangu francuskojęzycznych Kanadyjczyków (przyp. red.)].

Puściłam wyzwisko mimo uszu i spojrzałam mu prosto w oczy.

Tank rozpiął suwak kurtki i zobaczyłam kolbę zatkniętej za pasek trzydziestki ósemki. Zadrzałam ze strachu.

Kątem oka dostrzegłam, że jakiś mężczyzna zsunął się z barowego stołka i ruszył ku nam. Zbliżył się do nas, stuknął na przywitanie Tanka w ramię i syknął:

– *Tabernouche*, zdecydowanie mógłbym dostarczyć jej kość* [kość – słowo *bone* (ang.) oznaczające kość, w slangu oznacza także penisa w stanie erekcji, stąd dwuznaczność wypowiedzi (przyp. red.)].

Mężczyzna był ubrany w workowate czarne spodnie, na szyi miał kilka złotych łańcuchów, a rozpięta kamizelka odsłaniała bladą skórę. Jego klatkę piersiową i ramiona pokrywały więzienne tatuaże, a oczy zasłaniały ciemne okulary. Był monstrialnie umięśniony, jego mięśnie wręcz ociekały sterydami. Kiedy mówił, znać było silny francuski akcent.

Tank puścił mnie i cofnął się, sztywniejąc cały.

– Ta zdzira wykopała Gately’ego i Martineau. Spokojnie, powiedziałam do siebie w duchu, tylko spokojnie.

– Przekop Pascala, kochanie, wydobędziesz coś naprawdę dużego.

Kiedy Pascal zdjął okulary, zamarłam z przerażenia. Miał szklisty wzrok, a źrenice rozszerzone w charakterystyczny dla amfetaminy czy cracku sposób.

Pascal wyciągnął dłoń, a ja odtrąciłam ją wolną ręką.

– Co jest, kurwa? – Łypnął na mnie nienaturalnie rozszerzoną źrenicą.

– Niech ktoś weźmie tego gościa na smycz – powiedziałam z całą odwagą, na jaką było mnie w tej sytuacji stać.

Pascal spojrzał na mnie złowrogo, a mięśnie jego karku i ramion napięły się jak postronki.

– Kim, do kurwy, jest ta dziwka?

Znowu wyciągnął dłoń w moją stronę, a ja jeszcze raz ją odepchnęłam. Byłam przerażona, ale wiedziałam, że nie wolno mi tego po sobie okazać.

– Podejrzewam, że pochodzisz z patologicznej rodziny, gdzie żadne z rodziców nie potrafiło sklecić jednego zdania, dlatego brak dobrych manier nie jest twoją winą, ale nie waż się mnie jeszcze raz dotknąć – wyszczałam.

– *Sacré bl...* – dłoń Pascala zacisnęła się w pięść.

– Chcesz, żebym ją sprzątnął? – spytał ochoczo Tank, sięgając po pistolet.

– Lepiej bądź grzeczna, suko, bo ci goście rozsmarują twój mózg na ścianie – powiedział JJ, po czym pchnął mnie do przodu i znikł w tłumie.

Próbowałam uciekać, ale Pascal mnie złapał, wykręcił ramię i obrócił ku sobie. Potworny ból przeszył moją rękę, a do oczu napłynęły łzy.

– Nie tutaj, Pascal – powiedział Remi, stając za plecami napastnika. Rytmicznie uderzał kijem o swoje ramię. – Zabierz ją gdzieś indziej.

– Nie ma sprawy – odparł Pascal, chwytając mnie za gardło i przyciskając do siebie. Poczulałam coś zimnego i twardego na grdyce.

Wiłam się i wrywałam, ale nie byłam w stanie uwolnić się z tych okowów.

– *Allonsy** [Allonsy (fr.) – Idziemy (przyp. red.)] – warknął Pascal, ni to ciągnąc, ni to popychając mnie na zaplecze baru. – Zaraz się zacznie jazz...

Rozdział 32

Nie! – krzyknęłam, kiedy przerażenie wzięło górę nad rozsądkiem.

Pascal ręką z nożem trzymał mnie za szyję, a drugą wykręcał mi ramię do tyłu i w ten sposób prowadził przez tłum. Ostrze jego noża coraz mocniej wrzynało mi się w skórę szyi i czułam, jak spływa po niej krew.

Targały mną strach i wściekłość, na przemian wydając sprzeczne rozkazy ciała.

Rób, co ci każe!

Nie wolno ci z nim iść!

Spanikowana, rozglądałam się dookoła szukając pomocy. Spowity papierosowym dymem barman obserwował nas beznamiętnie. Z szafy grającej dudniło rockabilly. Słyszałam śmiechy i krzyki, ale nikt nie kwapił się, aby mnie wybawić. Widziałam twarze pełne apatii, ludzie beznamiętnie spoglądali na preludium gwałtu.

Nie pozwól, aby cię wywlókł na zewnątrz!

Znowu spróbowałam się wyrwać z uścisku, ale nie miałam najmniejszych szans. Pascal zacisnął mocniej dłoń na mojej szyi i zmusił mnie, abym otworzyła drzwi na zaplecze i zeszła po metalowych schodach. Odgłos kroków powiedział mi, że Tank idzie za nami.

Kiedy stanęłam na żwirze, jeszcze raz spróbowałam się wyrwać i uciec, ale Pascal tylko zacisnął mocniej chwyt. Zdesperowana opuściłam głowę i ugryzłam go w dłoń tak mocno, jak tylko byłam w stanie.

Pascal ryknął z bólu i cisnął mną o ziemię. Przetoczyłam się po niedopałkach papierosów, zużytych prezerwatywach, kapslach i starych gazetach. Smród moczu sprawiał, że treść żołądka podchodziła mi do gardła. Desperacko próbowałam wyciągnąć z kieszeni gaz.

– Nawet o tym nie myśl – warknął Pascal, kopiąc mnie w plecy.

Ogromna siła przycisnęła mnie do żwiru, wybijając powietrze z płuc. Przed oczyma zawirowały mi gwiazdy.

Krzycz!

Próbowałam wołać o pomoc, ale nie potrafiłam wydobyć głosu z gardła.

But przestał uciskać moje plecy. Usłyszałam kroki i skrzypnięcie otwieranych drzwi samochodu. Gnana strachem zaczęłam się czołgać, ślizgając się w błocie łokciami.

– To nie jest twój szczęśliwy dzień, pizdo.

Do mojej skroni ktoś przytknął lufę pistoletu. Po chwili zobaczyłam twarz Tanka, która zbliżyła się tak bardzo, że znowu poczułam bijący od niej smród.

Zza pleców dobiegł mnie odgłos kroków.

– Te, mała, limuzyna już czeka. Podnieś ją, Tank. Ktoś postawił mnie na nogi jak zrolowany dywan.

Wyrywałam się i kopałam ile sił, ale na próżno. Przerażona, rozejrzałam się dookoła, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Tank uniósł mnie i wrzucił do samochodu. Wsunął się za mną na tylne siedzenie i przycisnął butem twarz do podłogi. W moje nozdrza uderzył smród wymiocin, brudu, przetrawionego alkoholu i smaru.

Drzwi zatrzasnęły się za nami, a samochód ruszył z piskiem opon.

Byłam w pułapce bez wyjścia! Dusiałam się.

Jakimś cudem zdołałam podciągnąć ręce i unieść się na nich. Tank przestał dociskać mnie do podłogi, ale nadal trzymał nogę na moich plecach.

– Odezwij się, a dostaniesz kulkę w łeb – syknął. Jego głos stał się niższy i bardziej wyraźny niż w barze.

Alkohol i narkotyki tworzyły tak wybuchową mieszaninę, że ci dwaj bez wahania zabiliby mnie, gdybym choć pisnęła. Nie mogłam ich prowokować, dopóki nie miałam okazji do ucieczki. Czekając na swoją szansę, opuściłam głowę i próbowałam się uspokoić.

Pascal prowadził nerwowo, zmieniając biegi i wciskając pedał gazu krótkimi, gwałtownymi ruchami. Samochód podskakiwał na wybojach i zarzucał, sprawiając, że byłam bliska wymiotów. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy, ale starałam się zapamiętać ilość skrętów i postojów, tworząc w myśli mapę tej koszmarnej podróży.

Kiedy samochód znieruchomiał, Tank zdjął nogę z moich pleców. Drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem. Usłyszałam głosy, a potem Pascal wyciągnął mnie na zewnątrz.

Próbowałam odzyskać równowagę, ale kiedy spojrzałam na Tankę, nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Trzymał pistolet wycelowany prosto w moją twarz. Jego oczy błyszczały czernią w świetle latarni, a na twarzy malowała się zwierzęca żądza krwi. Na nic błagania, zdałam sobie sprawę.

Pascal pchnął mnie na krótki chodnik prowadzący do domu o ceglanych ścianach i zielonym dachu. Kiedy wyciągnął klucz i otworzył bramę w płocie, po czym kazał mi wejść do środka, resztki odwagi mnie opuściły..

Uciekaj! Nie wchodź do środka!

– Nie!

– Rusz dupę, suko!

– Proszę, nie! – Krew pulsowała mi w skroniach.

Próbowałam się zaprzeć, ale Pascal bez trudu wepchnął mnie na podwórko. Tank szedł za nim krok w krok, czułam lufę na karku i wiedziałam, że ucieczka jest niemożliwa.

– Czego ode mnie chcecie?

– Wszystkiego i jeszcze trochę, zdiro – parsknął Pascal. – Nawet sobie nie śniłaś o takich rzeczach.

Podszedł do drzwi i powiedział coś do domofonu. Usłyszałam metaliczny szczęk, a potem klekot i kiedy drzwi się otwarły, zostałam wepchnięta do wewnątrz.

Są takie chwile w życiu, kiedy człowiek po prostu wie, co się za chwilę stanie. Serce wali jak młotem, ciśnienie krwi rośnie, ale świadomość tego, że są to ostatnie chwile przed śmiercią, jest obezwładniająca. Targają wtedy człowiekiem sprzeczne uczucia: żeby spróbować ostatniego zrywu albo żeby się poddać i tylko zbyt długo nie cierpieć.

Raz czy dwa doświadczyłam tego na swojej skórze, ale nigdy w tak gwałtowny sposób. Pascal wepchnął mnie do korytarza i zdałam sobie sprawę, że nie wyjdę z tego domu żywa. Zdecydowałam się na walkę.

Obróciłam się na pięcie i z całej siły grzmotnęłam go pięścią w twarz. Coś chrupnęło, więc poprawiłam łokciem i zakończyłam serię hakiem w szczękę. Głowa Pascala odskoczyła do tyłu, ja wyswobodziłam się z jego ramion i rzuciłam do ucieczki.

Znalazłam się w salonie, podobnym do baru w bazie Żmij w St-Basile-le-Grand. Przed sobą miałam podobny kontuar, nad nim prawie identyczne neony i monitory. Jedyna różnica polegała na tym, że te działały i rzucały błękitnawe światło na pomieszczenie i bywalców.

Przebiegłam przez salę i, chwyciwszy jedną dłonią kij bilardowy, drugą próbując wyszarpnąć z kieszeni gaz, rozglądałam się pośpiesznie, szukając jakichś drzwi lub okien.

Przy barze siedziało dwóch mężczyzn, trzeci za nim stał. Zaalarmowani krzykiem Pascala spojrzeli w jego stronę, potem odprowadzili mnie wzrokiem, kiedy przebiegłam przez środek pomieszczenia i znowu spojrzeli na drzwi, kiedy mój prześladowca wpadł do środka.

– Zabiję tę zasraną kurwę! Gdzie ona jest? Światło neonów zalało sylwetkę Pascala, pogłębiając cienie twarzy wokół oczu i na policzkach.

– Ani kroku dalej!

Głos mężczyzny był niski i ostry. Pascal znieruchomiał, a trzask metalowych drzwi powiedział mi, że Tank postanowił nie zostawać do końca imprezy. Zaryzykowałam krótkie spojrzenie na mojego wybawcę.

Mężczyzna ubrany był w jasnobrązowy garnitur z podwójnymi klapami, jasną pastelową koszulę i krawat w odpowiednio dobranym odcieniu. Jego skóra była opalona, a fryzura świadczyła, że stylistą musiał brać co najmniej osiemdziesiąt dolarów za wizytę. Każdy z palców jego wypielęgnowanych dłoni ozdobiony był pierścieniem.

Na widok człowieka u jego boku, moje serce zamarło.

Andrew Ryan miał na sobie czarne dżinsy, buty i szarą dresową bluzę bez rękawów. Jego twarz była ściągnięta gniewem, a kości żuchwy rytmicznie pulsowały.

Nasze oczy się spotkały i przez chwilę widziałam napięcie malujące się w jego oczach, po czym Ryan odwrócił wzrok.

Krew uderzyła mi do głowy, a policzki oblał rumieniec. Nogi miałam jak z waty i musiałam chwycić krawędź stołu bilardowego, aby nie upaść.

Po kilku chwilach Ryan obrócił się na stołku, rozprostował nogi i spoglądając nonszalancko na mnie, powiedział:

– Proszę, proszę... co za miła niespodzianka.

– Znasz tę cipę? – warknął drżącym z wściekłości głosem Pascal. Krew spływała z jego nosa, więc otarł ją rękawem.

– Toż to wielce uczona pani doktor – mruknął Ryan, wyciągając paczkę Marlboro z kieszeni i wkładając papierosa do ust.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na nim, ale Ryan niespiesznie wyciągnął z celofanu zapalną, potarł ją o spód stołka, zapalił papierosa i się głęboko zaciągnął.

Ja z kolei odetchnęłam. Jego dłonie wyglądały tak znajomo, że bezwiednie westchnęłam.

Co on tutaj robi?

Ryan umieścił papierosa między palcami, wyjął z ust wykałaczkę i rzucił ją w moim kierunku. Patyczek przeleciał łukiem przez pomieszczenie i upadł na zielony materiał, jakim

wyłożono stół bilardowy. Coś wewnątrz mnie pękło i wybuchłam:

- Ty zdradziecki draniu! Zawszony kłamco! Żebyś tak zdechł, Ryan, słyszysz mnie?
- Widzisz? – rzucił Pascal. – Trzeba ją będzie nauczyć dobrych manier.
- Kiepski pomysł – odparł Ryan, zaciągając się znowu papierosem.

Mężczyzna w garniturze spojrział na niego z zaciekawiony. Minęło kilka sekund, napięcie w powietrzu osiągnęło nieznośny poziom.

- Czemu tak sądzisz? – spytał cichym głosem.
- To glina. – Kolejny dymek. – Policja bez trudu dojdzie do tego, że to Pascal ją załatwił.
- No i? Strach cię obleciał? – zapytał ten wyzywająco.

Ryan wydmuchnął dym przez nos i odparł:

Posłuchaj mnie uważnie, debil. Już spieprzyłeś jedną akcję, a teraz ściągasz nam na głowę gliniarza. Jak z nimi zadzierasz, a szczególnie z babą, chwilę później zwala się ich całe stado, tylko po to, żeby ci zrobić z dupy jesień średniowiecza. Może tobie to nie przeszkadza, bo lubisz takie zabawy, ale my nie. Przez twoją głupotę cały interes zostanie wstrzymany, bo będą nas sprawdzać od góry do dołu.

Pascal spojrział na Ryana z nieukrywaną nienawiścią.

- Ta dziwka mnie uderzyła! Tak ją urządzę, że popamięta mnie do końca życia!

Jego twarz przybrała karykaturalny wyraz, powieki i usta drgały w niekontrolowany sposób.

Mężczyzna w garniturze obserwował Ryana przez kilka chwil, a potem przeniósł wzrok na Pascala.

- Nie – odparł. – Zapomnij o tym.

Pascal miał coś powiedzieć, ale Ryan uniósł rękę, uciszając go.

- Chcesz ją pokrwawić? Patrz.

Ryan podszedł do baru i wziął zza lady czerwoną plastikową butelkę. Wrócił do mnie i trzymając ją nad moją głową, wycisnął zawartość, zataczając dłonią koła. Nie drgnęłam nawet.

- Patrz uważnie, Szekspir! – warknął, po czym cisnął ją na blat.

Kątem oka zauważyłam, że moja bluzka jest cała umazana keczupem. Kiedy ponownie rzuciłam spojrzenie na Ryana, na usta cisnęły mi się słowa, jakich nigdy w życiu jeszcze nie używałam.

Cwaniacki uśmieszek znikł z jego ust, a błękitne oczy wpatrywały się w moje. Po chwili przeniósł spojrzenie z powrotem na Pascala.

- Koniec zabawy.

– Zabawa się skończy, kiedy ja tak powiem – odparł tamten z wściekłością. Jego źrenice były tak rozszerzone, że przypominały studzienki kanalizacyjne. Spojrzął na towarzysza Ryana i powiedział: – Ten dupek nie może się do mnie w ten sposób odzywać. Nie jest nawet...

- Może on nie, ale ja tak – odparł tamten szeptem. – Spierdalaj stąd w podskokach.

Pascal stał wściekły, żyły na jego zmarszczonym czole pulsowały. W końcu ruszył do wyjścia, rzucając na odchodnym:

– Sukinsyn!

Mężczyzna w garniturze spojrział na Ryana, który obrócił się ku mnie.

– Trzymaj gębę na kłódkę i nie próbuj niczego głupiego – powiedział, podkreślając każde słowo dźgnięciem mnie palcem w pierś. – Nie myśl, że zrobiłem to dla ciebie, bo prawda jest taka, że równie dobrze mogłabyś właśnie obsługiwać Pascala na kolanach. – Ryan podszedł tak blisko, że poczułam jego znajomy, tak bardzo upragniony zapach. Chwytał mnie za włosy i skierował twarz ku górze. – Dzisiejsza przygoda nie miała miejsca. Jeżeli cokolwiek piśniesz, osobiście poszczuję cię Pascalem.

Na koniec tyrody pchnął mnie w kierunku drzwi i rzucił na odchodnym:

– Otworzymy ci bramę. Zjeżdżaj stąd.

Ryan zajął swoje miejsce przy barze, dopalił papierosa i zgasił peta o metalowy blat. Kiedy go obserwowałam, poczułam, że w moim żołądku tworzy się jakaś lodowata gula.

Bez słowa odłożyłam kij i na drżących nogach pobiegłam do drzwi. Kiedy wyszłam poza bramę, wreszcie udało mi się wyjąć gaz z kieszeni. Rozzłoszczona, przerażona, upokorzona i sfrustrowana, wypikałam go na mur domu, a potem przycisnęłam pojemnik do piersi i załkałam.

Melina znajdowała się sześć przecznic od *La Taverne des Rapides*. Na wpół biegnąc i na wpół potykając się o własne nogi, dość szybko znalazłam samochód. Otworzyłam drzwi i wsiadłam, blokując je za sobą. Przez dłuższą chwilę siedziałam nieruchomo, jeśli nie liczyć drżących nóg i trzęsących się dłoni. Odetchnęłam głęboko i zmusiłam się do wykonywania czynności powoli, ale dokładnie. Pasy. Zapłon. Zmiana biegu. Gaz.

Ciemne niebo przecinały błyskawice, z chmur zaczął padać deszcz. Po drodze do domu przekroczyłam wszystkie ograniczenia prędkości. W mojej głowie panował kompletny chaos.

Ryan dał swojemu kompanowi rozsądną radę. Przestępcy musieli mieć naprawdę bardzo poważne powody, aby porywać się na policjanta. Reakcja organów ścigania byłaby bezlitosna i miażdżąca, mogłaby gang wyłączyć z akcji na bardzo długi czas, jeśli nie na zawsze. Jeżeli gliniarz nie stanowił poważnego niebezpieczeństwa, należało się z nim obchodzić jak ze śmierdzącym jajem. Człowiek w garniturze doskonale to rozumiał, ale co z Ryanem? Czy to rzeczywiście był jedyny powód?

Co tak naprawdę się tam stało? Czyżbym odkryła jak wygląda jego nowe życie? Rzeczywiście przystał do gangu czy miał w tym jakiś swój ukryty cel? Co to wszystko oznaczało? Czy upokorzenie mnie miało pogrzebać jego dawne życie, a może uratować mnie z opresji? Czy wpakowałam go w kłopoty?

Powinnam zameldować o całym zajściu, ale co z tego przyjdzie? *Carcajou* bez wątpienia znało ten klub i posiadało akta Tanka i Pascala.

Carcajou. Claudel i Quickwater. Mój żołądek zawiązał się na supeł. Co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, w jaki sposób wpakowałam się w kłopoty? Czy Claudel wykorzystałby moją nieostrożność, aby usunąć mnie z oddziału?

A co jeśli Ryan był wtyczką? Czy raport dodatkowo by go naraził?

Nie znałam odpowiedzi na pytania, ale wiedziałam, co robić. Niezależnie od tego, co nim

kierowało, nie zrobię niczego, co mogłoby ściągnąć dodatkowe niebezpieczeństwo na głowę Andrew Ryana. Nie złożę raportu, jeśli istnieje choć cień groźby, że mu zaszkodzi. Jutro podejmę decyzję.

Kiedy wróciłam do domu, drzwi w pokoju Kita były zamknięte, ale przez ścianę nie dobiegało mnie dudnienie muzyki.

Świetnie się spisałaś, ciociu. Teraz wiesz, czemu nie jesteś gliną.

Rozebrałam się i rzuciłam ubranie na krzesło, a potem od razu poszłam spać. Kiedy zamykałam oczy, uderzyła mnie myśl: co by się teraz ze mną działo, gdyby Pascal postanowił zabawić się gdzieś indziej. Sen nie przychodził długo.

Rozdział 33

Obudziłam, się dosyć późno i kiedy w końcu wstałam było po dziesiątej. Czułam się fatalnie bolało mnie całe ciało. Zaaplikowałam sobie kurację złożoną z herbaty, aspiryny i gorącej kąpieli, opędzając się od wspomnień zeszłej nocy. Jedyne śladami po niej były otarcia na nogach i plecach oraz niewielkie skaleczenie na szyi. Odrobinę mocniejszy makijaż i golf z wysokim kołnierzem pozwoliły to ukryć. Dzień w pracy upłynął mi pod znakiem rutyny. Nie złożyłam raportu.

Kiedy wróciłam do domu, zjedliśmy z Kitem obiad, wspólnie, lecz w milczeniu. On nie pytał, co robiłam poprzedniej nocy, najprawdopodobniej nie wiedział, że mnie nie było, ja nie wracałam do tematu wczorajszej kłótni.

Zdecydowałam, że czas na pranie. Przeniosłam kosz z sypialni do łazienki i zaczęłam segregować rzeczy na te, które można wrzucić do pralki i takie, które wymagają specjalnego potraktowania. Dorzuciłam ubrania z wczorajszej eskapady, ale kiedy zobaczyłam bluzkę umorusaną keczupem, serce podeszło mi do gardła.

Rozprostowałam ją i zaczęłam spryskiwać odplamiaczem, wyobrażając sobie, że to pistolet wycelowany w Ryana. Psik. Nagle przed oczyma stanął mi uśmiezek błakający się na jego ustach.

Psik.

„Patrz uważnie, Szekspir!” Psik!

Nagle moja dłoń zamarła. Ślady na bluzce były regularne i tworzyły dwie szóstki.

„Patrz uważnie, Szekspir”. Ryan uwielbiał sonety Szekspira.

Nagle coś sobie przypomniałam: ogólniak, pani Tomlinson. Angielski.

Czy to możliwe?

Wystrzeliłam z łazienki jak z procy i pobiegłam do sypialni. Tam, na półce odnalazłam „Dzieła zebrane Szekspira” i, ledwie łapiąc oddech, szybko odszukałam sonet sześćdziesiąty szósty.

No dalej, Bill, mówiłam w myślach. Niech to tam będzie.

Kiedy przeczytałam wers, w oczach stanęły mi łzy.

*Jak zacność bezskutecznie odpiera potwarze** [William Shakespeare – *Sonet 66* w tłumaczeniu S.

Barańczaka (przyp. tłum.)]

Bezskutecznie odpiera potwarze.

A więc to była wiadomość. Ryan chciał mi przekazać, że nie wszystko jest takie, jakim się wydaje.

Zacność.

A więc jednak, nie zdradził, nie przeszedł na drugą stronę!

Co się zatem stało?

Czy był wtyczką?

Dlaczego nic mi nie powiedział?

Nie mógł, Brennan. Wiesz o tym.

Nieważne, nagle zdałam sobie sprawę, że niezależnie od tego, co Ryan robił, nadal był sobą. Z czasem poznam resztę opowieści.

Utwierdziłam się w przekonaniu, że nie powinnam opowiadać o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Nie mogłam narazić Ryana na większe niebezpieczeństwo. Takie operacje mogły się ciągnąć miesiącami, nawet latami, ale skoro wiedziałam, co jest grane, mogłam poczekać.

Uśmiechnęłam się do siebie, wróciłam do łazienki i wrzuciłam bluzkę do pralki. Mogę poczekać, Ryan. Ile będzie trzeba.

Mój humor poprawił się nagle. Od tygodni się tak dobrze nie czułam. Znikło widmo Pascala i Tanka, a ja włączywszy pralkę, wróciłam do zdjęć, które porzuciłam zeszłego popołudnia.

Ledwo włączyłam komputer, gdy w drzwiach stanął Kit.

– Zapomniałem ci powiedzieć. Dzwoniła Isabelle. Powiedziała, że wyjeżdża z miasta i prosiła, żebyś się do niej odezwała.

– Gdzie się wybiera?

– Nie pamiętam.

– A kiedy?

– Nie wiem.

– Dzięki.

Kit spojrzał na monitor.

– Co robisz?

– Próbuję oczyścić fotografie, żeby rozpoznać twarze ludzi na zdjęciach.

– Kogo?

– Na jednym z nich jest Savannah Osprey i facet, którego zabito w zeszłym tygodniu.

– Ten, którego zadźgali w więzieniu?

– Nie, osoba, która według policji miała być jego ofiarą.

– Cudnie. – Wszedł do pokoju i zapytał: – Mogę rzucić okiem?

– Jasne. Nie sądzę, aby na fotografiach były jakieś tajne informacje. Jeśli obiecasz, że nikomu o nich nie opowiesz, możesz sobie nawet przysunąć krzesło.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie z Myrtle Beach. Wskazałam najpierw na Savannah, potem na Cherokee'ego.

– Rany, takiego klienta to nawet WWF by odrzuciło.

– World Wrestling Federation?* [World Wrestling Federation – światowa federacja zapasów zawodowych, po przegranej procesie z World Wildlife Fund zmieniła nazwę na World Wrestling Entertainment (przyp. red.)].

– Nie, World Wildlife Fund. – Kit wskazał na Savannah. – No, to nie jest raczej damulka.

– Owszem, ale motocykliści czasami porywają dziewczyny i odurzają je narkotykami.

– Nie wygląda mi też na miss plaży. Rany, jej skóra jest biała jak płótno.

– Chcę, abyś na coś spojrzał.

Zamknęłam plik i otworzyłam ten z fotografią z zatrzymania.

Kit pochylił się do przodu i uważnie obrzucił spojrzeniem całą scenę.

– To ten sam gość? – spytał, wskazując na Cherokee’ego.

– Tak.

– Dalej jesteśmy w Dixie?

– Południowa Karolina.

Jego oczy studiowały całą grupę, ale kiedy zatrzymał spojrzenie na motocyklu w rogu, wykrzyknął: – Jasna cholera. Przepraszam. Kiedy zostało zrobione?

– Nie wiem. Czemu pytasz?

– To ta sama maszyna, którą widzieliśmy na zdjęciu z pogrzebu.

Moje serce zabiło mocniej.

– Jesteś pewien?

– Ciociu, to najwspanialsze żelastwo z Milwaukee, jakie w życiu widziałem. Można by jeździć na krawędziach tych kół.

– Dlatego pytałam o tamto zdjęcie.

– Znalazłaś je?

– Nie.

– Z nim czy bez niego, mówię ci, to ten sam motor.

– Skąd masz taką pewność?

– Powiększ je.

Zrobiłam, o co poprosił, a Kit jęknął;

– Chryste w niebiosach, to pięćset kilo czystego gromu!

– Powiedz mi, skąd wiesz, że to ten sam motor.

– Jak mówiłem wcześniej, to stary policyjny FLH obdarty ze standardowego wyposażenia i przerobiony specjalnie dla gościa. Nic niezwykłego, jeśli nie brać pod uwagę, jak to zrobiono. – Kit zaczął wymieniać motocyklowe cuda, wskazując je na ekranie. – Gość chciał dziką maszynę, dlatego zaczął od zmiany stosunku masy do mocy.

Palec Kita wskazał na przód maszyny.

– Przesunął podstawę koła i podniósł front, montując dłuższy widelec. Rany, te cudeńka muszą mieć więcej niż pięćdziesiąt centymetrów ponad normę. Pewnie skrócił tym samym ramę. Trzeba się znać na rzeczy, żeby to dobrze zrobić.

– Dlaczego?

– Bo jeśli się coś schrzani, to motor się wywróci i człowiek pociągnie twarzą po betonie.

Kit wskazał na kierownicę.

– Wykorzystał psie kości*[psie kości – (ang. dog bones) dwie symetryczne części montowane po obu stronach kierownicy w celu jej poszerzenia, a czasem także podwyższenia; nazwa pochodzi od typowego kształtu przypominającego kość dla psa: niedługa rurka zakończona z obu stron zgrubieniami służącymi do jej zamontowania, a przypominającymi główki kości. Psie kości mogą mieć różną długość i różny kształt; tu wykorzystano części mające kształt litery Z, co pozwoliło na poszerzenie kierownicy i podniesienie jej rączek na wyższy poziom (przyp. red.)] i stalowe rurki, żeby unieść rączki.

– Aha.

– No i nie zwracał uwagi na komfort jazdy, ma jeden resor z przodu, ale to zwykła sprężyna, nie hydrauliczna, konstrukcja „twardego ogona”.

– Twardy ogon?

– Tak się mówi na ramę bez tylnego resoru, ponieważ motocyklista czuje na tyłku każdą nierówność.

Wskazał na rurki wystające z przodu maszyny.

– Zauważ kołki szosowe.

Wyraz mojej twarzy powiedział mu, że nie rozumiem, co do mnie mówi.

– Wyposażył maszynę w dodatkowe podpórki, na których mógł oprzeć nogi podczas dłuższej jazdy, jednocześnie sterując maszyną. To doświadczony motocyklista.

– Jesteś pewien, że to ta sama maszyna, która stała obok grobu Silvestre'a?

– Tak, na pewno. Ale to nie wszystko.

Nic nie odpowiedziałam, czekając na dalszą część wykładu.

– Spójrz na to – powiedział Kit, wskazując na zbiornik paliwa. – Obłożył bak jakąś substancją modelującą i go wyrzeźbił. Co ci przypomina?

Przysunęłam się do monitora. Frontowa część zbiornika wyglądała dziwnie, ale nic mi nie przywodziła na myśl. Spojrzałam uważniej i coś zaczęło do mnie docierać.

Wreszcie zrozumiałam.

– To coś niezwykłego?

– Jedyne taki bak, jaki widziałem, ten gość był jak Rodin sztuki motocyklowej.

Kit przez chwilę spoglądał na motor zafascynowany, a potem wykrzyknął;

– Taaa! Wiatr we włosach, a ty mkniesz na łbie węża! Woooo!

Nagle Kit zamarł bez ruchu i podszedł z powrotem do monitora. Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Pochylił się i spojrzał na ekran, jak ptak obserwujący dziwnego insekta.

– Możesz powiększyć twarz tego faceta?

– Tego na motorze?

– Tak.

– Będzie niewyraźna.

– Spróbuj.

Wykonałam te same czynności, co podczas wspólnej analizy z Claudelem. Linie i cienie przemieszczały się, tworząc z pikseli rozpoznawalne kształty, a potem układając w bezsensowne wzory kolorów. Po chwili zrozumiałam, co zauważył Kit.

Minęło dwadzieścia minut. Nie byłam w stanie bardziej poprawić jakości obrazu. Żadne z nas się nie odezwało.

– Jak go poznałeś?

– Sam nie wiem. Może kształt szczęki albo nosa? Dotarło do mnie, kiedy patrzyłem na bak. Przedtem nawet go nie zauważyłem.

Obydwoje spoglądaliśmy na człowieka siedzącego na zadziwiającej maszynie. On patrzył gdzieś w przestrzeń, zainteresowany dawno minionymi wydarzeniami.

– Mówił kiedykolwiek, że jeździł z Aniołami?

– Nie nosi ich barw.

– Mówisz szczerze, Kit?

Kit westchnął.

– Przysięgam.

– Utrzymuje z nimi kontakty.

– Ciociu, proszę. Sama go widziałaś.

O tak, miał rację. Tego mężczyznę widziałam na drodze z St-Basile-le-Grand, przy obiedzie i w wieczornych wiadomościach. Był nawet w moim domu.

Na motocyklu siedział Lyle Crease.

Rozdział 34

Słowa i obraz zawirowały w mojej głowie. Widziałam twarz Pascala i światła neonów, słyszała jak George Dorsey bełkocze moje nazwisko w karetce. Lśniąca gałka oczna.

- ... zamierzasz zrobić? – spytał Kit.
- Najpierw zadzwonię do Isabelle, potem idę spać.
- Nic więcej?
- Na razie tak.

Bywały takie chwile, kiedy myśli tak kłębiły się w mojej głowie, że najlepszą strategią było odczekać i pozwolić im, aby same trafiły na swoje miejsce.

- Nie jesteś ciekawa?
- Nawet bardzo. Tak czy inaczej przekonamy się, czy Lyle Crease nadal ma związki z Aniołami Piekieł. Ale nie dziś.
- Mogę się popytać.
- Tego właśnie nie będziesz robił – odparłam zdecydowanym tonem. – To może być niebezpieczny człowiek, który ma groźnych przyjaciół.

Kit opuścił wzrok i burknął:

- Jak chcesz – wzruszył ramionami.

Kiedy usłyszałam, jak zamykają się drzwi jego pokoju, zadzwoniłam do Isabelle. Odebrała po czwartym sygnale, odrobinę zdyszana.

– *Mon Dieu*, właśnie przekopuję się przez szafę. Schowałam gdzieś mój kuferek Vuitton i nie mogę go znaleźć.

- Isabelle, potrzebuję pewnych informacji.

Mój ton aż nadto dawał do zrozumienia, że nie jestem w nastroju do rozmowy o zaginionej walizce.

- *Oui*?
- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o Lyle’u Creasie.
- Ach, Tempe, ty mała wiedźmo. Wiedziałam, że zmienisz zdanie.

O tak, na pewno.

- Co o nim wiesz?
- Ładniutki jest, czyż nie? – Tak, jak glista mięsna, powiedziałam w duchu, ale nie odezwałam się ani słowem. – Poza tym pracuje jako dziennikarz śledczy dla CTV. Ciekawa robota.

- Od jak dawna?
- Nie rozumiem.
- Czy wiesz jak długo?
- *Mon Dieu*, od zawsze.
- Ile lat dokładnie?
- Cóż... nie jestem pewna. Widuję go w telewizji, odkąd pamiętam.
- Co robił przedtem?

– Przed telewizją?

– Tak, zanim zaczął pracować dla CTV. – Rozmowa z Isabelle była trudniejsza, niż przesłuchiwanie George’a Dorsey’a.

– Niech pomyślę. – Usłyszałam ciche stukanie i oczyma wyobraźni zobaczyłam polakierowane paznokcie Isabelle stukające o słuchawkę. – Już wiem, Veronique mi wszystko opowiedziała. Jest gospodarzem talk-show w Radio Kanada, zaprasza sławnych ludzi, ale zaczynała jako pogodynka w CTV. Znasz ją?

– Nie. – Moja lewa powieka zaczynała drgać nerwowo.

– Przez krótki czas spotykała się z Lyle’em...

– Jestem pewna, że kiedyś widziałam ją w telewizji.

– Wydaje mi się, że powiedziała, że Lyle przeniósł się do kanadyjskiej telewizji z jakiejś amerykańskiej gazety. Nie, czekaj, coś sobie przypominam. – Stuk, stuk, stuk. – To był dziennik gdzieś na zachodzie. Alberta. Chyba. Ale Crease pochodzi ze Stanów. Może uczeszczał tam do szkoły.

– Wiesz gdzie dokładnie?

– Na Południu. Powinien ci przypaść do gustu.

– Kiedy przyjechał do Kanady?

– O mój Boże, nie mam pojęcia.

– Gdzie mieszka?

– Poza wyspą, jak mi się wydaje. Może na przedmieściach?

– Ma tutaj rodzinę?

– Nie wiem.

– Jak dobrze go znasz?

– Cóż, nie jesteśmy sobie specjalnie bliscy, Tempe – po jej głosie poznałam, że wyczuwa czarne chmury zbierające się nad jej głową.

– I próbowałaś mnie z nim umówić? – Staralam się zachować normalny, spokojny ton, ale i tak znać było po mnie zdenerwowanie.

– Nie mów w ten sposób. Dżentelmen spytał, czy może cię poznać, więc nie widziałam powodu, aby odmówić. Nie żebym uważała, że twoje życie uczuciowe zeszło na psy w tym roku.

– Czekaj, czekaj. To był pomysł Crease’a, żeby mnie poznać?

– Tak – odparła ostrożnie.

– Kiedy cię poprosił?

– Nie pamiętam, Tempe. Wpadliśmy na siebie w *L’Express*, znasz tę kawiarenkę na Rue St-Denis i...

– Tak.

– Lyle zobaczył twoje zdjęcie w gazecie i był pod ogromnym wrażeniem. Tak powiedział, choć nie dokładnie w ten sposób. W każdym razie zaczęliśmy rozmawiać i od słowa do słowa, zaprosiłam go na obiad. – Stuk. Stuk. – W zasadzie to bardzo sympatyczny człowiek. Uroczy.

– Aha. – Ted Bundy* [Theodore Robert Bundy, seryjny morderca działający w Stanach Zjednoczonych

w latach 70., nie wiadomo dokładnie, kiedy zaczął zabijać ani ile kobiet zamordował, podejrzewa się, że było ich kilkadziesiąt, skazany na śmierć, stracony w 1989 r.] też był uroczy.

Przez kilka sekund żadna z nas się nie odzywała.

– Jesteś na mnie zła, Tempe?

– Posłuchaj, dowiem się czegoś. Zadzwoń do Veronique i...

– Nie trzeba. To nic ważnego, nie zawracaj sobie głowy. – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było zaalarmowanie Crease'a. – Byłam po prostu ciekawa. Miłej podróży, Isabelle.

– *Merci*. Nie wiesz przez przypadek, gdzie mogłam wtrynić tę walizkę?

– Poszukaj w schowku.

– *Bonne idee. Bonsoir*, Tempe.

Kiedy się rozłączyłam, zdałam sobie sprawę, że nadal nie wiem, dokąd Isabelle się wybiera.

Godzinę później zaczął się myślowy maraton. Leżałam na łóżku, próbując odciąć się od dudnienia muzyki z pokoju Kita, obrazów i faktów oraz pytań, które zaczęły mnie otaczać ciasnym kręgiem, kiedy zapadałam w głęboki sen.

Obraz: Lyle Crease popijający wino.

Fakt: to Crease zaaranżował nasze spotkanie. Był w St-Basile-le-Grand i wiedział o szkieleciech, widział artykuł w *Gazette*, jeszcze przed obiadem u Izabelle.

Pytanie: czemu chciał się ze mną spotkać? Czy jego zainteresowanie było spowodowane odkryciem pochówków? Szukał po prostu informacji czy miał jakiś ukryty cel?

Obraz: młody Lyle Crease na motocyklu.

Fakt: Crease był w jakiś sposób powiązany z Południem Stanów.

Pytania: co Crease'a łączyło z tamtejszymi motocyklistami? Czy to on ukraść zdjęcie z pogrzebu Silvestre'a? Jeśli tak, to dlaczego? Czy w jakiś sposób mu zagrażało? Kogo się obawiał?

Obraz: hienowaty drab, kręcący się opodal mojego domu.

Fakt: pomijając strach, jaki wywołał swoją obecnością, jego widok poruszył jakąś strunę w moich myślach.

Pytania: czy Kit mnie okłamał, mówiąc o tym, że nie miał żadnych gości? Dlaczego? Kim jest człowiek w bejsbolowej czapce? Dlaczego na jego widok serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi?

Obraz: LaManche podłączony do aparatury podtrzymującej życie, z tubą w ustach.

Fakt: mój szef miał około sześćdziesięciu lat i nigdy się nie odzywał zdrowo ani nie ćwiczył.

Pytania: czy LaManche przeżyje? Wróci do pracy?

Obraz: Ryan w obskurnym barze.

Fakt: był wtyczką w gangu, nie zdradził policji.

Pytania: czy moja eskapada naraziła go na niebezpieczeństwo? Znalazł się w tarapatach?

Oprócz tego zastanawiałam się, w jaki sposób wysłać Kita do Houston, zaszczyć Ptaśka

i co poradzić na nową fryzurę?

Pod tym natłokiem myśli czaiła się jakaś wskazówka, która uporczywie nie chciała wypłynąć na wierzch. Kim był ten burak w czapeczce bejsbolowej? Przewracałam się i wierciłam, zła, że moja podświadomość coś mi podpowiada, a ja nie mogę rozszyfrować wiadomości od samej siebie.

Ledwie zasnęłam, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo? – wymamrotałam do słuchawki.

– Cześć, już śpisz?

Spojrzałam na zegarek, była pierwsza piętnaście.

– Aha.

– Przypomniałam sobie, to był University of South Carolina.

– Słucham?

– Lyle urodził się w Londynie, tym w Ontario, ale do szkoły uczęszczał w Południowej Karolinie. – W głosie Isabelle słyszałam dumę. – Nie przejmuj się, byłam niezwykle dyskretna.

O Boże.

– Dziękuję, Isabelle – odparłam zasapana.

– Nie ma za co, kochana – zaszczębiotała. – Aha, walizkę znalazłam w szafce na ręczniki w łazience. Ależ ze mnie bałaganiara. *Bonsoir*.

Odłożyła słuchawkę.

Wyłączyłam swoją i opadłam na poduszki. Z pokoju siostrzeńca nie dochodziło dudnienie, czyżby Kit gdzieś wyszedł?

Zaczynałam zasypiać, kiedy świadoma część mojego umysłu dokonała kolejnej próby rozwikłania zagadki. Przed oczyma wyobraźni zobaczyłam długowłosego faceta w skórzanym płaszczu i czapeczce bejsbolowej.

Czapeczka.

Usiadłam na łóżku, gorączkowo przypominając sobie inne zdjęcie.

Czy to możliwe?

Następnego ranka wstałam jeszcze przed budzikiem. Wzięłam prysznic, ubrałam się i krzątałam po mieszkaniu, zanim wyszłam do pracy.

Kiedy dotarłam do laboratorium, od razu poszłam do pracowni Gilberta i poprosiłam o udostępnienie pewnych materiałów. Bez słowa podszedł do szafki i wyjął kasetę, po czym wręczył mi ją. Podziękowałam i ruszyłam do sali konferencyjnej, Nerwowym ruchem włożyłam ją do magnetowidu i włączyłam go. Nie wiedząc, gdzie znajduje się scena, której szukam, zaczęłam oglądać materiał od początku na przyśpieszonym podglądzie.

Na ekranie pojawiały się i znikwały kolejne ujęcia mieszkania Cherokee’ego Desjardinsa. Salon, kuchnia, bezgłowy trup. Potem kamera skupiła się tylko na zakrwawionych ścianach.

Kiedy jej oko zaczęło omiatać kąt, spowolniłam taśmę i po dwóch minutach znalazłam to, czego szukałam. Przedmiot tkwił między ścianą a zardzewiałą klatką dla ptaków, na której opierała się gitara. Włączyłam pauzę i spróbowałam odczytać napis przebijający się przez

rdzawy nalot.

„... cock...”

Spojrzałam uważniej na czapeczkę. Była czerwono-biała i ozdabiała ją znajome logo, którego wcześniej nie zauważyłam. Po chwili sama się domyśliłam, jakie litery zostały zasłonięte przez krew Desjardinsa:

„G-a-m-e...-s”.

Tak.

Gamecocks.

Napis na czapce nie był wcale obsceniczny, jak przypuszczałam, a był reklamą drużyny lekkoatletycznej Gamecocks.

University of South Carolina Gamecocks.

Widok draba przed moim domem i nocny telefon Isabelle pozwoliły mi wreszcie połączyć fakty i ułożyć je w logiczną całość.

Drzwi uchyliły się i do pomieszczenia zajrzał Michel Charbonneau. W dłoni trzymał dużą brązową kopertę.

– Claudel prosił, abym to pani dał. To oficjalny rozkład zadań na dzień jutrzejszy. Roy zależało, aby go pani przekazać.

– Rozumiem, że *monsieur* Claudel był zbyt zajęty, aby osobiście mi je oddać?

Charbonneau wzruszył ramionami w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Wie pani, pracuje w zasadzie dla dwóch agencji. – Wzrok detektywa powędrował ku monitorowi. – Sprawa Desjardinsa?

– Tak. Proszę na to spojrzeć.

Okrzyżł stół i stanął za mną. Wskazałam na czapeczkę.

– To nazwa drużyny lekkoatletycznej z Południowej Karoliny.

– Wystrój wnętrz sugerował, że Cherokee był zwolennikiem kultury fizycznej.

Zignorowałam żart.

– Czy na zdjęciach, które pan oglądał, Cherokee zawsze miał na głowie jakąś czapkę?

Charbonneau zamyślił się na chwilę.

– Nie, a czemu pani pyta?

– Może czapka nie należała do niego, a do mordercy?

– Dorseya?

Opowiedziałam mu o zdjęciach Lyle’a Crease’a.

– A więc gość sporo czasu spędził na Południu Stanów? Wielkie mi halo, połowa populacji Quebecu jeździ tam na wakacje.

– Skąd w takim razie nagłe zainteresowanie moją osobą po wykopaniu ciała?

– Pomijając to, że jest z pani kawał niezłej sztuki?

– Pomijając.

– Dobra, jak sytuacja się trochę uspokoi, sprawdzimy Crease’a i przepytamy na okoliczność wiedzy o Gatelym i Martineau. Nie mamy jednak niczego, co by sugerowało powiązanie z zabójstwem Cherokee’ego.

Opowiedziałam mu o zdjęciu z Myrtle Beach.

– Crease i Cherokee znali się, a fotografii nie zrobiono na zlocie skautów.

– Podróż przez Dixie i to w zamierzczłych czasach... Crease jest dziennikarzem, może pisał wtedy artykuł? – Charbonneau położył kopertę na stole. – Wie pani, Cherokee był po chemioterapii. Czesanie na pożyczkę nie wchodziło w grę, może dlatego kupił sobie czapkę. Jeśli to pani pomoże, sprawdzę Crease'a.

Kiedy wyszedł, wróciłam do analizy taśmy, zastanawiając się nad wieloma różnymi możliwościami. Czapka mogła należeć do Dorsey'a, który na dodatek twierdził, że wiedział coś o Savannah Osprey. Może i on przez jakiś czas bawił w Południowej Karolinie?

Kiedy kamera skoncentrowała się na innej części domu, przewinęłam taśmę do tyłu i po raz kolejny obejrzałam ten róg pokoju. Krew, gitara, klatka, czapeczka.

A potem nagle poczułam, jak włosy stają mi dęba. Pochyliłam się ku ekranowi, mając nadzieję, że zrozumie coś z tego, co widziałam. Rzeczywiście, choć obraz był niewyraźny, nie mogłam mieć wątpliwości.

Przewinęłam taśmę do początku, wyłączyłam magnetowid i wybiegłam z pomieszczenia. Jeśli miałam rację, Claudel i Charbonneau będą musieli wypracować inną teorię.

Zbiegłam po schodach na trzynaste piętro i podeszłam do dużego okna otwierającego się na pomieszczenie zastawione półkami i regałami. Mała niebieska tabliczka mówiła, że jest to *Salle de Exhibits*, magazyn dowodów rzeczowych.

Mundurowy SQ zdawał właśnie sztucer. Odczekałam cierpliwie, aż urzędniczka wypełni wszystkie formularze, poda mu kwit, a następnie oznaczy broń i odniesie ją na miejsce. Kiedy przyszła moja kolej, pokazałam numer sprawy Cherokee'ego.

– Mogłaby pani sprawdzić, czy w zebranych materiale znajduje się czapka?

– Lista przedmiotów jest bardzo długa – wyjaśniła, wprowadzając dane do komputera. – Wyszukiwanie może zająć trochę czasu.

Jej oczy przebiegły po monitorze i po chwili dodała:

– Tak, jest czapeczka. Została wysłana do laboratorium na badanie krwi, ale już wróciła.

Kobieta znikła w labiryncie półek i po kilku minutach wróciła, niosąc przezroczystą torebkę, wewnątrz której widziałam czerwoną czapkę;

– Chce ją pani pobrać?

– Nie, jeśli to nie będzie kłopot, obejrzę ją tutaj.

– Dobrze.

Ostrożnie rozpięłam torebkę i wysunęłam czapkę. Uniosłam ją za daszek i przyjrzałam się wnętrzu.

Miałam rację. Znalazłam ślady łupieżu. Włożyłam czapkę na miejsce, podziękowałam kobiecie i biegiem wróciłam do gabinetu. Od razu chwyciłam za telefon.

Rozdział 35

Ani Claudela, ani Quickwatera nie było w kwaterze głównej *Carcajou*. Tego pierwszego nie zastałam też w biurze CUM, podobnie jak jego partnera, Charbonneau. Zostawiłam im wiadomości i wróciłam do gabinetu Ronalda Gilberta.

– Dziękuję za kasetę.

– Pomogła?

– Tak, mogę o coś spytać?

– Oczywiście.

– Pamiętasz ten róg pokoju, gdzie pod ścianą stała upchnięta gitara i klatka dla ptaków?

– Tak.

– Była tam czapeczka.

– Pamiętam ją.

– Czy przeprowadzaliście analizę rozprysku na jej powierzchni?

– Oczywiście.

– Interesuje mnie, gdzie znajdowała się w chwili popełnienia morderstwa. Dysponujesz jakimiś notatkami na ten temat?

– Nie potrzebuję żadnych. Doskonale pamiętam, że wzorec rozprysku na czapce jest dokładnie taki, jak od uderzenia tępym narzędziem, do którego zapewne doszło w rogu pokoju.

– Czyli nie ma mowy o ranie postrzałowej?

– Nie. Rozprysk byłby zupełnie inny. Podobnie sam wzór rozprysku był wręcz podręcznikowym przykładem śladu po napaści, o jakiej rozmawialiśmy.

– A więc Cherokee leżał na podłodze?

– Tak.

– Miał ją na głowie?

– Nie, skądże znowu! To byłoby niemożliwe. Czapka w chwili obryzganania krwią była za klatką.

– Jak się tam znalazła?

– Pewnie wpadła tam w trakcie szamotaniny.

– Skąd ta pewność?

– Krew pokrywała ją z wierzchu, jak i od spodniej strony. Napastnik zgubił ją zapewne w trakcie walki.

– Nie należała do Cherokee'ego?

– Głowę dam sobie uciąć, że nie.

– Dzięki.

Wróciłam do biura i usiadłam za biurkiem. Była dziesiąta trzydzieści. Nikt nie pozostawił dla mnie wiadomości, nie przydzielono mi żadnej sprawy.

Siedziałam, bębniąc palcami po słuchawce telefonu, ale ten milczał jak zakłęty. To zły znak. Wykręciłam numer Harry w Houston, ale odezwała się automatyczna sekretarka,

mówiąca kiepskim hiszpańskim. Zadzwoiłam do Kita, ale powitał mnie mój własny głos nagrany na taśmę.

Cholera jasna, gdzie się wszyscy podziali?

Znowu zadzwoniłam do Claudela i poprosiłam, aby oddzwonił na moją komórkę. Tak samo zrobiłam w przypadku Charbonneau. Potem chwyciłam torebkę i wybiegłam z gabinetu, nie mogąc znieść beczynności.

Kiedy wyszłam na zewnątrz, oślepiło mnie słońce. Jasne promienie zalewały całą ulicę, a wróble radośnie ćwierkały na gałęziach drzew. Pracownicy SQ i laboratorium wesoło gawędzili na podjeździe lub wygrzewali się na ławkach, wykorzystując na spacer po trawniku poranną przerwę.

Zaczerpnęłam głęboko tchu i ruszyłam wzdłuż Parthenais, zastanawiając się, jak mogłam przeoczyć wiosnę. Na chwilę w głowie stanęła mi dziwna myśl: gdybym tylko potrafiła zatrzymać czas, odsunąć w nieskończoność pogrzeb Dorsey'a i cieszyć się widokiem koleżanek z pracy, które na bosaka spacerują po trawie.

Niestety, to była zwykła mrzonka. Napięcie i oczekiwanie sprawiały, że stawałam się coraz bardziej nerwowa z każdym dniem.

Chryste panie, Brennan, upomniałam się w duchu. Jeszcze kilka minut temu chciałaś przyspieszyć spotkanie z detektywami, a teraz marzysz o zatrzymywaniu czasu. Zdecyduj się.

Sytuacja dojrzała do tego, aby zjeść hot doga z frytkami.

Skręciłam w lewo, w Ontario, przeszłam ulicą na wschód i weszłam do Lafleur. O jedenastej było tutaj pusto, dlatego bez oczekiwania w kolejce podeszłam do lady.

Lafleur to quebecki odpowiednik fast foodu, który serwuje hamburgery, hot dogi i inne tego typu nieszczęścia. Jego klientelę stanowią głównie pracownicy fizyczni.

– *Chien chaud, frites et coke dietę, s'il sous plait** [Chien chaud, frites et coke dietę, s'il vous plait (fr.) – Poproszę hot doga, frytki i dietetyczną colę (przyp. red.)] – powiedziałam do mężczyzny za kasą, zastanawiając się, czemu zamawianie hot doga po francusku tak obco brzmiało w moich ustach.

– *Steame ou grille?** [Steame ou grille? (fr.) – Gotowany czy smażony? (przyp. red.)]

Wybrałam parówkę gotowaną na parze i kilka chwil później na ladzie przede mną wylądował kartonowy pojemnik, którego lewa strona przemieęła od tłuszczu z frytek.

Zapłaciłam i zajęłam stolik z cudownym widokiem na parking.

Jedząc, obserwowałam innych klientów. Po mojej lewej siedziały cztery młode dziewczyny w białych kitlach pielęgniarek. Bez wątplenia były studentkami ze szkoły naprzeciwko. Plakietki identyfikowały je jako Manon, Lise, Brigitte i Marie-Jose.

Za nimi siedziało dwóch malarzy, którzy jedli w milczeniu. Ich ramiona, włosy i twarze pokryte były śladami po kropelkach farby, przywodzących mi na myśl laboratorium Gilberta. W milczeniu pałaszowali frytki z twarogiem i brązowym sosem. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak mieszkając w mieście wyrafinowanej kuchni, ludzie mogą jeść tak obrzydliwe rzeczy.

Po przeciwnej stronie sali siedział gruby młodzieniec w grubych szklach, bez powodzenia

starający się zapuścić kocią bródkę.

Skończyłam frytki i rzuciłam okiem na telefon. Był włączony, sygnał silny, tylko nikt do mnie nie dzwonił. Cholera jasna, uwzięli się na mnie, czy co?

Potrzebowałam odpoczynku. Fizycznego relaksu.

Kolejne dwie godziny spędziłam, biegając, podnosząc ciężary, tocząc się na ogromnej gumowej piłce i intensywnie ćwicząc aerobik. Kiedy skończyłam, ledwie byłam w stanie dowlec się pod prysznic. Wysilek fizyczny spełnił swoje zadanie, pozbyłam się całej złości, która wypłynęła ze mnie wraz z toksycznymi pozostałościami po frytkach i hot dogu.

Kiedy wróciłam do laboratorium, na biurku zastałam dwie notatki o telefonach do mnie, jakie odebrano pod moją nieobecność. Morin chciał porozmawiać o LaManche'u. To nie oznaczało niczego dobrego. Dlaczego nie zadzwoniła do mnie *madame* LaManche?

Zbiegłam na dół, ale drzwi Morina zastałam zamknięte. To oznaczało, że patologia już dziś nie będzie w pracy.

Wróciłam do gabinetu i zadzwoniłam do Charbonneau.

– Crease jest ciekawszą postacią, niż początkowo sądziłem – powiedział.

– Czemu?

– Wygląda na to, że sporo łączy go z Aniołami. Crease jest Kanadyjczykiem, ale uczył się w Południowej Karolinie. Naprzód Cocks.

– Coś masz do nich?

– Tak, to lepsze niż Redmen* [McGill Redmen, drużyna sportowa uniwersytetu McGill (przyp. red.)].

– Przekażę pańskie zdanie radzie McGill.

– To na pewno bardziej poprawne hasło niż te skandowane czasem na trybunach.

Nie odpowiedziałam, czekając na informacje.

– Nasz chłoptaş ukończył studia dziennikarskie w osiemdziesiątym trzecim i zdecydował, że pracę magisterską poświęci nielegalnym grupom motocyklistów. Swoją drogą, wtedy używał imienia Robert.

– Czemu nie Lyle?

– Bo to jego drugie imię. W każdym razie, nasz przyjaciel został zaakceptowany przez braci i zaczął jeździć z paczką.

– Ukończył studia?

– Chodził na zajęcia przez miesiąc albo dwa, a potem zniknął. Żaden z profesorów już więcej go nie widział.

– Nie wiemy, co robił? Żadnych mandatów, zwrotów podatku, podań o kartę kredytową? Coś ciekawego?

– *Nada** [Nada (hiszp.) – nic (przyp. red.)]. Crease wypływa znowu w osiemdziesiątym dziewiątym, w Saskatchewan* [Saskatchewan – prowincja w Kanadzie (przyp. red.)], gdzie prowadzi kolumnę kryminalną dla lokalnej gazety i programy na żywo dla wieczornych wiadomości. Koniec końców, CTV zaoferowała mu kontrakt i przeniósł się do Quebecu.

– A więc Crease zainteresował się motocyklistami na studiach. To chyba te pradawne czasy, co?

– Crease opuścił Saskatchewan w pośpiechu.

- Doprawdy?
- Słyszała pani o Operacji CACUS?
- Czy to chodzi o wtyczki FBI w strukturach Aniołów Piekieł?
- Tak, informatorów. Tony Tait dołączył do oddziału na Alasce na początku lat osiemdziesiątych i został nawet członkiem rady na poziomie krajowym. Przez ten cały czas przekazywał informacje biuru.
- Anioł na zawsze, na zawsze Anioł.
- Tony wolał gotówkę.
- Gdzie jest teraz?
- Pewnie pod ochroną programu dla świadków, jeśli ma choć odrobinę rozumu.
- A co to ma wspólnego z Crease'em?
- Wygląda na to, że Konni prowadzili w tym samym okresie własne śledztwo.
- Chce pan powiedzieć, że Crease był informatorem RCMP?
- Nikt nie chce puścić pary z gęby, na papierze też nie ma śladów, ale zawsze chodziły pogłoski, że mamy tam naszą wtyczkę. Próbowałem porozmawiać z kilkoma starszymi stażem pracownikami, ale ani nie potwierdzili, ani nie zaprzeczyli, kiedy spytałem o niego.
- Charbonneau zamilkł.
- Coś jeszcze?
- Tylko pomiędzy nami dwojgiem, Brennan.
- Mowy nie ma, o wszystkim opowiadam fryzjerowi. Zignorował mój żart i powiedział:
- Zagadnąłem kilku moich znajomych na mieście. Cholera, sam nie wierzę, że to mówię.
- W słuchawce dał się słyszeć chrzęst, kiedy Charbonneau przełożył ją z ręki do ręki. – Płotka głosi, że ktoś poszedł z Aniołami do kościoła. Ten człowiek był Amerykaninem, ale grał w obydwu drużynach.
- Donosił na obydwie strony?
- Tak przynajmniej twierdzą informatorzy.
- Śliska sprawa.
- Jak krwawienie mózgowia.
- Sądzi pan, że tym człowiekiem był Crease?
- A z jakiego innego powodu miałby całkowicie poświęcić sześć lat życia?
- Zamyśliłam się na chwilę.
- Ale dlaczego wypłynął w mediach?
- Może wydaje mu się, że bycie osobą publiczną zapewni mu ochronę?
- Zapadła cisza i przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło.
- Claudel o tym wie?
- Zamierzam do niego zadzwonić.
- I co teraz?
- Będę grzebał dalej.
- Przesłuchamy Crease'a?
- Jeszcze nie. Nie chcemy go spłoszyć, a do pogrzebu Claudel jest całkowicie pod rozkazami Roy. Później nam pomoże przyskrzynić tego gościa.

- Sądzisz, że Crease mógł być zamieszany w morderstwo Cherokee’ego?
- Nie mamy żadnych dowodów, ale być może coś wie na ten temat.
- Czapeczka nie należała ani do Desjardinsa ani do Dorseya.
- Skąd pani to wie?
- Wewnątrz są ślady łupieżu.
- No i co z tego?
- Dorsey strzygł się na krótko, a Cherokee był łysy po chemioterapii.
- Gately i Martineau zostali zamordowani w tym samym czasie, kiedy Crease był w gangu.

– Racja.

– Savannah Osprey też.

Zapadła cisza.

– Może zapytamy Rinaldiego?

– Żabę?

– Tak, Żabę. Sam pokazał nam groby Gately’ego i Martineau, więc czemu nie spytać go o Desjardinsa? Być może coś wie.

– Claudel mówi, że wzięli go w obroty, ale nic więcej z niego nie wydusili. Puścił farbę o St-Basile-le-Grand, bo to stara rzecz i nie uważa, aby bracia próbowali się na nim odegrać. Co do nowszych spraw, milczy jak zakłety. – Charbonneau zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Niech pani posłucha, namówię Claudela do przepytania i sprawdzenia Crease’a, kiedy tylko skończy się ten cyrk. Swoją drogą, niech pani uważa. W mieście widziano Bandidos, a chodzą pogłoski, że Anioły mogą wykonać swój ruch. Niech...

Charbonneau zamilkł.

– Tak?

– Niech pani siostrzeniec trzyma się z dala od kłopotów. Mówię na wypadek, gdyby coś głupiego strzeliło mu do głowy.

Poczułam, jak ze wstydu pieką mnie policzki. Claudel opowiedział o Kicie swoim kolegom z CUM.

– Mojego siostrzeńca nie będzie w mieście, gdy zacznie się pogrzeb.

– To dobrze. Obecność Bandidos może skłonić Anioły do jakiegoś pokazu siły. Jedna iskra i wyleci w powietrze cała beczka prochu.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, a zaczęłam się martwić.

Jak mam powstrzymać Kita przed pójściem na pogrzeb, skoro wiedziałam, że mnie nie posłucha?

O czym chciał porozmawiać Morin? Czyżby LaManche umarł?

Czy Ryan był w niebezpieczeństwie? A co, jeśli pomagając mi, naraził się na kłopoty lub dekonspirację? Na George’a Dorseya ściągnęłam wyrok śmierci.

Oparłam czoło o zielony dziennik leżący na blacie biurka i zamknęłam oczy.

Rozdział 36

Byłam pod wodą, a Lyle Crease coś do mnie mówił. Wodorosty falowały nade mną jak włosy topielca, a tu i ówdzie przez odmęty przebijały się promienie słońca, oświetlające wirujące dookoła drobiny.

Otworzyłam oczy i zatoczyłam głową koło. Potwornie bolała mnie szyja, a przy każdym poruszeniu coś strzykało w kręgach. W gabinecie panowała ciemność, jeśli nie liczyć fluorescencyjnego blasku, który przedostawał się do wnętrza przez szybę w drzwiach.

Jak długo spałam? Spojrzałam na zegarek.

Nagle za drzwiami dostrzegłam ludzką sylwetkę i zamarłam w bezruchu, nasłuchując i obserwując wszystko dookoła.

Na całym piętrze panowała cisza. Serce waliło mi jak młotem w piersi.

Postać znieruchomiała, dostrzegałam ją tylko dzięki poblaskowi z korytarza.

Spojrzałam na telefon, zastanawiając się, czy powinnam wezwać ochronę.

Przesunęłam dłoń w kierunku słuchawki, kiedy drzwi się uchyliły.

Twarz Jocelyn wyglądała w półmroku upiornie. Dziewczyna ubrana była na czarno, blady owal jej oblicza zdawał się dryfować w ciemności. Wyglądała jak duch, zwłaszcza że usta i oczy zdawały się być czarnymi bezdennymi jamami.

– *Oui?* – spytałam, podnosząc się. Nie chciałam, by patrzyła na mnie z góry, gdy siedziałam na fotelu, a ona stała.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– *Puis-je vous aider?** [Puis-je vous aider? (fr.) – Mogę w czymś ci pomóc? (przyp. red.)] – zapytałam.

Nadal milczała jak zaklęta.

– Proszę, zapal światło, Jocelyn – powiedziałam.

Gdzie pytania nie odniosły żadnego efektu, tam poskutkowało polecenie. Jocelyn sięgnęła do włącznika i pokój zaala jasność.

Dziewczyna nie wyglądała najlepiej. Włosy oblepiały jej twarz i szyję, a ubranie było pomarszczone i wilgotne, jakby długo siedziała w ciepłym, parnym pomieszczeniu. Pociągnęła nosem i potarła go wierzchem dłoni.

– Co się dzieje Jocelyn?

– Opuściła ich pani sobie – odparła głosem pełnym złości.

– Kogo? – spytałam zbita z tropu.

– Myślałam, że jest pani inna.

– Inna? Od kogo?

– Nikt się nimi nie przejmuje. Słyszałam, jak gliniarze sobie żartują i mają ubaw po pachy. Kolejny martwy motocyklista. Sprawy idą w dobrą stronę, gadają. Tani sposób na pozbycie się śmieci.

– O czym ty mówisz? – w ustach mi zaschło.

– O tych gliniarzach! Rosomaki* [Rosomaki – *carcajou* (fr.) znaczy *rosomak* (przyp. red.)], też mi!

- Jocelyn wyduła pogardliwie usta. – Powinni się nazywać nie *Carcajou*, a złamane kutasy.
Nienawiść w jej oczach mnie zadziwiła.
- Powiedz mi, czemu jesteś tak rozzłoszczona?
- Zapadła cisza, gdy Jocelyn uważnie mnie obserwowała. Spojrzenie dziewczyny zdawało się skupiać na mojej twarzy, analizując jej wyraz.
- On nie zasługiwał na taki koniec. O, kurwa, na pewno nie on. – Przekleństwa po francusku dziwnie zabrzmiały.
- Jeżeli nie wyjaśnisz mi, o co chodzi, nie będę mogła ci pomóc – powiedziałam cicho. Jocelyn zawahała się, podjęła jakąś decyzję i wbiła we mnie rozwścieczone spojrzenie.
- George Dorsey nie zabił starego.
- Cherokee’ego Desjardinsa?
- Odpowiedzą było jedynie wzruszenie ramion.
- Skąd wiesz?
- Zmarszczyła brwi, jakby uważała pytanie za podchwytliwe.
- Każdy z IQ warzywa by się domyślił.
- Jocelyn, mów jaśniej.
- Prawdziwy mechanik porządnie załatwiłby tę sprawę.
- „Mechanik”? Co to znaczy?
- Chce pani usłyszeć, co się stało? – przerwała mi w pół zdania.
- Milczałam.
- Byłam tam – powiedziała, z trudem przetykając ślinę. – Już miałam wychodzić, kiedy wszedł jakiś facet, dlatego schowałam się w sypialni. On i Cherokee zaczęli gadać, na początku przyjaźnie, ale potem doszło do kłótni. Kiedy usłyszałam rumor i odgłosy bójki, zdałam sobie sprawę, że jest źle, dlatego schowałam się w szafie.
- Po co tam poszłaś, Jocelyn?
- Cherokee miał mnie zapisać do Kiwanis* [Kiwanis – organizacja dobroczynna, skupiająca się na projektach kształcenia dzieci i młodzieży (przyp. tłum.)] – odparła ze złośliwym parsknięciem.
- No dobrze, mów dalej.
- Czekałam, aż się wszystko uspokoi. Kiedy myślałam, że gość już poszedł i chciałam już wiać, usłyszałam strzał. Jezu!
- Spojrzenie Jocelyn powędrowało ponad moim ramieniem. Dziewczyna przeżywała całą scenę we wspomnieniach.
- Potem usłyszałam, jak gość przetrząsa mieszkanie i wszystkie szafy. Byłam pewna, że szuka towaru Cherokee’ego i praktycznie narobiłam w portki, bo koka była schowana w sypialni. Potem poczułam dym i wiedziałam, że trzeba wiać. Wybiłam szybę, wyskoczyłam na zewnątrz i pobiegłam za róg. A teraz, najdziwniejsza część. Kiedy obiegłam budynek i spojrzałam wzdłuż ulicy, zobaczyłam tego drania, jak szuka czegoś w bloku. Chwilę później nadjechał jakiś samochód i gość uciekł.
- Czego szukał?
- A skąd miałam wiedzieć?
- Co się stało potem?

– Kiedy wszystko ucichło i upewniłam się, że gość nie wróci, zaczęłam szperać.

Zapadła cisza. Jocelyn zdjęła pasek torebki z ramienia i postawiła ją na biurku. Otworzyła zamek i przez chwilę szperała w środku, po czym wyjęła niewielki płaski przedmiot.

– Znalazłam to w miejscu, gdzie widziałam tamtego faceta.

Rozwinęłam foliową torebkę i spojrzałam na fotografię w taniej plastikowej oprawce. Była cała pokrwawiona, ale widziałam dwóch uśmiechniętych mężczyzn, obejmujących się ramionami. Każdy z nich unosił w górę drugie ramię, pokazując światu wyciągnięty środkowy palec. Po prawej stał Cherokee Desjardins, pełen życia i wigoru.

Kiedy rozpoznałam drugiego mężczyznę, zaparło mi dech i ledwie byłam w stanie odkaszląć. Tymczasem Jocelyn mówiła dalej:

– ... obok leżała rozerwana torba. Kiedy zobaczył światła samochodu, pomknął jak zając.

W mojej głowie panował kompletny zamęt. Obrazy i myśli przeplatały się nawzajem.

– ... nie wiem, po cholere mu to zdjęcie, ale jak tu się domyślić, co się kłębi w głowie wariata?

Przed oczyma wyobraźni miałam twarz.

– ... szkoda, że mu się uważniej nie przyjrzałam. Czapeczka bejsbolowa.

– ... ten sukinsyn zwiął.

Drobinki złota wirujące w wodzie.

– ... nie zasługiwał, żeby mu wbić nóż w dupę. Zmusiłam myśli do powrotu do rzeczywistości. Przybrałam neutralny wyraz twarzy i zapytałam:

– Jocelyn, znasz może prezentera Lyle'a Crease'a?

– Anglik?

– Tak.

– Nie oglądam angielskojęzycznej telewizji. Czemu mnie pani pyta? Próbuję wytłumaczyć, że to nie Dorsey zabił Cherokee'ego.

– Owszem – zgodziłam się. – To nie on. Doskonale wiedziałam, czyje ręce są splamione krwią Desjardinsa.

Kiedy dziewczyna wyszła, zadzwoniłam do Claudela. Nie było go w biurze, więc rozłączyłam się i nadałam wiadomość na pager.

Wpisując mój numer, uznałam, że sprawa jest dość ważna.

Kiedy Claudel oddzwonił, przytoczyłam mu rozmowę z Jocelyn.

– Będzie w stanie zidentyfikować mordercę?

– Nie widziała jego twarzy.

– *Fantastique*.

– To Crease.

– Skąd ma pani tę pewność?

– Czapka w mieszkaniu Desjardinsa miała logo USC. Crease tam studiował.

– Już o tym rozma...

– Charbonneau mówił o łupieżu?

– Tak.

– Niedawno jadłam obiad w towarzystwie Crease’a. Ma dość łupieżu, aby otworzyć prywatny stok narciarski.

– Motyw?

Opisałam wszystko to, co widać na fotografii.

– Matko Przenajświętsza!

Claudiel rzadko odzywał się w ten sposób.

– Co łączy tę kobietę z Dorseyem?

– Nie rozmawialiśmy o sprawach osobistych.

– Możemy jej zaufać? – Oddech w słuchawce był tak głośny, jakby detektyw trzymał ją tuż przy ustach.

– Jest uzależniona, ale chyba tak.

– Skoro była taka przestraszona, to po co kręciła się jeszcze po okolicy?

– Uznała, że zgubił narkotyki i postanowiła zafundować sobie darmową działkę.

– Michel opowiedział mi o waszej rozmowie. – Claudel odetchnął głośno. – Chyba czas zarzucić sieć na pana Crease’a.

Kiedy się rozłączyliśmy, zarezerwowałam bilet lotniczy do Teksasu. Niezależnie od tego, czy mu się to spodoba czy nie, Kit wraca do siebie. Nie zamierzałam go do tego czasu spuszczać z oka.

Kiedy przyszedłam do domu, mój siostrzeniec brał akurat prysznic.

– Jadłeś coś? – krzyknęłam przez drzwi, gdy usłyszałam, że skończył się myć.

– Niewiele.

Jasne, pokażę mu, że też potrafię ugotować makaron.

Wyskoczyłam do Le Faubourg po małże i zieleninę. Wróciłam do domu, przysmażyłam owoce morza z cebulą i z grzybami, zmieszałam i dodałam sos z jogurtu, musztardy i soku z cytryny. Potem okrasiałam nitki makaronu zaprawą z mięczaków i podałam ją z bagietką i sałatką.

Nawet Kit był pod wrażeniem.

Choć rozmawialiśmy przy jedzeniu, to nie powiedział wiele.

– Jak ci minął dzień? – spytałam.

– Nieźle.

– Co robiłeś?

– Niewiele.

– Siedziałeś w domu?

– Pojechałem metrem na jakąś wyspę i włóczyłem się po różnych parkach.

– Île-Ste-Hélène.

– Taa. Jest tam plaża i sporo ścieżek. Fajne miejsce. To by wyjaśniało, dlaczego w przedpokoju stała deskorolka.

– A jak tobie minął dzień? – spytał, wbijając na widelec grzanekę z resztek sałaty.

– Całkiem dobrze.

Sekretarka – ćpunka oskarżyła mnie w moim własnym gabinecie o to, że jestem idiotką, a poza tym odkryłam, że jeden z twoich idoli może być mordercą.

– Fajno.

Zaczerpnęłam głęboko tchu.

– Zarezerwowałam bilet na jutrzejszy lot.

– Dokąd się wybierasz?

– Nie ja, ty.

– Aha, wszystko jasne – burknął, wbijając wzrok w talerz.

– Kit, wiesz doskonale, że cię kocham i cieszę się, że u mnie jesteś, ale sądzę, że czas, abys wracał do domu.

– Jest takie przysłowie o gościach w domu i rybach. A może mówi także o krewnych?

– Wiesz, że to nie tak. Mieszkasz u mnie już prawie dwa tygodnie, nie nudzisz się? Nie chcesz wrócić do znajomych, popływać łódką?

– Oni się nigdzie nie wybierają – odparł, wzruszając ramionami.

– Jestem pewna, że Harry i Howard za tobą tęsknią.

– Pewnie, dzwonią bez przerwy.

– Wiem, że nie będzie ci łatwo, skoro matka jest w Meksyku...

– Wczoraj wróciła do Houston.

– Słucham?

– Nie chciałem ci o tym mówić.

– Och.

– Byłem pewien, że wyślesz mnie do domu, kiedy tylko wróci.

– Skąd taki pomysł?

Kit oparł dłonie na blacie i przeciągnął palcem po krawędzi talerza. Na zewnątrz słyszałam zawodzenie syreny, ciche i głośne, ciche i głośne.

– Kiedy byłem mały, zawsze trzymałaś się z dala, jakbyś się obawiała, że Harry mogłaby się poczuć zazdrosna, zła, urażona czy niekompetentna... – powiedział, nie podnosząc wzroku. Zaczął się bawić grzanką, a potem cisnął ją na miejsce. Kropelki tłuszczu skapnęły na stół.

– Kit!

– Wiesz co? Ona powinna się czuć źle. Jediną rzeczą, za którą powinienem jej podziękować, to to, że nie zakopała mnie po urodzeniu w pudełku po butach! – Kit wstał od stołu. – Pójdę się spakować.

Ja także zerwałam się na nogi i chwyciłam go za ramię. Spojrzał na mnie z widoczną złością.

– Harry nie ma z tym nic wspólnego. Wysyłam cię do domu dlatego, że obawiam się o twoje bezpieczeństwo. Ludzie, z którymi się spotykasz, przerażają mnie, podobnie jak to, do czego mogą się posunąć. Boję się, że jesteś zamieszany w coś, co może wpakować cię w ogromne tarapaty.

– Gówno prawda. Nie jestem już dzieckiem, potrafię sam podjąć decyzję.

Oczywiście wyobraźni dostrzegłam Żabę nad grobem. Gately i Martineau też podjęli pewną decyzję i przyplacili ją życiu. Tak samo było w przypadku Savannah Osprey i Georgea Dorsey. Wszyscy podjęli jedną śmiertelnością decyzję. Byłam zdeterminowana, aby nie

pozwolić na to Kitowi.

– Jeżeli coś by ci się stało, nie wybaczyłabym sobie tego.

– Nic mi nie będzie.

– Nie mogę ryzykować. Uważam, że i tak już dawno przekroczyłeś pewną granicę.

– Ciociu, nie mam sześciu lat. Możesz mnie stąd wyrzucić, ale nie będziesz mi mówiła, co mam robić. – Kit zacisnął szczęki, aż zuchwa wyraźnie się odznaczyła. Jabłko Adama unosiło się i opadało.

Obydwoje zamilkliśmy, zdając sobie sprawę, że za chwilę mogą paść słowa, których nie będzie można cofnąć. Puściłam jego ramię, Kit odwrócił się na pięcie i znikł w korytarzu. Przez chwilę słyszałam tupot bosych stóp na dywanie.

Spałam niespokojnie. Kiedy się obudziłam, było ciemno. Roleta w oknie ze smolistej zrobiła się czarna. Wiedząc, że już nie zasnę, wstałam i zaparzyłam sobie herbaty, po czym wyszłam na patio.

Zawinięta w babciny szlafrok, spoglądałam na gwiazdy, wspominając wieczory w Charlotte. Kiedy Katy i Kit byli mali, bawiliśmy się, odgadując nazwy gwiazdozbiorów i wymyślając nowe. Katy widziała na niebie myszki, szczeniaki i parę łyżew. Kit matkę z dzieckiem.

Okryłam stopy szlafrokiem i pociągnęłam łyk herbaty.

W jaki sposób uświadomić Kitowi powody, dla których wysyłałam go do domu? Był taki młody i wrażliwy, spragniony uznania innych ludzi.

Pytanie tylko, od kogo go oczekiwał. Czemu chciał zostać u mnie? Czy mój dom stanowił dla niego bazę umożliwiającą mu robienie rzeczy, które chciał przede mną ukryć?

Od pierwszego dnia pobytu zastanawiała mnie jego apatia. Podczas gdy Katy szukałaby towarzystwa znajomych i przyjaciół, Kit zadowalał się gramami wideo, zdawkowymi rozmowami i towarzystwem ciotki oraz jej kota. Zachowanie dziewiętnastoletniego Kita było zadziwiająco odmienne od tego, które pamiętałam z okresu, gdy był młodszy. Pozdzierane kolana, szwy, złamane kości i ciągle pakowanie się w tarapaty sprawiały, że Harry w zasadzie była na ty z większością lekarzy i sanitariuszy z pobliskiego szpitala.

A może poznawałam tylko jedną stronę osobowości młodzieńca, na którego wyrósł Kit? Czyżby przy mnie odpoczywał po szaleństwach z Kaznodzieją? Lyle'em Crease'em? Tym hienowatym typem?

Nalałam sobie więcej herbaty, tym razem już letniej.

Pamięć podsunęła mi obraz dwóch ludzi okrytych pokrwawionym plastikiem i nawet herbata nie była w stanie mnie ogrzać.

Gdzie popełniłam błąd? Jeżeli Kit przechodził przez jakiś ciężki etap życia, jak mogłam mu pomóc? Czy wdał się w jakieś podejrzone sprawy i lepiej było go zatrzymać przy moim boku?

Nie. Sytuacja przybrała zbyt niebezpieczny obrót. Musiałam trzymać się planu i wysłać Kita do Teksasu, zanim ciało Dorseya zostanie złożone do grobu.

Słońce zaczęło wstawać i ciepły wiatr owionął ogród, pokrywane się liśćmi drzewa i budynki z czerwonego piaskowca. W porannym świetle wszystkie kanty zdawały się być

łagodniejsze i miasto przypominało krajobraz z prac Winslowa Homera* [Winslow Homer (1836-1910) – amerykański malarz pejzażysta i grafik, znany głównie z obrazów marynistycznych (przyp. red.)].
Miałam wrażenie, jakbym znalazła się w miejscu namalowanym akwarelami. To było idealne tło dla gangsterskiego pochówku.

Wylałam resztę herbaty na trawnik i poszłam obudzić Kita.

Jego pokój był pusty.

Rozdział 37

Na drzwiach od lodówki znalazłam kartkę. Przeczytałam ją, nie zdejmując magnesu, tak bardzo trzęsły rai się dłonie:

Dzięki za wszystko. Nie martw się o mnie. Jestem z przyjaciółmi.

Przyjaciółmi?

Serce zamarło mi w piersi.

Spojrzałam na zegarek, do pogrzebu Dorsey'a było niewiele ponad godzinę.

Zadzwoiłam na pager Claudela, przygotowałam kawę, ubrałam się i pościeliłam łóżko.

Siódma piętnaście.

Piłam powoli i obgryzałam nerwowo paznokcie.

Ziemia się obróciła. Płyty tektoniczne przesunęły, a dwanaście akrów puszczy równikowej znikło na zawsze.

Poszłam do łazienki i poprawiłam fryzurę, a potem makijaż. Umalowałam oczy i wróciłam na drugą kawę.

Siódma trzydzieści. Co się do cholery dzieje z tym Claydelem?

Wróciłam do łazienki i znowu ułożyłam włosy. Siegałam właśnie po nić dentystyczną, kiedy zadzwonił telefon.

– Nie sądziłem, że wstaje pani tak wcześnie – powiedział Claudel.

– Kit zwiął.

– *Cibole!** [Cibole! (fr.) – Cholera (przyp. red.)].

W tle słyszałam hałasy dobiegające z ulicy.

– Gdzie pan jest?

– Obok kościoła.

– Jak wygląda sytuacja?

– Jak wystawa grzechów głównych. Lenistwo i obżarstwo mają szczególnie silną reprezentację.

– Pewnie nie ma szans, żeby pan zauważył Kita?

– Najmniejszych. Mógłbym nie zauważyć Fidela Castro, gdyby przyjechał tutaj osobiście.

Wygląda to tak, jakby każdy motocyklista z tego kontynentu przyjechał na pogrzeb.

– Crease?

– Ani śladu.

W jego głosie usłyszałam dziwną nutę.

– O co chodzi?

– Charbonneau i ja zrobiliśmy małe dochodzenie. Pomędzy 1983 a 1989 rokiem Lyle Crease udawał zagranicznego korespondenta, a nie tajnego agenta. Jedyne sprawozdania, jakie wtedy pisał, to formularze więzienne składane na ręce strażnika.

– Odsiadywał wyrok? – spytałam wytrącona z równowagi.

– Sześć lat za południową granicą.

– W Meksyku?

– Tak, dokładniej w Juarez.

Moje serce zaczęło dla odmiany walić jak młotem.

– Crease to morderca, Kit jest razem z nim. Muszę coś zrobić.

Głos Claudela stał się nagle lodowaty i rozkazujący.

– Niech pani nie myśli o działaniu na własną rękę, Brennan. Ci goście wyglądają jak stado wygłodniałych rekinów. W każdej chwili może dojść do rozróby.

– A Kit próbuje się dostać w sam środek tego bagna! – krzyknęłam przestraszona. Mój głos stał się piskliwy, dlatego zamilkłam, aby choć trochę się uspokoić.

– Wyślę radiowóz, żeby przechwycili Crease'a.

– Sądzi pan, że zamierza przyjść na pogrzeb?

– Jeśli to robi, zapuszczujemy go.

– I pozwolicie, aby przy okazji sprzątnął dziewiętnastolatka? – Praktycznie krzyczałam.

– Niech się pani trzyma z daleka.

– To znajdźcie tego drania.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, zadzwoniła moja komórka.

Kit!

Pobiegłam do sypialni i wyciągnęłam ją z torebki. Kiedy odebrałam połączenie, usłyszałam zachrypnięty głos, jakby mówiło dziecko po długim płaczu.

– Ktoś musi wiedzieć, co oni robią.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że to pomyłka, potem zaczęło mi świtać w głowie, z kim rozmawiam.

– Jocelyn?

– Ktoś musi wiedzieć, co ci pieprzeni Bezbożnicy planują – pociągnęła głośno nosem.

– Opowiedz mi.

– Miasto zamieni się w rzeźnię, a twój dzieciak pcha się w środek piekła.

Żołądek zawiązał mi się na supeł ze strachu.

– O czym mówisz?

– Wiem, co się szykuje.

– Jaki to ma związek z moim siostrzeńcem?

– Potrzebuję forsy i ochrony. – Jej głos był silniejszy i pewniejszy.

– Powiedz mi, co wiesz.

– Nie, dopóki nie zawrzemy umowy.

– Nie mogę ci nic obiecać, nie mam takich uprawnień.

– Ale znasz odpowiednich ludzi.

– Spróbuję ci pomóc – powiedziałam. – Najpierw muszę wiedzieć, czy Kitowi grozi niebezpieczeństwo.

Zapadła cisza.

– Pieprzyć to i tak jestem już trupem. Spotkajmy się na stacji metra Guy za dwadzieścia minut. Zachodni peron.

W głosie Jocelyn znać było już tylko rezygnację.

– Czekam dziesięć minut. Jeśli się spóźnisz albo przyprowadzisz kogoś z koleśki, dzieciak będzie już tylko nic nieznaczącą wzmianką w policyjnym raporcie.

Rozłączyła się.

Zadzwoiłam na pager Claudela i zostawiłam mu mój numer. Przez chwilę stałam nieruchomo, wpatrując się w telefon.

Detektyw nie oddzwaniał. Nie mogłam czekać w nieskończoność.

Quickwater.

Tak samo.

Claudela mi nie mówił, abym unikała metra. Postanowiłam, że spotkam się z Jocelyn i zawiadomię ich o wszystkim, kiedy będę miała niezbędne informacje.

Wstukałam numer kwatery *Carcajou*, ale nie zadzwoniłam. Wrzuciłam telefon do torebki i wybiegłam z mieszkania.

Jocelyn siedziała na ławce na samym końcu peronu. Na kolanach trzymała płócienny worek podróżny, u jej stóp leżał drugi. Znalazła sobie miejsce w rogu, jakby betonowe ściany miały uchronić ją przed niebezpieczeństwem, jakie jej groziło. Nerwowo obgryzała paznokcie, rozglądając się czujnie na boki. Uważnie obserwowała ludzi, którzy tłoczyli się na peronach.

Zauważyła mnie w końcu i nie spuszczała z oczu. Szłam, trzymając się środka peronu, ale serce łomotało mi w piersi jak oszalałe. W uszach szumiała mi krew. Powietrze było ciężkie i wilgotne, jakby zostało przefiltrowane przez płuca niezliczonych pasażerów metra. W ustach miałam niesmak i nerwowo odchrząkiwałam co chwila.

Jocelyn w milczeniu obserwowała, jak siadam na ławce. W sztucznym świetle jej blada skóra była sina, a białka oczu przybrały żółtą barwę.

Otworzyłam usta, aby coś powiedzieć, ale powstrzymała mnie gestem dłoni.

– Nie zamierzam się powtarzać. Opowiem, co wiem, potem się zmywam. Nie przerywaj mi, tylko słuchaj.

Nic nie odpowiedziałam.

– Jestem ćpunką, obydwie o tym dobrze wiemy. Kawał ze mnie kłamliwej zdziury. – Jej oczy nerwowo przebiegały po twarzach ludzi, a dłonie poruszały się w niekontrolowany sposób. – Najzabawniejsze jest to, że pochodzę z porządnej, uczciwej rodziny, takiej jak twoja. Jedyne różnica jest taka, że gdzieś po drodze wsiadłam do pociągu, z którego nie da się wyskoczyć.

Fioletowy tusz do powiek sprawiał, że jej oczy wyglądały jak u trupa.

– Ostatnio mam trochę problemów z emocjami. Nienawidzę wszystkich i wszystkiego na świecie, ale najbardziej siebie.

Jocelyn wytarła wierzchem dłoni mokry nos.

– Kiedy nie możesz przejść obok wystawy sklepowej, lustra czy zwykłej szyby, bo nie chcesz w odbiciu ujrzeć siebie, to nieomylny znak, że nadchodzi koniec.

Spojrzała na mnie matowymi oczyma, w których tliła się wściekłość i poczucie winy.

– Rozmowa z tobą to dla mnie wyrok śmierci, ale chcę to z siebie wyrzucić. Ci goście muszą zapłacić.

– Co wiesz?

– Sporo o Pajaku Marcocie i tym dziecku.

– Zamieniam się w słuch.

– To była robota George’a Dorseya. Skoro nie żyje, to mogę o tym powiedzieć. – Jocelyn odwróciła wzrok i spojrzała na mnie jeszcze raz.

– Zabicie Marcotte’a było zemstą Bezbożników na Żmijach za śmierć bliźniaków Vaillancourtów. George i członek gangu Sylvain Lecomte sprzątnęli go we dwóch. Dziewczynka zginęła przez pomyłkę.

Jocelyn oparła but o worek.

– George był pewien, że stanie się bohaterem, ale Bezbożnicy woleli go uciszyć, ponieważ obawiali się, że wsypie Lecomte’a. – Jocelyn parsknęła i postukała palcami w szczękę. – Prawda jest taka, że George czekał na mnie w pobliżu mieszkania Desjardinsa. Kiedy ci z *Carcajou* go zapuszkowali i postanowił z tobą porozmawiać, Bezbożnicy uciszyli go, zanim wskazał Lecomte’a. Ogromny facet, Lecomte. Zabił małą dziewczynkę. Kutas.

Jocelyn splunęła z odrazą.

– Wiesz coś jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

– Groby z St-Basile. Jestem w środowisku od dziewięciu lat, mam sporo informacji do sprzedania.

– Mówisz o ochronie dla świadków?

– Pieniądze i wolność.

– Kuracja odwykowa?

Wzruszyła ramionami.

– A co z Cherokee’em?

– Przywiózł kości małej z Południa. Opisałam wszystko w liście. Oddam ci go, kiedy będę bezpieczna i daleko stąd.

W jej głosie było coś, co powiedziało mi, że Jocelyn nie wierzy w to co mówi.

– Dlaczego zdecydowałaś się mówić?

– Bo usunęli Dorseya. Pracował dla nich, a oni go załatwili.

Pokręciła głową i jeszcze raz uważnie rozejrzała się dookoła.

– Stałam się taka jak oni – powiedziała głosem pełnym pogardy dla samej siebie. – Wystawiłam reportera.

– Jakiego reportera?

– Lyle’a Crease’a. Pomyślałam, że może mieć coś wspólnego z tym całym burdelem, skoro o niego pytasz. Obejrzałam wiadomości i jestem pewna, że to jego widziałam u Cherokee’ego. Podrzuciłam Żmijom jego nazwisko w zamian za trochę proszku.

– Jezu Chryste.

– Jestem pieprzoną ćpunką, zgadza się? – Jej głos prawie skrzypiał. – Kiedy masz zjazd i

jesteś na głodzie, sprzedasz własną matkę za działkę. Poza tym miałam swoje powody.

Jej dłonie zaczęły drżeć i przycisnęła je do skroni.

– Później zadzwoniłam do Crease’a i powiedziałam, że spotkamy się na cmentarzu. – Znowu uśmiechnęła się pogardliwie. – Dostanie to, na co zasłużył.

– Czy to oni nalegali, żebyś ustawiła spotkanie?

– Tak. Chcą sprzątnąć Crease’a i przy okazji załatwić kilku Bezbożników.

– Co to ma wspólnego z moim siostrzeńcem? – Usta miałam tak suche, że ledwie byłam w stanie mówić.

– Crease powiedział, że bym nie próbowała niczego głupiego, bo będzie miał ze sobą dzieciaka, jako gwarancję bezpieczeństwa.

Z tunelu dobiegł łoskot nadjeżdżającego pociągu. Jocelyn pokręciła znowu głową. Z profilu wyglądała na jeszcze bardziej zniszczoną życiem niż poprzednio.

– Ten pogrzeb będzie straszną masakrą, a twój siostrzeniec może odegrać w niej główną rolę.

Ciśnienie powietrza zmieniło się gwałtownie. Pasażerowie zbliżyli się do krawędzi peronu.

Jocelyn nagle zauważyła coś po przeciwnej stronie torów. Spoglądała ze zdziwieniem, a kiedy rozpoznała człowieka, otworzyła usta.

– Lecom... – wrzasnęła, instynktownie próbując zasłonić się workiem podróżnym.

Pociąg z hukiem wtoczył się na stację.

Głowa Jocelyn odskoczyła do tyłu, otoczona ciemną chmurą czerwieni, która osiadła na ścianie. Rzuciłam się na podłogę, osłaniając swoją głowę rękoma.

Hamulce zapiszczały i szcęknęły.

Próbowałam schować się za ławką albo pod nią, ale okazało się, że jest przymocowana do ściany. Nie miałam dokąd uciekać.

Drzwi rozsunęły się i pasażerowie wypłynęli szeroką falą z wagonów.

Po naszej stronie rozległy się krzyki. Ludzie spoglądali na mnie, patrzyli z niedowierzaniem, strachem.

Pociąg ruszył.

Ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać w panice.

Minęła kolejna minuta. Nie słysząc kolejnych strzałów, podniosłam się ostrożnie. Krew, fragmenty kości i mózg pokrywały moją kurtkę. Żołądek podszedł mi do gardła, w ustach poczułam smak żółci.

Głosy. Krzyki po angielsku i francusku.

– *Attention!*

– *Sacrifice!*

– Wezwać policję!

– *Elle est morte?** [Elle est morte? (fr.) – Nie żyje? (przyp. red.)].

– Już jest w drodze.

– *Mon Dieu!*

Zamieszanie. Ludzie w pośpiechu rzucili się do schodów ruchomych.

Ciało Jocelyn zadrżało, a z kącika jej ust wypłynęła odrobina śliny. Czułam smród kału i moczu, na podłodze zbierała się krew.

Przed oczyma stanął mi Cherokee i inni. Gately, Martineau, Savannah Osprey, Emily Anne Toussaint.

Nie mogłam ich ocalić. Nie zginęli z mojej winy. Ocalenie Jocelyn nie leżało już w mojej mocy. Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to ratować Kita, zanim stanie się kolejną ofiarą. Motocykliści go nie zabiją. Nie Kit, nie Harry, nie moja rodzina.

Na drżących nogach dowlokłam się do schodów ruchomych i dałam ponieść fali ludzi, którzy jak najszybciej chcieli zostawić za sobą tragedię. Wejście do metra zablokowały dwa radiowozy. Poblaskując światłami, stały z otwartymi drzwiami. Wycie syren zwiastowało przybycie kolejnych patroli.

Wiem, że powinnam zostać i opowiedzieć policji, co się stało. Niedobrze mi się robiło na myśl o śmierci, której nie mogłam zapobiec. Obawa o los Kita przesywała moje trzewia fizycznym bólem.

Wydostawszy się z tłumu, pobiegłam.

Rozdział 38

Kiedy wróciłam do domu, moje ręce nadal drżały. Zawołałam Kita, ale tak jak się spodziewałam, odpowiedziała mi głucha cisza.

Wyjęłam z walizki kopertę od Roy, którą przekazał mi Charbonneau. Przejrzałam szybko plan, zerknęłam na zegarek i pobiegłam do garażu.

Choć godziny porannego szczytu już minęły, ulice Centre-Ville pozostawały średnio przejezdne. Wlokłam się w korku, silnik rzeził na jałowym biegu, serce łomotało w piersi, a spocone dłonie zaciskały się na kierownicy. Kiedy w końcu wydostałam się z zatoru, pomknęłam jak błyskawica w kierunku góry. Gdy dotarłam na miejsce, postawiłam samochód na parkingu naprzeciwko Lac aux Castors* [Lac aux Castors – sztuczne jezioro na terenie parku Mount-Royal, miejsce rodzinnych pikników (przyp. red.)].

Cmentarze położone są wzdłuż Chemin Remembrance* [Chemin Remembrance – droga, która biegnie na ukos stoku, wzdłuż cmentarza (przyp. red.)] po jej wyższej stronie i przypominają miasta umarłych, ciągnące się ku nieskończoności. Wedle mapy Roy kwatera, gdzie miano pochować Dorsey'a, znajdowała się niedaleko ogrodzenia, dwadzieścia metrów od południowej bramy. Kondukt miał nadejść od wschodu i wkroczyć na cmentarz naprzeciwko miejsca, w którym się znajdowałam.

Otarłam mokre dłonie o dzinsy i spojrzałam na zegarek.

Już wkrótce.

Zazwyczaj o tej porze na zboczach góry praktycznie nie ma ludzi. Dzisiejszego ranka widziałam żałobników zebranych wzdłuż drogi i podjazdu, który prowadził do bramy. Inni spacerowali wśród drzew lub przechadzali się między nagrobkami. Hipokryzja ceremonii pogrzebowej była wprost nierzeczywista. Członkowie Bezbożników i Rock Maszyny żegnali z ogromną pompą człowieka, którego sami zabili.

Wzdłuż Remembrance stały zaparkowane radiowozy. Ich światła pobłyskiwały, a radia trzeszczały. Idąc obok zgromadzonych, obserwowałam ich twarze. Na pogrzeb musiały przybyć całe tysiące ludzi, większość z nich stanowili młodzi biali mężczyźni. Przy jednym z samochodów zauważyłam pochylonego Charbonneau, ale nigdzie nie dostrzegłam śladu Kita czy Crease'a.

Przed bramą zatrzymał mnie policjant w mundurze.

– Hej, hej, madam. Przykro mi, ale niebawem zaczyna się pogrzeb i nie wolno wchodzić na cmentarz. Proszę się odsunąć.

Mężczyzna mówił, rozkładając szeroko ramiona, jakby chciał mi pokazać, że jeśli będzie trzeba, powstrzyma mnie siłą.

– Nazywam się Temperance Brennan – powiedziałam. – Jestem z *Carcajou*.

Na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania. Już miał coś powiedzieć, kiedy powietrze przeszył ostry gwizd, podobny do tego, jakim przywołuje się psa. Obydwoje spojrzeliśmy w stronę, z której dochodził.

Claudiel stał na niewielkim wzgórku, opodal miejsca przeznaczonego na mogiłę Dorsey'a.

Skinął na mnie ręką, a widząc ten gest, policjant wskazał na mnie. Claudel pokiwał głową. Wartownik przepuścił mnie, kręcąc z niezadowoleniem głową.

Cmentarze ulokowane na Mont-Royal: Mont-Royal Żydowski i Notre-Damedes-Neiges są niesamowite i piękne zarazem. Składają się na nie wielkie połacie terenu, pozostawionego w naturalnym kształcie i przetykanego tu i ówdzie mauzoleami i nagrobkami.

Na Notre-Damedes-Neiges chowani są katolicy. Groby niektórych ozdobione są kunsztownymi nagrobkami i monumentami, inne to niewiele więcej jak zwykła mogiła z krzyżem, na którym wypisano daty urodzin i śmierci. Od połowy dziewiętnastego wieku pochowano tutaj ponad milion ludzi. Kompleks składający się z mauzoleów, krematorium, domu pogrzebowego i kolumbarium otoczony jest przez ogrodzenie z giętych czarnych metalowych prętów.

Cmentarz dzieli się na części przeznaczone dla Polaków, Wietnamczyków, Greków, Francuzów i Anglików. Każdy odwiedzający dostaje mapę, na której zaznaczono groby ludzi najbardziej zasłużonych dla Montrealu. Rodzina Dorseyów spoczywa w części Troie opodal Marie Travers* [Mary Rose-Anna Travers (1894-1941), francuskojęzyczna kanadyjska śpiewaczka folkowa, znana jako Madame Bolduc lub La Bolduc, uważana za królową kanadyjskich śpiewaków folkowych, łączyła tradycyjną muzykę Quebecu z folklorem irlandzkim; zmarła na raka (przyp. red.)], która w latach trzydziestych zasłynęła jako piosenkarka występująca pod pseudonimem *La Bolduc*.

Dzisiejszego dnia ważniejsze było jednak to, że grób znajdował się niedaleko Chemin Remembrance. Doradcy Roy uważali, że jeśli do ataku wrogiego gangu ma dojść na cmentarzu, to nadejdzie on właśnie od strony drogi, którą najtrudniej było zabezpieczyć.

Przebiegłam po żwirowej alejce i wdrapałam się na wzniesienie, na którym stał Claudel. Jak zwykle nie powitał mnie wylewnie.

– Co pani tutaj, do cholery, robi?

– Kit jest z Creaseem i będzie na pogrzebie – odparłam zdyszana.

– Czy pani słucha, co mówię, doktor Brennan? – Oczy Claudela co chwilę omiatały okolicę. – Pierwszego trupa dzisiaj już mamy.

Przed oczyma stanęła mi Jocelyn, uważnie obserwująca tłum, a potem padająca martwa na ziemię.

– Byłam tam.

– Co? – Claudel rzucił mi przeszywające spojrzenie i dopiero wtedy zauważył zaschniętą krew i mózg na mojej kurtce.

Opowiedziałam mu całą historię.

– Opuściła pani miejsce zbrodni?

– Nic nie mogłam zrobić.

– Nie zamierzam wytykać pani zaniedbania oczywistych obowiązków.

– Ona była martwa! – warknęłam. Strach, złość i poczucie winy kłębiły się w moich myślach, a jego chłodna, wyniosła postawa wcale mnie nie uspokajała. Zdusiłam łkanie w zarodku.

Nie, nie mogę sobie pozwolić na łzy.

W tym samym momencie na wzgórze wspiął się Quickwater. Podszedł do Claudela i

powiedział coś ściszym głosem, żadnym gestem nie zdradzając, że mnie zauważył. Chwilę później zobaczyłam go na dole, jak kluczy pomiędzy nagrobkami i zajmuje pozycję za różowym granitowym obeliskiem.

– Jeśli powiem padnij, ma się pani kryć, jasne? Żadnych pytań, niech pani nie zgrywa bohatera. Rozumiemy się?

– Tak.

Claudiel zamilkł, a mnie cisza odpowiadała. Bałam się mówić o niebezpieczeństwie, jakie groziło Kitowi, jakby samo wypowiedzenie tych słów na głos mogło sprawić, że groźba się ziści. O Lecomte powiem Claudelowi później, stwierdziłam w duchu.

Minęło najpierw pięć minut, potem dziesięć. Raz za razem spoglądałam na tłum, gdzie garnitury mieszały się ze skórami, łańcuchami, bandanami, swastykami i ćwiekami.

Hałas usłyszałam jeszcze zanim kondukt wyłonił się zza góry. Zaczął się od niskiego gromu, który przetaczał się po zboczu i kiedy dwa radiowozy wyłoniły się zza zakrętu przybrał siłę ogłuszającego ryku. Za samochodami policyjnymi jechał karawan, limuzyna i sześć zwyczajnych aut. Za nimi, początkowo czwórkami, potem trójkami i dwójkami, jechał rząd motorów. Chwilę później wypełniły całą drogę i nie mogłam znaleźć kresu tej fali chromu.

Słońce pełgało po wypolerowanej stali, kiedy szereg za szeregiem motocykle skręcały w stronę cmentarza. Powietrze wypełnił huk silników i zapach spalin. Zwarta kolumna zaczęła się rozdzielać, oskrzydlając bramę. Długowłosi brodacze w dżinsach i ciemnych okularach zsiadali ze swoich stalowych rumaków i na piechotę przechodzili przez bramę.

Claudiel zmrużył oczy, obserwując tę menażerię.

– *Sacré bleu*. Powinniśmy ich trzymać poza ogrodzeniem.

– Roy stwierdził, że to będzie niemożliwe.

– Chrzanić prawa obywatelskie. Trzeba by ich pozamykać w kiciu i najwyżej się później chandryczyć z prawnikami.

Procesja skręciła w lewo i ruszyła zadrzewioną alejką w kierunku części Troie. Kiedy kondukt przystanął, ubrany w garnitur mężczyzna podszedł do tylnych drzwi limuzyny i je otworzył. Wysiadło z niej kilka osób, już na pierwszy rzut oka było widać, że nie przywykli, aby ktokolwiek im usługiwał.

Rodzinę zaprowadzono pod zielony baldachim, gdzie jej członkowie zasiedli na składanych krzeselkach. Widziałam starszego mężczyznę w niemodnym garniturze i dwie kobiety w czerni noszące na szyjach sztuczne perły. Chłopca w marynarce o za krótkich rękawach, które nie sięgały nawet nadgarstków. Rodzinie zmarłego towarzyszył starszawy ksiądz.

Podczas gdy krewni zbrali się pod dachem, druga rodzina Dorsey'a trzymała się z dala. Żartując i pokrzykując, motocykliści stanęli w półkołu poza baldachimem okrywającym świeżo wykopany dół, oczekujący na trumnę jak pacjent na lekarza.

Ośmiu mężczyzn w ciemnych okularach i skórach zebrało się przy karawanie. Na znak mistrza ceremonii jego asystent podał rękawiczki, które zwałisty typ w bandanie odrzucił. Żałobnicy gołymi rękami zdjęli trumnę z karawanu i ponieśli w stronę baldachimu, uginając

się pod ciężarem.

Gałęzie drzew poruszyły się pod wpływem wiatru. Poczułam zapach kwiatów i świeżo wykopanej ziemi. Motocykle ucichły, spod baldachimu dobiegł mnie szloch. Płacz kobiety pomknął wraz z wiatrem, niosąc się ponad grobami.

– *Sacré bleu!*

Kiedy się obejrzałam, Claudel spoglądał na bramę. Zerknęłam tam sama i moje serce przeszył strach.

Crease i Kit kluczyli przez tłum. Ominawszy półkole żałobników, stanęli w cieniu ludzkich rozmiarów figury anioła z rozłożonymi ramionami. Chciałam się odezwać, ale Claudel uciszył mnie gestem dłoni. Uniósł krótkofalówkę i coś powiedział do mikrofonu. Spojrzał na Quickwatera, który nieznacznie skinął głową w prawo, a potem przed siebie.

Spojrzałam tam, gdzie pokazywał partner Claudela. Pomiedzy drzewami i nagrobkami stali ludzie, których uwaga ani trochę nie była skupiona na ceremonii. Podobnie jak Claudel i Quickwater, ciągle obserwowali tłum, jednak w przeciwieństwie do policjantów z *Carcajou* byli długowłosi i wytatuowani. Spojrzałam pytająco na Claudela.

– Strażnicy Rock Maszyny.

Stojący pod baldachimem ksiądz otworzył modlitewnik. Ludzie przeżegnali się. Staruszek przytrzymał niesforne kartki kościstym palcem i zaczął odmawiać „Ojcze nasz”. Wiatr targał stronicami i niósł fragmenty jego słów.

– ... *któryś jest w niebie, święć...*

Stojący obok mnie Claudel znieruchomiał.

Dwadzieścia metrów na zachód od nas, pomiędzy nagrobkami pojawił się mężczyzna. Z opuszczoną głową szedł w stronę baldachimu.

– ... *przyjdź królestwo Twoje...*

Popatrzyłam na Quickwatera. Jego spojrzenie było wbite w strażników. Jeden mówił coś właśnie do krótkofalówki, inny słuchał. Quickwater nie spuszczał wzroku z żadnego z nich, a potem także rzucił coś do mikrofonu.

Claudel słuchał, bacznie obserwując intruza.

– ... *odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...*

– Kłopoty? – spytałam, kiedy skończyli rozmawiać.

– To nie jest członek Rock Maszyny. Może być jeden z Bandidos, ale strażnicy nie są pewni.

– Skąd wie?

– Czyta z ruchu warg.

– Zna pan tego człowieka?

– To nie gliniarz.

Nerwy miałam napięte jak postronki. Podobnie jak wielu innych żałobników, mężczyzna miał twarz zasłoniętą chustą, a na oczy rzucał cień daszek czapeczki bejbolowej. Coś w jego wyglądzie sprawiało niepokojące wrażenie. Jego płaszcz był zbyt gruby i ciepły jak na tę pogodę, a nieznajomy ramiona trzymał sztywno, jakby coś pod nimi ukrywał.

Nagle dobiegł mnie ryk silnika. Wzdłuż Remembrance jechał jeep. W tej samej chwili

usłyszałam terkot silnika motocyklowego i przez bramę przemknął harley.

Kilka następnych chwil zdawało się ciągnąć w nieskończoność, a wszystkie wydarzenia rozgrywały się jakby w zwolnionym tempie. Później się dowiedziałam, że całe zamieszanie trwało niewiele ponad dwie minuty.

Jeden ze zgromadzonych w półkolu motocyklistów poleciał w bok i uderzył w drąg podtrzymujący plandekę. Rozległy się krzyki, terkot broni. Namiot runął. Tłum na ułamek sekundy zamarł w bezruchu, a potem ludzie rozpierzchli się na boki.

– Padnij!

Claudel pociągnął mnie w dół i wywrócił na ziemię.

Jakiś brodac z wyczołgał się spod namiotu i z rozłożonymi szeroko ramionami biegł w stronę kamiennego posągu Jezusa. W połowie drogi nagle wygiął się w łuk i upadł do przodu. Jeszcze się czołgał, kiedy jego ciałem wstrząsnął kolejny spazm. Mężczyzna znieruchomiał.

Wyplułam ziemię z ust i spróbowałam rozejrzeć się dookoła, ale obok mnie świsnęła kula, uderzając w drzewo.

Kiedy odważyłam się znowu podnieść głowę, zamaskowany napastnik w płaszczu klęczał skulony za nagrobkiem. Potem wstał i słońce zabłysło na korpusie pistoletu automatycznego, który wyciągnął spod ubrania. Trzymając broń w jednej dłoni, ruszył w kierunku statuy anioła.

Na moment sparaliżował mnie strach.

Nie myśląc, co robię, rzuciłam się do przodu.

– Wracaj tu, Brennan! – krzyknęła za mną Claudel. Nie odpowiedziałam. Zerwałam się na równe nogi i, klucząc, pobiegłam w dół zbocza. Przemykałam się od nagrobka do nagrobka, schylona unikałam ognia broni maszynowej. Cały czas parlałam w stronę posągu, za którym schował się mój siostrzeniec.

Dookoła mnie trwała regularna wojna. Anioły Piekieł przybyły po zemstę, a członkowie Rock Maszyny zaciekle się bronili. Kule świstały i rykoszetowały od nagrobków. Granitowy odprysk zadrasnął mnie w policzek i poczułam, jak spływa po nim coś ciepłego.

Kiedy obiegałam posąg, mężczyzna w płaszczu obszedł go z drugiej strony. Pomiędzy nami znajdowali się Kit i Crease. Zabójca podniósł broń i wycelował.

Crease chwycił Kita za szyję i zasłonił się nim jak tarczą.

– Padnij! – krzyknęłam. Pot zalewał mi oczy, wiatr ziębił ciało.

Kit momentalnie zorientował się, co jest grane. Wierzgnął wściekle i kolanem kopnął Crease'a w krocze. Usta reportera otworzyły się w idealne „O”, ale mimo to nie wypuścił chłopaka.

Mój siostrzeniec rzucił się w prawo, ale Crease zdołał zatrzymać go na miejscu. Morderca pociągnął za spust. Ogłuszający huk odbił się od skrzydeł i posągu. Kit runął na ziemię i znieruchomiał.

– Nie! – krzyknęłam, ale mój wrzask zagłuszył ryk motorów i trzask broni.

Kolejny huk. Zobaczyłam dziurę zięjącą w piersi Crease'a, który zachwiał się na nogach i upadł obok Kita.

Bardziej wyczułam niż zobaczyłam, że mężczyzna po drugiej stronie posągu robi krok do

przodu. Rzuciłam się w kierunku Kita i zasłoniłam go własnym ciałem. Chłopak wił się na ziemi i darł palcami trawę, a szkarłatna plama na jego plecach powiększała się z każdą chwilą.

Nagle dostrzegłam jakąś postać, wypełniającą całe niebo ponad aniołem i sąsiednim nagrobkiem. W dłoniach dzierżyła pistolet wycelowany w zabójcę. Lufa broni rozbłysła, huk poraził moje uszy. Oczodół mordercy eksplodował czerwoną fontanną, krew bluznęła z jego ust i upadł na ziemię obok mnie.

Spojrzałam w oczy tak błękitne, jak płomień palnika, a potem Ryan znikł w tłumie.

Dokładnie w tej samej chwili przypadł do nas Quickwater. Odciągnął mnie i Kita za nagrobek, a potem skoczył do przodu, skrył się za monumentem i omiatając bronią okolicę, spojrzał na ciała Crease'a i jego mordercy.

Próbowałam coś powiedzieć, ale usta miałam suche jak pustynia. Kule przeorały ziemię i znowu poczułam zapach wilgoci i kwiatów. Ludzie zgromadzeni na cmentarzu uciekali gdzie się dało.

Quickwater uważnie obserwował okolicę, w każdej chwili gotów wkroczyć do akcji. Gdzieś z oddali dochodził mnie głos policyjnych syren i silników samochodowych, potem nastąpiła eksplozja.

W moich żyłach krążyła chyba płynna adrenalina zamiast krwi. Jedną dłonią zatkałam dziurę w plecach Kita, drugą wciskałam do rany na piersi chusteczkę. Czas stracił jakiegokolwiek znaczenie.

Potem zapadła cisza. Na cmentarzu zapanował bezruch.

Spoglądając ponad ramieniem Quickwatera, dostrzegłam ludzi wypełzających spod namiotu. Płakali i rozglądali się przerażeni.

Motocykliści także wychynęli ze swoich kryjówek. Na ich twarzach malowała się wściekłość. Zbierali się w grupki i wygrażali pięściami wrogom, których nie mogłam dostrzec. Na ziemi leżało bez ruchu kilka ciał.

Od strony miasta dochodził dźwięk syren. Spojrzałam na Quickwatera, a on na mnie. Nasze oczy się spotkały, ale nic nie powiedziałam, choć usta mi drżały.

Policjant wyciągnął dłoń i otarł krew z mojego policzka. Zaskakująco delikatnym ruchem odgarnął mi włosy z czoła. Spoglądał w moje oczy, dając do zrozumienia, że to co razem przeszliśmy, będzie naszą wspólną tajemnicą.

Z mojej piersi wyrwał się krótki szloch, czułam, jak zbierają się łzy, które od dawna powstrzymywałam. Odwróciłam się, nie chcąc, aby widział mnie w chwili słabości.

Moje spojrzenie padło na niewielki owalny plastikowy portret, który został przymocowany do figury anioła.

Spoglądała z niego poważna twarz, wyblakła od słońca i deszczu, spowita całunem śmierci.

Boże, nie. Tylko nie Kit. Proszę...

Spojrzałam na krew, która sączyła się między moimi palcami. Pozwoliłam łzom płynąć. Ucisnęłam mocniej pierś siostrzeńca, zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić.

Rozdział 39

Co pani sobie do jasnej cholery myślała? – spytał Charbonneau.

– Nie wiem, działałam instynktownie.

– Nie miała pani broni.

– Moim orężem była słuszna wściekłość.

– Która rzadko wygrywa z pistoletem automatycznym.

Od strzelaniny na Notre-Damedes-Neiges minął tydzień, ale omawialiśmy te sprawę raz za razem. Charbonneau był w moim laboratorium i obserwował, jak sekwencjonowanie DNA dało rezultat pozytywny, dzięki czemu połączyliśmy szkielet z Myrtle Beach ze szczątkami z St-Basile-le-Grand. Kate Brophy ustaliła, że matka Savannah zmarła, ale żyła jej ciotka. Pogrzeb dziewczynki miał się odbyć w Północnej Karolinie.

Ilekróć myślę o tej skromnej ceremonii bez żałobników, zawsze ogarnia mnie melancholia. Na satysfakcji, jaką dało mi odnalezienie i zidentyfikowanie zwłok Savannah, kładzie się cieniem smutek. Wiem, jak nieszczęśliwe było jej życie: młoda i wrażliwa, niepełnosprawna fizycznie i odrzucona za życia przez ojca, została także opuszczona w śmierci przez rodzoną matkę. Nieraz zastanawiałam się, czy będzie ktoś taki na świecie, kto zajmie się jej grobem.

– Sądzi pan, że Savannah pojechała do Myrtle Beach z własnej woli? – spytałam, zmieniając temat.

– Wedle zeznań Crease’a, tak.

– Fatalna decyzja – odparłam, wyobrażając ją sobie tamtego dnia i zastanawiając, dlaczego ją podjęła.

– Tak, iście śmiertcionośna.

Spojrzałam na Charbonneau, zaskoczona tym, jak bardzo podobne były nasze skojarzenia. Ta sprawa zdawała się składać z samych fatalnych w skutkach decyzji. Gately i Martineau, Jocelyn Dion, George Dorsey, Anioły Piekieł, które były odpowiedzialne za atak na cmentarzu. Bogu dziękować, że Crease i Kit, choć również dokonali fatalnego wyboru, przeżyli.

Jak się okazało, Anioły Piekieł przysłały ze Stanów oddział zabójców, który miał wyeliminować Crease’a. Jocelyn wskazała go jako mordercę Cherokee’ego Desjardinsa. Anioły zamierzały pokazać wszystkim, że podniesienie ręki na jednego z nich oznacza odwet całego gangu. Zabójca miał uciec motocyklem. Jego kierowca zdołał zbiec, morderca już nie. Ryan i Quickwater dopilnowali, aby trafił na tamten świat, choć oficjalna wersja brzmiała inaczej.

Zamachowcy z jeepa także nie mieli szczęścia. Uciekali przed policją, ale nie znając terenu, wylecieli z drogi. Dwójka siedząca na przedzie zginęła na miejscu. Trzeci pasażer trafił do szpitala z licznymi obrażeniami. W trakcie dochodzenia wyszło na jaw, że stan Nowy Jork wydał nakaz aresztowania go pod zarzutem morderstwa. Mężczyzna wykazał chęć współpracy, licząc, że w kanadyjskim więzieniu uniknie celi śmierci, która oczekiwałaby go

w Stanach. Fakt, że egzekucji nie wykonywano od 1963 roku, nie ostudził jego zapału.

Crease przeszedł sześciogodzinną operację i choć żył, to nadal znajdował się na oddziale intensywnej terapii. Jego udział w wydarzeniach wychodził na jaw po trochu, w miarę jak odzyskiwał przytomność i był w stanie zeznawać.

On i Cherokee jeździli z Aniołami we wczesnych latach osiemdziesiątych. Crease był zafascynowany ich stylem życia i chciał opisać naukowo to zjawisko, Desjardins pragnął wstąpić do gangu. Zaprzyjaźnili się ze sobą zapewne z powodu kanadyjskiego pochodzenia.

Wedle słów Crease'a, spotkali Savannah Osprey w Myrtle Beach i zaproponowali jej przejażdżkę. Kiedy impreza przybrała dość nieprzyjemny obrót, dziewczyna chciała wracać do domu. Sprawy wymknęły się spod kontroli i Savannah została uduszona. Cherokee ukrył ciało w lesie.

– Crease przyznał się do udziału w morderstwie?

– Zaprzecza temu, ale potwierdził, że wspólnie z Cherokee'em wrócili na miejsce tragedii, kiedy postanowili jej kośćmi udekorować siedzibę gangu.

– Skurwiele.

Spojrzałam na szczątki dziecka, czując złość, podobną do tej, jaka mnie ogarnęła na widok zdjęcia, które Jocelyn wzięła z domu Cherokee'ego. Czaszkę rozpoznałam od razu, widząc dziurkę w boku kości. Motocykliści przybili ją do ściany, a poniżej umieścili skrzyżowane piszczele, jak na pirackiej fladze. Poniżej stali Crease i Cherokee, pokazując światu wyciągniętymi środkowymi palcami, co o nim myślą.

– Gdzie zrobiono to zdjęcie? – W całym zamieszaniu, nie zdążyłam o to spytać.

– W kwaterze Żmij, w St-Basile. Crease i Cherokee wrócili do Myrtle Beach zimą tego samego roku, kiedy zabito Savannah. Odszukali ciało i znaleźli czaszkę oraz kości pod przykryciem z blachy. Większą część ciała rozwłóczyły zwierzęta. Nasi dowcipnisie uznali, że bracia posikają się ze szczęścia, kiedy będą mieli w salonie czaszkę i dwa piszczele, dlatego zabrali je do Quebecu.

Byłam zbyt przepelniona odrazą, aby odpowiedzieć.

– Kości dziewczyny stanowiły ozdobę baru przez wiele lat, aż Żmije postanowiły je ukryć, obawiając się nalotu policji. Dlatego zakopano je w lesie.

– Czemu tak blisko Gately'ego i Martineau?

– Czysty przypadek. Gately i Martineau zginęli w wyniku porachunków. W 1987 roku Anioły chciały przejąć bar prowadzony przez tego pierwszego. Martineau był jego przyjacielem i strzelił do Anioła, który próbował zastraszyć Gately'ego.

– Kiepski pomysł.

– Zaiste.

– Skoro Crease nie zabił Savannah, to dlaczego tak bardzo zależało mu na zdjęciu?

– Obawiał się, że gdyby ta fotografia trafiła do prasy, jego kariera byłaby skończona.

– A więc zabił przyjaciela.

– Jeszcze tego nie ustaliliśmy, ale do wszystkiego dojdziemy. Jego kariera i tak jest nieodwracalnie skończona.

– Wszystkiemu zaprzeczy, a jedyny naoczny świadek nic nie zezna.

Jocelyn trafiła na stół koronera.

– Przyskrzynimy go dzięki łupieżowi z czapeczki.

– A co jeśli wyniki się nie potwierdzą?

– To nie ma znaczenia. Jest już umoczony i prędzej czy później wszystko wyśpiewa.

Dziewięć godzin później musieliśmy zmienić zdanie.

Rolety w szpitalnych oknach były podciągnięte i pokój tonał w słonecznym świetle. Kit oglądał z wyłączonym dźwiękiem talk-show w telewizji, a Harry leniwie przerzucała kartki magazynu o modzie. Choć Kita przeniesiono z oddziału intensywnej terapii cztery dni temu, jego twarz nadal była blada, a oczy podkrażone. Pierś została obandażowana, a z ramienia sterczała igła kroplówki.

Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się.

– Jak leci? – spytałam, gładząc go po ramieniu.

– Fenomenalnie.

– Przyniosłam więcej kwiatów – powiedziałam wesoło, wsadzając do wazonu bukiet kupiony w szpitalnej kwiaciarni. – Wiosenne stokrotki. Podniosą cię na duchu, a jeśli nie, zwrot kosztów gwarantowany.

– Jeszcze trochę, a zrobimy z pokoju puszcę tropikalną.

Kit spróbował się unieść i sięgnąć po sok pomarańczowy, który stał na tacy, ale skrzywił się z bólu.

– Pomogę ci. – Podałam mu szklankę, poprawiłam poduszki, a on oparł się o nie wygodnie i pociągnął łyk przez słomkę.

– Jak oddychasz?

– Nieźle – dotknął szklanką klatki piersiowej. Kula przeznaczona dla Crease'a trafiła Kita pod ostrym kątem: przebiła się przez dwa żebra, płuco i wyszła poprzez mięśnie. Wedle diagnozy, mój siostrzeniec miał dojść do siebie po zranieniu.

– Zapuszkowali tych wszystkich drani?

Spojrzałam na moją siostrę, która siedziała w rogu z nogą założoną na nogę.

– Motocyklista zwiął, pasażer z jeepa został oskarżony między innymi o usiłowanie zabójstwa, ale współpracuje z policją.

– Tempe, jeśli tylko dorwę tego sk...

– Harry, poproś pielęgniarkę o wazon, dobrze?

– Jasne. Rozumiem, że czas na pogaduszkę ciocia-siostrzeniec. Wyjdę na papierosa, nie śpieszcie się.

Harry wstała z krzesła, zabrała torebkę, ucałowała syna w czoło i wyszła na korytarz, pozostawiając po sobie tylko aromat Cristalle.

Przycupnęłam na krawędzi łóżka i ścisnęłam dłoń Kita. Była zimna i odrobinę bezwładna.

– Źle się czujesz?

– To przez te lekarstwa, ciociu. Co pięć minut któraś z pielęgniarek wstrzykuje mi coś w żyły albo wsadza termometr do tyłka. I nie mówimy tutaj o „Gorących Wargach” Houlihan* [„Gorące Wargi” Houlihan – major Margaret „Gorące Wargi” Houlihan, wojskowa pielęgniarka-służbistka,

postać z filmu „M.A.S.H. „ i z opartego na nim serialu telewizyjnego wyświetlanego także w polskiej telewizji (przyp. red.)). Podejrzewam, że te tutaj, potajemnie żywią się małymi zwierzątkami.

– Ha, ha.

– Pewnie coś kombinują, bo chcą mnie zatrzymać na dwa, trzy dni.

– Lekarze chcą mieć pewność, że znowu nie zasłabniesz.

Kit zawahał się, ale po chwili spytał.

– Jak sprawy stoją?

– Oprócz ciebie zostało rannych dwoje członków rodziny. Trzech Bezbożników i motocyklistów Rock Maszyny zginęło. Jeden z napastników uciekł, jeden został zastrzelony, dwóch zginęło w wypadku i jednego schwytano. To była krwawa łaźnia, jaką rzadko się widuje w Kanadzie.

Kit wbił spojrzenie w kołdrę i zaczął ją skubać.

– A jak on się miewa?

– Wyjdzie z tego, ale zostanie oskarżony o zamordowanie Cherokee’ego Desjardinsa.

– To nie Lyle zabił tego gościa. Jestem tego pewien.

– Zasłonił się tobą.

Kit nie powiedział ani słowa.

– Wykorzystał cię do zdobycia informacji.

– Racja, ale to nie typ człowieka, który zabija kogoś z zimną krwią.

Pomyślałam o czaszce i kościach, ale nie powiedziałam ani słowa.

– Czemu cię przyprowadził na pogrzeb?

– Nie chciał iść, ale dostałem bzika. Musiałem zobaczyć motory. Powiedziałem, że pójde sam, Lyle zerwał wszystkie kontakty z tymi gośćmi. Próbował zgrywać ważniaka, ale żaden z nich go nie rozpoznawał.

Przypomniałam sobie rozmowę z Charbonneau i podejrzenia, że Crease mógł być podwójnym agentem. Teraz te domysły wydały mi się śmieszne. Na ironię zakrawał fakt, że moje obawy o Kita opierały się na strachu przed jego powiązaniem z motocyklistami. Powinnam się była obawiać Lyle’a Crease’a.

Kit zaczął nawijać nitkę na palec.

– Posłuchaj, ciociu. Chciałem przeprosić za wszystkie kłopoty, jakie ci sprawiłem. – Zamilkł na chwilę i oderwał nitkę. – Kaznodzieja i inni to dupki, których nie stać nawet na własne kółka.

Dowiedziałam się tego od Claudela, ale nic nie powiedziałam.

– Chciałem, żebyś myślała, że to straszni motocykliści, bo chciałem się popisać, a tymczasem omal przeze mnie nie zginęłaś.

– Kit, kim był mężczyzna pod moim domem?

– Mówię szczerze, nie wiem. Pewnie jakiś dureń, który szwendał się po okolicy. – Kit uśmiechnął się diabelsko. – Może szukał pracy u twojego fryzjera?

Szturchnęłam go pod żebro. Tym razem mu wierzyłam.

– Uważaj, co robisz, jestem inwalidą.

Kit dokończył sok i podał mi szklanę.

– Co z tym okiem? – spytał.

– Policja uważa, że podrzuciły je Żmije, aby mnie zastraszyć i zniechęcić do prowadzenia dalszego śledztwa.

Zapadła cisza. Na ekranie prezenter podawał wiadomości, kursy akcji migały na pasku u dołu ekranu.

– Chyba wrócę do szkoły. Chcę zaliczyć kilka przedmiotów, zobaczę, co z tego wyjdzie.

– To wspaniały pomysł, Kit.

– Pewnie masz mnie za skończonego dupka i głupola.

– Nie, co najwyżej upierdliwego dzieciaka.

– Mam nadzieję, że mnie nie skreślisz?

– Nigdy.

Zawstydzony Kit zmienił temat.

– Jak twój szef?

– Coraz lepiej. Zaczął uprzykrzać życie pielęgniarcom.

– Rozumiem go. A Ryan?

– Daruj sobie, młody.

– Jak sądzisz, ile będzie się tutaj jeszcze lenił, czekając na kwiatki i czekoladki? – spytała Harry. Stała w drzwiach z wazonem w ręku i uśmiechem na ustach. Naczynie i jej wargi były karminowe.

Wyszłam ze szpitala i pojechałam do domu. Obiad zjadłam w towarzystwie Ptaśka, a potem zabrałam się za domowe obowiązki. Powrót do normalności miał się odbyć za pomocą codziennych czynności. Plan był doskonały i działał.

Wszystko się zmieniło, kiedy zaćwierkał dzwonek u drzwi.

Wrzuciłam do pralki całe naręczce swetrów i spojrzałam na zegarek. Ósma piętnaście, za wcześnie na Harry.

Zaciekawiona podeszłam do wideofonu.

Kogo diabli przynieśli?

Przed wejściem na klatkę czekał detektyw sierżant Claudel. Stał z rękoma założonymi do tyłu, kołysząc się na stopach to w przód, to w tył.

– Tyle w temacie normalności – mruknęłam do siebie i nacisnęłam przycisk otwierający drzwi.

– *Bonsoir, monsieur* Claudel.

– *Bonsoir*. Przepraszam, że nachodzę panią w domu, ale nastąpił przełom w śledztwie – powiedział, zaciskając mocno szczęki, jakby prywatna wizyta była ostatecznością, do jakiej musiał się posunąć. – Uznałem, że powinienem osobiście przekazać wieści.

Od kiedy Claudel był taki uprzejmy? Na dodatek, zwrócił się do mnie po angielsku. Co to mogło oznaczać?

Ptasiek zrobił ósemkę między moimi kolanami, ale nie pomógł w rozwiązaniu zagadki.

Otworzyłam drzwi i wpuściłam Claudela do środka. Wszedł i zaczekał, aż zamknę, a potem ruszył za mną do salonu, gdzie usiadł na kanapie. Ja zajęłam miejsce na bujanym

fotelu, w którym siedziałam podczas rozmowy z partnerem Ryana, Jeanem Bertrandem. Sama myśl o Ryanie sprawiła, że coś ścisnęło mnie za gardło.

Boże, spraw, aby nic mu nie groziło.

Odeгнаłam od siebie te ponure myśli i czekałam, aż Claudel się odezwie.

– Miała pani rację w sprawie George’a Dorseya. To nie on zabił Cherokee’ego Desjardinsa.

Też mi objawienie.

– Nie zrobił tego również Lyle Crease. Spojrzałam na niego zbyt zdziwiona, aby wykrztusić z siebie choćby słowo.

– Tuż przed śmiercią Jocelyn Dion wysłała do matki list, w którym opisała wiele z nielegalnych procederów, jakimi trudnią się gangi motocyklistów. Między innymi podała wiele szczegółów zabójstwa Richarda „Pajaka” Marcotte’a i Emily Anne Toussaint, a także Cherokee’ego Desjardinsa.

– Czemu to zrobiła?

– To dość skomplikowana sprawa. Po pierwsze i najważniejsze, obawiała się o swoje życie i myślała, że list zapewni jej bezpieczeństwo. Co więcej, była żądna zemsty za śmierć Georgea Dorseya, na którego wyrok wydał jego własny gang. Jocelyn Dion i on byli parą.

Poczułam, jak moje policzki oblewają się purpurą.

– Czy Dorsey zginął przeze mnie?

Claudel puścił moje pytanie mimo uszu.

– Co więcej, pannę Dion dręczyły wyrzuty sumienia, spowodowane przez występki, których się dopuściła, włączając w to zabójstwo Cherokee’ego Desjardinsa.

– Co? – krzyknęłam kompletnie zaskoczona.

– Nie przesłyszała się pani. Desjardins zginął z ręki Jocelyn Dion.

– Ale ona powiedziała, że to Crease go skatował i zastrzelił.

– Wygląda mi na to, że panna Dion dość selektywnie dozowała informacje.

Claudel oparł twarz na splecionych dłoniach.

– Według jej listowego wyznania, udała się do Desjardinsa kupić narkotyki, kiedy odwiedził go Crease, domagając się zdjęcia. Zaczęli się kłócić, a Crease uderzył Cherokee’ego pałką, pozbawiając go przytomności. Potem zaczął przeszukiwać mieszkanie, ale słysząc hałasy z sypialni, przestraszył się i uciekł.

Jocelyn musiała mieć ogromny apetyt na narkotyki i mało pieniędzy. Będąc na haju, odważyła się na coś, czego nie zrobiłaby normalnie. Postanowiła wykorzystać swoje szczęście i za darmo uzupełnić domową apteczkę. Kiedy Crease uciekł, zaczęła okładać Desjardinsa czym popadnie, potem zawlokła na krzesło ciało i przy pomocy dwururki pozbawiła je większej części głowy.

– Czemu go zastrzeliła?

– Bała się, że gdy Cherokee odzyska przytomność i stwierdzi, że został okradziony, będzie chciał się zemścić. Poza tym była na tyle trzeźwa, aby wiedzieć, że musi po sobie zatrzeć ślady. Dlatego upozorowała całe zajście na gangsterskie porachunki. – Claudel położył dłonie na kolanach. – Tutaj również się pani myliła.

Odchrząknął kilka razy, pomilczał chwilę i zaczął mówić dalej:

– Myśląc, że Crease także przyszedł po narkotyki, zabrała jego rzeczy i uciekła. Później przekonała się, że weszła w posiadanie zdjęcia Crease'a i Desjardinsa i postanowiła wykorzystać tę sytuację. Wymyśliła sobie, że skoro Crease'owi tak bardzo na nim zależało, że napadł Cherokee'ego, to będzie go mogła szantażować i co nieco na tym zarobi.

– W międzyczasie Bezbożnicy dowiedzieli się o moim spotkaniu z Dorseyem i wydali na niego wyrok śmierci. – Mięśnie szyi miałam napięte jak postronki, a moim sercem zawładnęło poczucie winy.

– Tak. Bojąc się o własne życie, Dion wymyśliła historyjkę o tym, jak Crease zamordował Cherokee'ego. Żmije dostały szału i uznały, że muszą wziąć odwet. Desjardins był Aniołem, a jego mordercą człowiek, który odszedł od braci, dlatego należało go ukarać. Co więcej, nadal nie wyrównali rachunków za Pająka Marcotte'a. Zadzwonili do Nowego Jorku po pomoc, a Dion przekonali, aby ściągnęła Crease'a na cmentarz. Zamierzali upiec kilka pieczeni na jednym ogniu i posłać na tamten świat paru Bezbożników.

Zapadła cisza.

– A więc to Jocelyn podzuciła zdjęcie na moje biurko?

– Tak, aby skierować podejrzenia na Creasea. Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

– Skąd krew Cherokee'ego na kurtce Dorsey'a?

– Tutaj ten mały śmieć nie kłamał, kurtka należała do Jocelyn, ale nie mógł nam tego powiedzieć, jeśli chciał ją chronić.

– I zginął przez to, że chciał ze mną porozmawiać. – Ugryzłam się w wargę.

– Dorsey zginął, ponieważ bracia obawiali się, że zacznie sypać. Gdyby nie spotkał się z panią, porozmawiałby z kimś innym.

Odchrząknęłam.

– Wierzy pan w to, co napisała Dion?

– W sporej części tak. Lecomte był podejrzany w sprawie zabójstwa Toussaint i Marcotte'a, dlatego bacznie go obserwujemy. Prokurator obawia się, że krzyk, który usłyszała pani na peronie nie wystarczy, aby go przymknąć, ale to kwestia czasu.

– Jocelyn była wtyczką w laboratorium, tak?

– Owszem, miała szpiegować policję i przekazywać informacje Bezbożnikom, ponadto nie miała oporów przed rozmową z prasą.

– Jeśli bracia się na to zgodzili?

– Tak.

Claudel westchnął ciężko.

– Gangi motocyklowe to mafie nowego tysiąclecia, które mają ogromny wpływ na ludzi. Jocelyn Dion była wśród tych, którzy znaleźli się na najniższym szczeblu drabiny. Dziwki, alfonsi, striptizerki i uliczni handlarze narkotyków żyją w ciągłym strachu. Zapewne bez zgody braci nie mogła iść z matką na niedzielną mszę. Stopień nad nimi są ci, którym trochę się powiodło: właściciele warsztatów, barów, ludzie, którym wolno kręcić się wokół braci, bo stanowią źródło dochodów lub pralnię brudnych pieniędzy. Potem mamy pełnoprawnych członków, którzy handlują prochami na większą skalę, a na samym szczycie ludzi

powiązanych z meksykańskimi i kolumbijskimi kartelami narkotykowymi oraz innymi przestępczymi organizacjami na świecie.

Claudel mówił z pasją, jeszcze nigdy nie widziałam go tak zaaferowanego.

– A kim są ci degeneraci, którzy żerują na najsłabszych ofiarach? Większość z nich jest pozbawiona zasad moralnych lub zbyt głupia, aby dać sobie radę w uczciwym świecie. Wykorzystują i poniżają kobiety, bo w głębi duszy się ich boją. Brak im wykształcenia, inteligencji, a w wielu przypadkach cierpią na fizyczne zaburzenia i dysfunkcje, dlatego tatuują się, wymyślają straszne ksywki i zbijają się w grupy, aby jak stado zwierząt podtrzymać się na duchu. – Claudel zaczerpnął głęboko tchu i pokręcił głową. – Sonny Barger przeszedł na emeryturę i pewnie pisze teraz autobiografię. Miliony kupią książkę, a Hollywood nakręci na jej podstawie film. „Dziki” zostanie znowu wyidealizowany i mit otumani nowe pokolenie.

Claudel zamilkł na chwilę i potarł skronie.

– W ten sposób narkotyki będą płynąć nieprzerwanym strumieniem do naszych szkół i dzielnic biedoty, niszcząc następne rzesze ludzi.

Detektyw poprawił mankiety i złote spinki, wstał, a kiedy odezwał się ponownie, jego głos znowu był zimny jak lód.

– To zakrawa na ironię, ale kiedy Anioły urządziły masakrę na cmentarzu, ich wrogowie sami wysłali morderców. Nie wiem, które z tych bydląt dopadło Dorsey'a i na razie nie mam dowodów na to, że Lecomte zastrzelił Jocelyn Dion, Pajaka Marcotte'a i Emily Anne Toussaint, ale kiedyś je zdobędę. Któregoś dnia pošlę go za kratki.

Claudel spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie spocznę, dopóki diabeł nie wyjedzie z mojego miasta.

– Wierzy pan, że to możliwe?

Pokiwał głową, a potem z wahaniem spytał:

– Pomoże mi pani?

Bez chwili zastanowienia odparłam:

– *Oui.*

Rozdział 40

Następnego ranka wstałam dość późno. Poszłam na siłownię, kupiłam kawę i bagietki i zjadłam je w towarzystwie siostry. Kiedy Harry pojechała do szpitala, zadzwoniłam do laboratorium. Nie było żadnych spraw dla antropologa, dlatego mogłam wrócić do realizowania planu, który przerwała wizyta Claudela.

Namoczyłam swetry i rzuciłam się do odmrażania lodówki. Wyrzuciłam wszystko, co było starsze niż miesiąc. Tak samo uczyniłam ze wszystkim, czego nie potrafiłam zidentyfikować.

Od wielu tygodni nie miałam tak dobrego humoru. Po raz kolejny Claudel przyznał, że ceni sobie moje zdanie i współpracę. Charbonneau i Quickwater mieli prowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa Dorsey'a i Dion. Byli zdeterminowani, aby postawić winnych przed sądem.

Przeprosiłam Martina Quickwatera za moje zachowanie. Ku mojemu zdziwieniu, nie chował do mnie urazy, a nawet się do mnie uśmiechnął.

LaManche wracał do zdrowia.

Zagadka śmierci Savannah Osprey została rozwiązana, a jej szczątki zabrała rodzina.

Katy miała przyjechać za dwa tygodnie, a Kit zdrowiał.

Moje włosy odrastały.

Jedynym, czym się martwiłam, było bezpieczeństwo Ryana. Zaryzykował swoim życiem, aby mnie ratować i modliłam się, aby nie ściągnął na siebie niebezpieczeństwa. Oby nie była to kolejna śmiertelna decyzja.

Jak zacność bezskutecznie odpiera potwarze...

Wers za każdym razem sprawiał, że miałam ochotę płakać.

Wiedziałam dobrze, że Ryan nie mógł się ze mną skontaktować i nie miałam pojęcia, kiedy nadarzy się okazja.

Nieważne, mogę poczekać.

Ile tylko będzie trzeba.

Dwa słoiki sfermentowanego dżemu. Do wyrzucenia.

Tak, zdecydowanie potrzebuję jakiejś piosenki tematycznej.

I've got sunshine on a cloudy day...